
V
B
J
C

POLSKA

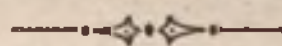
KSIĄŻKA DO CZYTANIA

dla

szkół wydziałowych i wyższych klas szkół ludowych

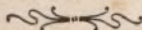
ułożyli

Franciszek Próchnicki i Romuald Starkel.



TOM III.

Dla klasy siódméj.



WE LWOWIE.

Nakładem Towarzystwa Pedagogicznego.

I. Związkowa drukarnia we Lwowie.

1887.

Przedmowa.

Książka niniejsza, obejmująca cztéry tomy, a przeznaczona dla szkół wydziałowych i wyższych klas szkół ludowych, ściśle zastosowana jest do „Planu lekcyjnego“. W doborze ustępów do czytania miano tu na oku ważniejsze względy pedagogiczne i dydaktyczne, przedewszystkiém wiek i zakres wiedzy, podawanéj młodzieży w każdym roku nauki.

Celem tedy ustępów, zamieszczonych w tomie I., jest nastręczenie młodzieży pouczającego a przystępnego i na tym stopniu nauki „Planem“ wskazanego materyału, przeważnie „opisów i opowiadań“ tak prozą jak wierszem, na którychby uczniowie, zaciekawieni ich treścią, mogli z pożytkiem „śledzić tok i związek myśli“, oraz zaprawiać się „w poprawności i zwięzłości wyrażenia“. Systematyczny zaś pod względem formy układ zamieszczonych tu ustępów naprowadza uczniów równocześnie a prawie mimowiednie do elementarnego poznawania głównych rodzajów prozy i poezyi i najwybitniejszych ich kształtów.

W ten sposób tom I. toruje drogę dwom następnym, które, podając coraz obfitszy, treścią i formą coraz doskonalszy materyał, służą do głębszego wytłómaczenia „szczególniejszych zwrotów języka“, wybitniejszych form stylistycznych i poetycznych, warunków piękna w poezyi, podziału prozy i poezyi na rodzaje i gatunki, — a przytém nastręczają coraz częstszą sposobność do „krótkich uwag historycznych i biograficznych, odno-

szących się do pisarzów, których utwory się czyta“.

Pierwsze więc trzy tomy, utwierdzając ustawicznie i rozszerzając zwolna wszystko to, czego się młodzież uczyła w każdym poprzedzającym roku nauki, przygotowują zarazem materyał do tomu czwartego.

Tego zaś tomu zadaniem jest ułatwić uczniom krótki pogląd na historyczny rozwój literatury polskiéj, przyczém nie chodzi wcale o dokładność w szczegółach, lecz tylko o jak najprostszy zarys całości. Z tego powodu tom ten zawiera ile możności niedługie wyjątki z dzieł najwybitniejszych w literaturze polskiéj poetów i prozaików w porządku chronologicznym, począwszy od Długosza aż do dni naszych. Dokoła zaś tych wybitniejszych postaci i ważniejszych dzieł, w tym tomie uwzględnionych, ugrupują uczniowie wszystko to, czego się z literatury w klasach poprzednich przy sposobności uczyli, utwierdzając w ten sposób i uzupełniając nabyte już wiadomości.

Oprócz tego tom czwarty, mając ułatwić uczniom powtórzenie tego, czego się dotąd z zakresu stylistyki i poetyki nauczyli, zawiera przykłady nietylko z każdego rodzaju poezyi i prozy w ogólności, lecz także prawie ze wszystkich ważniejszych gatunków w obrębie każdego z tych rodzajów. Powtórzenie tych wiadomości u kresu nauki szkolnéj zarówno pożądane jest w celu zebrania i ujęcia w pewną całość tego, czego się w szkole w tym kierunku uczono, jakotéż w celu przygotowania młodzieży na przyszłość do rozumnego czytania arcydzieł literatury narodowéj w całości.

We Lwowie, 1. kwietnia 1887.

Spis rzeczy

w tomie trzecim zawartych.

Proza.

A. Proza powieściowa.

Legendy, opowiadania i obrazki powieściowe.

B. Proza historyczna.

I. Podania i powiastki historyczne.

II. Obrazki i opowiadania historyczne.

C. Proza opisowa.

I. Opisy geograficzne i obrazy z życia.

II. Przyroda, jéj zjawiska i płody.

D. Proza nauczająca.

Rozprawki.

Poezya.

A. Poezya opisowa.

I. Bajki i powiastki.

II. Podania, legendy i ballady.

III. Gawędy i opowiadania.

IV. Opisy i obrazki.

B. Poezya liryczna.

I. Sonety, pieśni, dumki, krakowiaki.

II. Wiersze i pieśni religijne.

A. Proza powieściowa.

Legendy, opowiadania i obrazki powieściowe.

I. Krzyż.

Był niegdyś pewien człek biedny, co dźwigał z utyskiem krzyż, przeznaczony mu w doczesności ziemskiéj, i dźwigał go, bolejąc gorzko na twarde losy swoje, bo mu się zdawało, że już nikt z ludzi nie przywalony tak ciężkiém, jak on, brzemieniem. Więc stanąwszy przed Chrystusem Panem, pada na kolana, ze łkaniem błagając: „Wszechmiłosierdzia Panie! otóż najcięższy krzyż ze wszystkich na ziemi krzyżów stał się opłakanym udziałem moim! Zlituj się mojéj niedoli i użycz mi innego krzyża, którybym już nosił przez życie!“ A Pan miłości nieskończonéj przemówił do śmiertelnego człowieka i rzekł: „Wybieraj sam ze wszystkich ziemskich krzyżów według woli własnéj!“ I uradowany człowiek, doświadczając wiele krzyżów, wybrał sobie jeden z nich; a był to krzyż świecisty, złocisty; a włożywszy go na ramiona, zawołał: „Otóż ten krzyż już nadaje się dogodnie do ramion moich; on zbyt nie zaciąży i nie zaboli!“ I ciesząc się w sercu swojém, poszedł człek w życie z tym złocistym, błyszczącym, przez siebie wybranym krzyżem.

Wrychle atoli wraca i stanąwszy przed Panem, pada na kolana i błagając woła: „O nieskończonego miłosierdzia Panie! ten krzyż przezemnie wybrany tak twardych a ostrych jest krawędzi, on jeszcze więcéj mnie boli i rani, niż ów pierwszy krzyż mój; pozwól w Twojéj miłości bez granic, bym sobie inny krzyż wybrał!“ A Pan z łaską niebiańską rzekł: „Wybieraj między krzyżami!“ A człek doświadczając wielu krzyżów, wybrał znów inny krzyż, co z kształtu już mu się wielce nadawał do ramion jego i był dogodniejszy i mniéj bolesny do noszenia. I poszedł człek w życie z tym krzyżem, przez siebie wybranym.

Ale wrychle znów wraca, znów płacze, błagając, i znowu wybiera sobie nowy krzyż. Tak wielekroć jeszcze wracał, utyskując ze łzami, jako każdy następny, z kolei przez niego wybrany

krzyż, jeszcze srożéj go boli i rani, niż wszystkie poprzednie krzyże. A Pan w dobroci bez granic, w miłosierdziu niewyczerpaném za każdym razem pozwolił mu inny wybrać krzyż. Aż nakoniec człek wybrał sobie raz jeszcze krzyż; i poszedł w życie i poszedł w świat; i długo nie wracał. Nakoniec wrócił, ale czyniąc już dziękczynienia Panu wiekuistéj miłości i wołając radośnie: „Panie, jakiż to dogodny, a nadający się do ramion moich ten krzyż, ostatnim razem przezemnie wybrany! Tego krzyża już nie odmienię; on dla mnie najdogodniejszy, najlżejszy ze wszystkich krzyżów na ziemi; on mnie nie boli, nie rani; ja przy nim chętnie na życie całe zostanę!“

Wtedy Pan przemówił do śmiertelnego człowieka i rzekł: „Widzisz, ten ostatni krzyż, tak ci się nadający do ramion twoich, ten krzyż, co cię nie boli, nie rani, jest owym pierwszym pierwotnym krzyżem, który ja sam dla ciebie przeznaczyłem, a który ci się zrazu zdawał być najcięższym ze wszystkich krzyżów na ziemi“.

Józef Kremer.

---

2. Powieść arabska.

Człowiek jeden dobroczynny, chcąc sługę swego uszczęśliwić, obdarzył go wolnością; dał mu okręt, a w nim towary, którymiby handel mógł prowadzić. Puścił się ów sługa na morze. Lecz wkrótce taka powstała burza, iż rozbił się okręt, zapędzony na skały. Utonęły towary, a on ledwo się sam na ląd dostał. Opłakiwał swój stan nędzny, siedząc na brzegu; gdy zaś wszedł na wzgórek, postrzegł zdaleka miasto i zaraz się tam udał. Jeszcze był pół drogi nie uszedł, gdy spotkał wielki tłum ludzi, którzy go z radosnymi okrzykami królem swoim głosząc, przybrali w kosztowne szaty i z czcią wielką ku miastu wiedli. Tam wprowadzony do zamku, zasiadł na tronie; a zacząwszy od przedniejszych, wszyscy przysięgli mu na posłuszeństwo i wierność.

Rozumiał zrazu, iż to sen; ale gdy po uroczystych obrzędach nastąpiła uczta i za ustąpieniem innych, w pośrodku sług swoich i dworzan się obaczył, a potém na wspaniałém łożu odpoczął, postanowił o nic się nie pytać i w cichości korzystać z szczęścia, którego nie pojmował.

Poznał w dalszym czasie, iż wszystko było na jawie. Otóż razu pewnego, gdy upatrzył w wezyrze swoim roztropność

niepospolitą, ośmielił go się zapytać, coby to znaczyło, co się z nim dzieje? skąd to przyszło? i jakie tego dalsze skutki być mogą? „Wiedz o tém, miłościwy panie — rzekł wezyr — iż tutejsi mieszkańcy są płodem geniuszów, innych więc skłonności, niż ludzie; uprosili zaś sobie od władz niebieskich, aby zawsze jeden z synów Adamowych nimi władał. Jakoż co rok jeden z nich, jak ty teraz, zesłany bywa; przyjmują go za pana, jak ciebie przyjęli; a gdy rok się skończy, zdzierają z niego królewskie szaty i zaprowadziwszy na brzeg morski, wrzucają na okręt, a ten go bez wsparcia i pożywienia na dziką wyspę przewozi, gdzie ogołocony ze wszystkiego, nędzne życie prowadzić musi. Przybywa natychmiast nowy rządca i po roku to samo się z nim dzieje, co i z pierwszym“.

— A byli oni przestrzeżeni wprzód o tém tak, jak ja teraz? pytał król.

— Byli — mówił wezyr — ale każdy z nich ujęty słodyczą stanu swego, nie zastanawiał się nad tém, czego daléj doznać miał.

Wskróś te słowa przejęły króla, tak więc daléj mówił do wezyra:

— Otworzyłeś mi oczy powieścią twoją; proszę teraz, daj mi radę, co mam czynić, gdy ta koléj na mnie przyjdzie, abym, jeśli odwrócić nie mogę, przynajmniéj ulżył srogości przyszłego losu mojego.

— Pamiętaj — rzekł wezyr — jakeś tu wszedł, i wiedz, że tak wynijdziesz. Jeden ci tylko sposób do zapobieżenia złemu pozostaje. Póki masz jeszcze sposobność, przesyłaj na tę dziką wyspę, gdzie cię zawiozą, żywności dostatkiem i pomocników. Ci tobie tymczasem i dom zbudują i żywność opatrzą i grunt uprawią; a naówczas, gdy tam przyjdziesz, wszystko nietylko co do potrzeby, ale do wygody i dostatku znajdziesz.

Stało się tak; a gdy wszystko na wyspie było w pogotowiu, ów król, zamiast iżby się końca panowania swego lękał, czekał niecierpliwie na ów czas, który go w dzierżeniu stałém przygotowanych dostatków umieści.

Ignacy Krasicki.

---

3. Dowcip kwestarza.

Przebywszy Niemen w Mikołajowie, ciągnęliśmy gościńcem. Popasy nasze odbywaliśmy zawsze pod gołém niebem, jeżeli nie we dworze jakim. „Po co nam karczmy? — mówił Marcin, stary

furman klasztorny — mamy zawsze z łaski dobrodziejów zapas podróżny i barany napasiemy i sami posilim się i nic nie zapłacimy". Mieliśmy więc po zwyczaju mijać karczmę, do któréj dojeżdżaliśmy właśnie; ale spostrzegłszy przed nią stojącą piękną karocę, która widać do stodoły wleść nie mogła, a stodołę pełną wozów i koni, a zatém pomiarkowawszy, że to jakiś dwór pański zajechał na popas, postanowiłem i tu zaglądnąć, na co i Marcin się zgodził. A zatém stanęliśmy z naszymi kałamaszkami obok pańskiéj karocy.

Ujrzały nas piękne panięta, to jest, chłopiec wyrostek i dziewczynka podlotek; wybiegły z karczmy, a za nimi i ichmość rodzice wyszli.

— *Laudetur Jesus Christus!* [1]) — rzekłem, kłaniając się *humillime* [2]).

— *In saecula saeculorum!* [3]) — odpowiedział *Magnificus* [4]), jak się potém dowiedziałem, starosta. — Zajęliśmy karczmę — rzekł on — nie masz, gdzie popasać, księże kwestarzu!

— Nic to, Dobrodzieju! ja téż nie na popas zajechałem; odpoczną tylko moje szkapy i powlokę się daléj.

— Owszem, pomieścimy się jakkolwiek. Wozy twoje mogą postać przed karczmą, a konie między moimi i mój obrok zjedzą, samego zaś Waści na nasz podróżny obiadek proszę. Zostań więc dla kompanii, księże kwestarzu!

— Chętnie spełnię rozkaz JW. Pana, bylem nie przyczynił subjekcyi.

— Żadnéj, żadnéj — odpowiedziała pani.

A zatém i zostałem, choć Marcin się krzywił, biorąc się do odprzęgania koni; ale gdy na rozkaz starosty stajenni jego pomagać zaczęli staremu i gdy posłyszał rozkaz pański, aby i konie jego były dobrze nakarmione, a forysie aby pilnowali wozów naszych i baranów, udobruchał się przecie i wnet pobratał się z wszystkimi.

W karczmie już był stół nakryty, a nim dano, starosta, zacząwszy od pytania, jakie mnie zwykle i wszędzie spotyka: Z jakiego klasztoru Pan Bóg prowadzi? — zadawał rozmaite inne, wyzywając mię zawsze na jowialne odpowiedzi, bo widać nawykł do konceptów kwestarskich. Jak mogłem, dotrzymywałem placu, i uśmiechał się pan, a nawet sama imość; bo ja,

---

[1]) Niech będzie pochwalony J. Chr. — [2]) bardzo uniżenie. — [3]) Na wieki wieków. — [4]) wspaniały, wspaniałomyślny, szlachetny — wielmożny.

pamiętając na instrukcyą księdza gwardyana, umiałem trzymać język za habitem. Nakoniec przystawiono talerz i zasiedliśmy do stołu.

— Będziesz głodny, księże kwestarzu! — rzekł starosta — obiad podróżny krótki i porcye nie sute, bodaj tylko rosół i pieczyste.

— *Deo gratias* [1]), Dobrodzieju! a na cóż więcéj?

Jakoż poczciwy był rosół z jędora. Pani starościna po dwa razy mi nalewała, i posiliłem się regularnie. Dano pieczyste. Były to cztéry jarząbki, wyraźnie dla dwojga rodziców i dwojga dziatek po jednym.

— Oto sęk, księże kwestarzu; jarząbków cztéry, a nas pięcioro.

— Posiliwszy się z łaski Państwa tak wyśmienitym rosołem, nie potrzebuję nic więcéj i obejdę się bez jarząbków.

— Nie, nie, tak być nie może. Poczekaj, *Carissime!* [2]) Jak miarkuję, jesteś człowiek bywały i kwestarz nielada; musiałeś więc szkoły traktować?

— JW. Panie! aż do poetyki [3]) *inclusive* [4]), a Alvara [5]) gryzłem na pamięć jak rzepę.

— Zapewne uczyłeś się arytmetyki?

— Uczyłem się i arytmetyki, lecz zostawszy kwestarzem, najwięcéj praktykuję addycyą [6]) i multiplikacyą [7]); dalsze zaś działania dla mnie nie wielce potrzebne; o frakcyach [8]) i słuchać nie chcę. Nigdy ich cierpieć nie mogłem, tém bardziéj teraz, gdy o całe barany proszę.

Otóż, pomyślałem sobie, znowu i wędę z konceptem zarzuciłem do wspaniałości pańskiéj. Punktualnie wypełniam instrukcyą ks. gwardyana. Obaczymy, co wyciągnę.

— A więc daj experyment, rzekł starosta, ze swojéj nauki; podziel te cztéry jarząbki na pięć osób, ale bez frakcyi, gdy ich cierpieć nie możesz, to jest bez rozrzynania, tak jednak, aby wszystkim po równéj porcyi się dostało. Kiedy tego dokażesz, powiem ci, żeś gracz i żeś kwestarz *re et nomine* [9]).

— Nic łatwiejszego, Dobrodzieju! byleście się na moję dywidendę [10]) zgodzić raczyli.

---

[1]) Bógu dzięki. — [2]) najdroższy. — [3]) klasa piąta. — [4]) włącznie. — [5]) szkolna gramatyka łacińska. — [6]) dodawanie. — [7]) mnożenie. — [8]) ułamki. — [9]) co do rzeczy i z imienia. — [10]) podział.

— Przyrzekam solennie, rzekł znowu starosta, i za siebie i za żonę i za dzieci. Ale bez noża, księże kwestarzu!

— Ani się dotknę nożem.

Podsunąwszy więc bliżéj do siebie półmisek, wziąłem widelec w rękę i tak dzieliłem:

— Jegomość Dobrodziéj, Jéjmość Dobrodziejka i jarząbek — to troje; Panicz, Panienka i jarząbek — to troje; kwestarz i dwa jarząbki — to znowu troje.

— Brawo! krzyknął starosta, śmiejąc się serdecznie, tożsamo i pani starościna. Zgadzamy się na podział, wyśmienicie.

— Ale ja się nie zgadzam, rzekłem. Jarząbki zostaną przy Państwu i przy Paniętach, a w indemnizacyi [1]), jeżeli JW. Pani pozwoli, wezmę tę bułkę pieroga dla mnie, a dla klasztoru, co wola i łaska.

— Z największą ochotą i jedno i drugie ofiarujemy ci, *Carissime*, z warunkiem wszelakoż, że po jałmużnę dla klasztoru przyjedziesz do nas. Dom mój stąd mil pięć. Drogę rozpowiedzieć każę twemu furmanowi, a fatyga nagrodzi się dobrą kwestą. Czy zgoda?

— Zgoda JW. Panie! dla mnie wszystko jedno. Gdzie jadę, to jadę, bylem do dobrodziejów trafiał.

Wkrótce pożegnało mię to zacne państwo, i my też powlekliśmy się za nimi.

Ignacy Chodźko.

---

4. Niedźwiednik.

Żył przed 50 laty szlachcic, zwany Niedźwiednik. Był to jego przydomek od nadzwyczajnéj siły, gdyż każdego przełamał niedźwiedzia, z którym się spotkał; właściwie zaś nazywał się Roch Dąbrowa. Postać nie okazywała bynajmniéj téj olbrzymiéj siły, którą dziwił i przestraszał. Wysoki, kształtny, topolowego wzrostu; poruszenia żywe, ręka niewielka, ale żylasta; twarz wesoła i ciągle w uśmiechu. Nosił zwykle szarą kapotę i czapkę, na lewe ucho przekrzywioną. Mieszkał w domostwie, nie wiele różniącém się od chaty wieśniaka: mały ogród i jeden zagon, 12 łokci szeroki, a do 100 sążni długi, były całém dziedzictwem Niedźwiednika. Żył pracowicie, uprawiał w pocie czoła ogródek i zagon, a w wolnych chwilach, zarzuciwszy strzelbę na plecy,

---

[1]) wynagrodzenie poniesionéj szkody.

szedł na grubego zwierza w obszerne knieje, co nie były tak puste, jak dzisiaj, kędy nie zobaczysz niedźwiedzia, jelenia ni łosia. I sąsiedzi okoliczni dziwili się jego łowom. Nie strzelił on do zająca ani do lisa, każdego ptaka omijał; lecz za to w obszernéj puszczy nie przepuszczał niedźwiedziom, dzikom, łosiom, jeleniom, rysiom i wilkom. Ale i w tém zachowywał szczególny zwyczaj. Żaden z myśliwych nie widział, aby użył strzelby na niedźwiedzia, chyba że niespodzianie go spotkał, kiedy nie miał swojego, jak nazywał, kija. Kij ten byłato pałka, jak dwie ręce gruba, u góry zaokrąglona na kształt buławy; nagłówek ten był nasadzony trójkątnymi goździami grubymi, a ze środka wychodził na łokieć długi, ostry, obosieczny dziryt. Z taką bronią przyjmował zawsze niedźwiedzia, i gdy ten rozjuszony, na dwóch łapach spięty, zbliżył się do Dąbrowy, pchnął go naprzód dzirytem, a potém za jedném uderzeniem pałki rozciągnął u nóg swoich. Wtedy z radością uśmiechał się, naciskał lepiéj czapkę na lewe ucho, dobywał myśliwskiego noża i nietylko że odcinał po zdjęciu skóry łapy niedźwiedziowi, ale nadto wykrawywał pieczenie, które swymi delicyami nazywał. Sąsiedni kmiecie, często rozmawiając o nim, mówili: Nie dziwota, musi być mocny, jak niedźwiedź, kiedy się żywi pieczeniami z niedźwiedzi.

Mimoto wszakże nie mogli pojąć, jak człowiek tak może być zdrów i silny, nie pijąc ani wódki ani miodu ani piwa. Napojem zwyczajnym była u niego kryniczna woda. Nie pogardzał i futrem z lisów, ale na nie umiał tak zręcznie stawiać samołówki, że w zimowéj porze, kiedy najlepsze skóry, nietylko że corocznie sam się zaopatrzył w nową lisiurkę, ale za sprzedane futra nazbierał niemało grosza. Mówiono potajemnie, że ma dużo pieniędzy zakopanych; i musiał ich mieć wiele, bo o nic nikogo nie prosił. Samotny, bezżenny, w łowach miał rozrywkę i uciechę. Pan na jednym zagonie, sam go łatwo mógł uprawić i zebrać. Ogród warzywny i sad, pełen smacznego owocu, dostarczały mu dość żywności przy obfitéj zwierzynie.

Na cały powiat Niedźwiednik był osobliwością, a trzeba wiedzieć, że wtedy nie brakło u nas silnych ludzi i dobrych myśliwych; wszakże wszyscy przy nim gaśli. Niedość, że na oszczep brał wielkie niedźwiedzie, ale ile razy dziedzicowi chciał podarek zrobić, a zawsze to czynił na kolendę i przed Wielkanocą, przywoził z kniei żywego dzika. Każdy się temu dziwił i z dalekich okolic zbiegali się myśliwi, aby zobaczyć tak oso-

bliwego strzelca. Chłopstwo oskarżało go o czary, że ma związki z dyabłem, lecz to wszystko kłamali wierutnie. Mój ojciec świętéj pamięci mieszkał o sześć mil od téj wioski, gdzie Niedźwiednik przesiadywał. Po wesołym kuligu zajechał z dziatwą i z matką naszą w tamte okolice. W dużych saniach siedziała pani matka i dwie dorosłe panny siostry, ojciec przy woźnicy sam powoził.

W ostatni wtorek, podochocony, wracał z nami wieczorem, a jechał żwawo, aby doma na popielec stanąć. Za dużym lasem— pamiętam jakby dzisiaj, bo miałem już lat dziesięć — iskrzyło się niebo od gwiazd mnóstwa, świecił ci i księżyc w pełni; tak widno było, że szeląg znaleść było można. Nagle konie parskać poczęły, a nieboszczyk mój ojciec, widząc, co się święci, świsnął, i jak wiatr posunęły się na śliskim śniegu sanie.

Wilków stado zabiegło nam z boku. Skręcił końmi w inną stronę i na nieszczęście w rów wywrócił. Pamiętam dobrze jego słowa, kiedy przestraszony zawołał, podniósłszy sanie: „Prędzéj do sani! bo jeżeli nie ucieknięm, zginiemy na zawsze“. Matka i panny siostry usiadły prędko; ruszył, co koń wyskoczy, a ja, zagrzebany w śniegu, zostałem zapomniany. Zerwałem się na nogi, wychyliłem głowę, widziałem, jak za ojcem pędzą wilki; z przestrachu przysiadłem, sen mnie zmorzył i zmarzłem. Kiedym otworzył oczy, zobaczyłem pierwszy raz w życiu Niedźwiednika; nacierał mi twarz śniegiem, cztéry ogromne kundle stały obok niego, a daléj jednokonne sanki, pełne lisów, i trzy skóry wilcze. Gdy zobaczył, że żyję, zaniósł do sanek i zawiózł do domu, lecz nie zostawił mnie w ciepłéj izbie; rozebrał do naga i na podwórzu wśród mrozu natarł mocno śniegiem. Wtedy obwinął mnie w skórę wilczą i położył na swojém łóżku. W kilka dni już zdrów byłem, a Niedźwiednik, dowiedziawszy się, kto mój ojciec, odwiózł mię do domu.

Drżało mi serce z radości, kiedym ujrzał suche gałęzie lipowéj drogi i dwór mego ojca. Zostawił mię w saniach, a sam wszedł do komnaty. Skłonił się ojcu i, żeby zbytnia radość nie zaszkodziła, prosił do osobnéj izby. Tam mu powiedział, jak mu syna uratował, i że przywiózł go z sobą. Ojciec nie wiedział, jak dziękować; płakał z radości i całował mojego wybawcę. Potém wrócili do komnaty, gdzie matka i siostry siedziały zapłakane. Ojciec kazał jednéj pobiéc do piwnicy po węgrzyna, a sam rzekł do matki mojéj: „No, dzieweczko moja, wieści nam pewne nasz sąsiad przynosi o naszym Tadeuszku“. — „Żyje!“ zawołała. — „Nietylko żyje, ale przyjechał“. I zaraz wbiegłem

upadłem do nóg panu ojcu i pani matce, a Niedźwiednik i wszyscy płakali. Kiedy chciał węgrzynem ojciec częstować, podziękował za wino i żadnego daru nie przyjął, wyjąwszy strzelbę jako pamiątkę. „Niech tylko — rzecze — Tadeusz, chcąc mi wynagrodzić, samotnego Niedźwiednika (bo i sam się tak z chlubą nazywał) często nawiedza. Nauczę go strzelać, a te odwiedziny rozweselać będą starego myśliwca“. Niedługo się bawił, bo spieszył, jak mówił, ściągnąć lisy z samołówki.

Od tego czasu zawsze co miesiąc na cały tydzień do niego wyjeżdżałem, a on mię wprawiał do strzelby. Często spraszał mój ojciec przyjaciół i krewnych na łowy, a miał u siebie duże knieje; wtedy i mój wybawca zjeżdżał. Pamiętam dobrze, pokazał się raz ogromny niedźwiedź i szkody niemało nam robił; trzeba go było sprzątnąć. Wiele sąsiadów myśliwych zebrało się razem; był i Niedźwiednik. Stałem blisko niego i mojego ojca. Prędko niedźwiedzia psy ruszyły, pokaleczył z nich kilka i wpadł na drogę, kędyśmy stali. Niedźwiednik miał czerwoną czapkę. Ku téj więc stronie rzucił się wściekły zwierz. On przypuścił go może o cztery kroki, spojrzał, czy dobra nasypka, zmierzył, a z połyskiem powalił się niedźwiedź, ale tak blisko, że musiał uskoczyć, bo przygniótłby go był swoim ogromem. Wesołe okrzyki rozległy się po lesie, a zwycięzca, oddawszy skórę i łapy, wykroił pieczeń i schował do torby.

Nadchodziły imieniny mego ojca: pojechałem do niego, ażeby zwierzyny przysposobić. Na kuropatwy poszliśmy z jastrzębiem i bez strzału dwadzieścia par złowili. Wtedy Niedźwiednik rzekł do mnie: „No, mój Tadeuszku, trzeba coś grubszego panu ojcu zawieść; pojutrze jego imieniny. Jutro ze świtem złapiemy dzika żywego i tak zdrowego zawieziem, jak te kuropatwy“. Serce biło mi z radości, jeszcze bowiem nie widziałem, jak to można wziąć żywego dzika w kniei. Mało co spałem; przed świtem byłem już na nogach, ubrany. Niedźwiednik wziął cztéry kundle, zarzucił strzelbę i wyostrzone przywiązał żelazo obosieczne. Słońce jeno poczęło wschodzić, kiedy już byłem na stanowisku. Za małą chwilę usłyszałem szczekanie psów głośne, a prędko potém słychać było jeno ciche warczenie. Poskoczyłem; patrzę — i widzę, jak na małéj łące kundle przytrzymały ogromnego dzika: dwa trzymały za uszy, a dwa za tylne racice. Usłyszałem trzask gałęzi i wnet pokazał się Niedźwiednik. Leciał prędko; widać, że pędził za psami, w ręku mu błyszczało ostre żelazo. W pełnym biegu siadł na grzbiet dzika i sznurem

surowcowym, co go miał za pasem, skrępował ryj jego, wybił kły żelazem i przebiwszy niém przednie pod kolanami racice, poza żyły tenże sznur przeciągnął i silnie związał. A ów dzik ogromny, postrach psów i myśliwych, bezsilnie padł. Wtedy stanąwszy nad nim, rzekł do mnie: „Tadeuszku, przy trzech brzozach stoi fura, sprowadźże ją tutaj, ruszamy do dworu pana ojca z podarkiem myśliwskim". Siedząc na dziku uradowani, z pełną furą zwierzyny, żwawo popędziliśmy konie i stanęliśmy przed wieczorem. Ja ojcu ofiarowałem kuropatwy, dropia, sarnę i kilka zajęcy, a Niedźwiednik, przywiązawszy na długim sznurze dzika u lipy, co stała na środku obszernego podwórza, wszedł do komnaty, powinszował i prosił, aby wyszedł zobaczyć podarek starego łowca. Już wiele było gości. Wszyscy zdjęci ciekawością wybiegli. Jaki był ich podziw, gdy ujrzeli żywego dzika, co obchodził wokoło lipę! Ojciec mój rozradowany wypił zdrowie dzielnego myśliwca z ogromnego puhara i sąsiedzi z radością powtórzyli to wszyscy. Wnet wyniesiono strzelb kilka. Zaczęli strzelać podochoceni goście, a gdy dzika powalili na ziemię, trąbki myśliwych ogłosiły koniec téj uciechy. Wtedy sąsiedzi porwali Niedźwiednika na ręce i nosili po całém podwórzu, spiewając ową sławną myśliwską piosenkę: Siedzi zając pod miedzą, Myśliwi o nim nie wiedzą.... Stary strzelec płakał z radości. Przy wieczerzy posadzono go na najstarszém miejscu, a choć nie pijał nigdy, wtedy rozochocił go węgrzyn.

We dwa miesiące już płakałem nad jego grobem. Jak żył, tak i skończył: nie umarł śmiercią zwyczajną. Polowano na niedźwiedzicę, co wiele robiła w okolicy szkody. Już wybrał się Niedźwiednik ze swoim, jak nazywał, kijem; kij ten czternaście już zgładził niedźwiedzi. Kiedy poruszona z legowiska, wypadła rozżarta, wtedy wysunął się z za drzewa i ugodził ostrym dzirytem, ale ten się zsunął po kości; już nie miał czasu poprawić ciosu. Pochwyciła go w silne łapy. Blisko stojąc, usłyszałem jęk cichy i chrzęst łamanych kości. Zemściłem się, bo z mojéj strzelby poległa odrazu, ale mój wybawca leżał bez duszy, cały krwią zlany.

Tak skończył stary myśliwiec, jakiego już więcéj oczy moje nie zobaczą. Opłakiwałem go ciężko, a świętéj pamięci ojciec mój wystawił piękny dlań nagrobek z kamienia w tém miejscu, gdzie życie skończył, i na nim dał wyryć, jak upadł przed zajadłym niedźwiedziem.

Kazim. Wład. Wojcicki.

---

5. Cudowne ocalenie.

Na całą noc wyruszyliśmy z Kamieńca Podolskiego, chcąc się przypatrzeć temu, jak kra idzie na Dniestrze, bo dano nam znać, że lada chwila kra ruszy. Noc była ciepła. Z wieczora spuścił się ciepły deszczyk, zapowiadający już wiosnę. Bardzo nagle tajało i droga była z każdą chwilą gorsza; we wsiach garnęły już osie rozkal wiosenną. Było to po twardéj, ciężkiéj i długotrwałéj zimie, a choć jar dniestrowy jest cieplejszy od całego Podola, trzymał się jeszcze lód na Dniestrze, lubo się już wody na lód dostawały. Niewielka to przestrzeń z Podolskiego Kamieńca do Dniestru, a jednak jechaliśmy noc całą, i gdyśmy rankiem do dworu nad brzegiem Dniestru przybyli, zaturbował się niemało gospodarz, jak nas do Dniestru dostawi, bo rozkal już była tak wielką, iż niewiedzieć było, jak i czém wyruszyć ze dworu. Wierzchowe konie zapadały po kolana w błoto, wózki i bryczki garnęły błoto po wsiach. Zaprzężono tedy woły do wielkich sań i wlokąc się przez godzinę wpoprzek zagonów, gdzie jeszcze zamróż trzymała, dobiliśmy się wkońcu do Dniestru, który od dworu niedaleko wprawdzie płynął, lecz przedzielony był wzgórkami od niego.

Osobliwy widok uderzył nas, gdyśmy z góry w dolinę Dniestru spojrzeli! Nagłą ścianą skalistą spadał tu brzeg aż do głębi jaru, a cała powierzchnia Dniestru była wysoko najeżona odłamami szaréj kry. Dwie znaczniejsze skały tych lodów wznosiły się tuż ponad nami, poniżéj była już powierzchnia wody z kry oczyszczona, powyżéj zaś cała krą pokryta, jak daleko oko sięgło. Nasuwały się coraz nowe całuny kry, i zdawało się, że lada chwila podniesie się woda i zaleje jar cały, bo kry posuwały się natarczywie, wydając to jakiś gwizd przykry, gdy uderzały jedne o drugie, to jakiś huk głuchy, ale silniejszy od grzmotu dział, którym echo dawało rozgłos po skałach... Był to jakiś dziki i straszny widok zniszczenia i walki żywiołów! Z odłamów kry spadała woda w szumiących potokach, a zator kry, który się utworzył na podwójnéj grobli, sterczał potężnie i groźnie, sam do skały podobien, okrytéj górskimi potokami. Nie można się było obronić od pewnego rodzaju przerażenia, chociaż na bezpiecznym lądzie nic nam nie groziło; ale to przerażenie wzrosło, gdyśmy się rozpatrzyli po dnie jaru.

Nad samym Dniestrem leżała zagroda, a całe obejście było już krami zasute. Z pomiędzy olbrzymich płyt lodu sterczała

tylko jedna strona tego dworku, którego już nie było widać z pod kry. Gospodarz załamał ręce! — Co się z biednym weteranem moim stało?! rzekł, zadumawszy się sam do siebie, i patrzał nieruchomo w groźną przepaść jaru. Po chwili odszukał ktoś inny tuż pod nami na skale kilka postaci, które się zrazu zaledwie ruszać zdały, ale gdyśmy parę wystrzałów dali, odhukał głos męski na wołanie nasze i teraz dopiero, odszedłszy nieco z miejsca, mogliśmy się z boku dokładnie przypatrzeć tym postaciom. — O sto sążni może niżéj od nas stał na łomie skały, do którego już kra przypierała, jakiś człowiek i trzymał krowę za rogi; obok niego siedziała niewiasta z dziecięciem na ręku i tuliło się troje owiec wraz z psem domowym. Miejsce na łomie skały było tak małe, że się to wszystko razem ledwie ruszyć mogło; skałę do koła otaczała kra, a nad nią wznosiła się pionowa ściana tak przykro, że się trudno było zbliżyć do brzegu téj przepaści. — Jak tu ratować tych ludzi? rzekł zakłopotany gospodarz. Gdyby nawet powiązane drabiny, co mam we dworze, wystarczyły, to jak je tu przywieść i o co je oprzéć? Samą drabiną możemy pozabijać ludzi, bo to się widzi blisko, a jest najmniéj do stu sążni: więc ruszać mi i przywieść ze wsi wszystkie łyczaki i liny, bo lada chwila może się podnieść ten zator kry i zmiele tych ludzi. Każdy, ilu nas było, przemyśliwał nad sposobem ratunku; i już od téj chwili nie było dla nas widoku kry, lecz tylko niebezpieczeństwo, które biednym istotom na téj skale groziło, wprawiało wszystkich w coraz większy niepokój. Gospodarz, przewidując, że z wycieczki nie tak prędko powrócimy, nabrał z sobą prowiantu. Radzi bylibyśmy się podzielić tym posiłkiem z tymi, co tam pewno pod skałą łaknęli, ale jakże to podać? Kilka lekkich rzuconych przedmiotów, jak gałki z siana i słomy, nie trafiły nigdy na skałę, lecz odbiwszy się od pionowéj ściany, padały na kry.

Słońce już było podbiegło wysoko, gdy nareszcie ze wsi przystawiono zwoje łyczaków i lin, pęki postronków i kilka lżejszych drabin. Człowiek na skale był to właściciel dworku, okrytego krami — weteran, który po wielkich wojnach francuskich przybył ze starościcem Opinogórskim, bo był z tych stron rodem, i osiadł w zagrodzie, na któréj jeszcze zastał matkę. Wszyscy w okolicy poważali go, więc zaturbowanie było niemałe, gdy w owym człowieku pod skałą poznano weterana, którego dworek kry były już zasuły. Hukanie dochodziło od nas do skały i od skały do nas, ale ani rozmówić, ani zrozumieć

się nie można było, bo huk kry i wody przygłuszał nawet wystrzały. Spuszczono tedy najpierw powróz z kartką papieru i ołówkiem, owiniętych gałką siana. Godzinę może trwało, zanim odgadnąć można było długość sznura i naprowadzić go w prostym kierunku na skałę, choć się to zrazu tak łatwą rzeczą wydało, bo wiatr sznur odnosił, to zaczepiał się na skale, to na krzakach i drzewach! — Jak was ratować? — zapytał gospodarz; a gdyśmy napowrót sznur wyciągnęli, stała na nim taka odpowiedź: „Dobę już tak stoimy tu — kry się podnoszą — nie ma ratunku; jeżeli zginiem, krzyż tu postawić".

Rozpacz ogarnęła nas wszystkich — spuściliśmy grubsze liny i łyczaki po ścianie, a uwiązany u dołu wielki kosz, w którym była żywność, spuścił się szczęśliwie tuż obok skały tak, że weteran mógł jeszcze ręką sięgnąć do kosza. Wyjął tedy żywność z niego i rozumieliśmy, że włoży do kosza dzieci; ale on ostrożniejszy od nas, włożył jednę owcę do niego. Z ostrożnością największą ciągnęliśmy kosz w górę; uderzał o skałę, kołysał się jak wahadło w powietrzu. Gdyśmy kosz wystawili na brzeg, nie żyła już owca z uderzeń o skałę. Uderzenia te wydały nam się nieznacznymi, a były tak silne, że pokrwawiły owcę, która się niespokojnie rzucała i z kosza wychylała głowę. Nie było tedy ratunku — i zrozumieliśmy to, że weteran ani żony, ani dziecka, ani siebie w tym koszu ratować nie zechce. Spuściliśmy tedy kosz napowrót, ażeby w ostatnim razie trzymać go na linach w powietrzu powyżéj skały, gdyby się kra podniosła, lubośmy bardzo wątpili, czy się to na co przyda.

Słońce tymczasem stało na południu i przygrzewało tak mocno, że wkoło nas coraz większe szumiały potoki. Po godzinie może poczęły się dymić kry i mgła waliła się bałwanami wzdłuż jaru i w mgnieniu oka prawie i dolinę i cały widok kry spartéj i skały po obydwu brzegach i nieszczęśliwych na skale zakryła oczom naszym... Strasznie tylko huczały i szumiały wody pod tą powodzią mgły gęstéj, a echo roznosiło huk pękających lodów i chrzęst trącéj się kry. Zwątpieni osiedliśmy ognisko, czekając, jak się to rozwiąże. Około czwartéj z południa ozwał się huk grzmotu tak silny, jakgdyby z całych bateryi dawano salwy. Mgła się poczęła bałwanić niespokojnie, widocznie podrywana spodem prądem zimnego powietrza i poczęła ustępować z góry naprzód, skąd kry niosło — a gdy cały znowu odsłonił się jar, zniosły były wody już krę. Lodowe góry opadły

i Dniestr tylko bałwanił się wielkimi falami, które płyty lodu druzgotały. — Spojrzeliśmy na skałę, licząc niespokojnie, czy czego nie braknie. Krowy nie było — a weteran siedział obok żony, która na skale leżała. Wąwóz skalisty, który prowadził do zagrody weterana od wioski, na wysokiém brzegowisku leżącéj, był im już teraz przystępnym, lubo jeszcze cały zawalony krami. Wziąwszy tedy więcéj ludzi ze wsi, udaliśmy się tym wąwozem, skacząc z kry na krę wzdłuż dniestrowego brzegu, by ponieść ratunek weteranowi, który się ze skały dotąd ani ruszył.

W opłakanym znaleźliśmy ich stanie. Uchodząc przed nagłém najściem kry z domu, byli lekko ubrani i prawie więcéj doby bez żywności, pomiędzy owcami leżało dziecię, które ocalenie swoje ich ciepłu tylko zawdzięczało. Śmiertelna bladość okrywała twarz weterana, który się dopiero podniósł, gdyśmy się już na skałę wspinali. Wyczerpanie sił tak moralnych jak fizycznych było znaczne, bo straszne rzeczy przeszedł od doby, drżąc o życie dziecka i żony, która bez sił, w omdleniu prawie leżała na skale. Na noszach, wyścielonych kocami, zabraliśmy chorą z dzieckiem. Weteran, posiliwszy się nieco, utykał z naszą pomocą po krach, wesoło tylko biegło owiec dwoje obok domowego psa, który, uszczęśliwiony ratunkiem swych państwa, z radością oszczekiwał wszystkich i, bieżąc przodem, prowadził.

Mozolny to był pochód; co chwila ważyły lub łamały się kry pod nami, którymi był pokryty brzeg Dniestru, i dobrze było już ciemno, gdyśmy się w skalistym wąwozie do pierwszéj dobili chaty. Tu zastaliśmy już pościel i żywność, którą ze dworu naprzeciw nas wysłano, domyślając się, że znękani nieszczęśliwi będą potrzebowali prędkiego spoczynku po takich trwogach i takiém wyczerpaniu sił. Nocowaliśmy razem z nimi w téj chacie, świecąc przez całą noc. Dziecię było zdrowe, i gdy je pokarmiono, spało najszczęśliwiéj; ale matka usypiała tylko na chwilę od znużenia gorączkowym snem, i zrywała się co chwila z trwogą, bo się na nią kry nasuwały we śnie. Weteran był w kożuchu ubrany, gdy się na skałę schronili, ale zdjął kożuch i ubrał w niego żonę, któraby była przez ciąg doby od zimna skostniała. Przeziąbł tedy mocno i rozgrzewał się przez noc gorącym krupnikiem przy ognisku, paląc lulkę, za którą bardzo zatęsknił. Gdy się mgła do jaru spuściła i zakryła go oczom naszym, w téjżesaméj chwili podniosły się kry tak wysoko, że najbliższa uderzając o skałę, zmiotła z niéj krowę. To uderzenie krowy zwaliło go z nóg, bo trzymał krowę za rogi, poczém

słyszał huk straszny pod sobą i nad sobą — a kiedy z odurzenia przyszedł do siebie, nie było już mgły ani kry na wodzie. Tu dopiero, widząc, że jest uratowanym, opadł ze sił, i dopiero nasze wołania ocuciły go na nowo.

Powieść o tym osobliwym wypadku rozeszła się po okolicy, i gdy drogi stężały, odwiedzali wszyscy weterana w jego zagrodzie, obdarzając i ciesząc się z nim razem, iż cudem prawie ocalał. Gdyśmy go już w zagrodzie jego odwiedzili, była pierwsza wiosna w pełni; wiosennymi kwiatami okrywały się ścianki dniestrowe, derenie stały w pełnym kwiecie. Gospodarza nie zastaliśmy już w domu. — Gdzież mąż? — Stawia krzyż na skale na pamiątkę cudownego ocalenia rodziny. Udaliśmy się do niego. Stary wachmistrz odłożył topór, widząc, że się ku niemu zbliżamy, i powrócił z nami do gościnnéj chaty, którąśmy poraz pierwszy ujrzeli byli przywaloną krami, a w któréj dziś wesołość zagościła z dostatkiem.

Wincenty Pol.

---

6. Kolęda.

Żaden dzień nie jest tak powszechnie pożądany i oczekiwany, jak dzień Nowego Roku; o żadnym tyle nie mówią, na żaden tyle przygotowań nie robią. Każdy za nim wzdycha, każdy od niego datuje rozpoczęcie różnych zamysłów i projektów; zgoła wszyscy na ten dzień się cieszą. Starzy mają nadzieję, że lepiéj będzie w tym roku, niż w przeszłym; młodzież się raduje, gdyż z Nowym Rokiem zaczną się zapusty; a dzieci skaczą z ukontentowania, bo myślą sobie, iż może jaką kolędę dostaną.

Ludwik, syn majętnych rodziców, blisko Kurowa osiadłych, oddawna wyglądał Nowego Roku. Był jedynakiem, dostawał często podarunki od ojca i matki, a kolędę zawsze miewał sutą. Od niejakiego czasu uwijało mu się po głowie, że dostanie konika, a oddawna nie pragnął niczego tak gorąco. Wiedział dobrze, iż jeden mieszczanin z Kurowa miał ślicznego na zbyciu; był gniady, mały, składny, z odmianą na czole. Ile razy widział go Ludwik, tyle razy wzdychał i objawiał życzenie, żeby kiedyś mógł być jego własnością; nawet nie taił się z tém przed rodzicami. Kiedy dzisiaj szedł do nich, ażeby im powinszować, ciągle myślał o koniku. Wszedłszy uściskał ojca i matkę i powinszował im serdecznie: nie wierszem, nie na piśmie, ale słowem, jakie mu serce podało. Otrzymał od obojga pochwałę

przeszłorocznego postępowania i zachęcenie, ażeby ciągle równie dobrze się sprawował i jednakową im był pociechą. Napełniły się łzami oczy Ludwika i tak mu było miłe rodziców ukontentowanie, że i o koniku zapomniał. Przypomniała mu go matka; odsłoniła chustkę białą, leżącą na stole, i Ludwik zobaczył prześliczne siodełko, uzdeczkę warszawskiéj roboty i niebieski czaprak. Krzyknął z zadziwienia, rzucił się na szyję matce, a gdy usłyszał te słowa ojca: „Dziś jeszcze będziesz miał konika“, zaczął skakać z radości i całować rodziców. Pobiegł do swego nauczyciela i wołał do niego zdaleka: „Będę miał konika, będę miał konika!“ Kogo tylko spotkał, każdemu z ukontentowaniem powtarzał: „Będę miał konika!“

Zjadł jak najprędzéj śniadanie, wrócił do pokoju rodziców, żeby im jeszcze raz podziękować, wypytać się o konika i przypatrzeć się darom matki. Wysunął stołek na środek pokoju, okrył go czaprakiem, położył na wierzchu siodło, założył uzdeczkę za poręcz, włożył kapelusz na głowę, wziął cugle w rękę, a klaskając ustami, skakał na stołku i wystawiał sobie, że na koniku jedzie. Przerwano mu wkrótce tę zabawę. We wsi, gdzie mieszkali rodzice Ludwika, nie było kościoła, musieli jeździć na nabożeństwo do Kurowa. Chłopczyna z radością wsiadł do sanek, bo mu matka powiedziała, że zaraz prosto z kościoła pójdzie ojciec do mieszczanina i kupi konika.

Mróz był tęgi, ale niebo pogodne i czyste. Wszystkie domy, drzewa, stawy, okryte były białą powłoką, a śnieg, odbijając promienie słoneczne, lśknił się tysiącznymi kolorami. Chociaż sanki Ludwika sunęły prędko po ujeżdżonéj drodze, podróż zdawała mu się tak długą, że kilka razy chciał wysiąść, przekonany, że prędzéj piechotą dobieży.

Zajechali nareszcie przed kościół w chwili, kiedy wielka msza wychodziła. Strapił się cokolwiek Ludwik, gdy przed Ofiarowaniem przerwał kapłan nabożeństwo, a drugi ksiądz ukazał się na ambonie. Byłby chciał jak najrychléj konika mieć w ręku; kazanie spóźniło jego szczęście. Ale Ludwik, skoro tylko chciał szczerze, umiał pokonać samego siebie, wiedział dobrze, z jakiém uszanowaniem trzeba się zachować w kościele, słuchał więc pilnie nauki, zajął się nią zupełnie i najmniejsze słówko nie uszło jego uwagi.

Kapłan, nauczający lud zebrany, byłto ów znany kurowski pleban, powszechnie wielbiony Grzegorz Piramowicz. Światły, uczony, cnotliwy, godzien był służyć Bogu, którego w prawém

nosił sercu, godzien był tłómaczyć święte Jego przepisy. Zwiedzał pańskie pałace, szperał w księgach, kreślił gładkiém piórem piękne myśli swoje, uczęszczał do lepianek kmiotków; lubiany był od wielkich, szacowany od uczonych, ubóstwiany od nieszczęśliwych! Nie piastując nigdy wysokich urzędów, pozyskał wielkie znaczenie: imię jego zostało zapisane w rzędzie cnotliwych i uczonych mężów.

Właśnie w zeszłym roku wśród żniw okropny pożar do największego ubóstwa przywiódł niemal wszystkich mieszkańców Kurowa; przeszło tysiąc ludzi w dwóch godzinach zostało bez dachu, bez pożywienia. Piramowicz, czuły na nieszczęście ludu, którego był pasterzem, ujmował sobie, żeby wesprzeć owieczki swoje; ale wydatki były ogromne i połowa pogorzelców bez własnego mieszkania srogą zimę przepędzać musiała. Korzystając z licznego zgromadzenia ludu w dzień Nowego Roku, pleban kurowski miał naukę o prawdziwym sposobie czynienia dobrze. Mowa jego, tak czysta, słodka i prosta, jak dusza, rozrzewniła przytomnych i niechybnie trafiła do serca. „Wiem, że biedni jesteście“, rzekł, obracając się do wieśniaków, przybyłych z okolic, „ale przecież żaden z was nie jest biedniejszym od wdowy z ewangelii, a ona ostatni szeląg na ubogich oddała. Każdy z was może dać jakąś pomoc nieszczęśliwym pogorzelcom; a wierzcie mi, dziateczki moje, jeden grosz ubogiego, na wsparcie brata dany, więcéj ma ceny w oczach Boga, niż kupy złota, ręką bogaczy sypane. Jałmużny nasze, im więcéj ofiar kosztują, tém więcéj mają wartości. Łatwo udzielać drugim, kiedy sami we wszystko obfitujemy, ale pozbawić się żądanéj, miłéj i potrzebnéj rzeczy, ażeby łzy otrzéć nędzy, to prawdziwa zasługa, to prawdziwa jałmużna.“

Ludwikowi serce mocno bić zaczęło na te ostatnie słowa cnotliwego plebana; nie mógł rozpoznać myśli swoich; cisnęły się tłumem do głowy jego; dziwnego doznawał wzruszenia. Skończyło się nabożeństwo, wyszli z kościoła, a on jeszcze przyjść do siebie nie mógł. „Wiesz, Ludwiku“, rzekł mu ojciec, wsiadając do sanek, „żal mi ciebie, nie będziesz miał dzisiaj konika. Posyłałem służącego; powiedział mi, że mieszczanin pojechał w sąsiedztwo i nie wróci aż w wieczór. Ale, jeśli chcesz, możesz tu jutro rano do niego z nauczycielem przyjechać.“ Odetchnął Ludwik na te słowa ojca i z wielkiém zdziwieniem rodziców, prawie z radością wsiadł do sanek. Jadąc przez miasteczko, spostrzegł z jednéj strony nowo postawione domy, a z drugiéj

kominy, gruzy, okopcone belki, ślady okropnego pożaru. Patrzał się na nie długo ze smutkiem i przez całą drogę mocno był zamyślony.

Nazajutrz wstał, skoro świtać zaczęło. Wziął ciepły płaszcz swój, czapkę z sobolami i wyjechał z nauczycielem do Kurowa. Kiedy już wjechali do miasta, woźnica chciał na bok zwrócić i udać się, jak miał rozkaz, do domu mieszczanina. Wstrzymał go Ludwik, a wziąwszy nauczyciela za rękę, prosił, żeby do plebanii jechać kazał. Nauczyciel zapytał, jakaby téj odmiany była przyczyna? Ludwik odpowiedział drżącym i nieśmiałym głosem, że już mu się zupełnie odechciało konika i że pieniądze, przeznaczone od ojca na to kupno, chciał dać, jeśliby to można zrobić, ks. Piramowiczowi dla biednych pogorzelców. Uściskał chłopczynę rozrzewniony nauczyciel, zapewnił go, iż ojciec gniewać się o to nie będzie, i zajechali przed plebanią.

Zastali szanownego kapłana, otoczonego starcami, kobietami, dziećmi i słabymi. Ten przyszedł do niego po wsparcie, ta po radę, ci po naukę, tamci po lekarstwo; wszyscy żądali pomocy. Zobaczywszy przybyłych gości, przywitał ich uprzejmie i prosił, żeby poszli na chwilę do drugiego pokoju. Nie mieli czasu zastanowić się nad nieustanną czynnością serca i umysłu cnotliwego i światłego plebana, gdyż wkrótce nadszedł i zapytał, coby ich tak rano do niego sprowadziło? Ludwik spuszczone miał oczy i nie śmiał nic mówić. Nauczyciel jego imieniem ofiarował pieniądze.

Rozrzewniło plebana dobre serce Ludwika. „Synu mój, rzekł mu, szczęśliwy jesteś, że w tak młodym wieku możesz i umiesz być dobroczynnym. Nie zawstydzisz społeczeństwa. Kraj nasz liczy wielu dobroczynnych ludzi; bierz ciągle z nich przykład, wstępuj w ich ślady, wspieraj cierpiącą ludzkość; jéj głos nie odbijał się nigdy naprożno o ucho poczciwego! Zaledwiem przemówił o potrzebie parafian moich, zaczęły mnie dochodzić nawet znaczne ofiary pieniężne. Na wiosnę, da Bóg doczekać, rozpocznie się robota. Kiedy przejeżdżać będziesz koło świeżo wystawionych domostw, kiedy ujrzysz radość mieszkańców, usłyszysz ich błogosławieństwa, pomyśl sobie: I jam się do tego przyłożył — i mnie oni błogosławią.“

Tu Ludwik nie mógł wytrzymać i zawołał ze łzami: „Już mi nic nie żal konika!“ — „Jakiego konika?“ zapytał ks. Piramowicz. Ludwik się zmieszał, zapłonił, nie mógł nic odpowiedzieć. Widząc to nauczyciel, opowiedział, jaką po wczorajszém kazaniu

uczeń jego umyślił uczynić ofiarę. Jeszcze czuléj uściskał go szanowny pleban. „Zrozumiałeś zupełnie, rzekł, moję naukę. Jałmużna twoja jest prawdziwa, boś się dla niéj miłego pozbawił daru. Majętnym jesteś, zatém i twój datek znaczny; ale wierz mi, gdybyś, w uboższym stanie zrodzony, dostał był od rodziców fraszkę, parę złotych wartującą, i przyniósł mi ją z takiém sercem w ofierze, z równą byłbym ją przyjął rozkoszą, równieby ona miłą była Bogu.“

Ucałowawszy rękę plebana, odjechał Ludwik uradowany. Wracając, już z mniejszym spoglądał smutkiem na opalone kominy i okopcone belki, bo już w dziecinnéj a żywéj wyobraźni swojéj widział, jak na ich miejscu nowe powstają budowy. Przybywszy do domu, zaraz pobiegł do matki. Wyglądała go już dawno oknem i szła zdziwiona naprzeciw niego, pytając, dlaczego nie przyprowadził ze sobą konika. „Już nie będę miał konika, rzekł jéj Ludwik, tuląc się na jéj łono, alem wspomógł biednych pogorzelców!“ Wzruszenie nie dozwoliło mu więcéj mówić i raz jeszcze wyręczyć go musiał nauczyciel. Przycisnęła syna do serca uszczęśliwiona matka; nadszedł w téj chwili ojciec i pochwalił syna za to, co uczynił.

Od tego czasu często Ludwik odwiedzał szanownego ks. Piramowicza, uczył się od niego cnót wszelkich; a kiedy śmierć wydarła tego męża krajowi, przyjaciołom, uczonym, parafianom i nieszczęśliwym, wraz z całym ludem rzewnie płakał nad jego grobem.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

---

7. Wiązanka konwalij.

— Brodziński wyjeżdża jutro do Drezna; cierpiący i smutny, chciałby pożegnać swoich przyjaciół i przyjaciółki swoje! Zbieramy się w domu pani L.

To hasło podano sobie jednego dnia na wiosnę r. 1835. Hasło obleciało przyjaciół i przyjaciółki, i żałośnie obiło się o serca dalszych znajomych i wielbicieli poety. I ledwo wieczór się zaczął, już kilkanaście kobiet i kilku męszczyzn napełniło pokój bawialny. Nie zgiełkliwa, ale cicha, szeptana rozmowa toczyła się między zebranymi gośćmi, jakby miejsce to uszanować chciano wprzód, nim się zjawił przedmiot powszechnego szacunku i czci. A rozmowa ta — gdybyś ją był podsłuchał —

nie sadziła się ani w dowcipy, ani w szumne deklamacye, ani w dobór słów: serca tam rozmawiały, serca kobiet, które umieją wszystko zgadywać i dostrzegać najskrytszy ból, aby go ukoić.

Przysuńmy się do téj kanapki w samym kąciku — tam rozmawiają dwie siostry. W oczach ich widać smętną radość, uśmiech ze łzą pomieszany. Założyłbym się, że roją jakiś czyn szlachetny; czyjaś smutna dola ściska im serce, a one — anioły pocieszenia, radeby przychylić cierpiącemu całe niebo, okupione własną ofiarą.

— Praca, to jego fundusz na utrzymanie życia, mówiła jedna z sióstr; — a przy starganém zdrowiu, czyż może pracować? Wreszcie grosz, jaki ma, pochłoną zagraniczni lekarze... Czy wiesz, Natalio, jaka mi myśl przychodzi?

— Droga Teresiu! tasama myśl i mnie trapi. Cóż pocznie jego żona i to dziecię? Jeszcze — broń Boże! — jakiego nieszczęścia!

— Tego się téż najmocniéj obawiam, a prawie przeczuwam, że to nastąpi... Uważałaś, jak zmieniony? te oczy zapadłe a świecące, ten nienaturalny rumieniec... Spojrzyj w tę smętną twarz, a wyczytasz, że wewnątrz trawią go nietylko troski powszednie, ale inne głębsze, które nas wszystkich obchodzą. Na te ostatnie nie ma lekarstwa, ale tamtych czyżbyśmy osłodzić nie mogły?

— Wydzierasz mi tajemnicę moję... Jego żona, póki zdrowy z zagranicy nie wróci, niech będzie siostrą naszą...

— A jego Karolinka dzieckiem naszém — przydała druga siostra.

I kiedy miały rozwijać plan dobroczynny, wynaleść środki delikatne niewidoméj opieki — szmer wszczął się w przedpokoju; gospodyni i z nią całe grono powstało na przyjęcie świeżo przybyłych gości.

Był to właśnie Brodziński z żoną i dzieckiem. Postać jego szczupła, schylona, cera blada, głos słaby, przerywany suchym kaszlem, i ta dziwna jakaś tęsknota i słodycz w wejrzeniu, przejęły serca obecnych mimowolném przeczuciem, że to już może ostatni wieczór, który przepędzi na ziemi ojczystéj wśród swoich.

Kobiety natychmiast otoczyły spiewaka Wiesława, a posadziwszy między sobą, usiłowały to żarcikami, to przymileniami rozpędzić tę chwilę smutku i tajemnych przeczuć, którymi jakby mgłą jaką osłoniła się cała jego postać. Odgadując wewnętrzny stan duszy Brodzińskiego ze słów, które wyrzekł: „Przychodzę

pożegnać się, bodajby nie na zawsze!“ nie szczędziły słodkiéj pociechy.

— Jeszcze pan wszystkich nas przetrzyma — mówiła jedna.

— Osoby wątłéj budowy ciała najdłużéj żyją — wtrąciła druga.

— Pewna jestem, że na jesień powrócisz zdrowy i wesoły — zapraszam pana na wieś: mąż mój lubi polowanie, sąsiedztwo mamy wyborne; wiejskie powietrze rozprószy smutki...

— Pani!... odezwał się Brodziński żałośnie, wstrząsając głową — gdybym wiedział, że smutki moje z wiatrami ulecą, dawnobym je wiatrom powierzył; ale one, jak pijawki, wiszą przy sercu i piją krew moję — aż ją wypiją...

— Takie myśli są zwykle skutkiem nadwątlonego zdrowia — rzekła gospodyni; — zdrowie wróci, smutki ulecą...

— Czemuż nie ulatywały, kiedy byłem rzeźki i młody? — zawołał z westchnieniem. O gdybyście znały bieg mojego żywota! Czy uwierzycie? od saméj prawie kolebki nic mi się nie uśmiechało... bo to, co mogło mi dać szczęście, wesele, swobodę, miłość życia, to mię odbiegło w chwili, gdym pierwsze kroki stawiał po ziemi... W piątym roku odumarła mię matka; jeszcze ją dziś pamiętam złożoną w trumnie, jeszcze dziś brzmi w uszach moich przepowiednia księdza: — „Będzie cię biła macocha!“ I macocha biła i odpychała od siebie... a jam tulił się do chłopków, szukając tam uczucia... Ale darmo! i wiejska prostota, i poczciwość wieśniacza matki nie zastąpi. W snach tylko o niéj znachodziłem urojone szczęście. Jeden z takich snów, jaki miałem w dzieciństwie, dotąd tkwi w méj w pamięci. Byłem w wielkim kościele, gdzie ona na chórze, w ubiorze, w jakim była złożona w trumnie, wśród tłumu podobnych jéj bladych niewiast, mnie ręką do siebie wzywała. Wnet znalazłem się na chórze, a uściski jéj dziwną mnie upoiły rozkoszą, gdy nagle ogromny głos od ołtarza: Requiescat in pace, który długo brzmiał w moich uszach, sen mój zakończył. Odtąd widuję mglistą jéj postać, osobliwie, gdy jaki smutek dojmuje: — białą ręką wabi mię — rzucam się w jéj objęcie, łzy puszczają się z oczu — a gdy się zbudzę, o prawdzie łez świadczy zwilżona poduszka... Nie wiem, czy kto, choćby najtkliwszéj miłości macierzyńskiéj doznawał, mocniéj czuł nademnie, co jest matka. Wiele téż samotnych, nikomu nieznanych łez mię kosztowało, gdym widział dziecię od matki pocałowane. Pragnąłem zawsze i mniemałem w sercu, że zasługuję na miłość u kogoś, ale do

późnych lat żadnéj nie doświadczyłem. Nie mieć matki, która jedynie wychowanie serca dać może, nie mieć istoty, przed którąby się można szczerze ze wszystkimi dziecinnymi fraszkami, z owymi pierwszymi uczuciami wywnętrzyć — jedno jest, co być skazanym na ciągłą mękę, na tęsknotę trawiącą, któréj niczém nie mogłem rozpędzić, ani gdym w natchnieniach poetycznych szukał ochłody i czaru, ani gdym w zawód wojskowy wstąpił; po morderczych dniach Smoleńska, Możajska, przypadłszy snem do skrwawionéj ziemi, jeszczem śnił o matce i widział tę białą rękę wabiącą mię, i tę pierś, przy któréj mogłem się wypłakać.

Na ten tak prosty a rzewny obraz cierpień poety nie śmiał nikt, nawet z najprzychylniejszych mu osób, odezwać się ze słowem pociechy; kobiety, z których niejedna była matką, pospuszczały głowy, lub zakrywając oczy chustkami, ocierały łzę wyciśniętą opowiadaniem. Ale Brodziński, spojrzawszy po otaczającém go gronie, a widząc, jakie wzruszenie sprawił mimowolnie, uśmiechnął się, z tęsknego głosu przeszedł w żywy, weselszy, niby lżejszy ton i biorąc rękę żony, a dziecko tuląc do piersi, tak mówił:

— Darujcie mi, drogie przyjaciółki, ten wyskok poetyczno-sentymentalny; łajcie mię za to popisywanie się uczuciami, boleściami, tęsknotą, melancholią, jakby którego z tych nieuznanych bajrońskich młodzieńców, co to koniecznie pragną, aby cały świat rozczulał się nad nimi. Wierzcie mi, tylko egoizm wieku przeze mnie tak gada. Możecie mi nawet zaraz fałsz zadać, bo kto ma taką poczciwą i kochającą żonę, kto dziecię, potrzebujące całéj pieczy ojcowskiéj, kto tylu dobrych i zacnych przyjaciół, ten nie powinien użalać się na brak miłości, i jeżeli matkę stracił, otoczył go wieniec nowych, najsłodszych obowiązków ojca, męża, przyjaciela. Był to tylko napad chwilowy, nawyknienie z dawnych lat sieroctwa, nieprzystojne dla tego, co powinien mieć charakter i energią męża. Otóż na przekór muszę żyć, muszę być zdrów, dla żony, dla Karolinki mojéj i dla was, drodzy przyjaciele...

— I dla ziomków — przerwała jedna z kobiet z żywością; — tyś dla nich gwiazdą, przewodnikiem. Twoja myśl, twoje słowo, to nasze rodzinne skarby. Tyś zaczął prowadzić młode plemię ku głębszym pojęciom, tyś mu otworzył świeże źródła poezyi w piosnce wieśniaczéj, tyś wykrył, że duch nasz wzrośnie nie w swawoli, nie w rozpuście, nie w pogardzie religii i obyczaju, ale w gorącéj prostéj pobożności, w surowych cnotach, w zami-

łowaniu tego, co piękne i wzniosłe. O zacny przyjacielu, nie poddawaj się smutkom, ani zwątpieniu! Wszystkie, jak tu jesteśmy, gorąco będziemy się modliły za zdrowie twoje i szczęśliwy powrót do Warszawy, a zobaczysz, że Pan Bóg próśb matek wysłucha...

— Wysłucha! wysłucha!. mówił Brodziński z najżywszém wzruszeniem, ściskając ręce, które mu całe grono podało. Do zobaczenia! do szczęśliwego zobaczenia! na jesień w tymsamym pokoju...

— Czekamy pana! czekamy — każda z nas, bądź pewien, stawi się na termin. Będzie to uroczystość familijna.

— Nie uwierzycie, jak mi trudno rozłączać się z wami. Prawdę tego wierszyka, napisanego przeze mnie niegdyś, dawno, czuję dopiero teraz:

Każde smutne
Przeznaczenie
Nasze na świecie;
Najsmutniejsze jednak przecie
Jest okrutne
Rozłączenie!..

Żeby jednak rozłączenie mniéj było okrutne, niech choć woń mego ulubionego kwiatka przypomina nam stosunek nasz wzajemny...

To rzekłszy wyjął z kapelusza sporą wiązankę konwalij. Wdzięczny zapach rozszedł się po pokoju, zapach, co tyle ma podobieństwa z jego piosnkami, prostymi a pełnymi tkliwości.

— Jaki traf szczęśliwy! Idąc tu, spotkałem kwieciarkę znajomą mi, która, wiedząc, jak lubię konwalie, nie mogła mi zrobić większéj przysługi; pamiątkę ostatniego wieczoru zostawię w ulubionym kwiatku, a jeśli Bóg wrócić pozwoli, pokażemy sobie ten zadatek przyjaźni...

I powiedziawszy to, zwrócił się naprzód do gospodyni domu i ofiarował jéj kilka gałązek, potém generałowéj S., pani P., pannie Teresie i Natalii K., i innym damom i męszczyznom, a na koniec, kiedy mu tylko ostatnie dwa kwiatki zostały, wysunęło się z kącika dwoje dziewcząt, prześlicznych jak anioły, które, przybliżając się do niego z wdzięcznym a nieśmiałym uśmiechem, rzekły:

— A o nas pan zapomniał? wszak i my go kochamy!

— O moje drogie aniołki! — zawołał rozczulony Brodziński — przyjmijcie te ostatnie gałązki: — oby woniały wam długo, jak poezya waszéj młodości wonieć wam będzie w późnéj

dobie trosk i kłopotów życia! Pewien jestem, że świeża wasza pamięć przechowa wspomnienienie o mnie i nie uschnie razem z tym kwiatkiem. Ale oto z mojéj wiązanki nic mi nie pozostało — tu pokazał próżne dłonie: — kwiat jest symbolem życia, lubi słońce i wiosnę; cóżby miał robić przy piersi, którą niebawem śmierć lodem swym zetnie!... Dziewczęta wiją trawkę w wianuszki i wróżą sobie przyszłość; mnie konwalia wywróżyła także... W jesieni wszystkie gałązki znajdą się, mojéj tylko nie będzie...

— Czy podobna przypuszczać tak czarne myśli! zawołała pani L.: przecież każda z nas dostała pęk konwalij, możemy się z panem nawzajem podzielić.

I w mgnieniu oka każda z dam ofiarowała mu gałązkę ze swego bukietu, i znowu spiewak Wiesława trzymał sporą wiązankę.

— Jakąż teraz wróżbę wyciągniesz pan z tego bukietu? zapytała generałowa żartobliwie.

— Najpomyślniejszą — odparł weselszy już Brodziński — wasze życzenia i modły wyjednają mi to u Boga, czego wątła natura odmawia. Bądźcobądź, kwiaty te z ojczystéj ziemi przypomną mi ją, jeśli przyjdzie na obcéj umrzéć.

To rzekłszy, przycisnął je do piersi, a podawszy ręce obecnemu gronu, pożegnał się, unikając rozrzewnienia, w milczeniu a prędko — i wyszedł w towarzystwie żony i małéj Karolinki.

Nazajutrz powozem pocztowym jechał do Drezna.

* * *

Tegożsamego roku w jesieni, w jednym z hotelów drezdeńskich, dogorywał spiewak Wiesława. Choroba piersiowa, rozwinięta w najwyższym stopniu, stargała w nim wszystkie siły żywotne. Z południa przyszedł jeszcze zwykły jego lekarz, wziął za puls — przepisał lekarstwo, jakieś obojętne — a odchodząc, powiedział przyjacielowi, który nad chorym czuwał, Edwardowi Odyńcowi, także bratu po lutni: — „Nasz chory dziś w wieczór skończy!“ — a powiedział zimno, obojętnie, jak się mówi: „Dziś w wieczór przyjdę do ciebie na herbatę“. Edward wrócił do łóżka; twarz jego musiała być mocno zmieniona z powodu słów doktora, bo Kazimierz wyciągnął do niego wyschłą rękę i zapytał: — Co ci jest przyjacielu?

— Niedobrze mi się zrobiło — odpowiedział z niejakim kłopotem; — ale to przejdzie... tu musi być za gorąco...

— Nie ukrywaj przede mną — rzekł chory — niewczesna to ostrożność. Doktor powiedział ci, że przed wieczorem umrę... Dziś mamy 10. października, rocznica urodzin mojéj córki... Dziwny traf! ze śmierci rodzi się życie; na grobie ojca kwiat w dziecięciu rozkwita...

Tu mu tchu zabrakło i umilkł; ale po chwili, zbudzony jak ze snu, znowu zaczął: Prędzéj, czy późniéj, zawsze potrzeba skończyć... Dzięki niebu za jednę łaskę! wczorajszy list żony dodał mi odwagi do téj zagrobnéj wędrówki: lekko umrę, bo mam to przekonanie, że te anioły — Teresa i Natalia — będą pociechą i opieką mojéj biednéj żony i dziecka...

Edward usiłował, walcząc ze wzruszeniem, nasuwać mu kojące myśli, wpajać ufność w nieograniczoną moc Boską, która go może jeszcze przy życiu zachować; ale Kazimierz, kiwając ręką, jakby odpychał złudną pociechę, rzekł z uśmiechem nadzwyczajnéj słodyczy:

— Dziś sen nad rankiem zwiastował mi, że się z matką połączę... Był on inny, niż te, co nieraz w ciągu życia miewałem. Wyobraź sobie, wśród wielkiéj jasności, w białéj szacie Zbawiciel mi się ukazał, uśmiechał się tak bosko, tak łagodnie, a potém rękę ku mnie wyciągnął... i ja poleciałem, jak małe ptaszę, od piersi swéj matki, która mię huśtając, spiewała: „otoś mi wrócony, mój synku!“... O! takie sny nie mylą: — wszystko w nich jest, jakby się odbywało na jawie... Po tych słowach, półgłosem zaczął odmawiać modlitwę, która coraz cichła, jak oddalający się szmer powiewu po zeschłych trawach stepowych. Zdawało się, że usnął, że skończył, bo nie było słychać oddechu... Dopiero po półgodzinnym spoczynku wzdrygnął się, wielkie oczy otworzył, potoczył nimi i jakby w malignie mówił urywane wyrazy: „Gdzie mój bukiet?... dajcie mi bukiet!... miła pamiątka... choć tak dawno zerwany, jaki świeży, jaka woń konwalij!...“

Edward, nie mogąc sobie wytłómaczyć tych wyrazów, zapytał go, czego żąda?.... Lecz chory nie dawał odpowiedzi — już ducha wyzionął!

Po śmierci i pogrzebie, przerzucając jego papiery, znalazł zeschłych kilka gałązek konwalij i domyślił się, że Kazimierz pragnął tę pamiątkę unieść z sobą do grobu.

Łucyan Siemieński.

B. Proza historyczna.

I. Podania i powiastki historyczne.

8. Nagroda męstwa.

Podanie rodzinne.

Było to za Bolesława Śmiałego. Po jakiéjś zwycięskiéj potyczce, w któréj zbito nieprzyjaciela, ścigano uchodzącego w lasy wraz z zabranym łupem, a król sam gnał najezdców, by odbić niewolnika i grabieże. Tymczasem garść zbójecka wpadła w gąszcze i znikła. Takie w istocie były wówczas wojny i sąsiad dobierał pory, kiedy gospodarza nie było w domu: wtedy wpadał, palił, siekł, zabierał mienie, ludzi pętał, zganiał konie, skarby łupił i z całym taborem do domu dniem i nocą uciekał. W pogoni za takim gościem poszedł w lasy Bolesław Śmiały, ale w gąszczach ani śladu nie znalazł, gdzie się podzieli najezdnicy.

Wjechał król w głęboką puszczę; słyszy pukanie siekiery, zbliża się, patrzy: chłopek sobie spokojnie rąbie kłodę na chatę. Król począł go rozpytywać o nieprzyjaciela, a gdy kmieć — a zwał się on poprostu Cholewa — rozsądnie odpowiedział, kazał mu się Bolesław prowadzić ku miejscu, gdzie obóz zastać byli powinni. Cholewa spełnił królewskie rozkazanie żywo i roztropnie, powiódł go znanymi manowcami, naszli cicho na bezpieczne obozowisko, natarli żywo, król na czele, Cholewa przy królu, ale prócz dwóch klamer do łupania drzewa nic nie miał; nawet topora, którym rąbał kłodę, nie wziął z sobą. Wtém na Bolesława puścił się wódz nieprzyjaciół. Cholewa, widząc to, daléjże na niego ze swoją klamrą. Naprzód koniowi podciął nogę, drugą leżącego na ziemi ranił, a mieczem jego własnym życie mu odjął.

Król w nagrodę za to męstwo zrobił kmiecia szlachcicem i dał mu w herb klamry z mieczem.

J. I. Kraszewski.

9. Żegota Szafraniec.

Trzech było niegdyś braci Toporczyków: Sędziwój, Nawój i Żegota. Dwaj pierwsi zostali doma, orząc skibę ojcowską, trzeci poszedł szczęścia i rozumu szukać za granicą u obcych. Długo tam jakoś na rycerskich zabawił sprawach, tak długo, że wkońcu zapomniano już o nim, mając za umarłego. Gdy się już bezpiecznie bracia Sędziwój i Nawój ojcowizną podzielili, zjawia się dosyć chudo i ubogo nieznajomy, podstarzały męszczyzna, na staréj szkapie, odarty, wynędzniały i puka do wrót zamku ojcowskiego, witając Toporczyków imieniem braci.

Wielkie było ich zdumienie, ale i w pamięci o nim już nic nie zachowali, a radzi mu nie będąc dla majętności, którą podzielićby się przyszło, poznać nawet czy nie chcieli, czy nie mogli.

— Nie mamy brata — odpowiedzieli. Brat nasz gdzieś zginął na wojnie; tyś samozwaniec i przybłęda: uchodź, dopókiś cały. Napróżno Żegota przywodził im wspomnienia dzieciństwa, opisywał swój wyjazd z ojcowskiego domu, sługi stare po imieniu wołał, do serc ich starał się przemówić. Bracia, trwając w swojém, zaparli się go z oburzeniem. Ze łzami w oczach, klątwę rzucając na swoję rodzinę, Żegota poszedł, od wrót ojcowskiego zamku odepchnięty, ze skargą do króla samego. Tu szczęściem znaleźli się ludzie, co go znali w pielgrzymkach rycerskich za granicą, poświadczyli, jako był istotnie Toporczykiem; a gdy się dowodnie wywiódł Żegota, zawstydzeni bracia musieli mu dział ojczysty zwrócić i niechętne wyciągnąć dłonie.

Nie przyjął już stary braterskiéj przyjaźni; co więcéj, zrzekł się nawet rodzinnego godła i w tarczę herbową włożył wiernego towarzysza swéj doli, konia, co go na grzbiecie w dalekie nosił kraje. Lud go nazwał Zaprzańcem; od niego idą Szafrańce.

J. I. Kraszewski.

---

10. Orły Herburtów.

(Podanie gminne).

W bliskości Dobromila, na wyniosłéj górze, widne po dziś dzień rozwaliny dawnego zamku Herburtów. Jest tam podanie gminne, opowiadające przyczynę wygaśnięcia téj sławnéj i możnéj rodziny. Każdy umierający Herburt, jak powiada lud tamtejszy, przemieniał się w siwego orła i obierał na skałach, zamkowi

przyległych, mieszkanie, gdzie gnieżdżąc się wywodził młode swe pisklęta. Dopóki orły się gnieździły i dopóki je szanowano, dopóty sprzyjało szczęście Herburtom. Lecz naraz zniszczył wszystkę pomyślność jeden niebaczny potomek tego rodu, który, niepomny na cześć, oddawaną tym orłom, ośmielił się ubić jednego z ruszniey. Powróciwszy z polowania do domu, dowiedział się, iż właśnie w chwili zabicia orła skonał jego synek, którego całkiem zdrowego jeszcze w domu zostawił. Od tego czasu orły przestały się gnieździć w okolicznych skałach; uciekło szczęście i dostatek od Herburtów, a ich rodzina z powodu zabicia orła wygasła na owym osieroconym ojcu.

Łuc. Siemieński.

II. Leopold,

pierwszy margrabia austryacki.

Nieodrodny syn ojca swojego Henryka I. — którego posłowie, przynoszący mu insygnia królewskiéj godności, w borze szukać musieli — przekładał król niemiecki Otton I. myśliwską zabawę nad wszystkie inne rozrywki. Mężny i waleczny jak ojciec, dowodził on zawsze osobiście swojém rycerstwem i sam potykał się z nieprzyjacielem, stawiąc pierś własną w obronie państwa i korony, które Opatrzność powierzyła jego pieczy. Toż aby nie odwykać od trudów wojennych i ćwiczeń rycerskich, spieszył dzielny król w chwilach pokoju z łukiem i oszczepem do boru, i w przygodach myśliwskich, w niebezpiecznych zapasach z grubym zwierzem, wprawiał silną prawicę do niebezpieczniejszych jeszcze zapasów z wrogiem na polu sławy.

Pewnego razu, wkrótce po odniesioném nad Madyarami walném zwycięstwie na polu Lechowém (r. 955.), używał król, jak zwyczajnie, dobrze zasłużonego wczasu na łowach w ojczystych swych puszczach hercyńskich. Puszczone w knieje psy zagrały nagle chórem, dając znać niecierpliwym myśliwym, że wytropiły zwierza i gonią go na oko. Król, spiąwszy konia, ruszył cwałem w stronę, skąd dolatywało granie goniącéj psiarni, nie troszcząc się o swój orszak myśliwski, który téż wkrótce stracił go z oczów. Ale gdy tak pędząc dojeżdżał krańców leśnéj polany, wypadł z gęstwiny olbrzymi niedźwiedź, i podnosząc się na tylnych łapach, zastąpił mu drogę. Otton, nie bacząc na to, że z takim zapaśnikiem niebezpiecznie potykać się samnasam, naciągnął łuk i celną wymierzył strzałę, ale w zapale tak gwałtownie silną ręką targnął cięciwę, że łuk

pękł we dwoje i strzała bezwładna upadła tuż przed koniem. Rozjuszony zwierz rzucił się naprzód z wściekłym rykiem, a spłoszony rumak królewski wspinał się i ciskał, grożąc powaleniem jeźdźca na ziemię. Chwila jeszcze tylko, a król mógł przypłacić śmiałość swoję, jeżeli nie życiem, to przynajmniéj ciężkiém pokaleczeniem. Wtém warknęła cięciwa i tuż koło głowy przestraszonego Ottona świsnęła niosąca mu ocalenie strzała. Niedźwiedź, ugodzony pod lewą łopatkę, runął całém brzemieniem ogromnego cielska i w konwulsyjnych drganiach postradał żywota.

Uratowany król zwrócił szybko oczy w stronę, z któréj wypadł tak celny i tak w samę porę puszczony pocisk, aby zobaczyć, komu zawdzięczał swe ocalenie. O kilka kroków od miejsca fatalnego spotkania stał pod drzewem młodzieniec w lekkiéj zbroi myśliwskiéj, pięknych i wyrazistych rysów twarzy, i trzymał jeszcze oparty na ramieniu łuk, śledząc wytężoném okiem skutków wypuszczonéj zeń strzały, podczas gdy druga strzała, wyjęta z kołczana, leżała pogotowiu u nóg jego. Snać, jakby wiedziony przeczuciem, gonił on spiesznie w ślad za królem, bo z jego długich jasnych włosów spływał mu pot kroplami po wyniosłém czole i rozognioném obliczu, a pierś falowała przyspieszonym oddechem. Na pierwszy rzut oka poznał Otton w swoim wybawcy znanego sobie dobrze młodego Leopolda z Babenbergu, którego ród, jeden z najzacniejszych i najstarodawniejszych w Frankonii, z dawna był przychylnym królewskiemu domowi i w każdéj potrzebie wiernie i mężnie stawał po jego stronie. Podwójnie więc uradowany, że mu Opatrzność w tym właśnie młodzianie zesłała wybawcę, wyciągnął Otton ku niemu rękę i wzruszonym zawołał głosem: „Wiele już winien jestem twojéj rodzinie, zacny młodzieńcze. Dziś nowy dług zaciągnąłem u ciebie, większy zaiste nad wszystkie dotychczasowe! Na moję koronę przyrzekam, że pierwsze opróżnione lenno w państwie niemieckiém będzie nagrodą twojéj odwagi i poświęcenia. Weź to zdradzieckie narzędzie, które mię w tak stanowczéj chwili haniebnie zawiodło“ — mówił daléj, podając mu łuk złamany. — „Gdy przyjdzie pora, staw się z niém przedemną, a jego zdrada przypomni mi, że wierny przyjaciel cenniejszy stokroć w potrzebie, niż najlepszy oręż, i rad się uiszczę z danego słowa“. To rzekłszy król, przyłożył do ust swój myśliwski róg bawoli, i zadął z całéj siły w jego gardziel kręconą, aż echem przeciągłém ozwała się

puszcza. Na to hasło poczęli ze wszech stron zbiegać się konno i pieszo dworzanie i panowie rycerstwo, i wkrótce cały orszak myśliwski otoczył barwném kołem króla, młodzieńca i świeży trup niedźwiedzi. Wszyscy się dziwili wspaniałemu łupowi i wszyscy rozpytywali, kto zwierza położył, a król, zaspakajając ciekawość zdziwionych, rzekł: „Młody Babenberg bohaterem łowów dzisiejszych. On to celną strzałą powalił tę dziką bestyą i swoję pierś nadstawił, aby mnie wybawić z jéj paszczy i pazurów. Za to przyrzekłem mu pierwsze lenno, zwrócone koronie, i wobec was wszystkich przyrzeczenie to powtarzam“. Tłumnie więc wszyscy, radosne na cześć ocalonego króla podnosząc okrzyki, cisnęli się do szczęśliwego młodzieńca i każdy mu winszował łaski królewskiéj, przyszłego lenna i przyszłych zaszczytów. Ale życzenia te były zawczesne.

Wkrótce bowiem po tém zdarzeniu przyszło królowi Ottonowi wyruszyć do Włoch, dokąd go ważne powoływały sprawy. Zwycięski, jak zawsze, zmusił on zmiennych Włochów do uznania swojego zwierzchnictwa i odzyskał państwu niemieckiemu cesarską koronę Karola W. Ale z nową koroną obsiadły mu głowę i nowe troski i nowe kłopoty. Ziszczenie danego Babenbergowi słowa odwlekało się więc z roku na rok, czy przez zapomnienie w natłoku innych ważniejszych spraw wskrzeszonego cesarstwa, czy też może dlatego, że żadne lenno nie zostało tymi czasy opróżnione. Babenberg nie naprzykrzał się téż pamięci cesarskiéj, tylko łuk złamany chował, jako zadatek królewskiego przyrzeczenia, i po staremu zawsze wiernie służył cesarzowi i w domu i za domem. Jakkolwiek z dostojnéj pochodząc rodziny, jakkolwiek spowinowacony nawet z książęcym saskim domem cesarza przez Babę, córkę Ottona Szlachetnego, a siostrę króla Henryka I., — na któréj cześć jego protoplasta zbudowany nad Rednicą zamek rodzinny Babenbergiem nazwał, i odtąd ród cały Babenbergami pisać się począł — toć jednak nie mógł się Leopold równać zamożnością z innymi panami niemieckimi. Dom jego bowiem w czasach przemocy i gwałtów, za bezrządu Ludwika Dziecięcia, poniósł był w krwawym sporze z przemożnym rodem Konradynów, który dwóch Babenbergów życiem przepłaciło, ciężkie klęski i utracił bogate swe dzierżawy na rzecz nowo utworzonego biskupstwa bamberskiego. Cesarz Otton, wynagradzając wierność podupadłéj rodziny z Babenbergu dla domu swojego, wyposażył był wprawdzie hojnie braci Leopolda, ale Leopold sam oczekiwał cierpliwie, spoglądając z nadzieją na przechowywany troskliwie

złamany łuk królewski. Tak upłynął rok jeden i drugi, ba nawet już drugi dziesiątek lat dobiegał końca, a tymczasem cesarz Otton, syt trudów i sławy, położył się na wieczny spoczynek i dane Leopoldowi przyrzeczenie zabrał nieziszczone ze sobą do grobu. Ale Leopold ani nie szemrał, ani nie zwątpił, i opłakawszy wraz z całym narodem stratę wielkiego cesarza, który podniósł wysoko potęgę i sławę Niemiec, spoglądał z nadzieją na złamany łuk królewski, i zaprzysiężonéj ojcu wierności dotrzymywał niezłomnie synowi, cesarzowi Ottonowi II. Trzeci już rok piastował Otton II. berło ojcowskie, gdy gruchnęła wieść po Niemczech, że opróżniona została marchia wschodnia w ówczesnéj niemieczyźnie, „Ostarrichi“ zwana. Marchia ta, jak wszystkie inne pograniczne marchie niemieckie, zakładane w celu obrony granic państwa, leżała na kresach cesarstwa, nad górnym Dunajem. Założył ją był już Karol W., aby służyła jego monarchii przedmurzem przeciwko dzikim hordom grasujących podówczas w panońskich równinach nad Dunajem barbarzyńców; a gdy w czasie zamieszek pod potomkami Karola W. upadła, odbudował ją Otton I., powierzając jéj obronę przeciwko Madyarom Burkhardowi, palatynowi ratysbońskiemu.

Ale wiarołomny Burkhard, przeszedłszy na stronę Henryka bawarskiego, który przeciwko Ottonowi II. podniósł był rokosz orężny, został za to przez cesarza z godności swojéj złożony i z marchii naddunajskiéj wyzuty. Wielu panów, i możnych i dostojnych, wystąpiło więc niezwłocznie ubiegać się o otrzymanie kraju pięknego, pomimo że leżał w sąsiedztwie pogańskich jeszcze podówczas a skorych do łupieży Madyarów, i nieustannie pilnéj i silnéj wymagał straży. Każdy wyliczał długie szeregi swych zasług i szerokimi słowy upewniał, że stać będzie niewzruszony jak mur w obronie cesarza i cesarstwa. Gdy tak wszyscy siebie i służby swoje cesarzowi polecali, stawił się i Leopold z Babenbergu we współzawodniczących gronie. Nie był to już ów młodzieniec, co niegdyś w lasach hercyńskich, ratując nieboszczyka cesarza, z niedźwiedziem się potykał, lecz mąż, doświadczeniem lat i trudami dojrzały. Młodzieńczą niegdyś świeżością jaśniejące oblicze jego, teraz męskiéj powagi i siły odznaczało się wyrazem, a długie włosy piąty krzyżyk i snać nielekko i niemarnie spędzone życie przyprószyły już srebrnymi nitkami siwizny na skroniach. Wszedł — kornie, lecz z godnością pochylił czoła i stanąwszy przed cesarzem, zamiast w szumnych a próżnych rozwodzić się słowach, milcząc łuk złamany położył na stopniach

tronu. Zrozumiał cesarz i zrozumieli panowie współubiegający się i dworzanie niemą, a jednak wymowniejszą nad wszystkie oracye prośbę Babenberga. Głośną bowiem była w całych Niemczech przygoda nieboszczyka cesarza z niedźwiedziem i głośną zasługa Leopolda. Krążyły o tém powieści między ludem i minstrele spiewali pieśni po zamkach rycerskich, a i w kronikach uczeni mnisi ku wieczystéj pamięci spisali dokładnie całe zdarzenie. Posmutniał więc jakitaki i zazdrosne na niebezpiecznego współzawodnika rzucał spojrzenia, czekając z bijącém sercem wyroku cesarza. A cesarz utkwił oczy w łuk złamany ojcowski i łzą mu zaszła źrenica. Chwilę milczał, a potém tłumiąc wzruszenie w te ozwał się słowa: „Przezacny Babenberg przyszedł u nas upomnieć się o dług, którego mu spłacić ojcu naszemu Bóg nie dozwolił. Zaprawdę, wierzyciel z was cierpliwy! Marchia wam się należy, bo słowo ojca świętém być powinno synowi. Oddaję wam więc to lenno korony, jako należny wam dług, i rad jestem z serca, że w wasze dostaje się ręce; bo któż lepiéj w męskim wieku zdolen bronić państwa nad tego, który już piersią młodzieńczą mężnie zasłaniał pana. Ale i my wam coś winni, przezacny margrabio! Wszak w ostatniéj potrzebie z Bawaryą, kiedy niejeden z naszych wasalów zachwiał się w wierności, wyście dzielną, jak zawsze, nieśli nam pomoc. Marchią tylko z ojcowskiego uiszczam się słowa, a od nas nadaję wam jeszcze powiat północny w Bawaryi z miastem Ratysboną i powiat sąsiedni nad rzeką Traun, aby wam nigdy nie zabrakło łuków i strzał, ile razy potwór rokoszu czy wojny zagrozi koronie, a łuk monarszéj potęgi zawiedzie zdradziecko.“ Przejęty do głębi Leopold przykląkł na stopniach tronu, korne wspaniałomyślnemu monarsze składając dzięki, a cesarz podnosząc oczy w górę zawołał: „Oby Bóg wszechmocny każdą waszą strzałą, w świętéj sprawie korony i narodu z cięciwy puszczoną, kierował tak celnie, jak niegdyś ową w hercyńskiéj puszczy!

Łucyan Tatomir.

---

12. Berło Rudolfa z Habsburga.

Po długiém bezkrólewiu, które spustoszyło Niemce pożogą wojny domowéj i rozbojami rozpasanego bezrządem rycerstwa, obrano w r. 1273. królem niemieckim potężnego Rudolfa z Habsburga, a skołatanemu państwu zabłysła nadzieja szczęśliwéj doli.

Po uroczystym obrzędzie koronacyi zasiadł nowy król w tumie akwisgrańskim, aby odebrać hołd i przysięgę wierności od swoich wasalów. Liczny i świetny poczet książąt i hrabiów przepełnił dom Boży. Już jeden z nich ugiął kolano i hardą pochylał głowę u stóp majestatu, mając starym obyczajem lenniczą swemu monarsze złożyć przysięgę, gdy wtém spostrzeżono, że w zamieszaniu zatrąciło się kędyś berło królewskie, niezbędne przy tak ważnym i uroczystym obrzędzie. Strwożeni dworzanie rozbiegli się szukać tego znamienia najwyższéj władzy monarszéj, a dumni wasale szemrali z cicha, złośliwe z tego przypadku robiąc wróżby na przyszłość. Ale król Rudolf, nie czekając, aż odszukane berło przyniosą dworzanie, wziął z powagą i spokojem krzyż z wizerunkiem Zbawiciela, stojący tuż obok na ołtarzu, a wznosząc go przed oczyma zdumionych wasalów, zawołał głosem uroczystym: Krzyż świętszy i wyższy nad wszystkie berła świata! Na ten krzyż więc przysięgnijcie mi wierność i posłuszeństwo i niechaj ten znak zbawienia, który otwiera nam bramy niebios, a kruszy potęgę piekieł, osłania po wiek wieków wszechmocną opieką tę moję koronę i niechaj będzie puklerzem domowi i państwu memu przeciw nieprzyjaciołom i wiarołomcom!“

Ł. Tatomir.

---

13. Powrót z niewoli.

Tuż na pograniczu Podola ku województwu ruskiemu leżały posiadłości rozrodzonéj na Rusi familii Wilczków, klejnotu Poraj. O jednym z braci tego imienia, nazwanym w tradycyi starostą Wilczkiem, panem zamku Wilczki nad Strypą, przechowało się do niedawna następujące podanie: W czasie wielkiéj wojny chocimskiéj opuścił on dom i żonę, aby wyruszyć ku obronie ojczyzny od Turków i Tatarów. W rodzinnym zamku Wilczkach pozostała młoda żona, z domu Złotnicka, plemienniczka panów pobliskiéj wsi Złotniki, z dwoma niemowlęcymi synami. Wojna chocimska skończyła się prędzéj i szczęśliwiéj, niż się można było obawiać, ale starosta Wilczek należał do jéj ofiar. Nie wiedziano z pewnością, czy zginął, czy się dostał w niewolę, dość że nie wrócił w progi domowe.

I nie wracał przez długie lata, ani téż wieści żadnéj nie nadsyłał osobie. Tymczasem młoda starościna za naleganiem rodziny oddała rękę komu innemu. Już od lat kilku kto inny panował

w Wilczkach, gdy jednego wieczora przybył tam wracający ze wschodu pielgrzym. Codziennym zwyczajem domu dano mu miejsce u stołu i proszono o wieści z dalekich krajów.

Pielgrzym zaczął opowiadać o wracających z niewoli brańcach, których długoletnie cierpienia zmieniły do niepoznania. „O czemuż i nam Pan Bóg nie wróci ojca!“ — zawołał ze łzami kilkunastoletni młodzian u stołu, przysłuchujący się z bratem opowiadaniu. „Synu mój!“ krzyknął zdradzony uczuciem pielgrzym, zrywając się ku młodzieńcowi. Nim jednak zdążył w jego objęcia, opuściły go siły, upadł, zabity szczęściem i żalem. Dopiero w rysach trupa poznano wracającego z niewoli starostę Wilczka. Pani starościna opuściła drugiego męża i poszła do klasztoru.

Karol Szajnocha.

---

14. Ślady Batorego.

Nie mało jest na Litwie pamiątek Batorego. W powiecie Borysowskim znajdują się dwa majątki, z których jeden zowie się Stańkról, a drugi Milcz. Oba winne swoje nazwiska Batoremu.

Król ciągnął z wojskiem i szerokie drogi roztrzebiał przez lasy, w które i teraz Borysowski powiat jest obfity, a którymi natenczas cały prawie był zarosły. Raz tam więc wojska stanęły noclegiem blisko folwarku jakiegoś szlachcica i zatoczono obozy na polach i łąkach biednego chudopachołka. Swawolne a może i głodne żołnierstwo nie miało uwagi na krzyki, skargi i płacze jego, — wyrżnęło krówki i barany, dobyło się do spiżarni i spichrzów i oczyściło je należycie — słowem, nazajutrz szlachcic mógł śmiało iść za wojskiem, bo w domu pustym nie było co robić. Wziąwszy więc żonę i drobne dziatki za ręce, poszedł na gościniec oczekiwać króla, którego przy wojsku natenczas nie było. Jakoż go doczekał. Jechał Batory konno, otoczony świetnym orszakiem rycerstwa. Szlachcic powstał, zaszedł mu drogę i zatrzymując konia, zawołał: „Stań królu!“ — Król zdziwiony zapytał, czegoby chciał? Natenczas szlachcic przełożył swoją krzywdę i zniszczenie. Żona i dzieci szlochały, a szlachcic z płaczem powtarzał skargi i obliczał straty. — „Czémże cię mam nagrodzić i uspokoić?“ zapytał Batory. — Szlachcic pomyślał trochę i rzekł: „Ziemią, na któréj stoisz, królu. To starostwo... — „Bierz i milcz!“ rzekł wspaniały monarcha, zakre-

ślając ręką w powietrzu jakby granice darowizny! — „Vivat rex!“ wykrzyknął szlachcic uszczęśliwiony. Vivat rex! powtórzyło rycerstwo.

Otóż na darowanéj mu ziemi założył ów szlachcic w miejscu, gdzie króla zatrzymał, jeden folwark i nazwał go Stańkról; drugi zaś główniejszy w dogodnéj gospodarskiéj pozycyi nazwał wyrazem królewskim Milcz.

Ign. Chodźko.

---

15. Jezioro Batoryno.

Nie długą już miała być żegluga nasza po Wilii. Hipolit dobywał zegarka i niecierpliwy prosił nieustannie starego flisaka Bartłomieja, aby pospieszał. — „Proś Pan, rzekł starzec, Wilii, aby raźniéj płynęła, bo ja jéj nie popędzę!“ — Przekonany tym argumentem pan Hipolit usiadł spokojnie, siedział już i pan Tadeusz i stroił gitarę, usiadłem i ja obok Hipolita; a rzeka w tém miejscu, zachylając się ku południowi, na szczere wypływa pola.

— Wczoraj, ojcze Bartłomieju, rzekłem przerywając milczenie Hipolita i brząkanie na gitarze pana Tadeusza, wspomniałeś nam o jeziorze Batoryno. Powiedzże nam co o Batorym. To nazwanie jeziora od niego musi pochodzić. Gdzież ono się znajduje?

— Jezioro to może być stąd odległe o mil sześć. Bywam ja na niém niekiedy. Okoliczni tam starzy ludzie powiadają, że niegdyś bardzo dawno, Panowie może lepiéj wiecie kiedy, król Batory był tu z wojskiem, a było to zimą. Noc miesięczna, księżyc świecił jasno i rybacy na jeziorze, dociągając tonie pod wieczór zarzucone, zebrali się w jedno miejsce, gdzie niewód z pod lodu wychodził. Nagle od strony Miadzioła postrzegli oni migające zdala błyski, które coraz się przybliżały i szykowały rzędem, jakby pochodnie przy kondukcie. Niedługo rozpoznali, że to pancerni maszerowali przez jezioro, że to ich zbroje błyskały i że zbłąkani lub ośmieleni tęgimi mrozami i grubością lodu, chcieli dla skrócenia drogi przejść w poprzek jeziora. „Święty Justynie Miadziolski! ratuj ich!“ krzyknęli rybacy przelęknieni, bo wiedzieli, że właśnie w tamtéj stronie jezioro głębokie i oparzyste nigdy mocno nie zamarzało. Najmłodsi i najżwawsi pobiegli naprzeciw pancernych, ale jedni od drugich bardzo byli daleko. Na zamarzłém jeziorze o pół mili widać jak

*

na dłoni. Krzyczeli i z całéj siły machali rękami; ale chociaż noc była widna, nic to wszystko nie pomagało — pancerni w szeregu posuwali się naprzód... Nagle, jeden ogromny i przeraźliwy wrzask, przerwany jakbyś uciął, rozległ się po jeziorze.. Pancernych już nie było!... Z hukiem piorunowym pękał lód potém i po całém jeziorze rysowały się szczeliny, a osłupieni rybacy stanęli jak wryci... Krzyknęli znowu, lecz postępować musieli powolniéj i ostrożniéj, bo szczeliny lodu coraz szersze aż do nich dobiegały. Nakoniec nadeszli do miejsca, gdzie obszerny przestwór wody, pływającymi bryłami lodu pokryty, jakby staw wielki, burzył się i szumiał wśród zamarzłego jeziora. Byłato głębina, gdzie kilkadziesiąt konnych króla Batorego pancernych załamało się i w mgnieniu oka utonęło.

Rankiem mróz się wzmógł, obłam zaciągnął się lodem, i gdyby nie naoczni świadkowie, rybacy, niktby nie wiedział, gdzie się podzieli żołnierze, których wieczorem przez Miadzioł przechodzących widziano. Odtąd jezioro zowie się Batoryno, a długo potém nikt w niém ryb nie łowił, bo powiadano, że karmiły się ciałem topielców, — co mogło być i prawdą, bo na wiosnę ani jeden z utopionych nie spłynął na wierzch, jakto pospolicie bywa, każdego bowiem żelazna zbroja z koniem do ziemi przyciskała. Z czasem jednak zapomniano o wszystkiém. Nazwisko tylko jeziora przypominało to zdarzenie. — Aż przed laty kilkunastu, jakby dla utwierdzenia, Mospanie, téj wiadomości, wyciągnięto w niewodzie wielki miecz zardzewiały, czarny jak rożen, i kawał zbroi, podobny do żelaznego garnka. Jakiś pan z sąsiedztwa, zbierający staroświeckie rzeczy, dobrze rybakom za te graty zapłacił...

Ign. Chodźko.

---

16. Anna Rakuszanka.

Anna Rakuszanka, pierwsza małżonka Zygmunta III., króla szwedzkiego i polskiego, a matka Władysława IV., była córką arcyksięcia Karola Styryjskiego (syna cesarza Maksymiliana II. i Maryi, księżniczki bawarskiéj), urodziła się w r. 1573. W 19. roku swego życia zaślubiła Zygmunta III. (1592 r.), była dobrą żoną i matką; cichą, pracowitą, pobożną, prawdziwą opiekunką ubogich i nieszczęśliwych. W czasie podróży Zygmunta III. do Szwecyi Anna towarzyszyła swemu mężowi, a gdy na morzu spotkała ich gwałtowna burza, podczas któréj nawet najśmielszych przejęła

trwoga, jedna tylko królowa zachowała spokojność i serdecznie modliła się do Boga. Powszechnie téż twierdzono, że jedynie skutkiem tych modłów król zdrowo i szczęśliwie przybył do Sztokholmu. Dwór jéj był szkołą cnoty, a tak dalece posuwała swoję skrupulatność, że nie mogła nawet znieść myśli, żeby się zadłużyć komukolwiek i w tym celu raz nawet ofiarowała królowi swe srebra, gdy nie miał na zapłatę swoich dworzan. Do dziś dnia w niejednym z kościołów Warszawy znadują się dary królowéj Anny, nieraz nawet zrobione jéj własną ręką. Czynić dobrze, pocieszać nieszczęśliwych bez różnicy stanu i wieku, a dopełniać tego z największą delikatnością, było zadaniem królowéj Anny. Następujące zdarzenie może być dowodem prawdziwéj miłości bliźnich w téj monarchini.

Pewnéj niedzieli królowa udała się na sumę do Św. Krzyża, na Krakowskiém przedmieściu. Świątynia ta nie była wtedy tak okazałą, jak jest dzisiaj, owszem, byłto niewielki drewniany kościół, na którego miejscu w pierwszéj połowie 17. wieku wystawiono teraźniejszy wspaniały przybytek Boży. Otóż u Św. Krzyża, z powodu parafialnego święta, był wtedy odpust, a kazanie miał mieć nadworny kaznodzieja i ulubiony spowiednik królowéj, słynny ze swéj wymowy Piotr Skarga. Gdy po skończoném nabożeństwie królowa siadła do karety, żeby wracać do zamku, stangret, znudzony długiém czekaniem, zaciął konie, a te szybko poniosły powóz. Wtém dał się słyszeć okropny krzyk, następnie jęk; powóz przejechał jakiegoś człowieka skutkiem czego ten złamał nogę. Królowa natychmiast wysiadła z powozu, kazała zawezwać nadwornego swego lekarza i opatrzyć nieszczęśliwego. Był to biedny wyrobnik, ojciec licznéj rodziny, bo pięciorga drobnych dzieci, i właśnie wracał do domu, do wsi Ujazdowa pod Warszawą, w któréj dziś mieści się szpital Ujazdowski i ogród botaniczny. Lekarz chciał przenieść chorego do pobliskiego szpitala, ale ten błagał, aby go odniesiono do domu, do jego rodziny. Królowa chciała, żeby go umieszczono w jéj karecie, i sama chciała udać się z nim do jego mieszkania, by go pielęgnować w chorobie; zaledwie damy i dworzanie królowéj zdołali ją nakłonić do powrotu do zamku, a lekarz upewnił, że najgorliwiéj zajmie się chorym, oraz, że temu choremu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Wróciwszy do zamku, królowa była bardzo smutna, podczas obiadu prawie nie jadła, popołudniu wezwała swego lekarza i najtroskliwiéj wypytywała o stan chorego. Lekarz upewnił królowę, że za kilka tygodni chory będzie zupełnie zdrów. Bardzo ją to martwiło, że przez kilka tygodni chory oprócz

cierpienia będzie wystawiony wraz ze swoją rodziną na dotkliwą nędzę, nie mogąc nic zapracować. Postanowiła zatém dopomóc mu, pocieszyć i uspokoić. Przed wieczorem wezwała do siebie przełożoną jednego z klasztorów, przy którym znajdował się szpital. Gdy ta przybyła, królowa zaczęła z nią rozmawiać o przygodzie z owym wyrobnikiem, następnie prosiła zakonnicy, żeby się dowiedziała, gdzie on mieszka i udała się nazajutrz do niego doglądać go w chorobie, przekonać się o jego potrzebach, oraz zapewnić, że w czasie jego choroby tak jemu, jak i jego rodzinie, na niczém zbywać nie będzie. Wkońcu królowa zapytała się przełożonéj:

— Zapewne, wielebna matko, gdy wychodzicie z klasztoru, towarzyszy wam zwykle jedna z sióstr zakonnych?

— Tak jest, najjaśniejsza pani.

— Czy nie ma w waszym klasztorze zakonnicy mego wzrostu i postawy?

— Jest jedna zupełnie podobna.

— Otóż, wielebna matko, raczcie jutro rano przed 9-tą przyjść do mnie do zamku i przynieść ze sobą habit owéj zakonnicy.

— Czy czasem Wasza Królewska Mość nie myśli przebrać się w niego i udać się ze mną do tego chorego?

— Tak, wielebna matko, muszę to uczynić, sumienie nie daje mi spokoju. Ten biedny ojciec licznéj rodziny dotknięty jest ciężkiém i długiém cierpieniem, on i jego rodzina są w niepokoju o swe wyżywienie; tylko u łoża jego boleści mogę mu wynagrodzić wyrządzoną mimowoli krzywdę.

— Lecz po co Wasza Królewska Mość ma się aż sama trudzić do tego biednego człowieka, to może kto inny za nią wykonać.

— Nie, wielebna matko, ja powinnam sama udać się do niego. W obliczu Boga nie ma różnicy stanów. Proszę cię zatém, nie wspominaj nikomu o naszéj rozmowie i przyjdź jutro o 9-tej zrana.

Nazajutrz o umówionéj godzinie królowa Anna, przebrana w habit zakonny, wraz z przełożoną, udała się pieszo Krakowskiém przedmieściem do Ujazdowa. W ręku niosły zawiniątka w których znajdowały się różne rzeczy, przeznaczone dla chorego i jego rodziny. Droga ich nie była bardzo przyjemna, albowiem Krakowskie przedmieście i Nowy-Świat, obecnie najpiękniejsze ulice Warszawy, pełne okazałych gmachów, wtedy

bardzo nędznie były zabudowane małymi drewnianymi dworkami, nie posiadały owych wygodnych chodników, nawet wcale nie były brukowane, a że w nocy padał deszcz ulewny, zatém pełno było kałuż i błota. Około rogu ulicy teraźniejszéj Ordynackiéj i Nowego - Świata, dogonił ich jakiś powóz szybko jadący i o mało co nie przejechał zakonnicy i jéj towarzyszki, przyczém obryzgał je od stóp do głowy błotem. Oburzona tém zakonnica, już chciała zgromić nieuwagę jadących, gdy jéj towarzyszka, pociągnąwszy ją za rękaw, szepnęła do ucha:

— Na miłość Boską, daj pokój, wielebna matko, to jedna z naszych dam dworskich, mogłaby nas poznać.

Wkrótce stanęły przed mieszkaniem chorego. Była to biedna chata, na wpół zapadła w ziemię. W niewielkiéj izbie, na tapczanie pokrytym słomą, leżał wyrobnik, obok niego siedziała jego żona, dzieci i kilku sąsiadów. Wszyscy ubolewali nad nieszczęściem wyrobnika i narzekali na nieuważnych ludzi, którzy nieraz lekceważą sobie życie i zdrowie biedaków, w pocie czoła krwawo pracujących na swoje i swéj rodziny utrzymanie.

Nagle rozmowa została przerwaną wejściem do izby dwóch zakonnic; wszyscy spojrzeli na nie z zadziwieniem, lecz starsza z nich, postąpiwszy naprzód rzekła:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! odpowiedzieli obecni.

— Jak się macie, bracie? zapytała starsza zakonnica, przybliżając się do łoża chorego. Dowiedziawszy się o waszém nieszczęściu, przyszłam z moją towarzyszką odwiedzić was, a jeśli pozwolicie, to i doglądać, gdyż to jest jednym z naszych obowiązków.

— Królowa, rzekła młodsza zakonnica, dotąd nieśmiało stojąca u drzwi i starająca się opanować przejmujące ją wzruszenie, niezmiernie jest zmartwiona waszém nieszczęściem, którego niechcący stała się powodem. Przysłała nas, żeby się przekonać, co wam i waszéj rodzinie jest potrzebném, upewnić was, że starać się będzie, żeby wam przez cały czas choroby na niczém nie zbywało, żebyście się z tego powodu bynajmniéj nie frasowali, tylko słuchali doktora, który ma codziennie dwa razy was odwiedzać. Czy już był dzisiaj?

— Nie jeszcze, odpowiedziała gospodyni, ma przybyć przed południem.

— Trzeba nam się spieszyć, żeby nas tutaj nie zastał, szepnęła młodsza zakonnica do ucha swéj towarzyszki.

— Bogu niech będą dzięki i chwała! zawołał chory. Kamień spadł mi z serca, gdy jestem spokojniejszy o los mojéj kobiety i dzieci! Niech Bóg błogosławi naszéj dobréj królowéj! prawdę o niéj mówią ludzie, że to bardzo dobra i miłosierna pani!

Mocny rumieniec wystąpił na twarz młodszéj zakonnicy, spuściła oczy w ziemię i zadrżała, ale tłumiąc wzruszenie, rzekła:

— Musimy was na teraz opuścić, ale moja towarzyszka wkrótce powróci i będzie was doglądała, a tymczasem, weźcie to, matko, dodała zwracając się do gospodyni i podając jéj różne przedmioty, znajdujące się w zawiniątkach. Wtém dały się słyszeć przyspieszone kroki, otworzyły się drzwi izby i wszedł stangret dworski, ów sprawca wszystkiego złego. Z płaczem postąpił ku choremu i wyciągając ku niemu błagalne dłonie, rzekł:

— Bartłomieju! wybaczcie mi, że wam tyle złego narobiłem. Sumienie nie dało mi ani chwilki spokoju... przybiegłem was przeprosić. Bóg świadkiem, żem to uczynił niechcący, przez; pospiech i nieuwagę. Ale cóż to! czy mię oczy mylą? zawołał wpatrując się w młodszą zakonnicę. Nie... tak... to ona! to nasza królowa i najmiłościwsza pani, dodał padając na kolana przed młodszą zakonnicą.

Wszyscy poszli za jego przykładem. Nastąpiła rozrzewniająca scena, nawet chory chciał się podnieść ze swego posłania, lecz królowa Anna szybko postąpiła ku niemu, wstrzymała go i poleciła, by leżał spokojnie, a zwracając się do obecnych, rzekła łagodnie:

— I cóż was tak zadziwia? to tylko obowiązek chrześciański. Chociaż jestem królową, ale Bóg każe mi widzieć nawet w najbiedniejszym człowieku mego brata i mieć współczucie nad jego niedolą. Potrzebujecie lepszego posłania, ubrania, sprzętów, pożywienia; jutro najdaléj będziecie to mieli, do tego kupię dla was pobliski ładny dworek z ogrodem, gruntem i wszelkimi potrzebami, żeby wam choć w części wynagrodzić wyrządzoną krzywdę. A teraz bądźcie zdrowi, niech Bóg was zachowa w swéj świętéj opiece.

I wśród serdecznych podziękowań i błogosławieństw królowa powróciła z zakonnicą do zamku. Dzięki pomocy królowéj,

pielęgnowaniu zakonnicy, troskliwości lekarza i pomocy Boskiéj, chory za dwa miesiące był zdrów zupełnie, i przeniósł się do swéj nowéj własności. Cała jego rodzina błogosławiła królowę i codziennie modliła się za nią do Boga. Lecz w następnym roku, t. j. 1. lutego 1598. r. po sześciu latach szczęśliwego małżeńskiego pożycia, a w 25 r. swego życia, Anna Rakuszanka z nieopisanym żalem króla i narodu przeniosła się do wieczności.

(Z Kłosów ojczystych).

---

17. Łaskawość Maryi Teresy.

Cesarzowa Marya Teresa, troskliwa zawsze o dobro i pomyślność swojego ludu, szczególną okazywała się opiekunką młodzieży. Żaden dobroczynny lub naukowy zakład nie uszedł jéj macierzyńskiéj, a zawsze skutecznéj opieki.

Pewnego razu przy zwiedzaniu akademii wojskowéj w Wiedniu, w któréj odbierali wychowanie i naukę szczególnie synowie zasłużonych a ubogich oficerów, zapytała przełożonego zakładu:

— Któryż z tych uczniów najlepiéj się pod każdym względem zachowuje?

— Najjaśniejsza Pani, odpowiedział tenże, wszyscy zasługują na pochwałę i opiekę Waszéj Cesarskiéj Mości; młody jednak Wukasowicz najbardziéj się pomiędzy wszystkimi odznacza.

— Już nieraz słyszałam pochwały tego zacnego młodzieńca, rzekła Monarchini do przełożonego i uprzejmie spojrzała na młodego z Dalmacyi Wukasowicza, który zarumieniony stał w niejakiéj odległości z uszanowaniem. — Przyjmij to odemnie, zacny młodzieńcze, rzekła doń Cesarzowa, dając mu dwanaście dukatów, a użyj tego według twego upodobania.

W tydzień późniéj, przejeżdżając znowu koło téjżesaméj akademii, kazała sobie Cesarzowa przedstawić młodego Wukasowicza i zapytała się go, co zrobił z otrzymanymi pieniądzmi. Ten, zmieszany i zakłopotany, nie mógł się zdobyć na odpowiedź.

— Powiedz śmiało, rzekła Cesarzowa, może je przegrałeś? wszakże miałeś wolność użycia ich według swego upodobania.

— Posłałem je ojcu?

— A któż jest twój ojciec?

— Był porucznikiem w służbie Waszéj Cesarskiéj Mości, ale obecnie, nie mając wysłużonéj pensyi, w niedostatku prawie przebywa w Dalmacyi.

— Zacny z ciebie młodzieniec! proszę o pióro i papier. Siadaj i pisz.

Z bijącém sercem zajął Wukasowicz miejsce i pisał, co łaskawa Monarchini dyktować raczyła.

„Kochany Ojcze!

„List, który w téj chwili piszę, dyktuje mi sama Cesarzowa. Moja pilność, dobre sprawowanie się, a szczególnie moja synowska miłość i wdzięczność dla Ciebie, kochany Ojcze, tak się Jéj podobały i tak Ją ujęły, że od téj chwili przeznacza Ci 500 zł. dożywotniéj pensyi, a ja znowu otrzymuję 24 dukatów w podarunku i t. d.".

Wukasowicz upadł do nóg Cesarzowéj, z rozrzewnieniem dziękując za ten dowód Najwyższéj łaski.

Kiedy późniéj wyszedł z akademii wojskowéj, został oficerem w armii; przechodził następnie przez wszystkie stopnie aż do feldmarszałka porucznika i w wielu wyprawach wojennych wielkie dla kraju położył zasługi.

(Z Kłosów ojczystych).

---

18. Dobroczynność Cesarza Józefa II.

Jeden z dworzan doręczył raz Cesarzowi Józefowi prośbę na piśmie od pewnego wysłużonego oficera, który mając dziesięcioro dzieci nie mógł wyżyć ze skromnéj swéj pensyjki i prosił o jéj podwyższenie. Oddawca prośby nie mógł się dość nachwalić owego oficera, opowiadał wiele chlubnych szczegółów z czasu jego służby i najusilniéj polecał go łasce Cesarskiéj. Cesarz kazał przywołać kilku starszych oficerów, wypytywał ich, czy znali tamtego, a gdy wszyscy zgodnie poświadczyli, że był to mąż prawy i waleczny żołnierz, postanowił udać się do niego osobiście, ażeby się naocznie przekonać o jego położeniu.

W tym celu pojechał Cesarz do mieszkania oficera bez żadnego orszaku, a wszedłszy do ubogiéj izdebki, zastał sędziwego weterana przy nader skromnym obiedzie, otoczonego jedenaściorgiem dzieci. Cesarz Józef, wielki znawca ludzi, z pierwszego zaraz wejrzenia poznał, że wszystko, co mu o prawości tego biednego człowieka opowiadano, było rzetelną prawdą; zdziwiło go tylko, że zamiast dziesięciorga dzieci widzi o jedno więcéj, zapytał więc weterana, czy to wszystko jego dzieci?

— To jedenaste dziecko, odpowiedział oficer, nie jest moje; jest to sierota, którą niedawno znalazłem na moim progu i którą przygarnąłem do siebie, bo ją bogatsi odepchnęli.

Zdumiała Cesarza ta szlachetność cnotliwego starca i rzekł:

— Za to, że byłeś ojcem sierocie, ja będę ojcem wszystkich twoich dzieci i nie zaniedbam niczego, ażeby wyszły na cnotliwych ludzi.

Oficer z całą rodziną upadł do nóg Cesarzowi i nie mógł znaleść wyrazów na wynurzenie swojéj wdzięczności. Cesarz wyznaczył mu na utrzymanie każdego dziecka 100 zł. rocznie i jego własną pensyjkę znacznie podwyższył.

(Z Kłosów ojczystych).

II. Obrazki i opowiadania historyczne.

19. Dawne wychowanie niewiast polskich.

Pomimo zbytku i zepsucia jednostek żyła zawsze przemożnie starodawna cnota poczciwych naszych niewiast; owszem pobożność i skromność, te najpiękniejsze kwiaty niewieście, rozkrzewiały się może bujniéj na naszéj glebie, aniżeli na cudzéj ziemi. Było to zasługą wychowania.

Córy szlachty i mieszczan bogatszych — jak opowiada Marcin Kromer — uczyły się po klasztorach czytać i pisać, i to w polskim i łacińskim języku; dorosłe zajmowały się tkaniem, wyszywaniem, dozorem nad kuchnią i gospodarskiém zatrudnieniem. Ale nietylko klasztorne wychowanie wpajało w Polki ducha szczeréj pobożności; i w domu od poranku życia uczono je modlitw i pieśni nabożnych. Pobożna matka w domu od świtu spiewała pieśni nabożne, a w dni świąteczne czytywała pismo święte. A jeżeli w żywocie sławnéj Elżbiety Drużbackiéj czytamy, że jéj ojciec podczas długich wieczorów zimowych czytał głośno psalmy J. Kochanowskiego, których wyszywając na krosienkach z zachwyceniem słuchała Elżbieta, możemy to wogóle zastosować do wszystkich domów dawnych, których ściany od świtu odbijały pieśń nabożną. Dziewczęta, w ciągłém zawsze zostające zatrudnieniu, nie znały próżnowania, które najwięcéj do złego pobudza. Bawiły się haftem na stebenku i krosienkach, szyciem, robieniem pończoch, wyścielaniem bawełną kaftanów pod pancerze lub kolcze zbroje; wiązały siatki, a kościoły zaopatrywały w ornaty. Najznamienitszych dam zwykłém zatrudnieniem było drezlowanie czyli wykręcanie złota lub srebra z nici takowych.

Szlacheckie córy oprócz wychowania klasztornego albo domowego wiele nabierały ogłady w fraucymerze. Tak nazywano dwór znakomitych pań polskich, z panien czyli mówiąc dawną polszczyzną, z dziewek złożony. Dzielił on się na panny na respekcie będące, panny dworskie i rezydentki, które na czas

tylko pewien bawiły na dworze. Pani saméj udziałem był ten dwór niewieści, na czele którego była poważna ochmistrzyni, mająca nadzór, zwłaszcza co do obyczajów. Były to dziewice najznakomitszego rodu szlachty polskiéj, których ojcowie i bracia chlubne w dziejach narodu zajęli wspomnienia. Dwór królowéj obfitował zawsze w zbiór najpiękniejszych i najznamienitszych dziewic. W taki sposób te, które wychowane dostatnio, nie potrzebowały niczyjego wsparcia, w fraucymerze usługiwały same. Jakie znaczenie i jaki szacunek miały panny dworskie, dowodzi stary zwyczaj, że dla uczczenia gościa częstowano go tortem, zrobionym własnymi rękami panien dworskich i to mu przy podawaniu gospodyni domu oświadczała sama, uprzejmy zaś gość przyjmował to jako dowód najwyższéj dla siebie grzeczności.

K. Wł. Wojcicki.

---

20. Ostatnie lata życia królowéj Jadwigi.

Błogie promienie serca i umysłu Jadwigi rozświecały dolę całego ówczesnego społeczeństwa, budziły w niém nowe, nieprzeczuwane dotąd życie. Przeniknąwszy je promieniem swojéj dobroci i ludzkości, pragnęła Jadwiga przejąć též cały naród swojém światłem, swoim rozumem, swoją obyczajnością. Nieprzepomnianym tego dowodem są jéj starania o wznoszenie większych i liczniejszych niż dotąd zakładów naukowych, o rozwinięcie języka ojczystego przekładami ksiąg budujących, o fundacyą nowego kollegium dla Litwy w Pradze, a wznowienie podupadłéj akademii w Krakowie. Twórczyni materyalnéj potęgi kraju, pojęła ona zupełną jéj niedostateczność bez odpowiedniéj miary potęgi umysłowéj i rozwarła narodowi drogę do skarbów wiedzy. Cała wielkość téj zasługi moralnéj objawiła się dopiero po zejściu małżonki Jagiełłowéj, lecz to nie przyniosło uszczerbku jéj czci i sławie za życia. Już poprzednie zasługi były dość wielkie i dość uznane, aby ją powszechném otoczyć uwielbieniem. Mało též który z żyjących kiedykolwiek manarchów był w téj mierze szczęśliwszym od Jadwigi. Od najniższgo ubóstwa do najwyższych szczytów społeczeństwa ludzkiego, od pogrążonéj w nędzy rodziny kmiecéj, któréj słodziła gorycz żywota, aż do głowy kościoła katolickiego, któremu Jadwiga tak wielkimi zasłużyła się ofiarami, ubiegano się okazać jéj cześć i miłość.

A przecież mimo wszelkie oznaki czci, mimo coraz jaśniejszą nad krakowskim zamkiem pogodę, czuła się Jadwiga nieszczęśliwą: była bezdzietną. To ją wielkim przejmowało smutkiem. Modlitwa tylko mogła jéj przynieść ulgę niejaką. Toż całą duszą zanurzyła się nieszczęśliwa w tym ostatnim zdroju pociechy; z każdym dniem gorętszą stawała się jéj pobożność. A jakby dla zerwania ostatnich węzłów między jéj sercem a ziemią, zabrało jéj niebo ostatnią duszę pokrewną, starszą siostrę, królowę Maryą. Umarła ona w maju r. 1395., zaledwie 25 lat domierzywszy. Młodsza rokiem Jadwiga znalazła się w kwiecie wieku osieroconą ze wszystkich pociech świata. Po stracie ojca, matki, siostry — nie pozostał jéj nikt, z kimby ją łączył urok miłych wspomnień domowych. Wśród przyjaznego, tłumnego dworu coraz zupełniejsza samotność ogarniała serce zbolałe, „za jedno wygnanie miała sobie nieszczęśliwa to życie“. Nie potrzebowała obyczajem ówczesnych pustelnic zamurowywać się w celi samotnéj; sam Bóg ją skazał na żałobę, na samotność po wszystkie czasy.

Jakoż wpośród zgiełku życia dworskiego przybrała młoda królowa obyczaje skruszonéj pokutnicy, zmieniające w znacznéj mierze dawniejszy obraz jéj osoby i charakteru. Złożyła szaty godowe, przywdziała odzież ubogą. Najsławniejsza niegdyś piękność swojego czasu, chodziła teraz z twarzą zakrytą; częsta przedtém współtowarzyszka biesiad gościnnych, jadała teraz przez długie dni i miesiące sama jedna w swojéj komnacie, według obyczaju żałobnic ówczesnych na ziemi lub na ławeczce niskiéj przy łożu. Nawet dawna żywość wzruszeń zewnętrznych innym w téj porze ustąpiła uczuciom. Tylko owa anielska litość dla cierpień ludzkich, u któréj każda łza ludzka ważyła więcéj, niż całkowita naprawa szkody, która samaż łzą taką płakała, dla któréj cały naród od lat najpierwszych tak tkliwie rozmiłował się w swojéj królowéj, — tylko ta litość nie zmieniła się w zmianie losów. Cierpiący, ubodzy, uciśnieni, pozostali jéj ostatnimi przyjaciółmi. O nich jedynie myśląc, tylko w towarzystwie cnotliwych kapłanów spokojniejsza, żyła teraz Jadwiga, oddana samym bogobojnym ćwiczeniom i pokorna, zakapturzona, obyczajem świętych milcząca, klękiwała po całych dniach przed swoim krucyfiksem na zamku, w modlitwie lub rozmyślaniu pobożném.

I zdarzył się wreszcie wypadek, który pozwolił mniemać, że już tu na ziemi miała paść nagroda cnotom Jadwigi. Po czternastu latach związku z Jagiełłą, w r. 1399., nadszedł

szczęśliwy dzień, w którym małżonka Jagiełłowa doczekała się pociechy macierzyństwa. Niezmierna radość ogarnęła cały naród, całą rodzinę królewską. Dnia 22. czerwca powiła królowa córkę, którą biskup krakowski Piotr ochrzcił natychmiast w katedrze zamkowéj, dając jéj imię Elżbieta Bonifacya. Atoli już w kilka tygodni w sam dzień św. Małgorzaty czyli dnia 13. lipca umarło niemowlę. Małoco więcéj dni pozostało i matce. Choroba Jadwigi wzięła zatrważający obrót. Radość narodu zamieniła się w trwogę. Wszczęły się publiczne nabożeństwa na intencyą wyzdrowienia królowéj. Atoli czwartego dnia po śmierci niemowlęcia, 17. lipca r. 1399. w piątek z południa przestała żyć Jadwiga. Samotna po koniec życia, jeszcze w ostatnich chwilach dotknięta stratą córki, nie miała konająca nawet króla Władysława przy swoim boku. Tylko panowie krakowscy, dla których szczęścia upłynął cały jéj żywot, jak niegdyś strzegli ukoronowanéj dziewicy, tak i nad jéj ostatniém czuwali tchnieniem. Dla nich téż, dla kraju, dla światła i niedoli, uderzyły ostatnie tętna jéj serca. Gasnąc spokojnie w Bogu, uczyniła Jadwiga świątobliwy testament, jedyny w swoim rodzaju, równie jak cały żywot gasnącéj. Polecało to ostatnie rozporządzenie, aby wszystkie klejnoty, szaty, wszystkie gotowe pieniądze skarbu królowéj, słowem cały ruchomy przybór jéj dworu oddano na wsparcie biednych i odnowienie akademii krakowskiéj.

Przywołany listem Jagiełło przybył na gotowy już pogrzeb. Odprawiono go według ówczesnego zwyczaju po niejakim dopiero czasie, w blisko cztery tygodnie po śmierci, dnia 15. sierpnia.

Nie było wtedy końca płaczom i narzekaniom. Duchowny piastun Jadwigi, Stanisław ze Skarbimierza, jéj kosztem niedawno promowany w Pradze, a obecnie mistrz sztuk wyzwolonych w Krakowie, pełen osobliwszéj miłości i czci dla zgasłéj, miał kazanie żałobne. Proste, serdeczne, rozumne, zachowało się ono podziś dzień pierwszym wymowy polskiéj pomnikiem.

Złożono zwłoki w kościele katedralnym na zamku, po lewéj stronie ołtarza wielkiego, ku zakrystyi. Po usłudze ostatniéj wszyscy rozjechali się w smutku. Żałosny Jagiełło oddalił się na czas dłuższy na Ruś. U grobowca Jadwigi, jak u grobu jéj dziada Kazimierza, pozostali tylko nieszczęśliwi, ubodzy. Płynęło ich coraz więcéj ku stopom zmarłéj, błagając jak dawniéj o pomoc. A nieśmiertelna koicielka łez ludzkich i z za grobu niosła pociechę. Ktokolwiek w frasunku czy w niemocy przyszedł szukać ulgi u trumny błogiéj, wracał pokrzepiony na duchu

i na ciele. Z każdym dniem wzmagała się zorza cudowności, otaczająca spoczynek wysłuchanéj pokutnicy w koronie. Jeszcze szerszym i trwalszym blaskiem zajaśniała narodowi jéj puścizna testamentowa, wskrzeszona przez nią akademia krakowska.

K. Szajnocha.

---

21. Akademia krakowska.

Akademia krakowska początek i byt swój winna Kazimierzowi Wielkiemu. Król ten uspokoiwszy wewnątrz i zewnątrz królestwo, uzbroiwszy je zamkami i prawami przeciwko obcym i domowym niepokojom, postanowił uwieńczyć prace swoje zaszczepieniem nauk, idąc za przykładem cesarza Karola IV., który w r. 1360. akademią w Pradze założył, i Rudolfa, książęcia Austryi, który podobną szkołę w Wiedniu fundował. Przed panowaniem jego były prawda po różnych miejscach w Polsce szkoły początkowe, przez biskupów i możnych panów utrzymywane; ale po nabycie wyższych nauk zniewoloną była młodzież krajowa udawać się do Włoch i Francyi. Ten więc ojciec ludu, zaradzając potrzebie młodych, sposobiących się do nauk, którzy ze stratą czasu, uszczerbkiem majątku i niebezpieczeństwem życia za granicę jeździć musieli, założył akademią na miejscu, gdzie niegdyś wioska Bawoł leżała (teraz przedmieście Kazimierz). W r. 1364. w miesiącu maju wydał król przywiléj, wyznaczający miejsce, zarząd, bezpieczeństwo i dochody dla uczących, stanowiąc tęż szkołę główną na wzór bonońskiéj i padewskiéj. Przywiléj ten papież Urban V. (z wyłączeniem tylko nauczania teologii) potwierdził i akademią krakowską ze wszystkimi innymi akademiami porównał. W tymże r. 1364. miasto Kraków wydało zaręczenie, w którém obowiązuje się pomieniony przywiléj królewski zachować w całości i nie dopuszczać, aby kiedy był nadwerężony.

Lecz nie wzięła zupełnego skutku ta fundacya, śmierć bowiem królewska w r. 1370. nie dozwoliła ukończyć tak chwalebnie rozpoczętego dzieła, a sława dopełnienia go zachowaną była Władysławowi Jagielle i żonie jego Jadwidze. Królowa ta, pięknością i cnotą między monarchiniami sławna, w ciągu pobytu swego na tronie szczególniéj opiekowała się dziełem, przez dziada szczęśliwie rozpoczętém. Upatrując zaś w akademii téj jedyne źródło rozszerzenia światła w kraju, naprowadziła małżonka swego Władysława Jagiełłę do zajęcia się podniesieniem téj szkoły na świetny stopień przez nowe wyświadczone jéj do-

brodziejstwa. W r. 1397. więc, na prośbę Władysława i Jadwigi, Bonifacy IX. papież szkołę tę potwierdził i teologii uczyć pozwolił; poczém jedynym starań królowéj przedmiotem było, aby akademią, przez Kazimierza W. w niezdrowém (dla bagnistego położenia) miejscu założoną, na inne dogodniejsze wpośród miasta przeprowadzić. Ale wczesna śmierć jéj w r. 1399. spełnionego życzeń jéj celu oglądać nie dozwoliła. Umierając atoli przekazała testamentem znaczne skarby na dokończenie nowo budujących się gmachów akademickich, do których Władysław Jagiełło, ostatecznéj jéj woli dopełniając, w r. 1400. w rocznicę prawie jéj zejścia z niewymowną okazałością główną tę szkołę z dawniejszego siedliska przeprowadził.

Przez przeciąg cztérech wieków wysługiwała się akademia krakowska krajowi kształceniem cnotliwych i uczonych ludzi. W rzędzie jéj wychowańców mieszczą się imiona wszystkich tych sławnych mężów, z których przeważnéj rady, światła lub męstwa chwała i korzyść na kraj spływały.

W ten czas sławę, pożytek ta korona miała,
Kiedy z łona téj matki godne syny brała
Do swéj rady. — *(B. Paprocki:* Gniazdo cnoty).

Ambroży Grabowski.

22. Elżbieta Rakuszanka.

Ostatnie lata piętnastego i pierwsze szesnastego stulecia widziały całą szeroką przestrzeń Europy między Adryatykiem, Bałtykiem i morzem Czarném pod bratniém berłem kilku Jagiellończyków, synów jednéj i téjżesaméj matki: Władysława, króla czeskiego i węgierskiego; Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta Starego, polskich. Z tak niezwykłą potęgą ziemską łączyli bracia Jagiellońscy również niezwyczajną wartość moralną. Najpośledniejszemu z braci, Władysławowi czeskiemu, wadziła tylko zbyteczna dobrotliwość, nie mogąca przecież wydrzéć mu chwały króla światłego, sprawiedliwego. Drugi brat, Zygmunt Stary, sprawił swoją mądrością, iż naród, który mu poruczył swoje losy, nazywa jego czasy „złotym wiekiem“ swojéj historyi. Trzeciemu z braci, Kazimierzowi, dane było zasłużyć sobie cnotami swymi na wnijście w poczet świętych, w liczbę niebieskich patronów kraju. Błoga zaprawdę matka, która takich synów wydała! Lecz matce królewskich Jagiellonów należy się od nas

jeszcze wdzięczne uznanie, iż znaczna część wymienionych tu osobistych zalet i zasług potomków Jagiellońskich, uzyskanéj przez nich tymiż zaletami wziętości u narodów sąsiednich i wynikłego stąd rozrostu potęgi i sławy dynastyi Jagiellońskiéj — była dziełem jéj ręki. Przebyła Elżbieta w latach młodości szkołę cierpkich doświadczeń. Urodzoną z najdostojniejszych rodziców, córkę cesarza Albrechta II., króla czeskiego i węgierskiego, księcia austryackiego, jednego z najszlachetniejszych monarchów swojego czasu, i królowéj Elżbiety, jedynaczki słynnego cesarza Zygmunta, dziedziczki Czech i Węgier, wypiastowały młodocianą królewnę sieroctwo, niedostatek, łzy opuszczenia. Już w trzecim roku życia odumarł ją ojciec, cesarz Albrecht, nie miawszy jeszcze czasu ustalić się na świeżo objętych tronach, pozostawionych przy jego śmierci bez męskiego następcy. Dopiero w blisko cztéry miesiące po zgonie męża urodziła wdowa królewska syna Władysława, Pogrobowcem stąd nazwanego, poczém we dwa lata sama umarła. Drobne jéj dzieci pozostały pod opieką stryja, z młodszéj styryjskiéj linii książąt rakuskich, cesarza Fryderyka III. Pod jego to ramieniem, bądź w Neusztadzie, bądź w Wiedniu, rosły odtąd obie sierotki, dwuletni Władysław Pogrobowiec, oczekujący pełnoletności, a z nią objęcia Czech, Węgier i swego dziedzicznego księstwa austryackiego, i sześcioletnia Elżbieta, nieświadoma losu przyszłego. Opiekun naszych dzieci królewskich, cesarz Fryderyk III., znany jest ze swojéj łagodności. Wszakże ustawiczne jego roztargnienie ówczesnym bezładem Rzeszy i ciągłe zamieszki domowe sprawiły, że sierotom Albrechtowym, oddanym nadzorowi cudzemu, nie zawsze dobrze się działo. Nie zbywało im jednakże z drugiéj strony na środkach wykształcenia. Pracowali nad niém zacni i światli ludzie.

Już od czwartego roku życia była Elżbieta zaręczoną Fryderykowi, księciu saskiemu, i tylko śmierć narzeczonego zerwała ten pierwszy projekt małżeński. Zdarzył się niebawem nowy konkurent, polski królewicz Kazimierz, syn Władysława Jagiełły. Polskim Jagiellonom zależało wiele na wyswataniu się w domu rakuskim. Jeszcze od czasu wydania jednéj z córek Kazimierza Wielkiego przez Ludwika, króla Polski i Węgier, w dom rakuskich hrabiów Cyllejskich, starali się książęta polscy o kolligackie z książętami rakuskimi stosunki. Toż znane są wczesne zaślubiny królewny polskiéj Jadwigi z rakuskim księciem Wilhelmem. Jego rywal, Jagiełło, mniemał po śmierci Jadwigi jedynie tém utrzymać się przy tronie, iż poślubił Annę

Cyllejkę, córkę owéj przez Ludwika węgierskiego wyswatanéj królewny polskiéj, wnuczkę Kazimierza W. Ciotka téj Anny, cesarzowa Barbara Cyllejka, małżonka cesarza Zygmunta, a babka naszéj Elżbiety rakuskiéj, zdała się Jagiellonom polskim tak bliską, iż Władysław Warneńczyk po zgonie Zygmuntowym i odjęciu Barbarze wszelkich dochodów w Węgrzech i Czechach, przeznaczył jéj zamek, miasto i powiat sędomierski na utrzymanie, „gdzie téż żyła dostatnio, jak długo jéj się podobało". Cesarski zaś następca jéj rakuskiego zięcia Albrechta, cesarz Fryderyk III. — to potomek Piastów i Jagiellonów, jako urodzony z córki Ziemowita Piasta i Jagiełłowéj siostry Aleksandry, z księżniczki mazowieckiéj Cymbarki, poślubionéj rakuskiemu książęciu Ernestowi. Nie dziw więc, iż zgodnie ze zwyczajem czasu i kilkudziesięcioletnim kierunkiem koneksyj familijnych, tak wcześnie nasunęła się Kazimierzowi Jagiellończykowi intencya poślubienia Elżbiety.

Już zanosiło się na spełnienie życzeń Kazimierzowych, gdy wtém i życzliwa matka umarła. W ciągu kilkoletniéj opieki cesarza Fryderyka ustały na niejaki czas dziewosłęby królewicza polskiego, podniesionego teraz, po śmierci brata Władysława pod Warną, na tron ojczysty. Skoro atoli opieka nad sierotami Albrechtowymi przeszła od cesarza Fryderyka do spokrewnionego z dziećmi hrabiego Ulryka Cyllejskiego, natychmiast (w r. 1452.) ponowił król Kazimierz swe prośby o Elżbietę, przesłane obecnie do jéj brata Władysława i nowego opiekuna Ulryka. Władysław Pogrobowiec i hrabia Ulryk przyjęli uprzejmie poselstwo polskie. Powracającym z życzliwą odpowiedzią dziewosłębom królewskim przydani zostali z Wiednia mający zbadać bliżéj wolę, osobę i obyczaje Kazimierza. Pomyślna ich relacya pociągnęła za sobą w następnym roku zjazd poselski w Wrocławiu, gdzie stanęła ostateczna ugoda ślubna. Kazimierz otrzymał przyrzeczenie stu tysięcy węgierskich złotych posagu, a przyrzekł nawzajem trzy miasta królewskie, Koło, Opoczno i Przedecz, na oprawę królowéj. Radzono nad tém przez długich dziesięć dni, w kilkudziesięciu z obojéj strony posłów, pomiędzy którymi byli książęta, biskupi, kanclerze, wojewodowie i kasztelanów bez liku. Ukończonym obradom pobłogosławił głośny z cudów wymowy Jan z Kapistranu kazaniem pod gołém niebem, którego kilkadziesiąt tysięcy ludu słuchało. Za kilka miesięcy, na początku roku 1454., miała młodociana oblubienica stanąć osobiście w Krakowie.

*

Uroczystości przy wjeździe królewny do Krakowa i zaślubinach z królem Kazimierzem liczą się do najwystawniejszych obrzędów dworskich w Polsce. Świetne grono najprzedniejszych panów i pań, mające w orszaku swoim przynajmniéj dwa tysiące koni, powitało oblubienicę przed granicami państwa w Cieszynie. Przed stolicą krakowską spotkał ją z całym dworem sam król, Kazimierz, młody, ledwie 26-letni męszczyzna, przyjemnéj twarzy, wesołego wejrzenia, błyszczący od złota i klejnotów. Obok króla, w bogato przyozdobionéj kolebce, jechała matka Kazimierzowa, stara królowa Zofia. Za nimi ciągnęli dostojnym rzędem arcybiskupowie, biskupowie, książęta szląscy, dygnitarze koronni. U bram miasta przyjęły wjeżdżających procesye wszystkich kościołów, zakonów, cechów i bractw. Całemu pochodowi towarzyszył grzmiący odgłos dzwonów i trąb. Tak król jak i panowie wystąpili z nadzwyczajnym przepychem strojów i rzędów końskich. Rząd samego rumaka królewskiego szacowano na 40.000 złotych. Podobnież i na otaczających króla magnatach świeciły perły, aksamity i złotogłowy. Młoda królewna mogła mniemać, że wjeżdża do kraju złotych gór. A to tylko chęć uczczenia jéj przybycia ustroiła tak bogato króla i panów dworskich. Przez cały tydzień trwały te gody weselne, odprawiano uczty, tańce, turnieje. Po ośmiu dniach liczny orszak węgierskich i czeskich panów i pań, który przybył z Elżbietą, pożegnał ją uroczyście, i hojnie od króla polskiego obdarzony, wrócił nad Dunaj. Pozostawiona w Polsce córka cesarska znalazła przy boku króla Kazimierza godne swoich cnót i przymiotów pożycie. Żywot Elżbiety upływał śród ciągłych trosk macierzyńskich i czynów bogobojności. Najpoważniejsze głosy spółczesne nazywają królowę „dziwnie pobożną, świętą“. Przywiązana osobliwie do najsłynniejszego podówczas zakonu św. Franciszka, miała ona nawet przyjąć dozwolony świeckim osobom stopień tercyarki. Téjże czci ku św. Franciszkowi przeszło dwadzieścia klasztorów franciszkańskich i bernardyńskich, jużto przez samę królowę, jużto za jéj staraniem przez króla zbudowanych, zawdzięczało Elżbiecie swój początek. Oprócz tego pozostały po niéj inne jeszcze zakłady bogobojne. Jest np. takim kaplica św. Krzyża, po prawéj ręce przy wstępie do katedry krakowskiéj, uposażona funduszem na dziesięciu duchownych; jest nim podobnaż fundacya ośmiu mansyonarzów w kościele św. Michała Archanioła w Krakowie; jest niejeden szpital dla ubóstwa okolicznego. A chcąc nawet w ka-

żdéj powszedniego żywota chwili, codziennem zajęciem ręki, służyć Bogu i kościołowi, wypracowała królowa mnogie przybory kościelne, szyła komże, tkała ornaty bogate. To téż wynagrodził ją Pan Bóg hojnie za to błogosławieństwem domowém. Dozwoliło jéj niebo dochować się sześciu synów i pięciu córek, oprócz dwojga za młodu ze świata wziętych. Nieraz dwanaścioro dzieci — chwali się Elżbiecie u ówczesnych wierszopisarzów i kronikarzy — spoczywało razem dokoła matki. Najmilszym jéj sercu, jak naoczni upewniają świadkowie, był średni z synów, Olbracht, młodzieniec wesoły, śmiały, rycerski, pełen wyniosłych zamysłów i przedsięwzięć. Starszy odeń dwoma laty Kazimierz i najstarszy Władysław ujmowali dziewiczą skromnością i potulnością. Młodsi, Aleksander, Zygmunt i Fryderyk, dziwili przyjemnie swoją dziecinną powagą i wczesnym statkiem. Te ich osobiste zalety rozwijało od pieluch bardzo troskliwe prowadzenie. Synowie matki, która tak wysoce ceniła skuteczność edukacyi, iż osobne o niéj pismo pozostawiła, otrzymali wszyscy rozumne, pracowite wychowanie. Już między szóstym i siódmym rokiem życia wychodziły dzieci Kazimierzowe z pod pieczy niewieściéj w ręce wychowawców męskich.

Głównym nauczycielem królewiczów był Jan Długosz, kanonik krakowski, człowiek uczony i pobożny, bezwzględny prawdomowca, ojciec dziejopisarstwa naszego. Obok niego wymieniają współcześni jeszcze pedagogiem chłopiąt królewskich niejakiego Jana Welsa, mistrza z Poznania. Trzecim wychowawcą został później słynny Filip Kallimach Buonacorsi, uczony przybysz włoski, autor kilku szacownych pism o Polsce i Polakach, dla swego bystrego sądu w przedmiotach polityki nadzwyczajnie ceniony u dworu, a zwłaszcza od królowéj. Z tymi nauczycielami przejeżdżali się wychowańcy koronni co kilka lub kilkanaście miesięcy z jednéj strony królestwa w drugą, z jednego zamku na drugi. Widzimy ich pod wyłącznym nadzorem wychowawców, zdaleka od rodziców królewskich, jużto w Tyńcu, jako w najbezpieczniejszém miejscu schronienia się od grasującego naówczas powietrza morowego, jużto w Krakowie pod bokiem szkoły uczonéj, jużto w Starym Sączu, wpośrodku zdrowéj natury górskiéj, jużto wreszcie w zamku lubelskim. Wszędzie męska surowość służyła za główną podstawę wychowania. I głód i mróz i wszelkie trudy ręczne nie były obce wychowankom królewskim. Przyodziani latem w grubą odzież sukienną, zimą zaś w proste kożuszki koźle, jadając poślednią zwyczajnie strawę,

dalecy od wszelkich wygód i pieszczot, oswajali się oni z wszelkimi dolegliwościami żywota, uczyli się wchodzić w niedolę każdego z najniższych poddanych swoich. Wszakże ta szorstkość wychowania fizycznego nie wykluczała wytworności umysłu. Młodzieńcy królewscy przykładali się nawet do takich umiejętności, które podówczas miano jeszcze powszechnie za nowe i niezwyczajne. Mianowicie język i literatura klasyczna stanowiły ważną gałąź nauki. Po dziś dzień można (pomiędzy rękopismami zakładu Ossolińskich) widzieć grubą, starożytną księgę, zawierającą wyciągi z najlepszych autorów klasycznych, zebrane przez Długosza dla królewiczów. W ważniejszych okolicznościach, bądźto przy powrocie rodziców królewskich po dłuższéj nieobytności do stolicy i do bawiących tam właśnie synów, bądźto przy uroczystém podejmowaniu u dworu dostojnych gości zagranicznych, występowali uczniowie Długoszowi z przemową, ułożoną w niezwykłym dla świeckich uszu języku łacińskim, budzącą nim powszechny podziw dla młodocianych mówców. Wtedy i powierzchowność królewiczów nabierała świetności. Zamiast kożuszków koźlich świeciły na nich adamaszki i złotogłowy, zamiast szarych sukień jaśniał karmazyn; a gdy owi goście zagraniczni usłyszeli oracyą synów królewskich, gdy się przypatrzyli ich ujmującym, strojnym teraz postaciom, ich nadobnemu zachowaniu się przy boku ojca — trudno im było późniéj zapomnieć miłego widoku królewiąt polskich, i opisując swoje po północnych i wschodnich stronach wędrówki, barwili radzi ten opis obrazem synów Kazimierzowych, nim jeszcze jeden z nich został świętym, a drugi wiekopomnym ojcem swego narodu.

Synom królewskim wychowanie wzorowe daleką jednało cześć. Przez usta podróżników, jak ów poseł wenecki, rozchodziły się po zagranicy, a zwłaszcza po przyleglejszych krajach Węgrzech i Czechach najpomyślniejsze o młodych Jagiellonach powieści. Stąd gdy w zaburzeniach ówczesnych trony tych ludów niejednokrotnie się opróżniały, szły od nich wzajem prośby o królów do Polski. Skutkiem takiéj odezwy Czechów został najstarszy z wnuków Jagiełły i cesarza Albrechta, dobrotliwy Władysław, jeszcze za życia i za przyzwoleniem czeskiego króla Jerzego z Podjebradu, obrany królem czeskim. Mało co późniéj znaczna część Węgrów powołała drugiego, świętobliwego Kazimierza, na tron węgierski. Własna Jagiellonów ojczyzna, Polska, zniewolona patrzeć, jak narody sąsiednie wydzierają sobie

jéj królewiczów, musiała na młodszych przestawać braciach. Zaprosiny królewiczów Jagiellońskich na trony sąsiednie świadczyły na wszelki wypadek o dobréj ich sławie za granicą, lecz dalsze ubezpieczenie napływających koron przechodziło niekiedy w rzeczywistości dotychczasową materyalną potęgę domu Jagiellońskiego. Koronę węgierską osiągnął późniéj Jagiellończyk Władysław, łącząc ją z berłem czeskiém. Teraźniejsze powołanie do niéj królewicza Kazimierza pozostało tylko bezskuteczném świadectwem czci, jaką synowie Elżbiety posiadali w domu i zagranicą. Zamiast węgierskiéj, uśmiechała się Kazimierzowi inna korona. Gorące ćwiczenia duchowne przy wątłém ciele i owa żarliwość religijna, którą spostrzegamy w uczniu Długosza, zwracały nań wcześnie oczy pobożnego podziwu. Po zgonie w kwiecie młodości zaczęły krążyć pogłoski o cudach u grobu królewicza. Myśl wydania na świat świętego, jakąż błogą rozkoszą musiała macierzyńskie przenikać serce! Ułatwił spełnienie się téj myśli przez kanonizacyą św. Kazimierza przedostatni z synów Elżbiety, mądry Zygmunt. Tysiące dusz zasmuconych, cierpiących, znachodziły odtąd rokrocznie nadziemską ulgę u trumny nowego orędownika w niebiesiech.

Oprócz tego błogosławieństwa niosło wychowanie Jagiellońskie jeszcze mnogie inne, pomyślne krajowi skutki. Uszanowanie dla nauk, głoszone jawnie tak pilném przykładaniem się do nich synów królewskich, wpajało się coraz głębiéj w wyobrażenia i obyczaje całego społeczeństwa. Wzbudzona tém wychowaniem potrzeba światłych nauczycieli, nakazująca otwartymi ramiony przyjmować wszystkich uczonych mężów z stron obcych, przeszczepiona z dworu królewskiego na dwory pańskie, napełniała u schyłku XV. i w pierwszéj połowie XVI. stulecia cały kraj znakomitymi cudzoziemcami, którzy z wielu względów wpłynęli dobroczynnie na dziwnie szybki postęp narodu w oświacie i uobyczajeniu. Mikołaj Kopernik przysposabiał się do swoich odkryć astronomicznych, a Wit Stwosz pracami dłuta swego ozdabiał Kraków Ileż wreszcie przybyszów i ruchu naukowego w uczonéj szkole krakowskiéj! Jakoż najlepszym dowodem zbawiennego wpływu wychowania dzieci królewskich na oświatę powszechną jest ówczesna liczba uczniów téj szkoły. Zgromadzało się ich niekiedy przy uroczystszych obchodach, jak n. p. na pogrzebie Filipa Kallimacha, do piętnastu tysięcy. Za niedawnym przykładem starownego wychowania synów królewskich jął teraz kraj cały tłumnie wychowywać się i oświecać. Patrzyła na to królowa

Elżbieta z powagą uznanéj przez wszystkich matki i wychowawczyni pokolenia młodego. Pamiętano téż przez długie wieki to wychowanie. W sto lat po przybyciu Elżbiety do Polski, w mowie na cześć Zygmunta Starego, wychwala je szerokimi słowy głośny w narodzie Orzechowski. W blisko dwieście lat przypomina je z uwielbieniem biograf Władysława IV. Wazy, Kobierzycki.

Karol Szajnocha.

---

23. Młode lata cesarza Maxymiliana I.

W pamiętniku pewnego Tyrolczyka, który żył w pierwszéj połowie XVI. wieku, następujące czytamy słowa: „Największą dla mnie byłoby radością, gdybym (dla własnéj jedynie przyjemności) zdołał odświeżyć sobie w pamięci i skreślić postać kochanego cesarza Maxymiliana I., który tyle posiadał szlachetności, tyle powagi, cnotliwości, nauki i sławy, iż niewielu panujących w tym względzie równać się z nim może.“ Te szczerym zapałem tchnące słowa najwymowniéj świadczą, jak dalece lgnęły serca współczesnych do tego wielkiego monarchy, jak żywą była w narodzie pamięć o nim nawet późno po jego śmierci.

Urodzony w czasie wojny domowéj (dn. 22. marca 1459.), od pierwszéj chwili życia swego uważany był Maxymilian za zwiastuna lepszéj dla państwa swego przyszłości. Po matce Eleonorze, kobiecie wielkiego ducha, która syna swego nadewszystko kochała, odziedziczył serce tkliwe i żywość umysłu, tak właściwą mieszkańcom południa. Od ojca znowu wziął wzrost okazały i prawdziwie monarszą wspaniałość całéj postaci, łącząc z tymi przymiotami dzielność umysłu i dobroć serca, niezwykłą siłę ciała i żelazne zdrowie. Już w najmłodszych latach odznaczał się niepospolitym dowcipem i wesołym humorem, a zarazem doskonałą pamięcią. Naśladując przykład ojca wcześnie już nauczył się cenić pracę i porządek jako dwie główne dźwignie społecznego życia. Wszystkie zaś te wrodzone przymioty ducha i ciała jeszcze bardziéj rozwinęło staranne wychowanie pod okiem światłych i sławnych nauczycieli.

Wytrwałe ćwiczenia i trudy, pieszo i konno podejmowane, wyrobiły w nim wielką siłę i zręczność, a nadto niezwykłą przytomność umysłu. Równocześnie z szczególném zamiłowaniem oddawał się naukom, pałając gorącą chęcią podniesienia potęgi

i świetności swego domu. Najulubieńszą zaś jego nauką była historya, z któréj znów szczególnym urokiem pociągała go postać Karola Wielkiego: jego obrał sobie za wzór. Nadzwyczaj téż gorliwie zajmował się sztuką wojskową. Z tego powodu z zapałem uczył się matematyki, widząc wielkie jéj znaczenie w tym względzie. Przytém i sztuki piękne zawsze go pociągały; miał nawet wiele zdolności do muzyki i malarstwa, a poezyą chętnie się zajmował. Zresztą tak dalece wszechstronnie ćwiczył się i kształcił, iż nie obce mu było drzeworytnictwo, a nawet — sztuka kucharska! W językach téż bardzo był biegły. Oprócz języka niemieckiego znał dobrze języki: łaciński, flamandzki, francuski, angielski, włoski, czeski i węgierski. O jego wykształceniu wymownie świadczy i to, że gorliwie zawsze zajęty był zbieraniem cenniejszych ksiąg swego czasu i słynniejszych dzieł sztuki.

Przy tém wszystkiém żywą zawsze celował wyobraźnią i taką żądzą szukania przygód, iż nie było dlań niebezpieczeństwa, któregoby się uląkł, nie było przedsięwzięcia, któreby mu się wydało za trudném. Częstokroć tak śmiałe podejmował trudy, iż lękać się musiano o jego życie; to téż jako rycerz, jako myśliwy nie miał sobie równego. Nieraz na łowach, gdy się wspinał po górach, zsunęła mu się ponad głową lawina lub groźne upadło urwisko skały; kilka razy spadł z koniem w przepaść, na kilka sążni głęboką: nic go to jednak nie odstraszało. Raz nawet, ścigając kozła, zapędził się tak wysoko na stromą skałę św. Marcina, że powrócić z téj wysokości nie mógł. Zatrzymał się wysoko ponad przepaścią, na 90 sążni głęboką, nie mogąc się ruszyć ani wprzód ani wtył. Trzy dni i trzy nocy przepędził tak między niebem a ziemią bez nadziei ocalenia. Już opłakiwano przedwczesną jego stratę; już księża z dołu żegnali go monstrancyą i krzyżem: gdy trzeciego dnia udało się śmiałym górnikom wydostać aż na miejsce, w którém on się zatrzymał; poczém spuszczono go na linie, zmorzonego głodem i trudem. Wszystkie przygody jego młodości — a miał ich bardzo wiele — opowiada w sposób allegoryczny utwór poetycki p. t. Theuerdank. Utworu tego autorem według jednych miał być sam książę, według innych sekretarz jego Melchior Pfinzing.

Ze skrzętną oszczędnością ojca nie mógł się zgodzić, jakkolwiek, będąc hojnym, nigdy nie był rozrzutnym. Nieraz téż zato słuchać musiał wyrzutów. Razu pewnego, kiedy za zwykłą

swą hojność takąsamę, jak zawsze, otrzymał naukę, rzekł do ojca: „Łaskawy ojcze! nauczyłem się z dziejów, że książęta austryaccy zawsze więcéj zyskiwali hojnością, niż oszczędnością. Ja wolałbym być władcą zadowolonych ludzi, niż liczyć trwożliwie stosy pieniędzy. Niech raczéj głoszą o nas, że opłaci się nam służyć i że się niejeden przy nas ogrzać może".

W taki to sposób już w młodości zjednywał sobie Maxymilian ludzi, przysposobiając się do przyszłego zawodu, do téj wielkiéj roli, jaką odegrać miał późniéj w dziejach państwa austryackiego.

(Według *Fran. Kronesa*).

---

24. Bitwa pod Mohacsem r. 1526.

Kiedy stosownie do postanowień zjazdu wiedeńskiego z roku 1515. Marya, siostra Ferdynanda, w styczniu r. 1522. oddawała rękę Ludwikowi II., młodziutkiemu królowi Węgier i Czech, któż się spodziewał, że ten związek tak krótko trwać będzie? że słońce rodu Jagiellonów w tych krajach już się ma ku zachodowi? Uroczystości koronacyjne w Stuhlweissenburgu i Pradze, festyny i zabawy, na chwilę przycichłe swary wrogich sobie stronnictw — wszystko to radością napawało serca ludów i pozwalało młodéj parze z ufnością patrzeć w przyszłość. Tymczasem już od południa czarne gromadziły się chmury, straszną zapowiadające burzę.

Zbieg pewien turecki, na dwór Ludwika ze Stambułu przybyły, zapewniał, że już na wiosnę sułtan z wojskiem nadzwyczaj licznem uderzy na Węgry. Wojewoda wołoski również donosił, że niebezpieczeństwo jest groźne, a basza turecki w zdobytym niedawno Belgradzie przysposabiał mnogie statki na Dunaju. Spiesznie więc porozsyłał król Ludwik gońców do ościennych dworów, do papieża, do cesarza, do króla francuskiego, do Polski, prosząc wszędzie o pomoc dla zagrożonego chrześcijaństwa. Przedewszystkiém wydał odezwę do narodu węgierskiego, wzywając uroczyście do obrony ojczyzny. Atoli nawet w obliczu groźnego niebezpieczeństwa nie było na Węgrzech zgody pomiędzy stronnictwami, które ze sobą zacięte toczyły spory; nie było poszanowania praw ni powagi korony; nie było prawdziwéj miłości ojczyzny; wszystko jakby zaślepione było na własną zgubę. Słuszność miał młody król, kiedy do zbuntowanych

panów zawołał: „Na was spadnie odpowiedzialność, jeżeli jakie nieszczęście kraj nasz nawiedzi!“ Nie brakło wprawdzie w narodzie mężów szlachetnych i dzielnych, ale cóż mogły zdziałać jednostki wobec ogółu, poświęcającego dobro państwa chwilowym namiętnościom!

Już 23. kwietnia r. 1526. wyruszył Soliman z Konstantynopola w 300.000 żołnierzy i z kilkuset działami, a dn. 21. lipca t. r. stanął obozem pod Belgradem, który kluczem Węgier nazywano. Niebezpieczeństwo było już bardzo bliskie. Tymczasem spory stronnictw na Węgrzech nie ustawały, a pomoc od obcych — nie nadchodziła. Cesarz Karol V, zajęty był wojną z Francyą; państwo niemieckie miało dość rozterek wewnętrznych; Polska nawet, gdzie rodzony stryj króla panował, nie obiecywała pomocy. Jedynie Ferdynand austryacki i papież Klemens VII. nie opuścili zagrożonéj korony św. Szczepana: pierwszy z nich przysłał oddział zaciężnego wojska, drugi 50.000 dukatów. Trzeba więc było na własnych oprzéć się siłach, a tu pomimo tak groźnego niebezpieczeństwa bardzo nielicznie zbierali się Węgrzy, z Czech zaś mała tylko nadeszła garstka żołnierzy. Król był w rozpaczy. Dla dobrego przykładu i dla dodania otuchy swoim postanowił czynny wziąć udział w walce. Pożegnawszy więc młodą żonę, pospieszył do obozu.

Tymczasem w połowie sierpnia w przeciągu 5 dni przeprawiły się już wojska tureckie przez Dunaj i stanęły pod Osiekiem. Miasto obrócono w perzynę, poczém zaraz daléj udano się w pochód ku dolinie na prawym brzegu Dunaju, gdyż tam oczekiwało już wroga wojsko węgierskie, liczące zaledwie 30.000 żołnierzy. Naczelnym wodzem był Paweł Tomory, arcybiskup Kalocsy, dzielny wojownik. Długo opierał się on podjęciu bitwy z wrogiem o tyle liczniejszym; jeszcze nawet w dniu saméjże walki radził się cofnąć; lecz wreszcie i jego porwał szalony zapał ogółu wojska.

Na południe od Mohacsu rozciąga się ogromna równina, na wschodzie wzdłuż brzegów Dunaju kończąca się bagnami i zaroślami. Dolinę tę przedziela potok Berka na dwie części. Północną zajęli Węgrzy, od południa spodziewano się Turków. Lecz jeszcze ich widać nie było.

Pogodnie zaszło słońce dnia 29. sierpnia. Wojsko węgierskie od rana już stało gotowe do walki. Król osobiście objeżdżał szeregi swoich, zachęcając ich do dzielnéj obrony. Hasłem dnia

tego miały być słowa: „Taka wola Boga!“ Wtém rozchodzi się wieść, że pomiędzy pagórkami, kończącymi południową część doliny, pokazały się pierwsze szeregi Turków. Wzrok wszystkich wytęża się w tę stronę: już widać wrogów, już coraz więcéj ich napływa; już cała dolina roi się od nieprzeliczonych tłumów. Widzą chrześcijanie tylekroć przeważającą siłę przeciwnika, a przecież nie upadają na duchu. Około godziny 3. z południa wojsko chrześcijańskie, które przez ośm godzin w pogotowiu stało, z głośną wrzawą, przy odgłosie trąb wojennych, pierwsze rzuciło się na szeregi tureckie. Natarcie było dzielne. Już zdawało się, że nieprzyjaciel się cofa, już Andrzej Batory przybiegł do króla, wołając: „Nieprzyjaciel ucieka! nasze zwycięstwo!“ gdy wtém rzęsisty ogień z dział tureckich straszne w szeregach węgierskich sprawiać zaczął spustoszenie. Zastęp najdzielniejszych rycerzy, który w pierwszy poszedł ogień, udaną ucieczką nieprzyjaciół oszukany, zapędził się za daleko i wszyscy bez wyjątku polegli. Szalona odwaga pierwszych porwała innych tak, iż jedni za drugimi rzucali się w środek nieprzyjaciół na to tylko, aby, zewsząd przez nich obsaczeni, zginęli. Coraz głośniejsza wrzawa, coraz straszniéj huczą armaty nieprzyjaciół; już umilkły działa węgierskie, już gęsta chmura dymu zasłoniła całą dolinę. Kiedy wreszcie odsłonił się widok, już było po walce. 20.000 chrześcijan leżało na pobojowisku, a między nimi kwiat narodu, najznakomitsi magnaci i książęta kościoła z prymasem na czele. Brał udział w téj walce oddział, z samych mnichów złożony, którzy pospieszyli bronić wiary i ojczyzny; z całego tego dzielnego zastępu zaledwie pozostał — jeden! Przed namiotem sułtana zatknięto na palach głowy 7 biskupów, 28 magnatów i 100 najdzielniejszych z rycerstwa.

Młody — zaledwie 20-letni — król Ludwik wcale siebie nie oszczędzał. Ranny, zaledwie przemocą dał się uprowadzić z pola walki. Lecz w ucieczce, przeprawiając się przez bagno, utonął przywalony ciężarem upadającego nań konia. Straszna burza, która ten dzień gorący zakończyła, uwolniła resztki wojska chrześcijańskiego od niebezpiecznéj pogoni. Atoli dopiero po upływie kilku tygodni, gdy Turcy odeszli, wydobyto ciało młodego króla z tymczasowéj mogiły i złożono w grobach królewskich na wieczny spoczynek.

Wielka jest doniosłość téj bitwy w dziejach monarchii austryackiéj. Odtąd dwa tak wielkie kraje, Czechy i Węgry,

które długi czas istniały odrębnie, a od 36 lat pod jednem były berłem Jagiellonów, przeszły na zawsze pod berło Habsburgów, których państwo stało się odtąd jednem z najpotężniejszych w Europie.

(Według *Fr. Kronesa).*

---

25. Obraz obyczajów za Zygmunta Augusta.

Od zaprowadzenia chrześcijaństwa postępował naród w cywilizacyi za innymi narodami. W kraju lesistym, jak go opisywał Gallus [1]), długo obok rolnictwa było polowanie jedyném i najmilszém zajęciem i rozrywką. Jeszcze Jagiełło rozsyłał zwierzynę z własnych łowów biskupom, prałatom, panom, kapitułom, doktorom akademii, ławnikom krakowskim, nawet sąsiednim książętom. Wystarczała wtedy lada ściana od zimna i słoty, lada ognisko do spoczynku i wygody; ubiegano się tylko o ozdoby złote, srebrne i drogie kamienie.

Z czasem dopiero zaludniający się kraj zakwitnął grodami, kościołami, klasztorami, zamkami, które, jak gdzieindziéj, budowali sobie możni do obrony. Obmurowane, okopane, ze spuszczanym mostem, z wieżami do obrony w ostatniém niebezpieczeństwie, służyły za obronę całéj okolicy; ozdobne zewnątrz herbownym proporcem, wyścielali panowie wewnątrz kobiercami, zastawiali wygodnymi sprzętami. Na odzież zamiast kożuchów, lisów, futer, obszywanych złotogłowiem, weszły w obyczaj lepsze sukna i materye jedwabne. Dostarczał, czego brakowało, handel hanzeatycki. Wiele przedmiotów hutniczych i jubilerskich wyrabiano dość wcześnie w kraju. Pomału zakwitnął domowy przemysł i handel. Już za króla Kazimierza Jagiellończyka zboża polskie szły do Cypru i opisywano Polskę jako kraj nad podziw bogaty, ludny i zamożny, dostarczający obcym, do Francyi, Anglii, Hiszpanii, Portugalii i Holandyi, zboża, lnu, konopi, drzewa, żywicy, wełny, szkła, potażu, soli, miodów, łoju, wosku, futer, ołowiu, bydła.... Do samego Gdańska przybywało z wnętrza kraju 5.000 rozmaitych statków, na nich sześć milionów korcy zboża, za które trzy miliony talarów do kraju wracało. Z odkryciem Ameryki (1492.) i nowéj drogi do Azyi wokoło Afryki (1498.), gdy obfitość złota i srebra ułatwiła zamianę płodów między

---

[1]) za czasów Bolesława Krzywoustego.

narodami, a upadł monopol wenecki i wszędzie wysoko podniósł się handel, wzmógł się on bardziéj jeszcze i w Polsce. Zakwitnęły obok miast pomorskich Kraków, Poznań, Lwów, Wilno, Lublin, Warszawa. Poznań zwali cudzoziemcy miastem, godném wspomnienia dla pięknych ulic i okazałych gmachów i dla znacznéj liczby bogatych kupców, Lublin zaś grodem wygodnym. Gdańsk i Kraków liczyły po 80.000 ludności. Z Gdańska, gdzie bez zadziwienia widzieć mogłeś 400 i 500 okrętów, codzień prawie wychodził okręt ze zbożem i innymi płodami, codzień prawie przybywał z Flandryi, naładowany korzeniami, suknem i t. p. Przyłożyły się do podniesienia krajowego przemysłu: zniesienie myt i ceł tak na wodzie jak na lądzie, wytknięcie dróg, przepisanie im rozmiaru, zbliżenie się państw polskich do Bałtyku po odzyskaniu Pomorza. Obok dróg dawnych pruskich szły teraz drogi handlowe: od Krakowa przez Lwów albo Łuck, Kijów na wschód; przez Wrocław, Głogowę, z Węgier nad Elbę, albo na Czarnków do Prus. August zamyślał połamać progi Dniestrowe, aby ułatwić handel z Konstantynopolem i Wenecyą.

Lepsze spieniężenie płodów krajowych wzmogło pomyślność domową. Wytrzebione zostało z borów Podlasie. Wyżéj jeszcze podniósł pomyślność pokój z Turcyą. Zakwitnęła Ruś z Podolem, gdzie przecie nie trzeba już było, jak dotąd, chować w jamach i jaskiniach przed nieprzyjacielem dostatków i zapasów. Panowie rozbierali „miodem i mlekiem płynące“ ukraińskie stepy, lasami wisień i innych owoców pokryte, co bez nawozu sto ziarn z jednego rodziły, a gdzie w zamokach taka się moc ryb i raków znajdowała, że zgnilizną zarażały powietrze.

Tamto w nadanych ziemiach wzmóc się miały do nieprzebranych bogactw domy Daniłłowiczów, Ostrogskich, Wiśniowieckich, Jazłowieckich, Zbaraskich, Koniecpolskich, Sieniawskich, Kalinowskich, Sobieskich, Lubomirskich, Potockich i inne. Nie były jeszcze przesadzone powinności, które szlachcic na barki ludu wtłoczył; mnożyły się więc wsi, miasta. Ludność kraju i przestrzeń ziemi uprawnéj podwoiła się, a „każdy dobrze się żywił i w dobrych szatach chodził“. Zasłynęły woły pokuckie, stada koni buczackie; jedne i drugie wyprawiano do Czech i Niemiec, i „łatwiéj było teraz o sto złotych, niżeli pierw o grzywnę“. Skarb królewski bez czyjéjbądź krzywdy wzmógł się oczyszczeniem dóbr ze wszelkiego długu.

„Zajaśniał też kraj aż do zbytku w budowlach, w życiu i w strojach". Obcy a współczesny pisarz de Thou zwał Polskę „krajem żyznym, pełnym miast, pałaców, pełnym mężnéj szlachty, łączącéj miłość nauk z dzielnością oręża". W okolicy Krakowa, na drodze zwłaszcza do Olkusza, powstało tyle gmachów w stylu włoskim, że wymienić wszystkich niepodobna było. Upadały mniéj potrzebne, dawne, obronne zamki panów; mnożyły się natomiast dwory i dworki szlacheckie. W dostatniejszych malowano lub złocono ściany; podłogi wyścielano kobiercami; a najmniejsze dworki, nawet z modrzewiowego albo jodłowego drzewa, zdobiły się już oknami szklanymi, które zastąpiły dawniejsze z pęcherza. Dworek miał komnatę od przodu, alkierz na tyle. Z komnaty patrzało się na gumna, co otaczały podwórze ze studnią w pośrodku; alkierz stykał się ze spiżarnią i kuchnią. Na oknach komnaty stawiano doniczki z kwiatami, wokoło ścian pokryte kobiercami ławy albo jaworowe stołki, na stole klepsydrę. Już i zegary były znane (1499.). Na ścianach wisiały rzędy, zbroje, obrazy przodków albo świętych. W alkierzu stały łoża i skrzynie na kółkach. Podłogę potrząsano piaskiem lub zielem. „Staraj się — mówi Rej — aby zawżdy na ścianie zbroiczka chędoga wisiała, w stajni koniczek zawżdy był gotów, jako i służka poczciwy, nie opiły, ku czci i posłudze twojéj i rzeczypospolitéj". Pod oknami zakładały panienki wirydarze, ziółkami i kwiatkami sadzone ogródki. Daléj rozciągał się bujny sad z pasieką. Ogrody wprowadziła królowa Bona: zakładane w smaku włoskim, dostarczały lepszych jarzyn, owoców i służyły do przechadzki.

Szlachcic dzielił się gospodarstwem ze żoną. Do niego żyto, pszenica, jęczmień, groszek, koń, bydełko, — do pani należały nabiały, gąska, kurczątko, powidełka, wódeczka, len, konopie; sposobiła byliczkę, bukwiczkę, kopytniczek, podróżniczek gwoli choroby; przędła, szyła, haftowała. W zimie zwłaszcza, zasiadając z dzieweczkami, przędła, przyspasabiała płócienko. Był z tego wygodny pożytek, a razem w domu porządek. Czeladź schodziła się wieczorem do komnaty na wspólną modlitwę. — Bodajby tak było powszechnie! Ale wielu żyło nad możność. Polacy lubili przepych, przesadzali się w zbytkach, zbytkowali w biesiadach. Wychylać kielichy bez miary było znakiem dobrego wychowania, powściągać się od nich znakiem nieszczerości. Zygmunt Stary przykładem swoim powściągnął nieco pijaństwo, ale nie na długo. Biedniejszy szlachcic pił miód,

piwo, gorzałkę. U panów na stoły, pokrywane kosztownymi obrusami, wyszywanymi serwetami, zastawiane srebrem, szkłem malowaném, szły z przysmakami cudzoziemskimi drogie wina: muszkatel, tokaj, małmazya *(malvoisie)*.

Takisam był już zbytek w ubiorach. Z zachodu podróżni, ze wschodu junacy wprowadzali coraz nowe stroje: mnożyły się tatarskie, tureckie, moskiewskie, węgierskie, hiszpańskie, włoskie. Stąd jedni golili brody i głowy, a z wąsami chodzili, drudzy strzygli je po czesku lub hiszpańsku. Polskiego, narodowego ubioru nie było. Przywdziewano aksamity, adamaszki, materye tkane ze złota i srebra, niebieskie, zielone, szkarłatne, kosztowne futra. Czapki i kapelusze zdobiono kitami z drogich kamieni lub piórami; strusie z czaplimi przemagały. Sługi nawet przybierano w „aksamity, atłasy, szarłaty“. Kobiety przestały téż nosić suknie podobne do zakonnych; przy wystawnych strojach, jakich używały, „zdawało się owszem, jakby cała rzeczpospolita dla nich tylko pieniądze chowała“. Niedawno jeszcze poczytywały różowanie, bielidła za naganny sposób zmyślania piękności; teraz, „misterne“ jak Włoszki, chociaż takiéj nauki nie miały, wyrywały z boleścią włosy na odsłonienie czoła, targały brwi dla ozdobienia oka; pod malowidłem, jakoby w maszkarze, nie mogły się uśmiechnąć ani obejrzéć z obawy, aby się twarz nie złupała.

Do końca cztérnastego wieku nieznane téż prawie były powozy; podróże odprawiano konno. Teraz już tylko służebnych tak wyprawiano, a panowie mieli pozłacane rydwany i kolebki, ozdobne kobiercami, frendzlami, dzwonkami; na nich wezgłowie altembasowe (aksamitne w kwiaty); okrywali je kotarami, zawieszali na łańcuchach; wozili ze sobą łóżka. Zachowały się wszakże i rumaki wierzchowe wielkiéj ceny.

Teodor Morawski.

---

26. Jasyr.

W stepie równym i mogiłami tylko gdzieniegdzie zasianym, pokrytym zieloną, wyskakującą po wiosennych deszczach trawą, zbitą kopyty ordy, wyżłobionym kilku jarami, na lewo ku Dniestrowi szeroko leżała orda, powracająca z łupieży podolskiéj. Dymiły ogniska, nad którymi pieczono końskie schaby, gotowano zacierkę z prosianéj mąki i krew z dorzniętych bydląt, mąką

zatartą. Konie ogromnymi stadami pasły się dokoła. Tam i ówdzie rozsypane były wozy, napełnione wszelkiego rodzaju łupem. Na nich widać było suknie pańskie i chłopskie, bogate sprzęty, ubiory kapłańskie, połamane krzyże i kielichy kościelne, zbroje, futra, makaty, płótna.

Stada owiec, wołów, koni leżały znużone na ziemi, szukając strawy i wody, nie mając siły się podnieść. Mnóstwo ich pozdychało i ze wzdętymi brzuchy, wyciągnionymi skostniałymi nogi, odartą skórą, czerwieniało gołém ścierwem. Daléj leżeli, stali, siedzieli, powiązane w tył mając ręce, nieszczęśliwi niewolnicy wszelkiego stanu, płci i wieku: starcy i dzieci drobne — najmilsza zdobycz Tatarów, bo je wychowywali w swéj wierze i obyczajach — kobiety; niektórzy prawie nadzy, inni popaleni straszliwie, inni ranni, inni obłąkani nieszczęściem i bezprzytomni.

Był to obraz straszliwy, wstrząsający. Dokoła ta dzicz, upojona zdobyczą, wesoła, rozbestwiona, krwawa; we środku jeńcy, płaczący i w milczeniu oczekujący najstraszniejszéj chwili, podziału łupów. Starcy z wejrzeniem osłupiałém, dziewczęta z zapuchłymi od płaczu oczyma, matki rozpaczające, niemowlęta pojone mlekiem kobylém i leżące same na ziemi, po kilkadziesiąt razem; dzieci śmiejące się i skaczące, bo nie rozumiejące jeszcze, co się z nimi działo. Nad każdą kupą Tatarzyn z biczem na straży, często kobieta, baranim kożuchem okryta, z rozwartymi ustami i krwawą źrenicą.

Niejedna niewolnica, zapominając o sobie, szukała oczyma pochwyconéj dzieciny, wyrwanéj córki; niejeden ojciec płakał za synem, który zmarł w drodze, nie mogąc podążyć za koniem Tatara, padł gdzieś w stepie i został na wieki. Mężowie, rozdzieleni od żon, napróżno starający się zbliżyć do nich, dzieci, wyciągające zdala ręce do matek. Wśród tego obrazu siwowłosy stary ksiądz, z krzyżem z dwóch kijów białych związanym na piersi, w łachmanie na zbitych i sinych plecach, klęczący i pocieszający swoich sprawiedliwością Bożą, nagrodami wiecznymi. Głos jego głuszą krzyki Tatarów, pisk dzieci, ryk bydła i gwar obozu.

Daléj to dwa trupy blade, odarte do naga, na których już siedzą kruki i skubią oczy otwarte: jasne włosy dziewczyny rozwinęły się na stepowéj czarnéj ziemi, siwy włos starca rozsunął się po skroni. Nad nimi stara kobieta siedzi związana i płacze: to jéj mąż, to córka. Ale oto chwila stanowcza, w któréj obraz okropny jeszcze się staje straszniejszym, jeżeli

być może: chwila podziału jeńców. Murza, dowodzący wyprawą, usiadł przed rozbitym z pilśni namiotem; wszyscy znoszą, spędzają, zwożą, co kto ma. Ludzie, bydło, rzeczy ściskają się w jednę kupę. Wydzielają część dowódcy, część pojedynczym ludziom; orda się potém rozsypuje w step znowu. Złoto i srebro i suknie i konie i bydło i ludzie — zarówno niemiłosiernie dzieli milczący stary dowódca wyprawy: temu ojciec, syn drugiemu; tu matka, tam córka; tam mąż, a tam żona.

Każdy pędzi własność swoję przed sobą i napróżno jedni ku drugim wyciągając ręce, wołają, płaczą; padają pod razami śmiejących się Tatarów. Krzyki bestyalskiéj radości i wołania o pomoc, która przyjść nie może; jęki konających, ryczenie chłostanych mieszają się ze spiewem Tatarów i tętętem koni. Ci modlą się, tamci mdleją i konają ze strachu, inni poszaleli z rozpaczy. Dzieci na wozach bawią się sznurkami, co je krępują i uśmiechają się do siebie. Ksiądz stary głośno, wyraźnie odmawia modlitwę. Dwa razy ręka Tatara zatuliła mu usta uderzeniem krwawém, a kapłan nie przestał. Murza powoli podjął łuk z ziemi, kazał się ludziom rozstąpić i patrząc na krzyż, który starzec tulił do piersi, wymierzył do serca. Strzałą jedną położył go trupem.

J. I. Kraszewski.

27. Koronacya Anny Jagiellonki i Stefana Batorego.

Obrząd koronacyjny Anny Jagiellonki i Stefana Batorego był świetną i wielką narodową i religijną uroczystością. Byłoto zlanie błogosławieństwa kościoła na osobę, która rozpoczynała panowanie swoje, wstępowała w nowy zawód życia, nowy narodowi swojemu zwiastowała okres dziejów. W tak uroczystéj chwili któżby nie potrzebował błogosławieństwa na trud wielki? któryżby się król nie ukorzył przed majestatem chwili? Témbardziéj potrzebował błogosławieństwa tego król polski, pan wolnego narodu, który z sobą przynosił dolę lub niedolę milionów, wezwany z obcéj ziemi, którego życie łamało się na dwie połowy, przedkoronacyjną i pokoronacyjną. Uroczyste to więc było błogosławieństwo kościoła; uroczysta ta koronacya była całym wspaniałym szeregiem obrzędów.

W dzień na koronacyą naznaczony otwarto kościół katedralny, uszykowali się rzędami strzelcy królewscy nadworni

i nikomu wejść nie dozwalali. W środku kościoła straż także trzymali żołnierze gwardyi. Ludzi było dosyć, ale wskutek wczesnych rozporządzeń uniknięto natłoku tak dalece, że drugie tyle osób do kościoła wejść mogło. Dla królowéj wzniesiono miejsce na podniesieniu u wielkiego ołtarza na chórze. Tam zebrało się już grono co najświetniejszych matron polskich. Poza tém gronem niewiast stali węgierscy panowie, którzy z królem przyjechali. Z drugiéj strony ołtarza naprzeciw zajęli miejsce posłowie ziemscy.

Rozpoczął się wtedy pochód królewski. Zaczynali go z kościoła św. Stanisława, postępując wśród szeregów strzelców królewskich i gwardyi, trzej obecni biskupi, kujawski, przemyski i chełmski, oraz sufraganowie i opaci i duchowieństwo starsze, biskupi pontyfikalnie w infułach i podpierając się pastorałami. Szli tak procesyą do pałacu królewskiego, w którym tymczasem króla przybierał marszałek koronny w suknię, w albę, w dalmatykę, w rękawice, w pierścienie, w koszule złotogłowe tak dalece, że król wyglądał w tym stroju świetnym jak kapłan w Rzymie. Dalmatyka była haftowana złotem, bogata, starodawna, bo już nie do jednego obrzędu koronacyjnego służyła, święta, bo w niéj Jagiellonowie chodzili. Na głowie miał król czapkę książęcą czerwoną z perłami, aksamitną, sadzoną w klejnoty na krzyż. Obok niego leżały oznaki dostojności królewskiéj, dwa berła, dwa jabłka, miecz i korony, a na straży przy tych klejnotach najdostojniejsi senatorowie. Była tam i królowa, ubrana wspaniale w piękną białą szatę powłóczystą.

Do otoczonych gronem panów, króla i królowéj przybliżył się orszak biskupi. Ks. Karnkowski, który miejsce prymasa zajmował, wodą święconą króla pokropił i kadzidłem okurzył; biskup krakowski zmówił modlitwę po łacinie: „Wszechmogący wieczny Boże i spraw ziemskich kierowniku, Ty, któryś sługę Twego Stefana raczył do powagi i godności królewskiéj wynieść, pozwól, prosimy Cię, żeby uwolniony od wszelkich przeciwności, uzyskał dni kościelnego pokoju, ażeby doszedł za Twoją sprawą do radości wiecznego szczęścia, przez Chrystusa Pana naszego. Amen.“

Wtedy dwaj najstarsi, najdostojniejsi biskupi stanęli każdy po innéj stronie króla i rozpoczął się pochód z zamku do katedry. Szło całe duchowieństwo jak wprzódy, a poza niém, bezpośrednio przed królem, szedł naprzód Piotr Zborowski, wojewoda krakowski, i niósł koronę; szedł wojewoda sandomierski Jan

Kostka i niósł jabłko; szedł wojewoda łęczycki Jan Sierakowski i niósł berło; szedł Jerzy Niemsta i niósł miecz koronny, i Kasper Maciejowski, który niósł chorągiew Polski. Następnie zaczynał się orszak królowéj, przed którą niósł koronę wojewoda kaliski, Kasper Zebrzydowski, jabłko Jan Tarło, wojewoda lubelski, i berło Jan z Tęczyna, wojewoda bełski. Przed królową nie niesiono miecza. Najdostojniejszych sześciu wojewodów sprawowało obowiązki koronacyjne. Za królem szli panowie polscy i węgierscy, oraz posłowie postronnych mocarstw.

Orszak postępował wśród pieśni. Biskupi spiewali łacińską antyfonę: „Oto ja posyłam anioła mego“... a chór im odpowiadał. Wreszcie stanął orszak przed wielkim ołtarzem. Ks. Karnkowski wstąpił na stopnie. Klejnoty koronne złożyli panowie na ołtarzu, obok nich znalazło się wino i chleb jako ofiary. Królowa zajęła miejsce swoje na chórze i stanęła osobno przed niewiastami, za nią stanęły dwa karły dworskie. Król zasiadł u ołtarza na wzniesioném krześle, otoczony biskupami, opatami, infułatami, którzy mieli zacząć nabożeństwo. Biskup krakowski przystąpił do wielkiego ołtarza i rzekł do koronatora, ks. Karnkowskiego, po łacinie: „Oto, przewielebny ojcze, żąda od ciebie kościół św., matka nasza, ażebyś obecnego tutaj najjaśniejszego książęcia Siedmiogrodu Stefana podniósł do godności królewskiéj.“ Na te słowa biskupi wszyscy i opaci zbliżyli się do ołtarza, ażeby zacząć nabożeństwo, i miejsca swoje zasiedli; dwóch tylko biskupów zostało przy królu, który ukląkł i modlił się. Biskup krakowski podniósł głos i zaspiewał psalm: „Niechaj Cię Bóg wysłucha“; muzyka odpowiadała spiewem choralnym i organami. Potém znów biskup zaspiewał: „Boże! zachowaj króla naszego!“ a chór odpowiedział: „Wysłuchaj nas w dniu, w którym wołamy do Ciebie!“ Wtedy modlił się biskup: „Boże! upokorzonych ojcze, który nas pocieszasz Ducha św. obecnością, racz nad tym sługą Twoim Stefanem łaskę rozciągnąć, żebyśmy czuli przez niego, żeś wśród nas wstąpił!“ — Po téj modlitwie upomniał biskup króla, mówiąc do niego o wierze, o miłości Bożéj i cnotach królewskich; a gdy król potém ukląkł przed ks. Karnkowskim i zdjąwszy z głowy czapkę książęcą, przysięgę złożył, ks. Karnkowski podał mu ewangelią, a król na niéj położywszy rękę, rzekł: „Tak mi Panie Boże dopomóż!“ Wtedy prymas koronacyjny ukląkł, król upadł krzyżem na złotogłowie, a spiewacy zanucili litanią, któréj chór odpowiadał, aż do słów: „A posłuszeństwo służby naszéj, spraw, żeby rozumne było“, na które chór odpo-

wiedział: „Prosimy Ciebie, wysłuchaj nas!“ Po tych słowach prymas stanął ponad królem leżącym i trzymając krzyż w ręku, spiewał: „I tego wybrańca na króla, mającego się koronować, racz pobłogosławić!“ Chór odpowiedział: „Błagamy Ciebie, wysłuchaj nas!“ Prymas powtórzył spiew z dodatkiem: „I tego wybrańca na króla mającego się koronować, racz pobłogosławić i poświęcić!“ Chór odpowiedział: „Błagamy Ciebie, wysłuchaj nas!“ Biskupi i opaci poklękli, poczém spiewacy ukończyli litanią.

Wtedyto Górka donośnie na cały kościół zawołał: „Już J. K. Mość przysiędze uczyniła zadość!“ Potém marszałek nadworny w zastępstwie wielkiego zapytał się przytomnych, czy chcą, ażeby królowi włożyć na skronie koronę? „Chcemy!“ zawołali wszyscy. Więc prymas koronacyjny usiadł przed wielkim ołtarzem, a król ukląkł przed nim, biskupi poczęli zdejmować z niego dalmatykę i płaszcz, prymas zaś wziął kielich z olejem św. i zmaczawszy w nim wielki palec, pomazał królowi rękę prawą od dłoni do łokcia, ramię prawe, piersi i między łopatkami na plecach, wymawiając słowa: „Namaszczam Cię na króla z oleju, poświęconego w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, Amen. Pokój niech będzie z tobą!“ Chór odpowiedział: „I z duchem Twoim.“ Po tych modlitwach biskup krakowski bawełną ocierał królowi miejsca pomazane, a prymas poświęcał dalmatykę i kapę, poczém wdział je na króla. Odprowadzony na tron, ukląkł król i modlił się, słuchając mszy św. Po Graduale [1]) biskup jeden odmówił modlitwy za króla, poczém znowu przyprowadzono pana z tronu przed ołtarz. Panowie, którzy przynieśli koronę, jabłko, berło i miecz, występowali naprzód, każdemu podawano z ołtarza to, co niósł; stanęli przed prymasem porządkiem, a król ukląkł. Wtedy naprzód od Jerzego Niemsty prymas wziął miecz korony polskiéj, wydobył go z pochew i podał w ręce królowi. Ten mieczem wstrząsnął na znak, że gotów spełnić to, czego prymas po nim żądał dla dobra chrześcijaństwa i Polski, i oddał go Niemście, który włożył do pochew miecz i oddał go napowrót prymasowi. Wtedy prymas przypasał miecz królowi do boku.

Marszałek nadworny zabrał teraz głos powtórnie i znów zapytał się, jak poprzednio, wszystkich, czy pozwalają? czy chcą koronacyi?

— Chcemy! — zawołali jedni.

---

[1]) Część mszy św. przed ewangelią.

— Niechaj tak będzie! — wołali po łacinie drudzy.

— Niech żyje Stefan, Król Polski, Wielki Ks. Litewski! wołali inni. Marszałek według zwyczaju trzeci raz się pytał obecnych o pozwolenie.

— Chcemy! Niechaj tak będzie! Niech żyje! była jednomyślna odpowiedź.

Po takiém trzeciém zezwoleniu prymas koronacyjny wziął od wojewody krakowskiego koronę złotą i włożył ją na głowę króla. Następnie wziął berło złote od wojewody łęczyckiego i włożył je królowi w rękę prawą, a od wojewody sandomierskiego wziął jabłko i oddał je królowi w rękę lewą.

Potém ciągnęła się msza daléj, a król powrócił na tron w koronie, z jabłkiem, berłem i mieczem, i siedział na tronie, póki nie doszło do ofiarowania. Wtedy król powstał z tronu i zbliżył się do ołtarza. Z wyrazami: „pokój z Tobą" podał mu prymas do pocałowania patynę, a zaraz potém i komunią św.

Kiedy już było po mszy św., marszałek podniósł w górę laskę, którą przez całe bezkrólewie nosił schyloną ku ziemi, na znak, że już się skończyło to bezkrólewie i że Polska ma pana, nowego następcę Piastów i Jagiellonów. Biskupi przemyski Kościelecki i chełmski Starozrebski, miecznik Niemsta, kanclerz Dembiński, poprzedzani przez marszałka z podniesioną laską, odprowadzili króla do tronu, wzniesionego wysoko wpośród kościoła, ustawionego pod samymi chorągwiami krzyżackimi, które król Władysław Jagiełło zdobył w nieśmiertelnym boju pod Grunwaldem i Tannenbergiem.

Kiedy król zasiadł na tronie wśród kościoła, biskupi przyprowadzili Annę Jagiellonkę przed ołtarz, a marszałek, powróciwszy z laską, zawołał głośno: „Niech wiedzą wszyscy, że królowa będzie ukoronowana!" Tu zgody izby poselskiéj i senatorskiéj nie było potrzeba, bo małżeństwo samo upoważniało obrzęd. Biskup kujawski (ks. Karnkowski) włożył przy stosownych modlitwach królowéj na głowę koronę, dał jéj w ręce berło i jabłko. Następnie dwaj opaci w infułach wprowadzili panią na owo podniesienie w środku kościoła, gdzie obok króla wznosił się dla niéj przygotowany tron. Zasiedli tedy oboje królestwo w majestacie i siedzieli tak obok siebie podczas całego dalszego nabożeństwa w koronach i z oznakami dostojności w ręku.

Wtedy biskup kujawski zaspiewał uroczysty dziękczynny hymn św. Ambrożego. Kiedy całe zgromadzenie z zapałem hymn powtórzyło, błagając dla króla o błogosławieństwo w przyszłém

panowaniu, nastąpił ostatni akt koronacyi. Przedstawiono królowi kilku z młodzieży do obrządku pasowania, a król dopełnił ceremonii, uderzając każdego mieczem koronnym po ramieniu. Po tym obrzędzie król z orszakiem udał się na pokoje zamkowe.

Odbyła się potém świetna uczta, na którą udali się zaproszeni wszyscy panowie polscy i węgierscy, cały senat i posłowie. Było kilka oddzielnych stołów. Król z królową siedzieli za średnim w koronach pod złotym baldachimem, a obok nich niektóre wybrane niewiasty i dziewice. Przez cały czas uczty trzymano przy obojgu królestwu insygnia koronne, dwa berła i dwa jabłka.

Julian Bartoszewicz.

---

28. Zdobycie Połocka r. 1579.

Zdobyciem Połocka spodziewał się król Stefan zabezpieczyć Inflanty, a mało się od Litwy oddalić. A jakkolwiek byli tacy, co zdobywanie Połocka bardzo trudném dziełem być rozumieli, gdyż położeniem samém to miasto wielce było warowne, a do tego przemysłem ludzkim potężnie wzmocnione, żywnością, działami, wszelkim rynsztunkiem wojennym doskonale opatrzone; przecież król przekonany, iż największe trudności męstwem i stałością mogą być uprzątnione, wydał odezwę publiczną do rycerstwa swego, w któréj wyrządzone sobie od Moskwicina krzywdy i przyczyny téj wojny szeroko, poważnie i gruntownie przytacza. Pominąwszy tedy po lewéj ręce zamek Sokół, którego się oblężeniem zatrudniać nie chciał, stanął pod Połockiem; poczém pospolite odzienie na się wziąwszy, z Zamojskim tylko i Bekieszem naokoło, położenie miasta oglądając, objechał dla upatrzenia miejsca, najsposobniejszego do szturmowania miasta.

Połock naonczas złożony był z trzech części, dwóch zamków i miasteczka, Zapołocie nazwanego. Zamek jeden, na kopcu wysokim postawiony, przeto wyższym nazwany, zasłoniony był od północy Dźwiną, od wschodu Połotą i miasteczkiem, od zachodu zamkiem niższym. Kopiec, na którym stał, był przepaścisty, a do tego głębokim rowem i wałem mocnym obwiedziony. Mury onego i baszty składały się z kilku rzędów dębowych dylów, mocno spojonych. Zamek niższy, który téż zamkiem strzelców nazywano, na pagórku postawiony, z wyższym zamkiem mostem był złączony.

Dobywania zamku ten był porządek: Węgrowie nacierali od tego miejsca, gdzie było miasteczko; trochę daléj Polacy, po nich piechota litewska. Nieco niżéj, niedaleko od Połoty, było postawionych z najwyborniejszéj piechoty węgierskiéj, od Zamojskiego zaciągnionéj, 200 ludzi, którzy podług okoliczności wesprzéć mogli albo Węgrów albo Polaków. Niemcy zaś, przebywszy Połotę, miejsce za miastem naprzeciw obudwom zamkom zajęli i tam swój obóz założyli.

Bekiesz z dział mury burzyć począł. Ale gdy się to nie udawało, dlatego, iż mur czyli raczéj zagroda z drzewa była, a zatém łatwiéj przeszytą niż rozrzuconą być mogła; udał się do kul ognistych. Ale nie wiele one pomogły, bo kiedy do wyższych części zagrody mierzono, i one na wylot, nie sprawiwszy skutku pożądanego, przechodziły; rażąc zaś niższe części, kule bardziéj w ziemię niż w ściany zagrodne wpadały. Nadto dla ustawicznych deszczów Połota tak wezbrała, że przejechać przez nią i jeźdźcom niebezpiecznem było. Bekiesz zatém spostrzegłszy, iż użyte dotąd sposoby nieskuteczne były, ochotników, wielkie im ofiarując nagrody, namawiał, aby rozpalonymi pochodniami zagrodę podpalili. Jakoż nie mało się o to i długo, jednak daremnie kusiło, lubo z Polaków i Litwinów jednych za drugimi pod zamek wysyłano. Nie mniejsza téż stałość Moskwy była w bronieniu zamku. Mieli gotowe po murach kładziny, które łatwo popychane, zwalały się na naszych postępujących i kogokolwiek najmniéj zarwały, o śmierć go lub kalectwo przyprawiały. Do gaszenia ognia zbiegali się z największą skwapliwością, bez względu na największe niebezpieczeństwo, obywatele wszelkiéj płci, wszelkiego wieku, nawet spuszczali się przez mur na sznurach dla czerpania wody, podawania jéj i gaszenia miejsc ogniem zajętych; a lubo ich nasi ze wszech stron razili, zawsze jednak znajdowali się tacy, co na miejsce zabitych następowali. Często nawet bywało, iż gdy na jedno miejsce dla przytłumienia ognia się skupili, z dział nakierowanych wielką w nich klęskę sprawiono, którą pomnażały odrywki zagrody, szkodliwsze jeszcze nad kule.

Wszakże i naszym z oporem niemałym szło to oblężenie. Wielka była trudność w sprowadzaniu żywności, gdyż kraj aż do połowy drogi do Wilna cały był spustoszony. Przytém Moskwicin, który z wybornem wojskiem stanął pod Pskowem, dowiedziawszy się, iż Polacy oblegli Połock, najprzedniejszą część wojska pod dowództwem Borysa Sehina i Teodora Szeremeta,

wysłał na odsiecz oblężonemu miastu. Ale ci, spostrzegłszy, iż wszystkie drogi do Połocka były im przecięte, zatrzymali się pod Sokołem, a stamtąd wielce dowozom i zbieraniu strawy dla koni przeszkadzali. Nadto pora roku tak dżdżysta była, iż drogi wszystkie stały się nieprzebytymi, a wszędzie widać było ścierwa koni, umorzonych pracą, ich siły przewyższającą. W obozach nawet i pod namiotami nie było miejsca, gdzieby się można było ostać.

Tak wielu trudnościami król uciśniony radę złożył dla wyrozumienia, coby w takich okolicznościach czynić należało. Najwięcéj tego zdania było, żeby pójść obławą na miasto i ze wszystkich stron całą siłą szturm przypuścić. Nie podobało się to królowi, gdyż po straceniu takiego szturmu nicby nie pozostało, jak tylko z hańbą od oblężenia odstąpić. Przeto najznaczniejsze nagrody wyznaczywszy, namawiał Węgrów, aby się do murów dla ich podpalenia dobrali; jazdę zaś, a w niéj najwaleczniejszych, zachęcał, aby konie zostawiwszy, z piechotą pod zagrodę miasta podeszła. Najbardziéj jednak zalecał, aby wystrzegali się błędu, któremu dotąd podpadali, to jest, że się wracali, nim jeszcze dobrze zajął się pożar. Żołnierze, wielce zachęceni, sunęli się z pochodniami i innymi do tego przygotowanymi palnymi narzędziami pod mury, a że właśnie naonczas i deszcze ustały, wzniecili pożar wielki, który się prędko rozszerzył i przez cały dzień 29. sierpnia ugaszonym być nie mógł. Gdy się to działo, król obawiający się, aby wojska nieprzyjacielskie, pod Sokołem zostające, pożarem tym, z daleka widzianym, przestrzeżone nie nakłoniły się do przybycia na pomoc miastu i aby w tymsamym czasie z miasta nie przedsięwzięto wycieczki, całe wojsko z obozu wyprowadził i w gotowości do boju trzymał; sam zaś zostawiwszy straż dostateczną w obozie, z nadworną swoją jazdą za Połotę wyjechał, gdzie pilniejsze mógł mieć oko i na gościńce do Sokoła i na miasto, gdyby zamyślało przedsięwziąć wycieczkę.

Kiedy już zmierzchało, zdawała się rzecz bardzo trudna i niebezpieczna na ten przepaścisty wzgórek przedzierać się przez płomienie, albowiem trwał jeszcze pożar, a inszéj do zamku nie było drogi: przeto król rzecz tę do następującego dnia odłożyć postanowił. Tymczasem gdy król do obozu powrócił, Węgrowie, na stanowiskach będący, z sobą się zmówiwszy, hurmem wdarli się przez ogień, sami dobrze opaleni, na zamek; zachęceni tym przykładem przyłączyli się do nich Polacy, w piechocie służący.

Oblężeni naprzeciw téj stronie, która ogniem spłonęła, rów wewnątrz miasta szybko wykopali, pomniejszymi działami osadzili i odparli naszych tak, że się tąsamą niebezpieczną drogą cofać musieli; co tyle serca oblężonym dodało, iż ustępujących ścigali i niemałą w nich klęskę sprawili. Byliby za zuchwałość swoję większą jeszcze ponieśli karę, ale Zamojskiego piechota, widząc swoich pierzchających, w porę im na pomoc przyszła i nieprzyjaciela nazad do miasta odegnała. Nieprzyjaciel o sobie nie zapomniał, z wież wszystkich, a mianowicie z najwyższéj na środku zamku, ognia z dział na wszystkie strony dawał, przez co i król sam, z Zamojskim wtedy rozmawiający, w wielkiém był niebezpieczeństwie. Gdy się bowiem z téj rozmowy Zamojski, chcąc na innego konia się przesiąść, oddalił, drugi jezdny tożsamo miejsce zająwszy, tuż przy królu od kuli armatniéj zginął. Uspokoiła się ta wrzawa w nocy.

Nazajutrz nowy szturm przypuścić postanowiono. Moskale też pogorzelisko, przed nowym rowem dnia poprzedzającego opuszczone, znowu osadzić zamyślali. Król, nie chcąc im dać sposobności okopania się na oném miejscu, kazał żołnierzom swoim wedrzéć się na wał i miejsce to zagarnąć. Węgrowie pędem tę część wzgórka opanowali i od niéj na jednę i na drugą stronę pociągnęli okopy, a tak dostawszy się do najbliższéj baszty, onę zapalili. Trwał ten pożar przez noc całą, a tymczasem z przodu nieprzyjaciela rażąc z dział, w nocy przykopy posunęli aż do tego miejsca, gdzie się kończył rów, poprzedzającego dnia na prędce pociągniony. Kiedy więc wszelkiéj obronienia się nadziei pozbawiony został nieprzyjaciel, począł o warunkach poddania się myśleć.

Wysłani więc byli imieniem wszystkich bojarów i żołnierzy posłowie, którzyby je umówili. Pozwolono im z odzieniem przenieść się, gdzieby tylko chcieli. Władyka tylko i wojewodowie w zamku zostający sprzeciwiali się poddaniu, bo od dawna już zamyślali, podpaliwszy prochy, zamek i wszystkich w nim zostających na powietrze wysadzić, czego im żołnierze uczynić nie dopuścili; zaczém kiedy się wszyscy poddać przedsięwzięli, oni jedynie w cerkwi się zawarli, wyraźnie oświadczając, iż gwałtem tylko stamtąd wyprowadzić się dadzą. Król zatrzymawszy posłów, władykę i wojewodów przed siebie stawić kazał. Przyprowadzeni, obyczajem narodu swego czołem w ziemię bijąc, króla powitali. Tymczasem wysłano część Węgrów i część Polaków, aby objąć zamek. Potém Moskalów, którzy jeszcze

w zamku pozostali, wyprowadzić kazał, wyznaczywszy wpierw tych, coby ich od wszelkiego przez żołnierzy nagabania strzegli. Wychodzącym dwa place wskazano, jeden dla tych, co iść pod panowanie króla i wierność mu poprzysiąc obiecywali, drugi dla tych, co powrócić do Moskwy sobie życzyli. I tym i onym zupełną zostawiono wolność przedsięwzięcia tego, coby się im bardziéj podobało. Większa część obrała powrócić do ojczyzny i pana swego, lubo każdy z nich był przekonany, iż na męczarnie i śmierć idzie. Ale tą razą car łaskawości użył, częścią iż widział, że poddali się gwałtowną potrzebą przynagleni, częścią iż go złe powodzenia od zwykłego okrucieństwa odwiodły. Kazał im udać się do pobliższych zamków, gdzieby męstwa dowodami zatarli plamę straconego Połocka.

Największego król starania dołożył, aby zabrani żadnéj od wojska polskiego krzywdy nie ponosili, tak dalece, że gdy w przytomności króla żołnierz jeden, nie spodziewając się w takim tłumie być spostrzeżonym, wychodzących z zamku Moskali odzierać począł, król przybiegłszy, buzdyganem go uderzył, przez co sobie wielką u zwyciężonych chwałę łaskawości zjednał. Tém zaś trudniéj było żołnierzy zwycięzców wstrzymać, iż zwyciężeni podczas oblężenia dali dowody najsroższego okrucieństwa.

Zdobycz w zamku daleko mniejsza była, niż się spodziewano; Moskale bowiem po objęciu Połocka wszystkie tak prywatnych ludzi, jako i kościołów dostatki, i to bardzo znaczne, mało co kościołom zostawiwszy, w głąb Moskwy byli wywieźli. Wojennego sprzętu, zwłaszcza prochu, tyle jeszcze było, iżby, lubo wiele go podczas oblężenia użyto, jeszcze był wystarczył na czas jak najdłuższy. Żywności też i strawy dla koni obfity był zapas, który się wielce przydał naszym dla podźwignienia ich sił, trudami i niedostatkiem bardzo osłabionych.

Jan Albertrandi.

---

29. Bitwa pod Kirchholmem,

(dnia 27. września 1605.)

Chodkiewicz, całą swą siłę mający w jeździe, nie chciał zwodzić bitwy ani na brzegach morskich, gdzie nieprzyjaciel w okrętach miał schronienie i pomoc, ani w miejscach błotnistych lub górach, gdzie z jazdą rozwinąć się nie mógł; przeto podążył ku Rydze i stanąwszy pod Kiesią, okopał się, w twardém

i dogodném miejscu nieprzyjaciela czekając. Czekał tam hetman przez tydzień cały, gdyż Karol, połączywszy wszystkie swe siły, wszelkimi sposobami wprzód kusił się o Rygę, odpędzany jednak rażącym ogniem od miasta, a dowiedziawszy się, że Chodkiewicz zbliżył się pod Rygę, umyślił ciągnąć naprzeciw Polakom. Pełen przechwałek i zarozumienia wcześnie łupy Polaków pomiędzy wodzów swoich rozdzielił, dwoisty żołd wypłacić przyrzekał, i by przedniejszych około siebie zagrzać i zachęcić do bitwy, dał im kosztowną ucztę w Blumental, wiosce około Rygi leżącéj.

Gdy biesiadnicy już dobrze byli podochoceni, przywiedziono schwytanego na podsłuchach żołnierza polskiego z związanymi wtył rękami. Byłto Krajewski, szlachcic litewski, z chorągwi sławnego rotmistrza Niewiarowskiego. Śmiała postać jego, umysł nie zmieszany niewolą, ogromny szyszak na głowie, na piersiach pancerz, zwieszona z barków skóra lamparcia, dały wodzom szwedzkim powód do pochwały wspaniałéj rycerskiego męża postawy. Urażony tém popędliwy Karol, obracając się do Mansfelda, rzekł: „Włóż i ty na siebie wilczą skórę, a będziesz równie strasznym; może być takich kilkunastu!“ Na co Krajewski, uprzedzając pytania Szwedów, rzekł tonem spokojnym: „Wojsko nasze, najjaśniejszy książę, jest szczupłe, zmordowane pochodem, nie liczące jak półczwarta tysiąca ludzi, atoli hetman mój i w téj małości bitwę z wami stoczyć jest gotów“. — „Gotów?! przerwał ze złością Suderman; — zaiste hetman twój musi być bardzo zuchwały!“ — Tu wodzowie szwedzcy, którzy nieraz już oręża lub pojmania Polaków doznali, głośne odwadze ich dawali świadectwo; zgromił ich Karol, chcąc jednak pojmanemu jeńcowi uczciwość uczynić, kazał mu siąść ze sobą do stołu, a po skończonéj wieczerzy, chcąc podejść Chodkiewicza, w 10.000 piechoty i 4.000 jazdy ruszył pod Kirchholm.

Inna była rzeczy postać w Chodkiewicza obozie. Nakazano po chorągwiach modlitwy i, ile dozwalała ostrożność, spoczynek.— Gdy świt czerwienić się zaczął, a podsłuchy doniosły, że Szwedzi okazywać się jęli z daleka, wszedł do namiotu hetmana Wincenty Wojna, zapytując, jakie były jego rozkazy. Chodkiewicz na to: „Naprzód do Boga, potém do oręża i koni“. I natychmiast po wysłuchanéj mszy wdział zbroję i wyjechał rozpoznawać szyki nieprzyjacielskie.

Stanęli Szwedzi opodal od naszych, obsadzając wszystkie pagórki działami i liczną piechotą. Roztaczała się obszerna równina między nimi a wojskiem polskiém, które Chodkiewicz

w ciasne zbiwszy hufce, tak postawił, że górami było zakryte; co Karol spostrzegłszy: „Nie powiedziałem, rzekł, że Polacy uciekną?“ Ledwo to wyrzekł, gdy wojska polskie w ściśnionym szyku pokazały się na wzgórkach. Zaczęto bić z dział, i harcownicy nasi wysypali się naprzód. W téjże chwili pokazał się Fryderyk Ketler, książę kurlandzki, lennik królestwa, w 300 koni dobranéj szlachty wpław przez Dźwinę na pomoc naszym idący. Widok ten wzbudził radość z nadchodzących posiłków, wzbudził trwogę niebezpieczeństwa, w którém się to waleczne rycerstwo znajdowało. Dźwina bowiem, już bliska ujścia swojego, tak była w tém miejscu głęboką, iż nieraz głowy tylko końskie i unoszące się nad bystrymi nurtami pióra hełmów widać było. Szczęściem atoli hufiec ten bez szwanku na drugą przeprawił się stronę. Hetman, przywitawszy z radością książęcia, postawił go zaraz na wsparcie hufca Wincentego Wojny, z 300 kopijnikami czoło wojska trzymającego. Lewe skrzydło powierzył Tomaszowi Dąbrowie, prawe Janowi Sapieże, staroście uświackiemu, z mocném zaleceniem, by się przeskrzydlić nie dali.

Już harce trwały przez więcéj dwóch godzin, gdy Chodkiewicz, spostrzegłszy, że nieprzyjaciel z górzystéj swojéj posady w równinę spuścić się nie chce, dał rozkaz, ażeby udając ucieczkę cofali się do szyków swoich. Tak często powtarzanemu fortelowi dał się uwieść popędliwy Suderman; zaczął z pagórków zstępować z pospiechem, który nieco szyk wojska jego pomieszał. Skoro to zoczył wódz polski, natychmiast zbitym swym hufcom rozwinąć się kazał, stawiąc równe nieprzyjacielowi czoło. Nadto pokazało się wtyle nieznane wojsko: byli to pacholicy i ciurowie obozowi, którym hetman mimo wiedzy rycerstwa swego dla pozoru tylko w szyki ustawić się kazał; stąd wieść i pomiędzy naszymi i u nieprzyjaciela rozchodzić się zaczęła, że Jan Radziwiłł z nowymi posiłkami z Litwy przyciągnął: naszym serce rosnąć, nieprzyjacielowi upadać zaczęło.

Hetman wiedząc, jak wiele od pierwszego natarcia zależy, kazał uderzyć we wszystkie trąby i kotły, i hufiec Wincentego Wojny pchnął na łamanie czoła wojska szwedzkiego. Długo nieprzyjaciel, nieporuszony jak mur, nadstawiwszy potężne włócznie, rażąc z muszkietów ludzi naszych i konie, nie dał się przełamać. Husarze nasi pędem koni tratując, bodąc kopiami, szablami nakoniec ucinając drzewca, rum sobie czynili. Za nadbiegnięciem Kurlandczyków nadwerężone już szyki łamać się

zaczęły, pękł nakoniec ten utkany spisami parkan. Śmierć walecznego Lindersona ostatek mu serca odjęła. Wojownik ten od ciężkich ran na nogach utrzymać się nie mogąc, padł na kolana, i nim skonał, jeszcze kilku naszych zabił.

Gdy się tak powodzi Polakom na czele, Tomasz Dąbrowa, przywodzący lewemu skrzydłu, korzystając z powstającego od morza wiatru, dym i piasek miotającego w nieprzyjaciół oczy, znosił rajtarów Mansfelda. Od jego to szabli poległ książę lüneburski, zięć Karola, który bez hełmu na głowie potykał się pieszo. Znaleziono ciało jego z rozpłataną głową i ręką uciętą.— Uporczywiéj szła walka, gdzie się Jan Piotr Sapieha przeciw Brandtowi potykał. Po dwakroć nieprzyjaciel poprawiał się i z zażarciem wracał do boju. Sam hetman był w niebezpieczeństwie życia. Gdy bowiem biega pomiędzy szykami i rycerstwo zachęca, rajtar szwedzki, pomyliwszy się, zamiast wodza jednego przy nim będącego młodzieńca z pistoletu zabił. Poskoczył sędziwy Chodkiewicz i w biegu konia szablą zdjął mu głowę z kadłuba. Przybywają wtém na pomoc z chorągwiami swymi Wilamowski, Giedrojć, Borkowski, Łaski — i ostatecznie Szwedów spędzają.

Tu już okropne pomieszanie i rzeź krwawa. Pierzchających w nieładzie siekli nasi z zapalczywością. Sam Suderman raniony, uciekając do morza bez kapelusza, byłby wpadł w ręce naszych, gdyby mu Henryk Wrede nie podał konia i własnym zgonem nie ocalił mu życia. Na samém pobojowisku naliczono dziewięć tysięcy trupów, prócz tych, co daleko w ucieczce przez ciurów i miejscowe chłopstwo pobici zostali. Poległo wiele znakomitéj szlachty; Brandt, schwytany żywcem, jako zmiennik w Krakowie gardłem skarany; wzięty cały obóz szwedzki, dział jedenaście, chorągwi sześćdziesiąt, kredens srebrny Karola i wiele kosztownych sprzętów. Z naszéj strony najwięcéj włóczniami nieprzyjaciół pobitych i poranionych padło koni, poległo do stu rycerstwa, więcéj nierównie było ranionych.

Oczyściwszy Inflanty od nieprzyjaciela, wszedł Chodkiewicz w tryumfie do Rygi, pogrzebał z uczciwością ciała poległych, a Jana Piotra Sapiehę wysłał do króla z doniesieniem o tak ważném zwycięstwie. Przybył Sapieha do Krakowa dn. 6. października, właśnie gdy król znajdował się na nabożeństwie w kościele katedralnym, a sławny wymową Piotr Skarga kazał przed zgromadzonym senatem i dworem. Natychmiast kaznodzieja

przerwał swą mowę, padł na kolana przed Bogiem zastępów, padł Zygmunt, senat i lud zebrany, wszyscy ze schylonėm w ziemię czołem, dziękując Bogu za dane orężowi polskiemu tak świetne zwycięstwo.

Julian Niemcewicz.

---

30. Wyprawa chocimska, r. 1621.

Mając rozejm z cesarzem i z Persyą, mógł Osman użyć wszystkich sił swoich. Jakoż, lubo byli w radzie jego, co nie życzyli wojny z Polakami, otrąbić kazał wojnę po Azyi i Afryce. Na znak, że osobiście wystąpi do boju, zatknął buńczuk przed pałacem swoim (7. maja). Arabia, Syrya, Egipt, przystawiły szyki swoje. Obok żołnierza regularnego, wystąpili Tatarzy i Wołosi całą ludnością. Rachowano wojska 3 do 400.000, dział większych 115, polowych 250, 10.000 wielbłądów, dwa razy tyle bawołów; cztėry słonie niosły namioty cesarskie. „Jeszcze nigdy takiėj siły nie widziała Europa, ani tėż podobnėj wojny nie zasięga pamięć ludzka“.

Polakom pomoc obca nie dopisała. Papież Grzegorz XV. przysłał królowi poświęconą chorągiew: zdobił ją krzyż na piersi orła z napisem: za chwałę krzyża. Ale, równie jak cesarz, wymawiał się od posiłków wojną „heretycką“ w Niemczech. W zasiłkach pieniężnych Ojciec św. postąpić nie mógł nad 20.000 złotych (dzisiejszych 80.000). Anglicy wydrukowali i rozkupili tysiące egzemplarzy mowy Jerzego Ossolińskiego, który do nich poselstwo sprawiał; ale Jakób I. obiecał tylko skłonić Szwecyą do nowego zawieszenia broni i przewieść swoim kosztem 5.000 żołnierza do Gdańska, byle go sami Polacy zwerbowali. Jeden arcyksiążę Albert, wielkorządca Flandryi, wsparł Polaków rynsztunkiem wojennym na kilka tysięcy żołnierza. Krajowych także posiłków, jak zwykle, nie doliczono się. Zapełnione były grody protestacyami. Podskarbiowie przeciwko poborcom, poborcy przeciwko szlachcie protestowali, ta protestowała przeciwko tamtym. Ze żydów ściągniono tylko 70.000 złotych. Duchowieństwo przydało na synodzie piotrkowskim (w maju) 150.000 złotych (dzisiejszych 600.000). Dostawcy materyałów wojennych dopuścili się oszustwa na liczbie i wadze: kule były za lekkie, prochy w części zamoczone; dział polowych było tylko 28; więcėj

pożyczyć wypadło od Kozaków. Roty nadworne leniwo téż zbierały się. Panowie Ostrogscy, Sobiescy, Potoccy i niektórzy inni nie dostarczyli nad 10.000 ludzi. W. hetmanowi nie pozostawało, jak polecić się Bogu. Chodkiewicz kilka lat pierw w Krożach, mieście środkowém na Żmudzi, ufundował był szkoły Jezuitów, którzy tymi czasy, „po całym świecie, bądź napawając młódź naukami, bądź wykorzeniając kacerstwa, bądź naprawiając obyczaje, pożyteczną łożyli pracę“. Teraz na śmierć pewną (jak dopiero Żółkiewski) wybierając się, uposażył kościoły jezuickie w tychże Krożach i Nieświeżu. Poczém prosto od ślubów małżeńskich, w które, już sędziwy, wszedł powtórnie z Anną Ostrogską, wojewodzianką wołyńską, pobiegł do obozu litewskiego.

Obóz ten gromadził się pod Lwowem. Koronne wojsko zbierał Lubomirski w Skale nad Zbruczem. Połączyły się obadwa nad Rzepnicą (14. lipca). Wielki wódz zadrżał, gdy się okazało, że mieć nie będzie połowy uchwalonego przez sejm żołnierza: cięższkiéj jazdy było około 10.000 zamiast 18.000; Lisowczyków pod Rusinowskim tylko 1.200; Kozaków nadwornych 7.000; piechoty swojéj i niemieckiéj nie było nad 14.000. Całą liczbę wojska podaje najwiarygodniejszy świadek na 34.987 ludzi. O pospolitém ruszeniu ani było wieści. A do tego obawa o żołd wzniecała już rozterki w obozie; musiał hetman uciéc się do wybiegu, zaręczając każdéj chorągwi tajemnie, że pierwszą będzie do wypłaty. Pamiętnemu wyprawy moskiewskiéj, niemiłe także sprawiał wrażenie przydany dozór w delegacyi. Zatrwożony, aby się nie stał celem pocisków, jak Żółkiewski, musiał zasłonić się wczesną przeciwko nim protestacyą; chciał nawet złożyć buławę, ale przemógł wstręt dla miłości ojczyzny. Podzielone na 10 pułków, pociągnęło wojsko nad Dniestr, pod Brahę. Wiele żołnierza, zwłaszcza Niemców, zbiegło jeszcze w drodze; po imieniu wytrąbywano zbiegów w Kamieńcu.

Było zamiarem królewskim, aby w. hetman zabiegł drogę Osmanom przy Dunaju: łatwiéj byłoby bronić przeprawy przez rzekę i wskórać coś z pomocy Wołochów. Ale Osmanie, rozporządziwszy wcześnie Bułgarom i Wołochom pobudowanie mostów, z niezwykłym u nich pospiechem przeprawili się już przez Dunaj w pierwszych dniach lipca. Nie czekając na królewicza, którego pochód opóźniała choroba własna a zaraza w piechocie niemieckiéj, przeszło wojsko Dniestr (8.—16. sierpnia); przebyło go w największym porządku, nim jeszcze budowa mostów wy-

kończoną została. Z wyciągnionymi, błagającymi rękoma przyjęli je Mołdawianie. Chodkiewicz stanął pod samym zamkiem chocimskim, o który się oparł. Z jednéj strony otaczały go skaliste brzegi rzeki, z drugiéj krzewiny i lasy; przed sobą miał równinę do walki. Most naprędce dla królewicza obwarował. Przybywa wreszcie (1. września) 30.000 towarzystwa zaporoskiego, które przez ośm już dni ścierało się z Tatarami, aby sobie drogę otworzyć.

Niebawnie (2. września) tuman kurzawy, jakby obłok piaszczysty, objawił zbliżenie się niezliczonych wojsk Osmana. „Zawitał dzień, pamiętny dla wszystkiéj potomności!“ Chodkiewicz przemówił do rycerstwa. „Pole to — rzekł — nie słów, lecz czynów. Nie stworzyła mnie téż przyroda na mówcę, ani wam starczyłoby czasu na słuchanie. Przypomnę wam tylko, że nie o to już chodzi, czy Wołoszczyzna będzie naszą; na naszych prawicach leży owszem zdrowie i nadzieja całéj pospolitéj rzeczy. Podziękujmyż Opatrzności, że zdrowo nas wynosząc z tylu bojów i przygód, zachowała na dzień dzisiejszy, kiedy albo żywi dobrze zasłużym się królewskiemu majestatowi i téj sławnéj rzeczypospolitéj, albo pomrzemy za jéj całość. Dla dzielnego rycerstwa otworzyste to pole nieśmiertelnéj sławy. Co do mnie, gdy wszystkie zaszczyty i dostojeństwa skupiły się na mnie, jedno mi tylko już pozostaje życzenie, abym życie w obronie kraju położył. Na dane hasło uderzmyż zatém na wroga, Polacy i Litwini, pomnąc na pradziadowską chwałę. A ty, święta sprawiedliwości potęgo, przez którą królowie i wodzowie panują i zwyciężają, dodaj nam siły; ty, Boże! wstrzymaj pomstę za grzechy nasze; wymierz karę nad niesprawiedliwymi; niech pozna pogaństwo, żeś Bogiem i obrońcą naszym!“ Zapłakało wielu; wszyscy wyspowiadali się kapłanom z rozmaitych zakonów, którzy przebiegali wojenne szeregi; kto zaniedbał w domu, spisał teraz notatki testamentowe. Podniósł się spiew do Bogarodzicy. Osman, ledwie pojmując, że tak szczupła garstka odważyła się wystąpić przeciwko nieprzebranym wojskom jego, pewien zwycięstwa, zawołał, że nie weźmie pokarmu, aż wszystkich zuchwalców na wieczerzę do piekieł wyprawi, i natychmiast, bez dania wypoczynku żołnierzowi swojemu, uderzyć rozkazał. Z wielkim zapałem z obojéj strony stoczoną walkę noc dopiero przerwała. Poległ pasza Sylistryi; inny z wodzów osmańskich dostał się do niewoli; zasłane zostało pole trupem nieprzyjaciół.

Pod najszczęśliwszą wróżbą poczęła się walka. Radby był korzystać stąd Chodkiewicz. Porywczy i skwapliwy w działaniu, chciał on nazajutrz walkę odnowić, aby, jeżeli można, skończyć wojnę, póki była ochota w rycerstwie, żywność w obozie, pora nieprzykra, a większa obfitość kul i prochu; chciał ją zakończyć, nimby „żołnierzowi słoniny brakło“. Ale po naradzie, którą w nocy z delegatami sejmowymi odprawić musiał, wypadło mu wstrzymać się do przybycia Władysława. Mówiono, że lepiéj doczekać się pory zimowéj, tak przykréj azyatyckim ludom; że ostrożnie używać należało sił, na których polegała całość rzeczypospolitéj; że żywności dostarczy bliski Kamieniec. Przypominano nauki królewskie, zalecające wielką ostrożność. Prócz tego, rycerstwo odmówiło spółki z pachołkami, którymi hetman chciał zapełnić rzadkie szyki swoje, a którzy tak mu dzielnie usłużyli pod Kirchholmem. Byłby to przybytek nieszczupły, bo zawsze w obozach, liczyć można, było pięć razy tyle pachołków, szeregowych, pocztowych, luzaków, co rycerstwa: było obyczajem używać ich tylko w taborze, do obrony zapasów.

Przybył Władysław (3. wrz.), przerznąwszy się przez tłumy Tatarów, którzy mu odcinali już drogę od Kamieńca; ale stoczona wśród skwaru walka powiększyła słabość jego. Osmanie przysunęli obóz swój na 4.000 kroków pod obóz polski. Rozłożyło się nieprzejrzane miasto namiotów, lśniące złocistymi gałkami, półksiężycami, pysznymi proporcami wszelkiéj barwy. W środku, na wzgórzu, jaśniał, jakoby zamek, namiot sułtański; przy nim wysoka wieża do przyglądania się obrotom wojska. Przodek obozu zajęły jańczary, za nimi spahy; gęste latarnie oświecały nocą obóz ku jego bezpieczeństwu.

Polacy wzięli się do sypania szańców i przekopów. Prostak i szlachcic, rotmistrz, pułkownik, żołnierz i pachołek, ujęli za rydle, a hetman tak surowy porządek zaprowadził, że, gdy ochotnik jeden odmówił obozowéj służby, mówiąc, że tylko do polowéj obowiązany, natychmiast ściętym został. Zostawiwszy sobie i Litwie obronę lewego skrzydła, prawe powierzył Chodkiewicz wojsku koronnemu pod Lubomirskim; królewiczowi zostawił środek z piechotą polską, węgierską i niemiecką; przy jego osobie była najdostojniejsza młodzież. Kozacy, ukryci po krzewach i dołach, osłaniali obóz.

Poczęła się nieustająca walka. W dwudziestu dniach wytrzymali Polacy sześć walnych szturmów, utarczek bez liczby; podobnego huku dział nie słyszał nigdy sam Chodkiewicz. Jakoby

z jednego płomienia ulane — mówi pisarz osmański — nie miały okopy polskie nigdzie przystępu. Niestrwożeni niczém Kozacy wpadali po łup aż wewnątrz obozu nieprzyjacielskiego. Ponieśli ciężkie straty Osmanie: legł pogromca Niemców, pasza Budzyński (15. wrz.). Wszakże i straty Polaków nie małe były; a jak przewidywał Chodkiewicz, otoczonym zewsząd, gdy dowóz z Kamieńca został odcięty, zagroziły choroby i głód. Przy takiéj liczbie ludzi, przy takich trudach wojennych, inaczéj być nie mogło. Przychodziło do tego, że w ostatku niejeden wolał się utopić w Dniestrze, niżeli dłużéj takie trudy znosić. Zakradło się zbiegostwo; przyłączył się upadek koni; brakowało i prochu; gorzéj jeszcze!... sędziwy wódz umarł z ran i niewygód (24. wrz.). Straciła Polska największego ze swoich mężów, nieporównanego wodza i — co rzadsza — obywatela wielkiéj duszy, nieskażonego prywatą, wiernego, uległego majestatowi królewskiemu poddanego. Pamiętny, że „hetman stojąc, umierać powinien“, oddał on buławę Lubomirskiemu, prawie w ostatniéj dopiero godzinie (23. wrz.). Śmierć wielkiego wodza wznieciła niesfór, powiększyła zwątpienie. Tym razem Litwini odmawiali posłuszeństwa Lubomirskiemu, dlatego, że był urzędnikiem koronnym; chwiali się w posłuszeństwie i Kozacy. Już była mowa o opuszczeniu obozu. Przemogła wytrwałość królewicza, który, lubo chory, „był głową między wodzami“. — „Czyńcie, co chcecie — rzekł do niesfornych; — ja, syn pana waszego, szanuję wolę króla i narodu, będę posłusznym rozkazom nowego wodza i umrę raczéj, niżelibym podle obóz opuścił.“ Dobry przykład powściągnął tchórzów i zuchwalców.

Gdy tak ze śmierci wielkiego wodza nie przybyło korzyści nieprzyjacielowi, nie przyniosła mu pożytku i podwójna natarczywość (28. wrz.). „I po śmierci zwycięzca“, dociągnął był Chodkiewicz walkę do zimnéj pory roku. Czas, naznaczony na zebranie się pospolitego ruszenia we Lwowie (14. paźdź.), zbliżał się. Nie powiodło się Osmanowi i uderzenie na Kamieniec Podolski. Z obu stron zapragniono układu, za którym, nim jeszcze oręża dobyto, biegał wojewoda wołoski. Żeby sułtanowi oszczędzić wstydu, Raduła, hospodar, i Vevelli, inny agent, podjęli się zapytania o pokój; Osman niby prośbom ustępował. Naprzód (3. paźdź.) w. wezyr, po nim aga, nauczyciel sułtana, w ostatku sam sułtan przyjął uprzejmie posłów polskich. Osman chciał zrazu, aby w obliczu jego wydani byli na męki Kozacy: taka była zawziętość jego, że na pojmanych doświadczał zręczności

swojéj w strzelaniu. Usunęli niegodny warunek Żórawiński, kasztelan bełski, i Jakób Sobieski, wojewodzic lubelski, przypomnieniem, że nie inaczéj postąpićby należało z Tatarami. Sułtan domagał się daniny. Z niemniejszą stałością odparto i ten warunek. „Jeśli szczerze pragnie pokoju sułtan — odpowiedzieli posłowie polscy — chętnie król polski odda mu dar za dar, jako godło przyjaźni.“ Zgodzono się w ostatku (6—9. paźdź.) na pokój jarudzki, z poprawą, na korzyść polską, granic ukraińskich. Na hospodarstwo wołoskie wynoszeni być mieli chrześcijanie spokojni, o dobro obu mocarstw gorliwi. Polacy mieli trzymać stałego posła przy Porcie. Obadwa państwa, odnawiając dawne sojusze, mieć miały wspólnych przyjaciół i nieprzyjaciół. W. wezyr, obróciwszy się do kanclerza tatarskiego, upomniał go, aby pod karą śmierci nie ważył się chan napastować ziem polskich. Posłowie złożyli sułtanowi w podarunku ozdobną tarczę z pękiem strzał i bogaty kołczan. Wspaniała uczta, wzajemne podarunki dokonały zgody. Ile było namiotów, tyle rzęsistych świateł zajaśniało w obozie osmańskim na znak radości.

Wspaniały był odwrót Osmanów. Stracili około stu tysięcy ludzi; wszelako niczego nie brakowało w ich obozie, wszystko jaśniało przepychem. Z polskich okopów wlekły się wyschłe i wybladłe twarze, spieszona jazda, obszarpany żołnierz, wozy bez zapasów, mnóstwo chorągwi, a mało ludzi. Nie bez przyczyny upierali się posłowie polscy, aby pierwéj Osmanie opuścili swoje stanowiska. Pokazało się, że już tylko zostawała Polakom jedna beczka prochu!... „Cała na cienkiéj nici wisiała Europa“. Grzegorz XV. i Urban VIII. poświęcili 10. października na wiekuiste dzięki Bogu za szczęśliwy koniec wyprawy. Sławni opieką sztuk pięknych we Florencyi Medyceusze postarali się o posąg Chodkiewicza do swoich zbiorów; ciało jego pochowała małżonka w Ostrogu. Osman za powrotem do Stambułu przypłacił klęskę życiem (w następnym roku).

T. Morawski.

31. Zręczny podstęp.

Wincenty Przerębski towarzyszył w wyprawie do Multan r. 1616. i dostał się wraz z innymi w niewolę. Niedojście okupu w wyznaczonym terminie zaprowadziło go na pogański jarmark niewolnikami. Ceniąc w nim raczéj chłopa zdrowego, niż syna i krewniaka najpierwszych domów polskich, między innymi

i domu Koniecpolskich, żądano i wzięto za niego przeszło 200 talarów.

Nabył go jakiś bogaty kupiec perski, z którym wnet wyruszył do Persyi. Minęło mu w téj niedoli kilka lat bez żadnéj wieści o Polsce i Polakach, wyjąwszy przypadkowe spotkania z również jak on zabłąkanymi jeńcami. Piątego roku niewoli wybrał się pan jego w podróż handlową do Carogrodu. Towarzyszący mu jeniec polski stanął w téjsaméj porze w Stambule, kiedy poselstwo księcia Zbaraskiego zabierało się do powrotu z ziomkami wyzwolonymi. Tak zajętym przecież służbą swoją był nasz Przerębski, tak małą różnicę sprawiała obecność legacyi polskiéj w codziennym tłumie i gwarze olbrzymiéj stolicy padyszachów, iż przez cały czas swego pobytu w Konstantynopolu nie spotkał się Przerębski z żadnym Polakiem, nie powziął żadnéj wiadomości o pośle i jeńcach polskich.

Nie wiedział nawet o niewoli swego krewnego Koniecpolskiego w Czarnéj wieży i miał już nazajutrz nazad wracać do Persyi. Aż wtém, kupując na bazarze dywany i makaty, wstąpił do kramu perskiego jakiś przechodzień, w którym zatrudniony przy towarach Przerębski poznał zaraz Polaka Dąbrowskiego, jednego z przybyłych niedawno do Carogrodu dworzan hetmańskich. Można sobie wyobrazić zdziwienie i uciechę obudwóch. Po kilku słowach wzajemnego porozumienia się kazał Przerębski pobiéc Dąbrowskiemu natychmiast do hetmana, właśnie wykupionego, i donieść mu o krewnym w kramie perskim. Co gdy się stało, posłał hetman czémprędzéj po pewnego znanego sobie spaha, imieniem Czelebi, aby z nim o uwolnieniu Przerębskiego pomówić. Był ten spah mężem dawnéj branki chrześcijańskiéj, która tém jedném słodziła sobie niedolę, iż małżonek jéj sprzyjał i dopomagał w potrzebie całém sercem Polakom.

Zapytany tedy o sposób uwolnienia Przerębskiego, podał spah bardzo zbawienną radę, którą niezwłocznie wykonano. Wskutek tego udał się dworzanin hetmański Dąbrowski wraz z Czelebim i jego żoną na bazar i, pozostawiwszy oboje w dwóch niedalekich od siebie miejscach, poszedł do Przerębskiego z nauką, co ma czynić. Przestrzeżony Przerębski wychylił się ze swego kramu i obaczywszy Czelebinę, rzucił się jéj na szyję, jakoby poznając w niéj siostrę swoję. Branka odpowiedziała w tymsamym tonie i tak długo witała się z bratem mniemanym, aż póki Pers z nahajem nie wyszedł po sługę swego. Natenczas Czelebina zawezwała pomocy męża, a ten, przyskoczywszy do

Przerębskiego, porwał go jako szwagra swojego, powołując się na przywilej spahów cesarskich. Mieli bowiem takie prawo spahowie, iż mogli u każdego kupca wziąć z niewoli brata swéj żony, zaspokoiwszy czémkolwiek właściciela. Musiał tedy Pers przystać na stratę jeńca i za wielką łaskę poczytać sobie, że mu po długich lamentach wyliczono 200 talarów wynagrodzenia. Usłużny Czelebi zaprowadził Przerębskiego z sobą do domu, a stamtąd nocą do gospody hetmańskiéj.

W kilka dni późniéj, zamiast z kupcem swoim do Persyi, jechał Przerębski z resztą ziomków do Polski.

K. Szajnocha.

---

32. Hetman w niewoli.

W nieszczęśliwéj wojnie cecorskiéj nadzwyczajnie bogate było żniwo jasyru dla Tatarów i Turków. Najprzedniejszym ze wszystkich jeńców był hetman polny koronny, Stanisław Koniecpolski. Niedawno ożenionemu kazał niepomyślny los wojny pożegnać się na zawsze z myślą o domu, zrzéc się wszystkiego, co przypominało dawną świetność i chwałę. Błąkając się niepoznany pomiędzy rozsypaną dokoła pobojowiska tłuszczą łupieżników wołoskich, zrzucił z siebie dla utajenia osoby wszelkie bogatsze przybory stroju, cisnął w las pierścień dyamentowy, ale nie mógł postąpić równie z dyamentowym krzyżykiem z relikwiami na piersi.

Ten zdradził go oczom drapieżców, którzy kosztowności zabrali, a samego hetmana odstąpili srogiemu Iskander-baszy. Uprowadzony przez tegoż do Białogrodu, wtrącony został hetman do dziwnie brudnéj i niewygodnéj turmy. Pośrodkiem wieży przewleczony był łańcuch wielki, u którego pomykały się na kolcach inne łańcuchy. W taki tedy łańcuch wsadzono hetmana i w okowy. Okienko tylko było małe, którém więźniom jałmużnę podawano. Po rychłéj śmierci Iskander-baszy uwieziono jeńca z tego tatarskiego tarasu do Carogrodu.

Tam niewola pogańska w dodatku do ciężkich cierpień fizycznych dręczyła jeszcze cięższymi niekiedy pokusami. Do przyprowadzonego na dywan więźnia rzecze wezyr: „Na muzułmańską wiarę przystań, a pan mój da ci zaraz 50.000 wojska. Pójdziesz do Persyi: co kosztem pana mojego zdobędziesz, to twoje będzie. Jeżeli tego nie uczynisz, w niewoli żywota dokończysz.“ Powiedział na to hetman: „Uczynić tego nie mogę, bo

gdybym Bogu i Panu memu wiarę złamał, i waszéj pewnie nie miałbym wiary". Na to rzekł wezyr: „Idźże na więzienie wieczne! Nie moja wina, na mnie nie narzekaj".

Porwali się z dywanu wszyscy, odeszli Koniecpolskiego; nie wiedział, gdzie się obrócić. Niebawem przecież kazał wezyr wziąć go na barkę: milę za Konstantynopol odwieziony do Jedykuły albo Czarnéj wieży. W tém osławioném na całą Polskę więzieniu zdarzyły mu nieba o wiele znośniejsze życie, niż się obawiał. Siedział w jednéj sali z dwunastu innymi więźniami różnych narodów. Przez dwie godziny na dobę pozwalano im przechadzać się na bani czyli po górnéj sali nad morzem, resztę zaś dnia skracano sobie modlitwą, rozmową albo grą w karty.

Na czas niejaki stała się hetmanowi niemałą rozrywką jakataka znajomość zegarmistrzowstwa. Aga téj wieży miał kilka zegarów, z którymi nie umiał się obchodzić. Przyszedł do więźniów i pytał się, czyby który nie umiał postawić zegarów. Hetman koronny rzekł: Gdybym widział, zrozumiem. Rad aga kazał mu za sobą iść. Dwa mu z nich naprawił. Nazajutrz przywołany do agi znowu mu dwa naprawił, a jeden z wczorajszych umyślnie zastanowił. I tak dłuższy czas wychodził do owych zegarów.

Nieskończenie większą pociechę sprawiła okoliczność następna. Usługujący hetmanowi Turczynek przyniósł jednego razu jakiś kaftan na sprzedaż. Po łatwym targu maca hetman kupioną odzież i znachodzi coś zaszytego. Rozpara i znajduje listy z ojczyzny i tysiąc kilkaset czerwonych złotych, rzędem w szeroką lamówkę wszytych. Jeszcze z Białogrodzkiéj wieży powiodło mu się przesłać wiadomość o sobie królowi i przyjaciołom, którzy teraz tajną wywzajemnili się odpowiedzią.

Przyniósł ją pewien u dworu królewskiego w Warszawie służący Tatar, skłoniony do tego obietnicą hojnéj zapłaty i nieochybnéj wolności za powrotem poselstwa. Potrzeba zaś było tak fortelnego znoszenia się z hetmanem, gdyż jako jeden z wodzów podjętéj przeciw sułtanowi wojny cecorskiéj miał on przeciw sobie osobisty gniew padyszacha i był wyjęty ze zwyczajnego trybu postępowania z jeńcami, którym pospolicie dozwalano porozumiewać się z krewnymi o wykupno. Owoż donoszono teraz z domu Koniecpolskiemu, iż wyjedzie niebawem wielka legacya z Polski do Turek, że zalecono będzie posłowi traktować o wykupienie hetmana, przezco jest wszelka nadzieja ujrzenia go niebawem w stronach rodzinnych.

Nim to jednak nastąpić miało, ciągnęła się dalej przeszło dwuletnia już niewola w Czarnéj wieży. Raz usłyszał Koniecpolski przez ścianę jęki cecorskich współtowarzyszy niewoli, duszonych w pobocznéj sali za wyrokiem dywanu. I hetmanowi naszemu mógł lada chwila nadejść takiż firman śmiertelny. Więzy bisurmańskie zaczęły coraz cięższéj przygniatać duszę.

Aż nakoniec stanął w Carogrodzie oczekiwany poseł z Korony, a z nim przybyli także wysłańcy od rodziny hetmańskiéj, wiozący pisma instancyonalne do różnych osób i pieniądze na okup. Po usilnych zabiegach i targach powiodło się wykupić hetmana za 30.000 talarów. A gdy wychodził z wieży, aga kilka baranów kazał zarznąć na wyjście więźnia polskiego i rozdać pozostałym towarzyszom niewoli. Laskę mu darował z powinszowaniem, aby w dobrém zdrowiu do domu przyjechawszy, z tą laską po swoim chodził ogrodzie, a hetman nawzajem 100 talarów kazał mu dać. *K. Szajnocha.*

---

33. Hajduk z Łasku.

Kiedy wojewoda sieradzki Hieronim Łaski próbował szczęścia w naddunajskiéj Wołoszy, wspierając hospodara Radułę przeciw wojującym go baszom tureckim, nie dopisało szczęście, bo rozgromiono wojsko Raduły i posiłkujące hufce polskie, z których wielu nabrano jeńców. Chciał się popisać nimi przed sułtanem naczelny basza, ale ku wielkiemu zmartwieniu nie znalazł w ich liczbie żadnego pana większego, żadnego człowieka okazałego.

Najpokaźniejszą postawę miał jakiś prostak z czeladzi taborowéj, chłop rosły i urodziwy, sługujący niegdyś za hajduka po dworach pańskich, teraz wzięty u wozów. Przestraszonemu popadnięciem w ręce pogańskie roiło się już o galerach, gdy wtém omyto i wygolono chłopa, przywdziano go w kaftan bogaty, słowem przeistoczono w pana. Jakoż nie za co innego jak tylko za jednego z pierwszych panów koronnych zaczęli odtąd uważać go wszyscy w niewoli i w takim téż charakterze dostojnym wprowadził go zwycięski basza w tryumfie do Stambułu, owszem samemuż przedstawił sułtanowi.

Napróżno upewniał zdumiony swoją fortuną hajduk, że jest chłopem z Łasku w Sieradzkiém, że nigdy ani wojskami nie dowodził, ani u dworu królewskiego nie bywał. Słowa jego wzięto za zwyczajny wybieg zabranych w niewolę panów, którzy kłamaną postacią ludzi ubogich pragnęli wykupić się tanio

z jasyru. Takim n. p. podstępem przybrali najmożniejsi jeńcy cecorscy w czasie traktatów o ich wolność pokorną minę prostaczków i przyprowadzeni przed wtajemniczonego w to posła polskiego, księcia Zbaraskiego, upadli ze łzami do nóg pańskich. W oznakę tém większego lekceważenia kazano im przy odprawie do gospody jechać z tyłu za posłem na lichych koniach, co przy ich bladych twarzach, podartych sukniach, długich włosach i zapuszczonych w więzieniach brodach bardzo skromny czyniło widok. Dopiero za przybyciem do gospody rozwiązały się usta, nastąpiły przyjacielskie uściski, przywitania, po niewczasie dostrzeżone przez Turków.

Nie pomogły więc żadne wymówki hajdukowi; pozostał zawsze panem w mniemaniu pogan i musiał pójść do więzienia pańskiego w Jedykule. Potrzeba mu było tylko za przykładem tylu renegatów z całego świata przyjąć wiarę i obyczaje tureckie, a byłyby mu się dostały najwyższe dostojeństwa, dowództwo nad liczném wojskiem, zarząd szerokich prowincyj. Ale nasz hajduk przestał na spokojnym żywocie w Jedykule, przejadał swój codzienny żołd i uchodził u Turków za wielkiego beja korony polskiéj.

Jako taki bywał on także przedstawiany nowym do Jedykuły przybyszom polskim, pomiędzy którymi osobliwie hetman Koniecpolski ucieszył go swoim widokiem. Sługiwał on bowiem w Sieradzkiém u panów tego imienia i dla powzięcia nowin o dawnych panach zrzekł się chętnie swojéj mniemanéj dostojności w oczach hetmańskich. Zaczął więc z radością wypytywać się o panów Koniecpolskich w Ruścu i Koniecpolu, o pana Hieronima Łaskiego w Łasku, o pana Jarosza Gomolińskiego i wielu innych, odwdzięczając się wzajemną relacyą swojéj niewoli. Wyrozumiawszy rzecz całą, nie myślał pan hetman utwierdzać pogańskich bredni o jego bejostwie w Polsce, lecz ku wielkiemu zdziwieniu Turków zażywał chłopa do posługi swojéj w więzieniu.

Gdy zaś nadeszła pora wykupienia hetmana z Czarnéj wieży, prosił Koniecpolski wezyra przy pożegnaniu o darowanie mu dwóch jeńców chrześcijańskich. Jednym z nich był nasz hajduk z Łasku. Darowany z łatwością od wezyra, powrócił mniemany bej z hetmanem do ojczyzny i stanął na służbę u panów Koniecpolskich. Zestarzał się w Ruścu, opowiadając dziwy o swoich przygodach w ziemi pogańskiéj.

K. Szajnocha.

---

34. Powrót jeńców.

Ogromna tłuszcza krymskiego i nogajskiego Tatarstwa wpadła na wiosnę r. 1624. pod srogim łupiezcą Kantemirem w południowe granice Polski i zagnawszy się aż po ostatnie miedze ziemi przemyskiéj, zniszczyła wszystko pożogą i rozbojem. Oprócz zwyczajnych łupów wojny tatarskiéj chwytało pogaństwo najchciwiéj dzieci obojéj płci. Nabrano tyle chłopców i dziewcząt, iż na trzy mile rozciągał się pochód teleg i koni z tym plonem, gdy orda wracała ze zdobyczą do domu. Trudną była przeprawa przez Dniestr na Pokuciu: naprzód wyprawiono wszystek plon z łupami w kosztownościach i trzodach, a zbrojne hufce Kantemirowe ciągnęły z tyłu.

Już przeszły były przez rzekę nieskończenie długie rzędy teleg i o milę za Dniestrem stanęły koszem ogromnym, gdy na dążącą za wozami zgraję łupieską wpadł niespodzianie hetman Koniecpolski z niewielkim pocztem rycerstwa i straszną klęskę zadał Kantemirowi u brzegów Dniestru. Większa część pogaństwa zginęła, przechodząc rzekę albo błąkając się po lasach okolicznych. Tylko mała garstka uszła w popłochu z trzykroć postrzelonym dowódcą Kantemirem.

Nazajutrz rano o pierwszych zorzach udał się hetman do pobliskiego Halicza dla podziękowania Bogu za wczorajsze ocalenie tylu ofiar jasyru od długoletnich więzów, tylu dusz niemowlęcych od wieczystéj zaguby w błędach pogańskich. Przy odgłosie dzwonów dziękczynnych wyprawiono na rozkaz hetmana kilkadziesiąt wozów dla pozbierania dzieci małych, których niezliczona moc była na miejscu pogromu wzdłuż na całe trzy mile.

Wiele z przywiezionych do Halicza dzieci rozchwyciły natychmiast matki tameczne. Największą część zawieziono na kilkudziesięciu wozach daléj do Lwowa. Tam panowie rajcowie kazali wystawić sierotki publicznie na rynku miejskim, aby, kto zechce, przygarnął je za swoje. Czémprędzéj rzuciły się tłumy mieszczanek i mieszczan do wozów z niemowlętami i rozebrali je między siebie. Czuwano tak troskliwie nad dolą dziatek, że o jakieś pacholę urodziwe, zabrane przez osobę, podejrzaną o stosunki z wrogami, srogi tumult powstał na rynku.

Przez zacnych rodziców przygarnięte sierotki urastały po największéj części do wcale innych losów, niż im przeznaczone były od urodzenia. Niemało dzieci pańskich poszło na wycho-

wanie i całe dalsze życie w progi ubóstwa; wiele, zrodzonych do biedowania pod ubogą strzechą wieśniaczą, znalazło niespodzianie przytułek w dostatnim domu mieszczańskim. Ileżto scen niespodzianego późniéj spotkania się rodziców z dziećmi utraconymi odgrywać się musiało po dziwnéj zmianie losów, przy wyzwoleniu z więzów pogańskich!

K. Szajnocha.

---

35. Bitwa pod Beresteczkiem.

Dnia 27. czerwca, kiedy cały obóz ruszył się w drogę do Dubna, nadbiegł goniec z doniesieniem, że chan i Chmielnicki się zbliżają. Wysłano natychmiast Czarnieckiego, aby wozy do obozu nawrócił; wojsku kazano wracać na wały, wysłano silne oddziały do obsadzenia wszystkich przejść i przepraw, a inżynierowie rozbiegli się do naprawy okopów i szańców. Nie było żadnéj wątpliwości o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Co chwilę nadbiegały nowe zwiastuny nadchodzącéj burzy. Podjazdy polskie, zetknąwszy się z tatarskimi, chroniły się do obozu; pospolite ruszenie przeprawiło się co prędzéj, wozy z łoskotem napowrót wracały, a nad wieczorem dalekie łuny dokoła horyzontu i głuchy szmer w powietrzu zwiastowały o zbliżającéj się potędze 300.000 nieprzyjaciół. Piechota i luźna czeladź sypały całą noc szańce i okopy; całe wojsko spało pod bronią, a nikt pod gardłem z obozu oddalać się nie ważył.

Nazajutrz (28. czerwca) całe tłumy słuchały z wielką skruchą nabożeństwa, w obozie otrąbiono całodzienny post z powodu wigilii śś. Piotra i Pawła i żaden żołnierz nie tknął się jadła. O 10. godzinie zrana straż polska przybiegła z tém, że nieprzyjaciela na oko widziała. Wysłano na zwiady Bogusława Radziwiłła, jenerała infanteryi. Ten ujrzał zrazu wielkie tumany, poczém około południa pokazały się pierwsze oddziały tatarskie.

Jazda polska stała w pogotowiu pomiędzy wałami a szańcami obozu. Zamojski, strażnik koronny, przebiegał szeregi polskie, wołając w imieniu króla, aby nikt na harce wyjeżdżać się nie ważył. Dopiero o 5 godz. popołudniu, kiedy już była pewność, że nieprzyjaciel więcéj sił na pole bitwy nie przyprowadzi, pozwolono doświadczeńszym weteranom wyjechać na ochotnika i przyjąć wyzwanie. Rozpoczął się tedy taniec tatarski, a raczéj polowanie na ludzi, w którém nie chodziło o to, aby zabić przeciwnika, ale aby go żywcem pochwycić. Podjeżdżali do

siebie, gonili się nawzajem, naganiali, czyhając jeden na drugiego, z wielką pociechą i zabawą całego wojska, które się z wałów, szańców i szyków z ciekawością temu widowisku przypatrywało.

Największą uwagę obu stron zwracał na siebie Tatarzyn, siedzący na pysznym pstrokatym koniu. Uganiał za nim stary szlachcic mazowiecki i nie mogąc go żywcem pochwycić, uderzył na ostro i wkrótce murzyk tatarski zachwiał się i lecąc z konia upadł głową w tył na stronę swoich towarzyszów. Mieli zaś Tatarzy za pewne omen, że pierwszy trup, który głową na ich stronę upadnie, wróży im pewną klęskę. Rozwściekleni tym wypadkiem, zbiegają się w jednę chmurę, szykują się i pędzą jak wicher pod szańce.

Hetman wysłał chorążego kor. z kilku pułkami naprzeciw nieprzyjaciela. Tuż za nim pospieszył marszałek koronny na czele swego pułku, wysłany od hetmana z pomocą. Widząc, że się walka na dobre rozpoczyna, wysłano ks. Wiśniowieckiego w 6 chorągwi kozackich i Stef. Czarnieckiego z rotą usarską. Za nimi rozkazano szlachcie krakowskiéj, sandomierskiéj, łęczyckiéj i ruskiéj ruszyć na nieprzyjaciela. Widok przeważnéj siły przymusił Tatarów do odwrotu.

O dziesiątéj sprowadzono wojsko z pola. Ogólna wesołość panowała w obozie, a żołnierz, znużony całodzienném staniem, wziął się dopiero w nocy do jadła.

Nazajutrz o świcie, dnia 29. czerwca, ruszyła cała jazda królewska w pole. Ustawiono ją w znacznéj odległości od okopów, podczas gdy reszta wojska stała gotowa w obozie. Lewém skrzydłem dowodził hetman pol. Kalinowski, w środku stało pospolite ruszenie, wojewoda bracławski na prawém. Król i wojsko życzyło sobie stanowczéj bitwy.

Dzień był jasny, jak nadzieja zwycięstwa. Równo z dniem pojawiły się od Horynia oddziały tatarskie nad przeprawą. Bito do nich z dział i ręcznéj broni i za przeprawę ich zagnano. Około jedenastéj uderzył nieprzyjaciel większymi siłami i opanował przeprawy, słabo jednym oddziałem dragonii i polowymi armatami bronione. Liczne oddziały ruszyły na równinę i rozpoczęły, jak zazwyczaj, harce, podbiegając pod szyki i wywołując do walki. Wkrótce potém wzniosły się ze wszystkich stron słupy dymu. Kościoły, dwory, wsi na kilkomilowéj przestrzeni stanęły w ogniu. Stutysięczna orda i cała jazda kozacka rozlała się po równinie w odległości półtory mili od szyków polskich:

pola i lasy pokryły się nieprzyjacielem. W pół godziny nadbiegło mnóstwo drobnych oddziałów tatarskich, gęściejszych niż w dniu poprzednim, i stanęły szeroko rozwartém półkolem, jakie pół mili od szyków polskich, zapaliwszy wszystkie sąsiednie wsi dla postrachu Polaków. Na środkowém wzgórzu pokazał się główny korpus ordy i jazda kozacka, kierując się ku lewemu skrzydłu wojsk polskich. Podczas gdy chan wraz z hetmanem kozackim z daleka przez perspektywę początku fortuny wojennéj wypatrywał, rozpoczęła się bitwa, jakiéj nikt nie pamiętał, bitwa 200.000 jeźdźców.

Przeraźliwy okrzyk Ałłah! Ałłah! wstrząsnął powietrzem, ziemia zadrżała pod kopytami stu tysięcy koni. Lewe skrzydło polskie posunęło się naprzód, centrum i prawe skrzydło stały nieporuszone. Główna siła tatarska uderzyła na lewe skrzydło, które zaraz przy pierwszém starciu zupełnie zostało ogarnione. Trzykroć wywijały się pułki jakby z matni, trzykroć znów na nowo były zabrane. Zdawało się już, że lewe skrzydło nie wytrzyma natarcia, kiedy silny atak wojewody podolskiego, który to skrzydło od prawego boku posiłkował, wybawił je ze stratą rotmistrza i kilkunastu towarzyszy. Cała potęga tatarska rzuciła się wtedy na centrum. Wybiegł naprzeciw niéj pułk Szczawińskiego, brzesko-kujawskiéj szlachty, ratował go Lanckoroński; za nim pospieszał hetman polny i ks. Jeremi Wiśniowiecki. Z samego środka centrum wysunęły się pułki hetmana wiel. i rzuciwszy się na następującą ordę, rozerwały całą wstęgę tatarską i zmieszały się tak z poganami, że niepodobna było rozróżnić Polaka od Tatara, tylko buńczuki i chorągwie migały się w powietrzu. Ruszył za nimi pułk podkanclerzego litewskiego, ale musiał wrócić razem z innymi, boby żadna noga nie była wyszła cała z tego chaosu. Cofnęli się wszyscy pod działa polowe, które silnym ogniem napad nieprzyjaciela wstrzymały.

W lewém centrum wrzała walka najsilniéj. Dwie chorągwie, Kazanowskiego, kasztelana halickiego, i starosty lubelskiego, które ruszyły bronić zmęczonych pułków, wróciły posiekane. Obaj dowódcy zginęli, a wraz z nimi dużo znakomitych rycerzy. Na zbliżających się kozaków rzucił się pułk królewski z całym zapędem. Ruszyły za nim pułki Sobieskich i szlachta podolska, rzucił się jeszcze raz pułk hetmana wiel. kor.: Tatarzy wzięli chorągiew hetmańską. Na jéj obronę kazano Lubomirskiemu, Radziwiłłowi i Sapieże uderzyć na nieprzyjaciela. Na całéj linii bojowéj wrzała walka bez planu, bez rozkazów. Każdy dowódca

robił, co chciał; jeden bronił drugiego. Bitwa wznawiała się kilkakrotnie. Niektóre chorągwie w zapale wojennym zapędziły się dalej, niż potrzeba, i goniąc nieprzyjaciela, który uciekając walczył, zostały otoczone i w pień wycięte.

Trwał bój do drugiéj popołudniu, poczém orda odeszła, zadawszy klęskę Polakom. Padło 200 znakomitych rycerzy z polskiéj strony, a co najgorsza, nieprzyjaciel pozostał panem pozycyi, zająwszy wzgórza i odciąwszy pole i paszę dla koni. Byłto ciężki dzień z powodu straty tylu z rycerstwa, ale i pogaństwu dał się we znaki. Mieli do tysiąca zabitych i rannych, zginęło wielu murzów, a pomiędzy innymi Mechmed Geraj i sławny Tuhaj-bej, którego szablę dostał starosta krasnostawski za waleczność. Buńczuk Haslan-murzy wzięto, a Muffrah-murzę, młodego i walecznego rycerza, bliskiego krewnego i podskarbiego chana, który o mało co nie wziął do niewoli młodego starosty jaworowskiego, towarzysze tegoż żywcem pojmali.

Tego dnia na radzie wojennéj postanowiono wystąpić nazajutrz z całą siłą i ostatniéj próbować decyzyi.

O 2. godzinie po półn., 30. czerwca, słuchał król mszy św. i zaraz potém wyjechał z inżynierami w pole, aby miejsce rozpatrzyć. O 3. godz., zostawiwszy 3.000 piechoty w zawartym obozie, wyciągnął w pole ze wszystkiém wojskiem (80.000) i począł je szykować.

Chmielnicki niemniéj był czynny. Całą noc przeprowadzał swoje tabory, armaty i piechotę, a z brzaskiem dnia wraz z chanem wojska swoje szykować zaczęli.

Silna mgła, która pola i lasy zaległa, zdawała im się być przepowiednią wygranéj, bo w takim czasie Tatarzy najszczęśliwiéj wojowali. Obie strony, gotując się do ostatecznéj rozprawy, stały w téj strasznéj mgle od 3. zrana i nie widziały się wzajemnie. Dopiero o 10. godz., kiedy mgła nagle opadła, ujrzały ze zdumieniem swoję i nieprzyjacielską potęgę.

Oba wojska pomknęły się cośkolwiek ku sobie. Polacy stanęli przy ostatnim szańcu, a Tatarzy rozpoczęli zwyczajne harce, na które król pod gardłem wyjeżdżać zakazał. Aż do godz. 3. po południu stały tak oba wojska nieczynne; charcowników tatarskich spędziły armaty z pola. Król wysłał do chana parlamentarza, wyzywając go do bitwy, ale nie dostał żadnéj odpowiedzi. Kazał więc król, aby ks. Wiśniowiecki zaczynał. Za chwilę usłyszano trąby i bębny. Ośmnaście chorągwi wybiegło

z frontu lewego skrzydła; na czele ks. Jeremi z gołą szablą w ręku, bez zbroi i bez czapki na głowie, pędził jak w taniec po piaszczystéj błoni. Wicher niósł przed nim tumany piasku nieprzyjaciołom w oczy, słońce biło w nich promieniami.

W tymsamym czasie uderzono w bębny na prawém skrzydle nieprzyjaciela, a sułtani Nuradyn i Gałga ruszyli na czele Tatarów sułtańskich i Turków sylistryjskich naprzeciw chorągwiom Wiśniowieckiego. Wraz z Tatarami ruszyły konno pułki kozackie i wyprzedziwszy ich w biegu i pomieszawszy się z nimi, skoczyły na Wiśniowieckiego. Ośmnaście chorągwi polskich zniknęło w tłumie nieprzyjaciół, pył poruszony kopytami końskimi i tuman piasku, wichrem niesiony, owinął całą tę masę; w czarnéj mgle nie widać było nikogo i zdawało się, jakby już stamtąd nikt nie miał powrócić. Na pomoc Wiśniowieckiemu leciały województwa krakowskie i sandomierskie, oboźny koronny Szczawiński z pułkiem swoim i szlachta łęczycka z prawego skrzydła. Pułk za pułkiem leciał i ginął w téj trąbie powietrznéj z kurzu i piasku.

Tymczasem król przelatywał szeregi i zachęcał do walki za wiarę, za świątynie zrabowane, za prawo Boskie. „Ruszajcie — wołał — pamiętajcie na przodków waszych odwagę i męstwo! Przysięgam, że albo razem z wami zwycięzcą z pola powrócę albo razem z wami zginę!“ Kiedy tak wołał, przebiegając szyki, kanclerz Leszczyński, otoczony duchowieństwem, kazał podnieść znak krzyża św. i z wałów ostatniego szańcu błogosławił całemu wojsku.... Chorągwie skłoniły się do ziemi, huk wszystkich armat zatrząsł powietrzem, centrum i prawe skrzydło ruszyły naprzód.

W szykach polskich wielka była otucha i męstwo. Czyto słowa królewskie, czy szczęśliwe przeczucie, czy wrodzona Polakom w chwilach ostatecznych odwaga — dość, że żołnierze, niewypowiedzianie weseli, niezwyciężonego prawie nabierali serca. Chorągwie Wiśniowieckiego naprzód zetknęły się z kozakami z wielką zapalczywością. Na pułk Szczawińskiego i województwo łęczyckie uderzył sułtan Nuradyn i rozpędziwszy ich jedném natarciem zwrócił się na województwa krakowskie i sandomierskie. Walczyła szlachta z zaciekłością, ale nie mogła podołać przeważającéj sile tatarskiéj; dopiero ks. Wiśniowiecki, rozgromiwszy kozaków, ruszył jéj w pomoc i zmusił Nuradyna do ucieczki.

Podczas gdy skrzydło lewe z taką energią odparło nieprzyjaciela, centrum pod dowództwem króla posuwało się bardzo powoli i to tylko lewym bokiem', bo całe prawe skrzydło stało w miejscu i nie można go było skłonić do pospiechu. Król posyłał ordynans po ordynansie, prosił, rozkazywał, groził — wszystko napróżno. Wojewoda bracławski i marszałek koronny odpowiadali, że wolą gardło stracić, niż ojczyznę i pana; że ruszyć z miejsca nie mogą, bo w lesie jest zasadzka. Istotnie w lesie był sam Chmielnicki z całym korpusem strzelców.

Słysząc o zasadzce w lesie i widząc posuwającą się armią Chmielnickiego i zbliżającą się noc, zaczęli dowódcy pojmować plan nieprzyjaciela i całą grozę położenia. Nie było czasu do namysłu: tylko wielka śmiałość mogła uratować od wielkiego nieszczęścia. Centrum i lewe skrzydło ruszyło gwałtownie naprzód, strzały armatnie padały raz po raz, coraz częściéj i coraz trafniéj. Kilkudziesięciu zabitych murzów zaniesiono pod nogi chana. Wreszcie sułtan Amurad, brat chana, uderzony kulą armatnią w piersi, padł wśród okrzyku zgrozy tatarskiéj i zaraz cała orda zaczęła się mieszać, jak spłoszone stado wilków. Wkrótce też jakby na dany znak pierzchła na wszystkie strony, a sam chan, ranny w nogę, zostawiwszy rydwan i wielki bęben, Balt zwany, którego głosu Tatarzy słuchali, i namiot swój na wzgórzu, dosiadł konia i z wiatrem uleciał do Leśniowa.

Na widok uciekających mas tatarskich, tabor kozacki stanął, a potém zwolna cofać się począł. Chmielnicki zostawił swoich w lesie i popędził za chanem, aby go z drogi nawrócić. Islan Geraj, otoczony trupami swoich dowódców, zmieniał konia i spieszył w dalszą drogę, kiedy się hetman pokazał. Wstyd, strata brata i ludu, dokuczliwa rana i przepadła wyprawa — wszystko to zatrzęsło Tatarem na widok swego sprzymierzeńca i przyjaciela. Nie dał mu przyjść do słowa, zakrzyknął zdrajcą, kazał pochwycić, do konia przywiązać i popędził przed sobą cztéry mile jeszcze tegosamego dnia w stronę Wiśniowca. Orda — pisze Bogusław Radziwiłł — zagarnąwszy Chmielnickiego, uszła.

Ten niespodziewany wypadek rozstrzygnął ostatecznie całą bitwę: połowa nieprzyjaciół uciekła, połowa została — bez głowy. Wojsko polskie zajęło wszystkie wzgórza, chorąży z lekkimi pułkami ruszył w pogoń za Tatarami, a o godz. 9. zostały puste pola po nieprzyjacielu. Niebo zasłoniło się ciężkimi chmurami,

błyskawice latały w powietrzu, deszcz jak z cebra puścił się na pole bitwy, kiedy król i wojsko upadli na kolana i zaczęli spiewać: *Te Deum!*

Był to szczęśliwy dzień dla rzeczypospolitéj: cały ogrom niebezpieczeństwa przeszedł jak chmura, wichrem w inną stronę pędzona.

Ludwik Kubala.

---

36. Cesarzowa Marya Teresa.

„Wtedy dopiero obywatele pań stwa pokochać mogą swych władców i królów, kiedy ich jako ludzi widzą do siebie podobnych, kiedy ich sobie przedstawić mogą j ako czułych małżonków, dobrych ojców, przywiązanych braci, wiernych przyjaciół“. Tak niegdyś powiedział Goethe. Zdanie to w całéj pełni zastosować można do cesarzowéj M aryi Teresy. Poddani szanowali ją i czcili, bo widzieli w niéj ideał monarchini; — uwielbiali ją i kochali, bo podziwiali w niéj ideał matki, żon y, kobiety.

O wiekopomnych jéj zasługach około państwa, o wojnach i tryumfach, reformach i pr acach pokojowych świadczą wszystkie karty dziejów długoletniego jéj panowania. Nie tutaj więc miejsce ani możność wyliczenia różnorodnych jéj zasług. Przypatrzmy się tylko osobistym jéj cnotom, którymi tak niezwykle jaśniała.

Wszystkie źródła historyczne zgodnie przedstawiają Maryą Teresę jako najlepszą matkę. Otoczona licznem gronem dziatek, umiała połączyć miłość macierzyńską z surowością, kiedy chodziło o najlepsze ich wychow anie. Jakkolwiek np. kochała pierworodnego syna swego Józefa, późniejszego cesarza, nie była wobec niego nigdy słabą, ani kiedy chodziło o skarcenie drobnych błędów jego młodości, ani téż późniéj, kiedy przez 15 lat wspólnie z nią panował. Jak czule kochała inne swe dzieci, dowodzą tego jéj listy do synów i córek, pełne macierzyńskiéj troskliwości i rad rozumnych. Najwymowniéj zaś świadczą o tém jéj listy do Maryi Antoniny, nieszczęśliwéj żony Ludwika XVI.

Szczęście dzieci było jéj szczęściem, a ich nieszczęścia srodze ją dotykały. Świadczy o tém r. 1767. Kiedy żona cesarza Józefa ciężko zachorowała na ospę, pomimo przestróg lekarzy, odwiedzała ją cesarzowa, troskliwa o jéj zdrowie. Wówczas ściągnęła na siebie równie ciężką i niebezpieczną chorobę, po któréj nawet pozostały na zawsze widoczne ślady

na jéj pięknéj twarzy. Jak znowu cieszyła się szczęściem swych dzieci, poznać można z tego, co uczyniła, kiedy młodszemu jéj synowi Leopoldowi, późniejszemu cesarzowi, pierwszy syn się urodził. Z loży cesarskiéj osobiście oznajmiła to zebranéj w teatrze publiczności, dzieląc się z nią tak wesołą dla siebie nowiną.

Niemniéj pięknym przedstawia nam się charakter Maryi Teresy jako żony. Męża swojego, Franciszka Stefana, księcia lotaryńskiego, którego niegdyś, idąc za głosem serca, sama wybrała, z którym potém 30 lat przeżyła, męża tego, pełnego przymiotów ducha i serca, zawsze kochała, jego szczęścia pragnęła, cieszyła się jego powodzeniem; a kiedy go r. 1765. utraciła, pamięć jego zawsze w swém sercu chowała i corocznie w rocznicę jego śmierci dłuższy czas spędzała u jego trumny w grobach cesarskich w kościele o. o. Kapucynów.

W całym blasku świetności jaśnieje charakter Maryi Teresy jako kobiety, i to zarówno w życiu jéj codziennem jakotéż na tronie. Wiele na to posiadamy świadectw we wspomnieniach i listach osób współczesnych. Posłuchajmy tylko, co pisze o niéj poseł pruski w pierwszych latach jéj panowania, hr. Podewil, którego przecież nie można podejrzywać o schlebianie Maryi Teresie, najznaczniejszéj przeciwniczce króla pruskiego. „Cesarzowa — pisze hr. Podewil — niezwykłą jest osobą. Wzrostu jest słusznego, postawy prawdziwie majestatycznéj. Twarz jéj okrągła i pełna, głos silny, ale dźwięczny. W dużych jéj, ciemnoniebieskich oczach przebija się energia, ale i prawdziwie niewieścia łagodność, a kształtne jéj usta zawsze dobrotliwy krasi uśmiech. Jéj oblicze szczerością tchnie i dobrocią, a obejście ujmuje grzecznością i uprzejmością. Jednem słowem, Marya Teresa piękną jest kobietą“.

Skreśliwszy w ten sposób wizerunek młodéj cesarzowéj, zaraz potém w wymownych słowach przedstawia hr. Podewil nadzwyczajny wpływ i urok, jaki tak piękna i tak dobra monarchini wywierała na całe swe otoczenie, na wszystkich, którzy kiedykolwiek mieli szczęście do niéj się zbliżyć, na wszystkie stany, na wyższych i niższych, na poddanych i cudzoziemców. Potém znów wychwala hr. Podewil bystrość jéj umysłu, trafność sądu, żywość pamięci, nadzwyczajną przystępność dla próśb i skarg potrzebujących jéj łaski poddanych, niestrudzoną wytrwałość w pracy i wielką znajomość ludzi. Ze szczególnym jednak naciskiem uwydatnia jéj łaskawość dla armii jako głównéj podpory tronu i monarchii. Z niewypowiedzianą dobrocią umiała

ona oceniać prawdziwą zasługę, umiała odznaczać wodzów i żołnierzy.

Nawet zwykły tryb życia Maryi Teresy dokładnie znamy ze sprawozdania pruskiego posła. „Życie cesarzowéj nader jest proste. Wstaje zimą o godz. 6., w lecie o godz. 4. lub 5., poczém cały ranek pracuje, czytuje nadeszłe depesze, podpisuje przedłożone akta lub naradza się z ministrami nad sprawami państwa. O godz. 1. jada obiad; następnie odpoczywa ze dwie godziny, poczém w lecie, a niekiedy i w zimie, wychodzi na przechadzkę, najczęściéj sama. Wieczorem o godz. 7. zasiada do jakiéjś gry, a po godzinie, posiliwszy się nieco, udaje się na spoczynek". — „Zawsze czerstwém ciesząca się zdrowiem — pisze daléj hr. Podewil — w przechadzkach swych wcale nie zważa na stan powietrza, na upał czy mróz. Równie obojętną jest na swój ubiór. Wyjąwszy dni galowe, bardzo skromnie się ubiera, ale na porządek i czystość pilnie zawsze uważa".... „Bawić się lubi — wspomina poseł pruski na inném miejscu — ale zawsze w miarę. Dawniéj nadzwyczaj lubiła tańce i bale, szczególnie maskowe; obecnie jednak już w nich nie znajduje upodobania. Jakkolwiek dobrze gra na fortepianie, pięknie spiewa i gruntownie rozumie się na muzyce, przecież mało kiedy korzysta z tego, zajęta ważniejszymi sprawami państwa".

Dla przyjaciół swoich, którzy z całém zaparciem się i poświęceniem służyli jéj i państwu, nadzwyczajną zawsze okazywała wdzięczność. Z licznych przykładów, świadczących o tém wymownie, wybierzemy tylko dwa ważniejsze. Ilekroć na naradę przybyć miał Kaunitz, pierwszy minister państwa, który aż do dziwactwa posuwał obawę przed przeciągami i zaziębieniem, cesarzowa, która nadzwyczaj lubiła świeże powietrze, przecież wszystkie okna już naprzód zamykać kazała, aby wierny jéj sługa nie poniósł uszczerbku na zdrowiu. Raz znów hr. Rudolf Chotek ciężko zaniemógł. Marya Teresa codziennie dowiadywała się o jego zdrowie; a kiedy już nieco lepiéj mu było, własną ręką list doń napisała, zapewniając o swojéj troskliwości, a oraz polecając choremu, ażeby się szanował i nie wstawał zawcześnie; przyczém dodała obietnicę, że go osobiście odwiedzi, skoro się tylko dowie, że wstał już z łóżka.

Z biegiem lat wszystkie te cnoty wielkiéj monarchini nietylko się nie umniejszały, lecz owszem coraz jaśniejszym świeciły blaskiem, a wraz z ich wzrostem potęgowała się i miłość poddanych ku dobréj swéj Pani.

Rok 1780. był ostatnim jéj życia. Zaziębiwszy się w połowie listopada, zrazu lekceważyła sobie chorobę i jeszcze dnia 21. t. m. żartobliwy list wyprawiła do swéj córki Maryi Krystyny. Ale już 26. t. m. pogorszyło się jéj tak dalece, że nie było żadnéj nadziei ocalenia jéj życia. Przez dwa dni cierpiała bardzo, ale dnia 28. t. m. uspokoiła się i rozweseliła. Nazajutrz, wezwawszy do siebie wszystkie trzy swoje córki, we Wiedniu bawiące, pożegnała je i pobłogosławiła, a gdy odeszły, syna tylko, cesarza Józefa, zatrzymała przy sobie. Nie odstępował on od jéj łoża przez parę dni i nocy. W ostatniéj chwili zwróciła się doń, pytając: „Jak długo, sądzisz, będzie to trwało? Zdaje mi się, jakobym miała z jednego pokoju przejść do drugiego“... Ostatnią jéj czynnością królewską było podpisanie pensyi dla wdowy po oficerze. Właśnie deszcz ulewny padał, szumiąc za oknami, gdy do łoża choréj zbliżyła się śmierć. „O! jaka tam niepogoda! a przedemną taka długa droga!“ z lekkim rzekła uśmiechem. Wkrótce potém zaczęła dogorywać. „Otwórzcie okna!“ wyszeptała cichym głosem i chciała się podnieść z pościeli; a gdy ją cesarz Józef powstrzymał, pytając, dokąd iść zamierza? — „Do Ciebie — rzekła — do Ciebie idę, o Boże! Panie, przyjmij duszę moję!“ To były ostatnie jéj słowa. Z martwego ciała uleciała dusza przed tron króla królów, aby otrzymać z ręki Jego nagrodę za życie, pełne zasług.

Z 63 lat życia 40 poświęciła Marya Teresa dobru swego państwa, a chociaż w chwili, gdy na tron wstąpiła, niejedno groziło mu niebezpieczeństwo, siłą ducha swego i woli umiała je zażegnać lub odeprzéć, przezco państwo swe podźwignęła i nową okryła sławą. Niezapomniana jako monarchini, wielka w wojnie i pokoju, przedewszystkiém zawsze jaśnieć będzie sławą cnót swoich osobistych. Wzorowa żona i matka, najlepszego serca kobieta, która niegdyś — jak podanie głosi — ginące z głodu dziecię jakiéjś ubogiéj niewiasty własną piersią nakarmiła, — najłaskawsza pani, która jeszcze w ostatnich godzinach ziemskiego żywota o swoich sługach pamiętała, zasłużona monarchini wielkiego państwa, która nie szczędziła ani nagród ani zaszczytów, czy się kto piórem wsławił czy orężem, — ona zawsze żyć będzie we wdzięcznéj pamięci wszystkich ludów cesarstwa austryackiego.

(Według *Fr. Kronesa.)*

---

37. Księżna Izabella z Flemingów Czartoryska.

Możnaby ułożyć całą galeryą literackich portretów księżnéj generałowéj ziem podolskich, zacząwszy od tych, które skreśliła wychowanica Puław, Klementyna Tańska, aż do wspomnień, rozrzuconych po wszystkich pamiętnikach współczesnych; a osobną antologią utworzyłby zbiór wierszy od Woronicza i Kniaźnina do Koźmiana i Morawskiego o autorce „Pielgrzyma w Dobromilu“, założycielce świątyni Sybilli, dostojnéj Puław gospodyni. Nie było dość pochlebnych porównań, dość wzniosłych słów uwielbienia, którychby nie składał zastęp pisarzy szkoły puławskiéj w hołdzie téj pani, głośnéj jako wzór Polek. W miarę czci i sławy u współczesnych i potomność nie szczędziła jéj pamięci.

Życie księżny Izabelli rozdziela się na dwie epoki: epokę młodości, wyłącznie oddanéj światowym zabawom, i na epokę pracy patryotycznéj. W pierwszym okresie jest księżna córką XVIII. stulecia — ma jakieś podobieństwo z Maryą Antoniną, a przynajmniéj w orszaku dam, otaczających tę królowę, najodpowiedniejsze mogłaby znaleść dla siebie miejsce. Jak one, przepływa lekko, po wierzchu, przez młodość aż do epoki katastrof; chce królować w świecie zabaw, a nie sięgać po wpływ i władzę; lubi idylle i stwarza sobie Trianon w Powązkach, a wśród kwiatów, gajów, chatek, sztucznych ruin i pustelni, które zapełnia orszakiem gości, przebranych za boginie, pasterzy i pasterki, jest żywą ilustracyą literatury, poezyi i sztuki XVIII. stulecia. Styl ten jednak konwencyonalny, sentymentalny, a powierzchowny i lekki, nie narusza szczerości serca, zdolnego w danych razach do poświęceń, zapału i pewnego heroizmu. Jak małżonka Ludwika XVI. w więzieniu, wobec zbirów, okazała podniosłość duszy, tak księżna polska wobec gromów, spadających na ojczyznę, ocknęła się z upojenia i wystąpiła w zmienionéj postaci. Gdy młodość mijała, dzieci dorastały, synowie gotowali się do służby kraju, a mąż stawał w szeregach stronnictwa patryotycznego, wtedy spotęgowało się uczucie księżny jako Polki wobec nieszczęść ojczyzny i chwil zapału i uniesienia.

Tu dopiero nastał stanowczy przełom. Przeszłość miała tło kosmopolityczne; tu nowy świat się otwiera, świat rodzimy, świat polski z pamiątek historycznych, miłości ludu i marzeń o przyszłości. Tak staje się ona prototypem niewiast polskich XIX. wieku. Polityką się nie zajmowała, jednakże szczerą była patryotką. Ożywiona atmosferą wielkiego sejmu, gdy ta chwila

minęła, wśród ogólnego upadku podjęła z wielką wytrwałością i poświęceniem ważne zadania, ratowała pamiątki przeszłości od zatraty, wychowywała synów na dzielnych obrońców ojczyzny, stworzyła ognisko ducha narodowego i intuicyą kobiecą odczuła to, co później dopiero w literaturze i społeczeństwie nowém wykwitło życiem. Taką przeszła do tradycyi obyczajowéj i literackiéj, taką żyje do dziś w wspomnieniach niezatartych.

Była księżna Izabella i autorką. Za młodu nie myślała o tém; dopiero w późniejszych latach wzięła pióro do ręki, ażeby napisać pierwszą historyą polską dla ludu, książeczkę do modlitwy dla dziatwy wiejskiéj i dziennik ważniejszych zdarzeń z własnéj młodości. Notatki te, kreślone z wielką prostotą, dają nam bliżéj poznać nietylko szczegóły życia, ale nadto wiernie odbijają charakter autorki. Cechuje go uczuciowość i wrażliwość prawdziwie niewieścia.

A jakkolwiek religijność nie była w modzie owych czasów, przecież do domu księżny nie wdarł się nigdy duch szyderstwa i niewiary. Wzniosła ona nowy kościół w stylu świątyni greckiéj w parku puławskim, ozdobiła kościół w sąsiednich Włostowicach, a na kościółki wiejskie w innych włościach hojne składała dary. Gdzie dojrzewali Woronicz, Kniaźnin, Karpiński, tam nie mogła panować niewiara. Ks. Piramowicz i ks. Koblański stały tam znajdowali przytułek, a z Puław do seminaryum wstąpili Zabłocki i Siarczyński. Świadectwem jednak najlepszém matki chrześcijanki, jéj uczuć i zasad, jest to ziarno wiary, które wcześniéj czy późniéj schodzi w duszach dzieci, a właśnie takie świadectwo zaszczytne dają ks. Izabelli dzieci, zwłaszcza syn Adam, który przez całe życie swoje wzorowym był chrześcijaninem.

Godną przeto była księżna Izabella z Flemingów Czartoryska tych hołdów, jakie jéj składali współcześni; godną jest téj czci, jaką jéj imię wdzięczna otacza potomność.

Ludwik hr. Dębicki.

---

38. Karol, arcyksiążę austryacki.

Ze wszystkich synów cesarza Leopolda II. największą zjednał sobie sławę arcyksiążę Karol. Ur. 5. września r. 1771. w Florencyi, był trzecim z rzędu synem Leopolda i Maryi Ludwiki, infantki hiszpańskiéj. W pierwszych latach swego życia wątły był i słabowity i nigdy nie okazywał właściwéj dzie-

ciom wesołości i ochoty do zabaw. Nieśmiały, wcale nie zapowiadał owego rycerskiego ducha, jakim się późniéj odznaczał. Chyba czasem wyjątkowo zdradzało się właściwe jego usposobienie. Kiedy r. 1776. cesarz Józef II. przybył w odwiedziny do Florencyi, młody książę stanął na straży u drzwi do jego komnaty; a kiedy go zapytano, co to ma znaczyć, odpowiedział, że czuwa nad bezpieczeństwem swego stryja.

W r. 1778. przybył na dwór toskański ksiądz Zygmunt hr. Hohenwarth, późniejszy arcybiskup wiedeński, którego tam posłała cesarzowa Marya Teresa, ażeby kierował edukacyą wnuka i sam go uczył religii i historyi. Odtąd bardzo korzystnie rozwijały się zdolności młodego księcia, który z wielkiém zamiłowaniem oddawał się naukom. Z klasyków starożytnych szczególnie zajmowali go Cezar i Tacyt; z największém jednak upodobaniem uczył się matematyki i sztuki wojskowéj. Równie chętnie zajmował się sztukami pięknymi, do czego wiele znajdował podniety w pięknéj stolicy Medyceuszów, obfitującéj w nieocenione zabytki sztuki.

W r. 1790. rodzice księcia przenieśli się do Wiednia, a wkrótce potém Leopold został cesarzem. Wtedy arcyksiążę Karol udał się na dwór Maryi Krystyny do Brukseli, gdzie szczególnie ćwiczył się w sztuce rycerskiéj. Stądto po raz pierwszy pospieszył na pole walki, kiedy wybuchła wojna z Francyą. Dnia 6. listopada r. 1792. walczył w pamiętnéj bitwie pod Jemappes, dowodząc jedną brygadą jako generał-major. Odtąd w wielu bywał bitwach, odznaczając się zawsze nieustraszoną odwagą, niezwykłą wytrwałością i nadzwyczajnymi zdolnościami strategicznymi. W r. 1793. w bitwie pod Aldenhoven tak się odznaczył, iż jemu głównie przypisywano odniesione nad nieprzyjacielem zwycięstwo. Wkrótce potém pod Neerwinden dnia 18. marca 1793. r. przyczynił się zręcznym i śmiałym obrotem do świetnego zwycięstwa, za co otrzymał godność namiestnika Niderlandów i order Maryi Teresy. Nigdy odznaka ta nie zdobiła młodszéj piersi. W kilka dni później wjechał na czele zwycięskich hufców do Brukseli, witany przez lud z największym zapałem. W roku następnym 1794. w wielu bitwach brał udział i niejedno odniósł zwycięstwo, n. p.: pod Landrecies, pod Tournay, gdzie lewém skrzydłem dowodził, i pod Charleroi nad Jourdanem.

Rok 1795. spędził w Wiedniu, kształcąc się daléj w sztuce wojennéj; a gdy w r. 1796. Bonaparte z Włoch do Austryi się wdzierał, a dwie inne armie francuskie w sam środek Niemiec

wkraczały, arcyksiążę Karol, zostawszy naczelnym wodzem wojsk austryackich, rzucił się pomiędzy owe armie, pobił Bernadottego, Jourdana za Ren odparł, a jenerała Moreau zmusił do odwrotu. Tylko zwycięstwa samego Napoleona, który nie miał naprzeciw siebie arcyksięcia Karola, zniweczyły owoce bohaterskich tych czynów i skłoniły Austryą do zawarcia pokoju w Campo-Formio.

Z niemniejszą sławą rozpoczął arcyksiążę Karol wojnę powtórną sprzymierzeńców przeciw Francyi: pobił Jourdana dn. 21. marca r. 1799. pod Ostrach, a potém pod Stockach, dn. 25. i 26. marca tego roku przebył Ren, wpadł do Szwajcaryi, zniósł Massenę pod Winterthur dn. 23. maja, a potém pod Zurychem, zdobył Mannheim i oswobodził prawy brzeg Renu od wojsk nieprzyjacielskich.

W wojnie r. 1805. znowu oddano arcyksięciu Karolowi naczelne dowództwo nad wojskiem walczącém, gdzie pobił Massenę pod Caldiero. W kampanii zaś r. 1809. przeciw Napoleonowi odniósł zwycięstwo pod Aspern.

Od r. 1809. żył arcyksiążę Karol w domowém zaciszu, zdala od wszelkich spraw publicznych, równie szanowany jako człowiek i obywatel, jak niegdyś jako wódz. Był wzrostu średniego, szczupły. Czoło miał wysokie, oko bystre. Prosty i skromny w całéj swéj powierzchowności, przyjacielski i uprzejmy w obejściu z ludźmi, zjednał sobie cześć wszystkich, którzy go znali, a żołnierze, którym nieustraszoną przyświecał odwagą, których zawsze otaczał ojcowską opieką, ubóstwiali go jako swego wodza. Był téż istotnie jednym z największych wodzów swego czasu, a pisarze francuscy twierdzą nawet, że był największym z tych, którzy czoło stawili genialnemu ich cesarzowi. Sam Napoleon, szczęśliwszy od niego na polu chwały, przyznawał mu to otwarcie. Raz, czytając dziennik, nagle się zatrzymał, a wskazując ręką na ustęp przeczytany, rzekł: „Mowa tu o mężu prawdziwie cnotliwym, o arcyksięciu Karolu; on duchem przypomina czasy bohaterskie, sercem złote wieki ludzkości!“

(Wedł. *Karola Wernera.*)

---

39. Samuel Bogumił Linde.

Samuel Bogumił Linde był potomkiem rodziny szwedzkiéj. Urodził się w Toruniu dnia 24. kwietnia r. 1771. Ojciec jego, ślusarz z zawodu, człowiek bardzo ubogi, wcześnie go odumarł,

zostawiwszy żonę i kilkoro dzieci w ostatniéj prawie nędzy. Z dzieci tych wychowali się tylko dwaj synowie, z których starszym był Jan, późniéj pastor przy kościele św. Ducha w Gdańsku, młodszym zaś Samuel. Początkowe nauki i gimnazyalne pobierał Samuel w rodzinném mieście, walcząc z ostatnim niedostatkiem i udzielaniem lekcyj prywatnych na chleb codzienny zarabiając. Ukończywszy gimnazyum w 18. roku życia, udał się do Lipska, aby w tamtejszym uniwersytecie oddać się nauce teologii.

Pilność jego i praca niezmordowana wkrótce zwróciły nań oczy wszystkich profesorów tak dalece, że jeden z nich, słynny podówczas filolog August Wilhelm Ernesti, wyjednał mu posadę profesora języka i literatury polskiéj w tamtejszym uniwersytecie. Linde, odebrawszy o tém wiadomość, oświadczył życzliwemu opiekunowi, że języka polskiego nie zna dobrze, gdyż tylko tyle go umie, ile się nauczył z potocznego używania w rodzinném mieście, gdzie język ten znacznie był zaniedbany; chcąc zatém uczyć go drugich, sam potrzebowałby się naprzód przygotować do tego od najpierwszych początków. Ernesti odpowiedział na to: „Ein Knabe sehr viel lernen muss, eh' aus ihm wird ein *Dominus* [1]“, zachęcając go uwagą, że dla chcącego nie ma trudności. Wreszcie poszedł Linde za radą Ernestego i nominacyą przyjąwszy, zabrał się z największą gorliwością do gramatyki i słownika. Wtenczas już, mając lat dwadzieścia i jeden, powziął zamiar ułożenia słownika dokładnego i celem zbierania materyałów udał się w r. 1794. do Warszawy, a następnie do Wiednia, gdzie znalazł opiekę i pomoc do wykonania swego zamiaru w domu Józefa hr. Ossolińskiego, gorliwego orędownika nauki. Ossoliński nosił się wtenczas z myślą założenia publicznéj polskiéj biblioteki i postanowił zbierać cenne i ważne dawniejsze książki. Linde, popierając ten szlachetny zamiar, udał się w podróż, zwiedzał wszystkie zakątki kraju, zaglądał do klasztorów, do bibliotek prywatnych, książki przeglądał, odczytywał, i z taką zabrał się do poruczonéj mu sprawy gorliwością, że niejedno rzadkie dzieło, „białym krukiem“ zwane, potrafił odszukać i zbiór Ossolińskiego powiększyć. „Zbierając te książki — powiada Linde — miałem co czytać, miałem z czego robić wyciągi. Czytałem téż w drodze, na popasach, na noclegach; a jeżeli czego nie mogłem wypisać, znaczyłem to, co uważałem za potrzebne do mojego celu“.

---

[1]) pan.

W takiéj pracy, zabiegach i staraniach przepędził Linde lat 10: materyały się mnożyły, słownik się przygotowywał. Wieść o olbrzymiém przedsięwzięciu Lindego rozchodziła się coraz daléj. W r. 1803. rząd pruski powołał go do urządzenia w Warszawie liceum i objęcia nad niém dyrekcyi. Nowe trudy i obowiązki nie przerwały jednak pracy około słownika. Pomimo rozlicznych przeszkód dokonał wreszcie Linde dzieła, nad któróm tyle lat pracował. Chodziło teraz o wydanie pracy téj drukiem. Prócz zasiłków pieniężnych od osób prywatnych, Linde wspierany był w przedsięwzięciu swém i od rządów, osobliwie przez cesarza Aleksandra I., który na przedstawienie znajdujących się przy nim Polaków kazał mu zaliczyć 500 czerw. złotych na koszta druku słownika. Druk więc rozpoczął się w roku 1806. w drukarni ks. Pijarów; ale wkrótce, przekonawszy się, że idzie opieszale, Linde zabrał drukarnię i drukarzy do siebie i od połowy tomu I. odbijano słownik we własném jego mieszkaniu w pałacu saskim.

Tymczasem wybuchła wojna. Francuzi weszli do Warszawy i wydano rozkaz, aby w 8 godzinach liceum i wszystko, co do niego należy, ustąpiło z pałacu saskiego. Za wdaniem się jednak Stan. hr. Potockiego cofnięto rozkaz, a cesarz Napoleon I. kazał oświadczyć, że bierze liceum w swoję opiekę. Jednakże tak ta wojna jak i dwie następne, w r. 1809. i 1813., stawiły niezwalczone przeszkody dalszemu drukowi dzieła. Powiększyła je jeszcze nadzwyczajna drożyzna i wyczerpanie wszelkich zasiłków pieniężnych, czemu przy powszechném wszystkich zubożeniu trudno było zaradzić. Ordynat Zamojski, chcąc przedsięwzięcie ratować, puścił na loteryą jednego z najpiękniejszych swoich wierzchowców. Osoba, która go wygrała, darowała go znowu Lindemu i tym sposobem znalazł się fundusz na dalsze wydatki. Wreszcie na przedstawienie Jana Śniadeckiego zaliczył bardzo znaczną kwotę Wincenty hr. Tyszkiewicz na wydrukowanie ostatniego, szóstego tomu, którego druk dopiero w r. 1814. został ukończony.

Po takich dopiero trudach i mozołach, po licznych podróżach i niewygodach, po ciągłém kłopotaniu się o fundusze, starania Lindego wreszcie pożądany odniosły skutek. Była to praca olbrzymia! Aby dać o niéj wyobrażenie, dość powiedzieć, że słownik Lindego składa się z 6 ogromnych tomów, obejmujących przeszło 600 arkuszy druku, a sam rękopis musiał obejmować najmniéj 4.800 arkuszy zwyczajnego papieru. Żeby je tylko zapisać, i trzech lat ciągłéj pracy zamało; cóż dopiero to, co na

nich miało być pomieszczone, wypisać, uporządkować, poprawić, dopełnić, a na to wszystko przeczytać tyle dzieł, poczynić z nich wyciągi i pomieścić je pod właściwymi słowami! Była to więc praca olbrzymia w całém znaczeniu słowa, przechodząca niemal siły jednego człowieka, a przecież jeden człowiek — Linde sam jéj dokonał!

Praca taka zniewalała do oddania czci należnéj pracownikowi. Nietylko w kraju, lecz i za granicą uznano prawdziwą zasługę Lindego. Zaraz po ukazaniu się I. tomu słownika przysłała mu dyplom na swego członka królewska czeska akademia w Pradze, następnie akademie: getyndzka, wileńska, berlińska, królewiecka i instytut francuski w Paryżu. Późniéj został Linde członkiem uniwersytetu w Kazaniu i cesarskiéj akademii w Petersburgu; wreszcie mianowały go członkiem swoim prawie wszystkie uniwersytety w państwie rossyjskiém, również i Towarzystwo starożytności północnych w Kopenhadze. W r. 1810., po ukazaniu się trzech pierwszych tomów słownika, król saski i książę warszawski obdarzył go wielkim złotym medalem z napisem: „*Virtuti et ingenio*“ [1]). Ukończenie słownika opiewał najznakomitszy ówczesny poeta Kazimierz Brodziński, a Towarzystwo przyjaciół nauk w Warszawie wyprawiło z tego powodu wspaniałą ucztę, na któréj naprzeciw Lindego wznosił się słownik jego, gałązkami wawrzynu uwieńczony. Niebawem otrzymał Linde z rąk Józefa Zajączka, namiestnika Królestwa polskiego, z upoważnienia cesarza Aleksandra I., wielki medal złoty, na cześć jego wybity i złożony mu w imieniu narodu z napisem: „Za słownik języka polskiego ziomkowie r. 1816.“

Na opracowaniu słownika nie kończy się praca literacka Lindego; wydał on bowiem drukiem 14 dzieł i pozostawił dwa rękopisy, z których jeden obejmuje 22 tomów, jego własną ręką pisanych.

Ale nietylko pracami literackimi wyłącznie przyszło się zajmować Lindemu; piastował on i urzędy publiczne, na których skuteczne rozwijał działanie. Kiedy powstało księstwo warszawskie, został Linde nadal rektorem liceum, tudzież członkiem Izby edukacyjnéj i członkiem rady dozorczéj szkoły prawa. Izbę edukacyjną zmieniono w dyrekcyą edukacyi narodowéj: Linde jest jéj członkiem, a wkrótce dyrektorem. Zasiada jako prezes w Towarzystwie do ksiąg elementarnych, a nadzoruje

---

[1]) Zasłudze i zdolnościom.

wszystkie szkoły w księstwie z zadowoleniem tak powszechném, że publiczne odbiera za to podziękowanie. Księstwo zmienia się w Królestwo Polskie pod panowaniem rosyjskiém, a Linde piastuje tesame dostojności, a nadto jest radcą komisyi rządowéj wyznań religijnych i oświecenia publicznego i komisarzem rządowym przy konsystorzu ewangelicko-augsburgskim. Jest oraz generalnym dyrektorem bibliotek i gabinetów i korespondentem imperatorskiéj komisyi praw w Petersburgu. Zaprowadzają uniwersytet w Warszawie r. 1817., Linde jest znowu najczynniejszym. W jego mieszkaniu odbywa posiedzenia komisya do ułożenia statutów uniwersytetu, przez Stan. hr. Potockiego, ministra oświecenia, mianowana. W nowo urządzonym uniwersytecie profesora filozofii zastępując, Linde wykłada psychologią w języku polskim i gramatykę powszechną; jest téż pierwszym rektorem tego uniwersytetu, a zbiory naukowe, biblioteczne i muzealne staraniem jego znacznie się powiększają. W r. 1819., skoro się dowiedział, że klasztory w Królestwie mają być zniesione, podejmuje się z własnego popędu zwiedzić ich biblioteki. Puszcza się więc w podróż i przez 4 blisko miesiące z wózka nie zsiadając, zrobił około 300 mil, przejrzał do 50 bibliotek, a wskutek tego zwieziono z owych klasztorów około 40.000 tomów dzieł różnych, między którymi znajdowało się mnóstwo najrzadszych rękopisów. Był pierwszy zamiar utworzyć z tego bibliotekę narodową; wcielona do uniwersytetu, uległa późniéj temuż losowi, co biblioteka Załuskich. Zasiada téż Linde jako deputowany miasta Warszawy na sejmie; po r. 1831. otrzymuje nadzór główny nad wychowaniem publiczném, a wkrótce zasiada w komitecie, zajmującym się nowém urządzeniem szkół i zakładów. W r. 1833. był dyrektorem gimnazyum, prezesem komitetu, czuwającego nad szkołami, i członkiem rady wychowania publicznego.

W r. 1835., zwątlony znacznie na siłach, prosił o uwolnienie od służby publicznéj. Usunąwszy się od obowiązków urzędu, zerwał stosunki ze światem, oddał się całkowicie naukom, szukając tylko czasem rozrywki w towarzystwie swych dzieci. Zwykle pracował od 6. zrana do 4. popołudniu nad słownikiem porównawczym języków słowiańskich. Pracownia jego była dla rodziny jego jakby świętym przebytkiem. Umarł dnia 8. sierpnia 1847. roku. Kazał się pochować w czarnéj trumnie z biblią, mówiąc, iż nie chce się rozłączyć z tą księgą świętą.

Wedł. *Augusta Bielowskiego.*

---

40. Kazimierz Brodziński.

Mało jest w literaturze naszéj imion, otoczonych tak powszechną czcią i szacunkiem, jak imię K. Brodzińskiego. Podziwiamy w nim niezmierną skromność obok wielkich zasług, jego poświęcenie się zupełne dla sprawy, około któréj chodził i za którą walczył — poświęcenie, które sprawiło, że, rzadkim w literaturze i w świecie przykładem, zdołał się wyzuć z miłości własnéj, a nawet z téj żądzy sławy, która jest jednym z najsilniejszych bodźców dla ludzi, działających bądź na polu myśli, bądź na polu czynów. Jestto postać, wzbudzająca mimowolne uszanowanie, cicha i poważna; nie uderza majestatem wielkości, ale podbija serce jakąś jasnością duszy, spływającą z jéj czoła.

Urodził się K. Brodziński r. 1791. w Królówce, w obwodzie bocheńskim, skąd go niekiedy nazywano Kazimierzem z Królówki. Od przyjścia na świat był wątły i słabowity, a że matkę utracił w dziecinnym wieku, jedynie staranności wiejskich kobiet, ich pielęgnowaniu zawdzięczał, że został przy życiu. Drogie mu zawsze było wspomnienie matki; to też pisze w swoim pamiętniku: „Matki mojéj wcale nie pamiętam: miałem lat pięć, gdy mnie odumarła. Jedyna scena, którą z dziecinnych lat moich pamiętam, jest pogrzeb mojéj matki, jéj postać w trumnie — aż do ubioru, do katafalku, na którym była złożoną, i do pieśni, które nad jéj ciałem ubodzy przez dwa dni spiewali. W późniejszych czasach służące i kobiety wiejskie wiele mi o dobroci mojéj matki opowiadały. Lubiłem ich słuchać i im jedynie winienem to przywiązanie do niéj, z którém, zdaje mi się, dotąd że żyję. W najsmutniejszych wypadkach późniejszéj młodości mojéj zawsze się do niéj jako do patronki modliłem. Jéj postać umarła, którą jedynie pamiętam, zawsze mi smutne i pełne uszanowania czyni wrażenie. W bardzo dziecinnym wieku napisałem elegią do cieniów mojéj matki; wiem, że ją płacząc pisałem w nocy, przy świetle księżyca. Brat mój Andrzéj zawsze mi to pismo moje wychwalał. Nie wiem, czy kto, choćby najtkliwszéj miłości macierzyńskiéj doznawał, mocniéj czuł nademnie, co to jest matka. Imię matki od lat najmłodszych było dla mnie świętém nazwiskiem. Widok współuczniów przy matkach napełniał mnie rzewném uczuciem. Nie mogłem się utulić ze smutku, który się cisnął w me serce, gdym widział albo słyszał wyrazy troskliwości i przywiązania macierzyńskiego... Wiele łez mię koszto-

wało, gdym widział dziecię od matki pocałowane. Może to było dziecinne uczucie, ale je pojmie ten, kto lat dojrzałych doszedłszy, nie znał, co to jest uścisk rodzicielski.“

Ojciec nie zajmował się synami, wychowanie więc biednego Kazimierza było zupełnie zaniedbane: rósł sobie jak drzewko w polu, dziki, nieśmiały, ale swobodny. Bujając wolno po polach i górach, wcześnie nabrał zamiłowania natury, bo ta była mu jedyną przyjaciółką, przed którą mógł się z świeżych swych uczuć spowiadać. Ten rodzaj życia, wpół dziki, a przytém poetyczny, wykształcił charakter jego i na dalszy los wpłynął.

Oddany do szkoły w Lipnicy, nauczył się ledwie czytać i pisać po polsku i po niemiecku. W godzinach wolnych najwięcéj przestając z wiejskimi chłopiętami, w ich towarzystwie używał zabaw wieśniaczych. Cóż to za rozkosz była po ukończonéj nauce puścić się między góry i sady, — pojeździć na maleńkich konikach, prowadzonych na paszę w dalekie dąbrowy, — kąpać się i brodzić bosą nogą środkiem piaszczystéj krynicy! W tych zabawach z prostymi wieśniakami był prawdziwie szczęśliwy. W domu nikt się o niego nie troszczył; nie miano mu za złe, choć się najdłużéj bawił. Życie takowe zrobiło go nieśmiałym do ludzi wyższego stanu, a jednak wiele dobrego w niém zaczerpnął. Nie tylko bowiem słabe jego zdrowie nabrało siły, ale przytém serce nabrało przywiązania do stanu rolniczego. Z jakąż rozkoszą przypominał sobie w późniejszych latach, jak go chłopaki wiejskie uczyły konia dosiadać; jak podczas mglistéj jesieni trawił wieczory przy roznieconym w polu ogniu; jak mu opowiadano bajki, które podówczas składały dla niego jedyną literaturę i zastępowały książki. Z jakąż przyjemnością przypominał sobie wesela wiejskie, którym się z dziecinną przypatrywał ciekawością, albo uroczystości wiejskie i święta religijne, w których z taką radością zawsze uczestniczył.

W takimto prostym i religijnym świecie pędził Brodziński pierwsze lata życia, a wrażenia, jakie się wyżłobiły w jego myśli i sercu, rozlał po uroczych swych poezyach.

Gdy podrósł, ojciec wysłał go ze starszym bratem Andrzejem do Tarnowa. Tutaj z zapałem rozczytywał się w celniejszych utworach literatury niemieckiéj, a mianowicie w dziełach Herdera, Kleista, Wielanda, Goethego, i wcześnie zaznajomił się z nowym kierunkiem poezyi niemieckiéj. Kiedy mając lat 18, już po śmierci ojca, ukończył szkołę w Tarnowie, udał się do Krakowa. Stąd wraz z bratem dostał się do księstwa warszaw-

skiego, gdzie zaciągnął się do pułku artyleryi jako ochotnik, a wkrótce jako podoficer przeszedł do 12. kompanii, któréj dowódcą i kapitanem był Wincenty Reklewski, wiekiem i charakterem zbliżony do Brodzińskiego i zarówno miłujący literaturę i poezyą, a nawet znany jako autor pięknych sielanek p. n. Pienia wiejskie.

Jako artylerzysta odbył Brodziński smutną a pamiętną wyprawę do Moskwy r. 1812., w któréj stracił ukochanego kapitana Reklewskiego, wielu przyjaciół i towarzyszów broni, a nawet patrzał zgłodniały i zziębnięty na drogiego brata i opiekuna swojego, Andrzeja, jak trup jego, rozciągnięty na białym śniegu, obnażony, leżał ugodzony w samo czoło karabinową kulą.

Opatrzność czuwała nad wątłym poetą: szczęśliwie wytrzymał trudy i straszną zimę i dostał się do Warszawy. Walczył następnie w sławnéj bitwie pod Lipskiem r. 1813., w któréj ranny dostał się do niewoli pruskiéj. Wypuszczony z niéj, wrócił do Krakowa, skąd udał się do Warszawy i poświęcił się literaturze. Od r. 1818. był nauczycielem literatury polskiéj i stylu w konwikcie księży Pijarów, następnie profesorem w liceum warszawskiém, a w r. 1822. mianowany został przez ministerstwo wyznań religijnych i oświecenia publicznego profesorem uniwersytetu warszawskiego do literatury polskiéj. W r. 1826. Towarzystwo przyjaciół nauk przybrało go za członka. Podupadły na zdrowiu, w tymże roku odbył podróż do Włoch, przyczém zwiedził Szwajcaryą i Paryż. W r. 1829. został generalnym szkół wizytatorem. Po zniesieniu uniwersytetu w r. 1834. odwiedził Kraków i z rozrzewnieniem oglądał gród stary, w którym wiele lat młodości swéj przepędził. Gdy choroba się wzmagała, lekarze wysłali go do wód czeskich; wskutek choroby piersiowéj umarł w Dreznie dnia 10. października 1835. r. — Obecny przy śmierci jego A. E. Odyniec tak opisuje ostatnie chwile życia spiewaka Wiesława:

„Zacny Kazimierz skończył tak spokojną, tak łagodną śmiercią, że ja, świadek jego skonania, ze czcią patrząc na niego, żałować go nawet nie śmiałem, i tylko sobie samemu podobnéj kiedyś śmierci życzyłem. Kto tak jak on żył i umierał, ten, nie godzi się wątpić, już tam od nas szczęśliwszy. Spokojność i łagodność duszy i charakteru nie odstąpiły go nawet ani na chwilę, z pokorą i zaufaniem oddawał się woli Bożéj. W wigilią śmierci czuł się weselszym i spokojniejszym, niż kiedy. Drzemiąc nawpół w nocy, miał bardzo piękne widzenie, o którém sam

z wielkiém wzruszeniem opowiadał, a które mu wielką radość i spokojność przyniosło. Widział przed sobą Zbawiciela w białéj szacie, który, uśmiechając się łagodnie, rękę ku niemu wyciągnął Widzenie to i list żony, w którym mu o troskliwości, jakiéj od przyjaciół doznaje, doniosła, były osłodą ostatnich chwil jego. Z wdzięcznością dziękował Bogu i umarł z zaufaniem, że Bóg i przyjaciele nie opuszczą osieroconéj rodziny i pocieszać ją będą".

Po pogrzebie stanął wśród cmentarza katolickiego nad mogiłą poety skromny pomnik w kształcie czworograннéj kolumny, wokoło u spodu obłożonéj granitowymi kamieniami, z tym prostym napisem: „Kazimierzowi Brodzińskiemu — ziomkowie".

W roku zaś 1884. wzniesiono ulubionemu poecie pomnik w Tarnowie przed budynkiem gimnazyalnym na pamiątkę, iż twórca Wiesława w tém mieście niegdyś wyższe pobierał nauki. Odsłonięcie pomnika, ozdobionego popiersiem poety, odbyło się z wielką uroczystością dnia 17. lipca t. r. podczas dorocznego zjazdu członków Towarzystwa pedagogicznego. Na czarnéj marmurowéj tablicy umieszczono napis: „Kazimierzowi Brodzińskiemu, uczniowi gimnazyum tarnowskiego, nauczycielowi, poecie — wdzięczni rodacy".

Wychowanie Brodzińskiego wśród ludu sprawiło, że najpiękniejsze utwory swego natchnienia jemu poświęcał. Znajomość gruntowna tego ludu i charakteru podały mu osnowę do arcydzieła, jakiém jest sielanka krakowska: Wiesław. — „Pieśni rolników polskich" i wiele innych wypłynęły również z jego gorącéj miłości dla ludu. Wdzięk, naiwność i prostotę, tak wydatne w poezyach Brodzińskiego, zawdzięcza on otoczeniu, w jakiém wzrósł, atmosferze pieśni ludowych i świata sielskiego.

Przecież nietylko jako poeta zajmuje Brodziński podniosłe stanowisko w dziejach literatury polskiéj, ale zarazem jako krytyk i estetyk. Wykłady jego o literaturze polskiéj z katedry uniwersyteckiéj mają wysoką wartość, bo każdego z pisarzy, o którym mówił, znał gruntownie i starannie pisma jego studyował.

Brodziński był zwiastunem nowéj epoki literatury polskiéj, bo już na kilka lat przed Mickiewiczem w rozprawach swoich objaśniał różnicę między nową a dawną szkołą [1]), zanim jeszcze gorąca walka tych dwóch stronnictw wybuchła. A chociaż

[1]) Rozprawa o klasyczności i romantyczności (1818.).

potężny geniusz twórcy „Dziadów“ przygasił rozgłos imienia Brodzińskiego jako cichego i pracowitego żniwiarza, pomimo to, jeżeli na pogodném niebie naszéj poezyi Mickiewicz jest słońcem, Brodziński pozostanie na zawsze jasną gwiazdą jutrzenki.

Według *K. Wł. Wojcickiego.*

---

41. Klementyna z Tańskich Hoffmanowa.

Na początku wieku XIX. wychowanie kobiet bardzo u nas było zaniedbane. Gdy duch narodu budził się z uspienia; gdy powstawało i rosło zamiłowanie własnego języka i literatury, a młodzież męska kształciła się w szkołach już ulepszonych: wychowanie kobiece nie mogło się jeszcze wyłamać ze szkodliwych wpływów cudzoziemszczyzny; przesiąknięte francuszczyzną, było nietylko zaniedbane, lecz nawet zupełnie skrzywione i nienarodowe. Wtedyto wystąpiła Klementyna Tańska, a jéj pisma stały się jedną z najsilniejszych dźwigni do podniesienia i ulepszenia wychowania, do zwrócenia go na tory narodowe.

Klementyna Tańska urodziła się 23. listopada 1798. r. w Warszawie. Ojciec jéj, Ignacy Tański, mąż zacny i światły, brał żywy udział we wszystkich pracach obywatelskich w kraju, przed r. 1795. sprawował urząd sekretarza w gabinecie spraw zagranicznych, a przytém z zamiłowaniem zajmował się literaturą. Po r. 1795. zrazu osiadł na wsi, zajmując się gospodarstwem, ale w r. 1801. porzucił dzierżawę, a przyjął miejsce w Puławach przy ks. generale Czartoryskim, jako jego sekretarz. Klementyny nie wzięli rodzice ze sobą do Puław, lecz trzyletnie wówczas dziecko oddali na wychowanie przyjaciółce swéj i sąsiadce, Anieli ze Świdzińskich Szymanowskiéj, starościnie wyszogrodzkiéj. Dziesięć lat przebyła Klementyna w tym domu pod opieką niewiast poczciwych i pobożnych, nawet jak na on czas wykształconych, lecz niewolnych od przesadnego hołdowania francuszczyźnie.

Wychowanie Klementyny miało tedy strony dobre, ale i braki wielkie. Lecz od najpierwszych lat dziecinnych, rozdzielona z rodzicami, tęskniła za nimi i przejmowała się niezmierném dla nich uwielbieniem: szczególnie o matce zawsze marzyła i śniła; siostry, zostające w domu rodzicielskim, zdawały się jéj

wybranymi od losu, a szczęściem jedyném było dla niéj — żyć przy matce. To wyrobiło w niéj owo prawdziwie idealne pojęcie rodziny, które jest najpiękniejszą chlubą całego jéj życia.

Kiedy po śmierci męża matka dla wychowania dzieci osiadła w Warszawie, powołała do siebie i Klementynę, spełniając przez to jéj najgorętsze życzenie. Tu dopiero, w Warszawie, rozpoczęła Tańska prawdziwą naukę, tém korzystniejszą, że sama pracowała nad sobą. Duch całego społeczeństwa, budzącego się do nowego życia, ogarnął i młodą Klementynę. Wyrzekła się mody, porzuciła francuszczyznę, a idąc za przykładem takich mężów, jak K. Brodziński, zabrała się gorliwie do pracy nad mową ojczystą. Odrazu sięgnęła do najlepszych mistrzów, bo do pisarzów XVI. wieku, wkrótce téż poznała język polski gruntownie i pokochała go całém sercem. Oprócz pracy naukowéj skrzętnie wypełniała wszystkie domowe zatrudnienia niewieście, wyręczała matkę w gospodarstwie, uprzątała sama swój pokój, nosiła rzeczy tylko własną ręką uszyte. Tak téż i późniéj zawsze umiała prace literackie pogodzić z obowiązkami domowymi.

Pierwsze jéj drobne prace pojawiły się w „Pamiętniku warszawskim“ w r. 1818. W tymsamym roku napisała pierwsze ważniejsze swe dzieło: „Pamiątkę po dobréj matce“. Jak dalece rzecz ta potrzebną i stósowną była w czasie, kiedy naród dźwigał się z upadku i uwalniał ze szkodliwego wpływu cudzoziemszczyzny, najlepszym tego dowodem może być to, iż żadnego może pisarza pierwszy utwór nie znalazł tak życzliwego przyjęcia, jak ta książeczka młodéj autorki. Kilka wydań prawie rozchwytano, a autorka odrazu powszechny zjednała sobie szacunek.

Odtąd jednę pracę wydawała po drugiéj, aż w r. 1824. zaczęła wydawać pismo czasowe „Rozrywki dla dzieci“. Pismo to, zapełniane jéj własnymi pracami, wychodziło przez lat kilka; jest ono niezawodnie wyborną książką do czytania dla dzieci i młodych dziewcząt, a témsamém jedną z głównych zasług Tańskiéj. Składało się z życiorysów znakomitych mężów, opisów ciekawych w kraju miejsc i okolic, powieści historycznych i obyczajowych, anegdot o dzieciach, przypowieści moralnych, wyjątków z dzieł znakomitych pisarzy i rad wychowawczych dla matek. Były tam i komedyjki małe, przykłady gier towarzyskich dla dzieci — wszystko wdzięczne i poczciwe. Najwięcéj zajmujące są dwie obszerniejsze historyczne powieści, umie-

szczone w „Rozrywkach“, t. j.: „Listy Elżbiety Rzeczyckiéj“ i „Dziennik Franciszki Krasińskiéj“. Widocznêm w nich jest, jak drogą jest autorce każda pamiątka narodowa, jak radaby je wszystkie zebrać i wpoić w pamięć i serce młodego pokolenia. Zbiera żyjące jeszcze podania i rysy niedalekiéj przeszłości, maluje wiernie obyczaje i życie, niedawno ubiegłe, rzeczywiste postaci i charaktery.

„Rozrywki“ podniosły niezmiernie sławę i wziętość autorki. Któż nie wie, jaki był wówczas wpływ Tańskiéj i jakie jéj stanowisko, jaka cześć ją otaczała, jak najcelniejsi pisarze ubiegali się o jéj znajomość. Szacunek ten powszechny prawdziwą sprawiał jéj radość, którą wielekroć szczerze wypowiada w „Pamiętnikach“.

W r. 1825. komisya oświecenia, uznając jéj zasługi, dała jéj urząd eforki z nadzorem dwóch pensyonatów i dwóch szkół kobiecych, a Towarzystwo dobroczynności wezwało ją na opiekunkę ubogich. Rada tym obowiązkom, pełniła je gorliwie. W rok późniéj wezwano ją na nauczycielkę do instytutu guwernantek, a w r. 1827. otrzymała urząd wizytatorki wszystkich szkół i pensyj. Dom jéj stał się ogniskiem najświatlejszych zebrań, szkołą młodzieży, na świat wychodzącéj. Wpływ jéj z każdym prawie dniem wzrastał, a widok coraz piękniejszych owoców téj obywatelskiéj pracy był najlepszą dla niéj nagrodą za tyle trudów i poświęceń; a gdy w r. 1828. wyszła za mąż za Karola Hoffmanna, człowieka zacnego i uczonego, zdawało się, że w życiu rodzinnêm, które zawsze tak wysoko ceniła, i w czci powszechnéj, jaką ją otaczano, znajdzie szczęście i spokój zasłużony. Tymczasem stało się inaczéj.

W r. 1831. wskutek wypadków politycznych musiała Hoffmanowa opuścić kraj i schronić się za granicę. Odtąd życie jéj upływało na tułactwie wśród obcych. Czas jakiś przebywała w Dreznie, następnie osiadła stale w Paryżu. Za rodziną, za ojczystą ziemią i niebem bardzo zawsze tęskniła, ale nie wyrzekała na swój los; nigdy smutek nie odjął jéj pokoju duszy. Powiada sama w pamiętnikach, że pozostał jéj Bóg, mąż i praca: — więc jeszcze jest szczęśliwą. Położenie jéj i męża bardzo niekiedy bywało przykre: dostatki, jakie miała w kraju, zastąpiło ubóstwo, a cześć rodaków zastąpiło osamotnienie. Jednakże żaden rok nie upływa bez nowych prac literackich. Zaraz w r. 1832. napisała dwa tomy „Nowych

rozrywek", w których pomieściła między innymi rzeczami dokładny opis Drezna i galeryi obrazów.

Ale podobało się Bogu nawiedzić biedną wygnankę jeszcze drugiém nieszczęściem. W r. 1833. zachorowała ciężko, a jakkolwiek na razie powróciła do zdrowia, choroba ta ciągle wracała, a wreszcie stała się powodem jéj śmierci. Jednakże do ostatnich dni życia nie ustawała Hoffmanowa w pracy. W r. 1835. ukończyła pisanie „Książki do nabożeństwa dla Polek", która należy do najlepszych jéj dzieł. W modłach, zawartych w téj książce, taka przebija się prawda uczucia, że trudno je odmawiać bez głębokiego przejęcia się ich treścią.

Zaraz po tém dziele zabrała się Hoffmanowa do nowych prac, które miały chlubnie uwieńczyć tyloletnią jéj działalność literacką. W r. 1839. wydała „Karolinę", w r. 1841. „Krystynę", a w r. 1842. „Jana Kochanowskiego w Czarnolesiu" w 2 tomach, do któregoto dzieła jeszcze w Warszawie plan ułożyła wspólnie z Kazimierzem Brodzińskim. Oba ostatnie dzieła są najpiękniejszymi i najlepszymi pracami Hoffmanowéj.

Ale odtąd zdrowie jéj coraz bardziéj upadało. W r. 1844. dla poratowania jéj zdrowia mąż wybrał się z nią w podróż do Włoch, lecz już w Florencyi, a szczególnie w Rzymie tak się jéj pogorszyło, iż stęskniona za spokojem, wróciła do Paryża. Dnia 20. września 1845. umarła w Passy pod Paryżem. Zwłoki jéj spoczęły na cmentarzu *Pere-la-Chaise*, a na grobie ziomkowie piękny wznieśli jéj pomnik.

Zasługi Hoffmanowéj na polu życia narodowego i literatury bardzo są wielkie. Zwrot wychowania kobiecego na lepsze tory w wielkiéj części jéj jest zasługą, a co do pracy jéj literackiéj pięknie powiada Nehring, że „mało który pisarz po Mickiewiczu tak wielki wpływ wywarł na ogół społeczeństwa, jak ona. Pisma jéj na długo jeszcze zostaną zbiorem nauk roztropnych i wzorów, godnych naśladowania".

Według *Felicyi Wasilewskiéj.*

---

42. Józef Ignacy Kraszewski.

Istotny twórca nowożytnéj naszéj powieści, od lat wielu najlepiéj ogółowi czytającemu znany, a przez ogół piszący szanowany, już od najwcześniejszych lat młodzieńczych przewidywał Kraszewski świetną dla siebie przyszłość — w pracy

nieustannéj, którą następnie wszystkich zadziwił i do téj pory zadziwia. Mając zaledwie lat dwadzieścia, pisał do matki: „Ach, mamo! doprawdy, że miło jest pracować, jak kto może!... Będzie czas odpocząć wówczas, kiedy ręce nie będą mogły trzymać pióra, oczy nie zobaczą liter na papierze, głowa nie usnuje myśli; wówczas kiedy wydam ze dwieście tomów, kiedy będę sławny, ślepy, sparaliżowany, — wówczas odpocznę!...“ Słowa te, które wtedy mogły się wydać pełnymi zarozumiałości, dla nas dzisiaj po 56-letniéj działalności tego niegdyś młodzieńca są wyrazem bardzo trafnego, widocznie na poczuciu własnéj siły ugruntowanego przeczucia. Kraszewski napisał w tym przeciągu czasu nie dwieście, ale trzy razy tyle tomów, a pisze mimoto ciągle, w pracy nie ustając. Sam zbiór dzieł jego, w różnorodnych kierunkach wydanych, stanowić już może nader cenną biblioteczkę, z któréj zaczerpnąć się da doskonały pokarm duchowy, wystarczający na potrzeby życia dla pospolitego człowieka. A gdy dodamy do tego fakt, iż przykład Kraszewskiego podziałał silnie na wielu innych pisarzy, którzy w tymsamym, co i on, duchu piórem narodowi służyli; że wskutek tego zarówno pod względem jakości, jak i ilości, piśmiennictwo nasze się wzmogło i przynajmniéj w części nie tak niezbędną uczyniło konieczność posługiwania się dziełami obcymi, jak dawniéj: to znaczenie i zasługa, tak literacka jak i narodowa, tego nieocenionego pisarza uwydatni się wyraźnie, niemal dotykalnie. Człowiek taki musi u ogółu obudzać wdzięczność i poważanie głębokie.

Kraszewski urodził się 28. lipca 1812. roku w Warszawie, gdzie matka jego chwilowo mieszkała tak dla bezpieczeństwa w owéj epoce wojennéj, jak i dla stosunków rodzinnych. Początkowo wychowywał się Kraszewski w Dołhém, w gub. grodzieńskiéj, u swéj prababki Konstancyi Nowomiejskiéj, matrony sędziwéj, która żywo przypominała typową postać dawnéj niewiasty polskiéj; potém zostawał pod opieką babki Malskiéj we wsi Romanowie na Podlasiu, dotąd zostającéj w rodzinie Kraszewskich. Tu pod cieniem starych jodeł i olch, wśród klekotu niezliczonych bocianów, zbiegły pierwsze jego lata. Wychowanie domowe wywarło wpływ na całe jego życie. Dom Malskich żywo zajmował się tém, co się na świecie działo. Wieczorem babka czytywała głośno, a książek w domu było pełno, bo członkowie rodziny lubili literaturę i sztukę. Oddany następnie do szkoły w Białéj Radziwiłłowskiéj, znalazł znów

w starym zamku, siedzibie głośnego „Panie Kochanku“, w kilku dawnych kościołach i w powabném miejscu miłe na przyszłość wspomnienia. Tu pierwszy raz w starych, na strych wyniesionych grzebiąc książkach, zamiłował je, będąc jeszcze dzieckiem. Do nauczycieli, których z wdzięcznością wspomina, należał ojciec historyka, Adam Bartoszewicz, który pierwszy do literatury wlał mu ochotę. To téż już tutaj, na szkolnéj ławie, powstały pierwsze bajki, pierwsze zarysy powiastek. W dziele swojém „Obrazy z życia i podróży (Wilno 1848.)“ z niewypowiedzianym wdziękiem opisuje sam wrażenia, jakie odbierał w Romanowie i w Białéj.

Skończywszy w Białéj cztéry klasy, udał się do Lublina, a po roku do Świsłoczy, gdzie otrzymał świadectwo dojrzałości r. 1829.

Tegoż roku udał się Kraszewski do Wilna, ażeby w tamtejszym uniwersytecie zapisać się na tak zwany oddział literatury i nauk wyzwolonych. Niestety, nie były to już świetne czasy téj najwyższéj instytucyi naukowéj na Litwie; studentów wprawdzie było więcéj, niż kiedykolwiek, ale najlepsi profesorowie albo już poumierali albo się pousuwali. Zresztą z nauk uniwersyteckich mógł Kraszewski korzystać zaledwie półtora roku, gdyż wypadki ówczesne przerwały tok jego nauk, a sam uniwersytet w r. 1831. zamknięto. Jednakże pobyt w Wilnie stanowczo rozstrzygnął powołanie Kraszewskiego do literatury. Tutaj wyszły pierwsze jego powiastki, tutaj i inne jeszcze prace przygotował do druku; a chociaż pierwsze przyjęcie, jakiego doznał, nie bardzo było zachęcające, przecież nie ustąpił, nie cofnął się z drogi raz obranéj, gdyż jednym z największych jego przymiotów jest wytrwałość.

Zaczęta w r. 1830. „Historya języka polskiego“, która nigdy nie wyszła z druku, podała myśl Kraszewskiemu do ubiegania się o katedrę języka polskiego w uniwersytecie św. Włodzimierza w Kijowie. Posłana przezeń na konkurs rozprawa otrzymała pierwszeństwo, poczém mianowano go lektorem; lecz ponieważ wkrótce potém zniesiono katedrę literatury polskiéj, obowiązków swych objąć nie mógł.

W r. 1835. z przyjacielem dawnym swego ojca udał się na Wołyń dla poznania własnego kraju, a zawiązawszy tutaj ściślejsze stosunki, na stały pobyt przeniósł się w te strony. Naprzód wziął w dzierżawę od hr. Krasickich wieś Omelno,

a utworzywszy sobie w ten sposób własne ognisko, w r. 1838. zaślubił Zofią Woroniczównę, synowicę arcybiskupa i poety, Jana Pawła Woronicza. W dwa lata potém przeniósł się do Gródka, który nabył na własność, i tutaj z szczególném pracował zamiłowaniem. Dzieląc czas między gospodarstwo, rysunek, muzykę i czytanie, rzadko wychylał się z domu, nie widząc potrzeby innych uciech nad te, które go otaczały. Piękny ogród, położenie miejsca zachwycające, spokój domowy i praca uprzyjemniały mu życie.

Na ten czas przypada wielka część jego dzieł dawniejszych. Pierwsza powieść, która zjednała autorowi ogromny rozgłos i powszechne uznanie, była: Poeta i świat (1839.). Od tego czasu rozpoczyna się wziętość Kraszewskiego i jego sława; odtąd publiczność chwyta książki, przezeń pisane, a księgarze ubiegają się o nakład jego utworów. W tymto czasie wyszły dwa tomiki poezyi; w tym czasie powstał obszerny poemat epicki p. t. *Anafielas;* w tym czasie napisane i ogłoszone zostały najcelniejsze powieści sielskie, stanowiące najświetniejszą może grupę wśród jego utworów (Ulana, Budnik, Ostap Bondarczuk, Jaryna i inne); wtedy także powstały obie serye Latarni Czarnoksięskiéj, Pamiętniki nieznajomego i t. p.; wtedy wreszcie wyszły takie dzieła, jak Wspomnienia Litwy, Polesia i Wołynia, dwie serye Studyów Literackich i inne.

Po kilku latach, sprzedawszy Gródek, przeniósł się Kraszewski do Hubina, nie ustając w pracy tak różnorodnéj i zdumiewającéj zarówno mnogością, jak wewnętrzną wartością. Powieści swoich dostarczał wszystkim ówczesnym pismom, a napisał wtedy cały szereg niepospolitéj wartości utworów, n. p.: Powieść bez tytułu, Interesa familijne, Dwa światy, Chatę za wsią, Dyabła, Bożą czeladkę, Jermołę i t. d. W r. 1853. stale zamieszkał w Żytomierzu, a w r. 1856. obrany honorowym kuratorem miejscowego gimnazyum, troskliwą nad niém roztoczył opiekę, równie jak nad tamtejszym teatrem. W r. 1858. odbył podróż do Włoch, a wrażenia swoje, w tym czasie odniesione, wypowiedział w „Kartkach z podróży". Z końcem r. 1859. przeniósł się na mieszkanie do Warszawy, gdzie objął redakcyą „Gazety Codziennéj", odtąd przezwanéj „Polską". Tutaj podwoiła się jego praca. Oprócz mnóstwa artykułów dziennikarskich przez

trzy lata pobytu w Warszawie napisał wiele powieści (n. p. Jasełka, Kopciuszek) i rozpraw, z których szczególną na siebie zwraca uwagę studyum p. t.: Dziś i lat temu trzysta.

W początku r. 1863. opuścił Warszawę i osiadł w Dreznie. Stąd bez przerwy dostarczał łaknącemu ogółowi tego, jak się sam wyraził, „chleba razowego“, który jednak smakował jak łakocie, gdy się objawił w postaci takich powieści, jak: Morituri, Z wojny siedmioletniéj, Ostatnie chwile księcia wojewody, Macocha i inne. Czując, że niemożność obserwowania własnego społeczeństwa zmusza go do malowania obrazów tylko ze wspomnień, zwrócił się do kreślenia postaci i epok historycznych; a że poznał ze źródeł doskonale wiek XVIII., przeto na tle tego stulecia stworzył najwięcéj rzeczy udatnych. Chęć zaznajomienia szerokiéj publiczności z dziejami własnego narodu podała mu myśl napisania całéj seryi powieści, mających plastycznie uwydatnić najważniejsze epoki w dziejach kraju, poczynając od czasów bajecznych aż do najwyższego rozkwitu państwa i społeczeństwa. Seryą tę rozpoczyna powieść p. t.: Stara baśń. Dotąd wyszło już dwadzieścia kilka utworów w tym szeregu powieści historycznych.

Obecnie przebywa we Włoszech.

Zaprawdę, niełatwo znaleść człowieka więcéj wytrwałego w pracy, niepodobna znaleść u nas pisarza, któryby tyle dzieł wydał i w tak różnych kierunkach. Różnorodność działalności pisarskiéj, z jaką się spotykamy na samym początku zawodu jego literackiego, wzrasta z każdym niemal rokiem. Trudno znaleść formę piśmienniczą, w któréjby Kraszewski nie próbował sił swoich. Rozprawy literackie, estetyczne, krytyczne, studya dziejowe, archeologiczne lub filozoficzne, artykuły dziennikarskie i polityczne, rozprawy popularne treści naukowéj, a wreszcie poezya, zarówno liryczna, jak dramatyczna i opisowa — wszystko to jest dostępne olbrzymiéj zdolności Kraszewskiego. Ale nie tylko jako pisarz, dostarczający narodowi najróżnorodniejszych dzieł, zasługuje Kraszewski na wdzięczność ogółu; godzien jest czci powszechnéj dla swoich przekonań i tego moralnego wpływu, jaki na naród wywiera. Jako mędrzec, jako prawdziwy chrześcijanin, z miłością bliźnich w sercu wzniósł on się ponad przesądy, ponad stronnictwa. Dzieła jego więcéj zrobiły dla podźwignięcia społeczeństwa naszego, niż mogą zrobić najpiękniejsze rozprawy. Przewodnią myślą pracy

jego jest: historyczna tradycya dobrego, połączona z rozumnym postępem. Poszanowanie przeszłości, zachowanie tradycyjnego ducha przodków w obyczajach i życiu, ale w związku z wymaganiami wieku i z prawami, przez naukę zdobytymi; spokojny rozwój na drodze rzetelnéj pracy, rozwój dozwolony przez sumienie, nakazany przez rozum — oto są główne cechy tego pisarza-obywatela.

Według *Piotra Chmielowskiego.*

---

43. Karol Szajnocha.

Karol Szajnocha urodził się w Komarnie, w b. obwodzie samborskim, r. 1818., z Wacława i Maryi z Łozińskich. Ojciec jego, Czech z rodu, był mandataryuszem. Właściwe jego nazwisko brzmiało Scheynoha de Wtelleńsky. Karol odebrał początkowe wychowanie w domu, potém w szkołach samborskich, wkońcu we Lwowie. Odznaczał się zawsze wielkimi zdolnościami i celującym postępem w naukach. Do książek miał popęd niesłychany, czytanie stanowiło najmilszą jego rozrywkę. Kiedy mu ojciec (jeszcze w niższych klasach szkół gimnazyalnych) pozwolił do woli korzystać ze swojéj biblioteczki, oddawał się téj przyjemności z takiém zamiłowaniem, doznawał takiéj rozkoszy z nieograniczonéj swobody, jaką mu w czytaniu zostawiano, iż epokę tę zaliczał do najmilszych wspomnień dziecinnych.

Wyłącznie na nauce i na czytaniu książek upłynęło Karolowi kilkanaście pierwszych lat życia. Przeniósłszy się do Lwowa na uniwersytet, zetknął się bliżéj z ówczesném narodowém życiem politycznem, lecz niebawem w r. 1835. dostał się do więzienia. Wśród cierpień więziennych znalazł ulgę w modlitwie. „Zagrzebałem myśl całą w sobie — (tak sam opowiada), — aż pogrążając ją coraz głębiéj, dokopałem się tam na dnie ukrytego w każdéj duszy ziarnka, promienia religijności. Wyłoniwszy się w skruszeniu całego jestestwa na wierzch, oświecił mnie ten promień nagle nieznanym dotąd blaskiem. Po całych dniach leżałem na kolanach w modlitwie, we łzach nieustających. Książka religijna zdała mi się zbawieniem. Prosiłem o nią: nie dozwolono mi żadnéj. Miałem z sobą jedyną książkę, gramatykę francuską. Umieszczone na pierwszych kartach po polsku i po francusku „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Marya“

stały mi za całą księgę żywota. Rzuciłem się na nie, jak umierający z głodu potępieniec na pokarm zbawczy. Pokarm ten pokrzepił mnie zaprawdę. Po nim nastąpił jakiś błogi spoczynek, spokój wewnętrznego wesela....“

Po dwóch latach uwolniono Szajnochę. Byłoto w r. 1837. Nie pozwolono mu daléj odbywać nauk, więc szkolna jego edukacya skończyła się bardzo prędko, bo właściwie na samych szkołach gimnazyalnych. Odważnie jednak wszedł młody Szajnocha na drogę, która mu przyniosła bardzo wiele trudu i mozołu, ale zarazem wielką sławę i zasługę. Jak trudną zaś jest droga podobnego kształcenia się o własnych siłach, dowiódł najlepiéj Szajnocha sam na sobie. Potrzebował on dziesięciu lat najusilniejszéj pracy i nauki, dziesięciu lat próby, zanim zdołał poznać swój własny talent, zanim potrafił doszukać się pola, na którém jedynie ten talent odpowiednio mógł się rozwinąć.

Od czasu wyjścia z więzienia zajmował się Szajnocha prawie bez przerwy studyami i pracami literackimi. W początkach szło mu bardzo trudno. Lekcyami zarabiał na chleb dla siebie i dla rodziny — (bo ojciec już nie żył, a matka i siostry pozostały bez żadnego utrzymania); — resztę zaś czasu poświęcał pracy nad sobą samym, naukom i — próbom literackim.

Uczył się głównie historyi. Czytał i pracował po całych dniach i nocach, odrywał się zupełnie od życia towarzyskiego, nie wyłączając nawet najbliższych stosunków z przyjaciółmi. Prócz samego zamiłowania pracy przyczyniało się do tego jego usposobienie, skłonne przeważnie do życia odosobnionego. Towarzystwem jednakowoż wogóle nie gardził, miewał nawet chwile, w których mu ono miłém było i pożądaném. Najdawniejszym i najważniejszym był dlań stosunek z Augustem Bielowskim. Długie lata przeżyli w szczeréj przyjaźni, przy wspólnych nieraz pracach, a Szajnocha zachował do końca życia dla najstarszego ze swych przyjaciół chętne serce jako dla człowieka i szczere uznanie zasług uczonego autora.

Zaczął Szajnocha zawód swój literacki od powieści. Wkrótce jednak widząc, iż ten rodzaj zajęcia nie odpowiada jego zdolnościom, zwrócił się do poezyi dramatycznéj. Ale i tutaj nie znalazł właściwego dla siebie pola. Po kilku takich latach młodzieńczych prób i usiłowań przeszedł na inne pole — do historyi.

Pierwszym owocem téj nowéj pracy były dwie znakomite monografie historyczne: „Bolesław Chrobry“ i „Pierwsze odrodzenie się Polski (1279—1333)“. Odtąd już stanął Szajnocha w rzędzie najznaczniejszych pisarzów narodowych.

W r. 1852. był redaktorem „Dziennika literackiego“, w następnym zaś roku został kustoszem biblioteki Zakładu narodowego im. Ossolińskich. Jako kustosz sumiennie pracował dla dobra zakładu, a jako autor pilnie korzystał z bogatych zbiorów biblioteki. W tymto czasie powstały liczne drobne obrazki historyczne, wydawane tomami, p. t.: Szkice historyczne, których tom czwarty wyszedł już po śmierci autora. Jul. Bartoszewicz nazywa autora nieocenionym za to dzieło, a jego szkice nazywa brylancikami literatury. Do najważniejszych należą: „Matka Jagiellonów“, „Barbara Radziwiłłówna“, „Krzysztof Opaliński“, „Wnuka Jana III.“. W tymsamym czasie dokonał autor największego z dzieł swoich, monografii historycznéj p. t.: Jadwiga i Jagiełło. Jestto owoc kilkoletniéj, sumiennéj pracy. W pierwszém wydaniu (1855. i 1856.) wyszło to dzieło w trzech, w drugiém w cztérech tomach (1861.).

Był to najpomyśniejszy okres życia Szajnochy. Miał wszystko, czego w skromności swojéj mógł zapragnąć: miał możność pracy swobodnéj, zapewniony kawałek chleba i ukochaną rodzinę (ożenił się r. 1856.). Ale to szczęście niedługo pozostało jasném i pełném. Choroba oczu, zdawna już zagrażająca, zaczęła się nagle wzmagać w sposób zatrważający. Niebawem okazały się daremnymi wszelkie środki ratunku. Przedsięwzięta do Brukseli podróż przyniosła jedynie pewność, że ratunek jest niemożliwy. Był to wyrok okropny. Smutną tę podróż rozjaśniło jedno tylko miłe na całą przyszłość wspomnienie — osobistego poznania się z Joachimem Lelewelem. Lelewel przyjął go sercem, pełném przyjaźni i uznania; Szajnocha odwdzięczył mu się stałém i serdeczném przywiązaniem: Lelewel był dla Szajnochy zawsze przedmiotem prawdziwéj czci i miłości.

Wróciwszy do domu, musiał Szajnocha zrzéc się niebawem posady w Zakładzie im. Ossolińskich. W r. 1858. nie mógł już czytać ani pisać: ociemniał zupełnie. Pomimoto w pracy nie ustawał. W braku własnych oczu, wyręczał się cudzymi, albo posługiwał się osobnym przyrządem, za pomocą którego sam pisał dosyć czytelnie. Tak powstał „Mściciel“, prześliczny wstęp do opowiadania o Janie III. (1860.); tak powstały „Dwa lata

dziejów naszych, 1646. i 1648.“ w 2 tomach (1865. i 1869.), należące do najpiękniejszych dzieł, jakie wyszły z pod pióra Szajnochy.

Już w r. 1863. stan zdrowia Szajnochy pogorszył się niesłychanie; wkrótce niemoc doszła do tego stopnia, że już wszelka praca była niemożliwą. Dwa ostatnie lata życia były dla takiego, jak Szajnocha, człowieka dwoma najdotkliwszymi wiekami cierpienia. Umarł we Lwowie dnia 10. stycznia 1868. Pochowany na cmentarzu Łyczakowskim.

Jako historyk był Szajnocha pierwszorzędnym talentem, czego dowodzi najlepiéj ta okoliczność, iż nie zostawił ani jednéj pracy, którąby nie nosiła piętna tego talentu. Nie umiał on się tknąć żadnego, najsuchszego nawet przedmiotu historyi z zaparciem się tego poczucia artystycznego, którém Bóg ducha jego napełnił. Największe jego dzieła i szkice najdrobniejsze, opowiadanie o najciekawszém zdarzeniu i rozprawka o najpodrzędniejszym przedmiocie archeologicznym czytają się z równym podziwem, bo każde z nich pisał artysta, bogato talentem historycznym uposażony.

A jeżeli Szajnocha był przykładem jako pisarz, jako badacz i uczony, to był także niemniéj wzniosłym wzorem jako człowiek w publiczném i prywatném życiu. Wychowany w ciężkiéj szkole pracy i niedostatku, odznaczał się zawsze szlachetną dumą, prawością i nieskazitelnością charakteru. Dla siebie surowy, dla nieszczęścia drugich pełen był zawsze współczucia. Jakkolwiek odosobniony, jakkolwiek późniéj do łoża boleści przykuty, był on przecież przez długi lat przeciąg jakby ogniskiem życia i ruchu literackiego. Odwiedzali go wszyscy, starsi i młodsi, szukając jego rady i pomocy, a on przed nikim drzwi swoich nie zamykał, chętnie udzielał rady, a nawet niekiedy własną pracę przerywał, ażeby dla zdrowych i najczęściéj młodszych oczu sprawdzić lub wyszukać potrzebne szczegóły.

Był on zjawiskiem, którego widok niezatarte sprawiał wrażenie; był człowiekiem, którego każde serce prawe musiało czcić, kochać i podziwiać.

Pamięć zasług jego uczcił wdzięczny naród przez zebranie ze składek publicznych znacznego funduszu, który pod imieniem „funduszu K. Szajnochy“, przeznaczono na wspomaganie zasłużonych pisarzy. Wedł. *Bernarda Kalickiego.*

---

44. Młodość Fryderyka Chopina.

Gdybyśmy chcieli w utworach tegoczesnych muzyków dopatrywać duchowego związku, łączącego ich prace z ziemią, na któréj się urodzili i wzrośli, to w żadnym nie istnieje on w tak wysokim stopniu, jak w utworach Fryderyka Chopina. Rodzinną swoję ziemię ukochał on miłością tak silną i tak wytrwałą, że ani świetne powodzenie, ani długoletnie pośród obcych przebywanie w niczém nie mogło jéj zmniejszyć, ani zatrzéć. I nikt téż lepiéj od niego nie wyraził tego uczucia w artystycznych pracach swoich: polonezy, mazurki, ballady, koncerta nawet, wszystko to nacechowane jest piętnem najdelikatniejszych odcieni rodzinnych, z niesłychanym wdziękiem oddanych. Potężny duch narodowości wskróś je przenika i owiewa; poetyczne zaś natchnienie, wzmocnione gruntownymi naukowymi studyami, jaśniejące niezwykłą głębokością myśli, oraz jéj niewyczerpaną oryginalnością, postawiło go odrazu w pierwszym rzędzie najznakomitszych współczesnych muzyków.

Fryderyk Chopin urodził się w Żelazowéj Woli, wiosce o sześć mil od Warszawy odległéj, dnia 1. marca 1809. roku. Ojciec jego, Mikołaj, (urodzony w Nancy we Francyi r. 1770.), przybył do Warszawy r. 1787. Człowiekowi tak wykształconemu, jak on był, łatwo było w Warszawie znaleść przyzwoite utrzymanie. W r. 1806., przebywając w Kujawach w zamożnym domu hrabiów Skarbków, jako guwerner ich syna Fryderyka, poznał tam pannę Justynę Krzyżanowską i połączył się z nią węzłem małżeńskim. Bóg pobłogosławił ten związek trzema córkami i synem, którego do chrztu trzymał Fryderyk hr. Skarbek; dlatego nazwano go Fryderykiem.

Była to dziecina niezmiernie wątła, wrażliwa i tkliwa, a przytém niesłychaną żywością charakteru i zadziwiającą bystrością umysłu obdarzona. Dziecko to, gdy patrzyło na ludzi swymi ciemnymi i pełnymi wyrazu oczkami, zdawało się ich obserwować, zdawało się śledzić najmniejszy odcień ich charakteru; dlatego téż okazywało późniéj talent naśladowania i udawania innych, do wysokiego posunięty stopnia doskonałości. Nauki szły Fryderykowi z niezmierną łatwością, muzyka zaś najsilniejsze zawsze na nim czyniła wrażenie. Zwróciło to uwagę rodziców i chociaż dalecy byli od myśli obrania mu zawodu artystycznego postarali się o dobrego dla syna nauczyciela. Był nim Czech

rodem, Wojciech Żywny, którego książę Kazimierz Sapieha za panowania Stanisława Augusta sprowadził do Warszawy.

Nauka na fortepianie pod tak pomyślną wróżbą się zaczęła, tak nadzwyczajnie młodziutki Fryderyk w niéj postępował, że w salonach ówczesnych warszawskich często o tém ze zdumieniem wspominano. Kiedy w r. 1818. Towarzystwo Dobroczynności postanowiło urządzić koncert na dochód ubogich, Niemcewicz i inne znakomite osoby wezwały piśmiennie poczynającego dziewiąty rok życia wirtuoza, ażeby w nim przyjął udział. Nie można było odmówić. Więc pierwszy krok zawodu swego artystycznego, który późniéj taką chwałą miał jaśnieć, rozpoczął Chopin od dobrego uczynku; pierwiastki swego talentu poniósł w ofierze cierpiącym, błogosławieństwo zaś biednych współbraci opromieniło je aureolą, któréj do samego końca artystycznego zawodu nic zatrzéć, nic zmniejszyć nie mogło. Na parę godzin przed owym koncertem, postawiono Frycka — (tak go bowiem powszechnie w domu nazywano) — na krześle i poczęto ubierać do godnego przed liczną publicznością wystąpienia. Frycek szczególniéj zadowolony był z pięknego kołnierzyka, jaki mu na ciemny spencerek włożono. Kiedy po skończonym koncercie matka, która na nim być nie mogła, wziąwszy synka w objęcia, a okrywając pocałunkami, wypytywała, co téż się najwięcéj publiczności podobało, bez wahania odpowiedział, iż jego kołnierzyk. „Wie mama? — wszyscy tylko na mój kołnierzyk patrzyli“.

Skoro Chopin postąpił już wysoko w grze na fortepianie, ojciec nie odrywając go wcale od nauk, pobieranych w liceum warszawskiém, zapragnął, ażeby Fryderyk poznał tajemnice wyższéj muzyki. W tym celu wezwał Elsnera na nauczyciela. Właśnie podówczas Elsner został mianowany rektorem konserwatoryum (1821. r.), do którego założenia głównie się przyczynił. Zacny ten człowiek, a dawny przyjaciel domu Chopinów, znał Fryderyka od lat najmłodszych, zauważał w nim genialne zdolności do muzyki, więc go całą duszą ukochał. Ze szczególną troskliwością obznajamiał go z zasadami muzyki i do saméj śmierci nie przestawał mu okazywać téj życzliwości i przyjaźni, jaka jest udziałem tylko wyższych dusz, wolnych od wszelkiéj zawiści i uprzedzenia.

Umysłowe zdolności kształcącego się wszechstronnie Fryderyka były tak wielkie, iż zdumiewały otaczających go i upoważniały do najświetniejszych nadziei o jego przyszłém życiu.

Niezmierna żywość charakteru pobudzała go do ciągłéj czynności, zaostrzała dowcip, który w rozmaity sposób co chwila się objawiał. Wyrysować karykaturę, ułożyć wierszyk, udawać kogoś ze znajomych, urządzić jaką zabawę, np. teatr, rozdać i odegrać rolę, w potrzebie ułożyć sztukę dramatyczną — było to dla Fryderyka dziełem jednéj chwili, a zawsze przebijał się w nim dar spostrzegawczy i humor niepospolity. Zdarzało się, że grając dramat albo komedyą, kiedy sufler dla jakich powodów nie podpowiedział mu słów, należących do roli, wówczas Fryderyk, niezmieszany wcale, improwizował, a improwizował tak śmiało, stósownie do rzeczy i doskonale, że widzowie ani się nawet tego domyślać nie mogli. To téż dar muzykalnéj improwizacyi przyczynił się późniéj do jego rozgłosu i chwały. Owładnąwszy wcześnie pod umiejętnym kierunkiem Elsnera muzyczną technikę, stawszy się jéj zupełnym panem, mógł Chopin na podany sobie temat improwizować bez końca, a zawsze pięknie, logicznie i z głębokim wyrazem dramatyczności.

Ojciec jego, jako profesor języka francuskiego w wyższych zakładach naukowych, miewał u siebie na pensyi kilku zwykle młodzieńców, kształcących się w jego domu i pod jego troskliwém okiem. Otóż razu pewnego, zdawszy opiekę nad chłopcami guwernerowi, sam zmuszony był wieczorem wyjść za jakimś interesem. Chłopcy zaczęli niezmiernie dokazywać; a był pomiędzy nimi jeden szczególniéj psotny i do wszystkich figlów niezmiernie skory. Guwerner, wyczerpawszy wszystkie środki gróźb i upomnień, nie wiedział już, co począć, ażeby ich zmusić do spokojności i wzięcia się do nauki; udaje się wreszcie do Fryderyka, błagając, aby mu w tém dopomógł. Fryderyk zaprasza chłopców do sali i powiada, że będzie im ciekawą historyą improwizował na fortepianie. Na te słowa zaprzestają figlów, bo piękna gra przyszłego wielkiego artysty miała już wtedy dla nich powab nadzwyczajny i dla niéj z ochotą porzucali najzabawniejsze pustoty. Fryderyk siada do instrumentu, chłopcy przysuwają się do niego z krzesłami; gasi świece, gdyż zwykle improwizował pociemku, i rozpowiada im naprzód historyą o zbójcach i złodziejach, jak wkradłszy się po drabinie przez okno do domu, zabierają, co mogą, potém spłoszeni uciekają, kryją się w lesie, dzielą łupami i wśród pogodnéj i cichéj nocy zasypiają. Następnie każdy z tych epizodów wyraża muzyką. Chłopcy słuchają w głębokiém milczeniu, zachwycają się

prawdą, tonami muzyki objawioną; a kiedy Fryderyk począł malować im nocną ciszę lasu i sen ogarniający złoczyńców, pomału oczy słuchaczów przymykać się zaczęły; dźwięki dobrze pochwyconéj w charakterze muzyki działały, jak opium, jak kołyska na dzieci: im dłużéj trwała improwizacya, tém głębszy sen ogarniał wszystkich, nawet sam guwerner nie mógł się oprzéć i zasnął wraz z innymi. Obaczywszy to Fryderyk, przestaje grać, wychodzi na palcach z pokoju, biegnie do matki i sióstr, prosi ich, ażeby ze świecami w ręku, lecz cicho i ostrożnie udały się za nim, a pokaże im coś ciekawego. Widok spiących na krzesłach w rozmaitych pozach chłopców wraz z guwernerem bardzo był pocieszny. Wtedy Fryderyk zbliża się na palcach do fortepianu, uderza z całéj siły przeraźliwy akord, aż tu każdy ze spiących zrywa się nagle przestraszony, nie wiedząc, co się dzieje — i dopiero śmiech ogólny!...

Ale, jeżeli skutkiem niezwykle potężnéj twórczości ducha, gdy był do tego stósownie usposobionym, improwizacye niewiele go kosztowały, zato nad utworami muzycznymi, które przeznaczał do druku, sumiennie i troskliwie pracował. Czasami myśl jakaś tak dalece nim owładnęła, że stawał się milczącym, posępnym, siadał w kąciku, unikając ludzi i rozmów. W nocy, kiedy się wszystkim zdawało, że spi, on tymczasem zrywał się z pościeli, biegł do instrumentu, uderzał kilka akordów, rozwiązując sobie tym sposobem jaką zawiłą harmonijną kwestyą, potém się kładł do łóżka, ażeby się znów zerwać do fortepianu, i tak nieraz trwało aż do świtu. Słudzy, słysząc, jak panicz po nocach wstaje, jak uderzy w klawisze ni to ni owo i potém kładzie się i znów wstaje, ubolewali nad nim, w prostocie ducha przekonani, że chory jest umysłowo.

W częstych wycieczkach poza miasto, zwykle w towarzystwie ojca dokonywanych, jeżeli kiedy Fryderyk posłyszał wiejskie skrzypki, rozlegające się z chaty lub karczmy, stojącéj przy drodze, stawał, przysłuchywał się uważnie, tonął duszą w sielskiéj melodyi, napawał się nią i nie było sposobu odciągnienia go stamtąd; póty w głębokiéj zadumie stał i słuchał, aż skrzypki ucichły, aż nabrał przekonania, że już się więcéj nie odezwą. Tu leży tajemnica owego piętna narodowości, jakie cechuje wszystkie prawie utwory jego, począwszy od najskromniejszéj piosneczki aż do koncertów, pisanych z towarzyszeniem orkiestry. Studyując muzykę ludową u samego jéj źródła, prze-

jął się nią tak dalece, tyle jéj w duszę swoję zaczerpnął, że wystarczyła mu na całe życie, a wszystko, co tworzył, było najwierniejszém odbiciem, niby zwierciadłem jéj ducha — melodyi — i jéj ciała — rytmu.

Maurycy Karasowski.

---

45. Artur Grottger.

Było to we Lwowie 1851. r. 16. października, około drugiéj godziny z południa. Od Gródeckiego ku placowi Maryackiemu ciągnął świetny orszak dostojnych gości w towarzystwie wszystkich miejscowych władz i dygnitarzy, a daléj roiła się różnobarwna rzesza ludu. Młody Cesarz Franciszek Józef — bo na jego to przyjęcie wylały się te tłumy, — dosiadłszy konia przy koszarach Ferdynanda, zdążał do miasta, witany radosnymi okrzykami ludności. Mieszkańcy ulic, którymi postępowała ta ogromna kawalkata, zaległszy okna wygodnie i bezpiecznie, przypatrywali się wspaniałemu pochodowi.

Ale, gdy tak wszyscy wytężają ciekawe oko dla przypatrzenia się tak niezwykłemu widowisku, w jedném z okien hotelu na rogu ulicy Akademickiéj i Maryackiego placu, w pobliżu bramy tryumfalnéj, ktoś z innego powodu stara się zatrzymać w pamięci główne zarysy widoku. Jestto młodziuchny, kilkunastoletni chłopiec, szczupły i wątły, niskiego wzrostu, z którego drobnéj twarzyczki biją rozum i żywość. Z gorączkowym pospiechem, a przytém ze zręcznością i rozwagą, starszą nad lata, przenosi na papier to, co widzi, a szybkość i pewność jego ołówka, zwłaszcza, gdy rzucając kontury koni w kilku pobieżnych rysach nadaje im pewne charakterystyczne cechy, wskazuje wyjątkowe uzdolnienie w młodym rysowniku, pozwala się spodziewać, że dziecko to wyrośnie kiedyś na mistrza.

Był to Artur Grottger, przyszły twórca „Wojny“.

Urodzony 11. listopada 1837. r., od najmłodszych lat okazywał wielką pojętność i roztropność, ale szczególny talent i zamiłowanie zdradzał do rysunku. Widząc to ojciec, sam doskonały rysownik, przytém człowiek niepospolicie wykształcony, kierował pierwszymi krokami syna na polu nauk i sztuki: wskazywał, co i jak ma rysować, nie szczędząc mu papieru i ołówków, zachęcając do wytrwałości pochwałą i podarunkami. To téż dziecko, zaledwie odrósłszy od ziemi, mało się bawiło,

przenosząc ciagle ćwiczenia z ołówkiem w ręku nad zwykłe swego wieku rozrywki. Zaledwie mogło utrzymać ołówek w drobnéj rączce, a już niém władało wcale biegle i zręcznie, przenosząc z upodobaniem na papier różne zwierzęta domowe, osobliwie konie i psy, widoki otaczającéj je natury, postaci ludzkie i t. p. Ojciec zwykł był dawać mu na model żywe owce, krowy, konie, niekiedy zachęcał go także do zdejmowania portretów ze znajomych osób. A kiedy już Artur wprawił się w stawianiu figur i koni, ojciec zaczął mu opowiadać sceny z życia obozowego, opisywać bitwy, w których sam uczestniczył, a widząc, że ciekawy malec słucha z żywém zajęciem, dodawał z uśmiechem: „A no, Arturku, możebyś ty to wyrysował, coś słyszał odemnie“. Chłopiec rwał się wtedy z zapałem do ołówka i z zachwytem ilustrował ojcowskie opowiadanie.

Widząc zadziwiające postępy syna, zaczął się stary Grottger kłopotać o środki dalszego kształcenia tak bogato przez naturę uposażonego dziecka. Nauczył go niemal wszystkiego, co sam umiał, a na wysłanie go w świat dla nauki brakło zasobów. Wysłał go więc przynajmniéj do Lwowa, aby młody artysta mógł się przygotować do egzaminów. Tutaj we Lwowie obok nauki szkolnéj uprawiał Artur gorliwie sztukę, która mu się już stała nieodbitą potrzebą życia. Szczęśliwy wypadek zdarzył, że w téjsaméj kamienicy, którą zajmowała rodzina jego matki, mieszkał znany zaszczytnie artysta Juliusz Kossak. Ten spostrzegłszy w 14-letnim chłopcu niepospolity talent, udzielał mu bezinteresownie lekcyj. Odtąd téż popęd młodego artysty do tworzenia coraz bardziéj wzrastał. Wylewał na papier wszystko, czém się zachwycało jego serce, do czego rwały się pełna poezyi dusza i wyobraźnia młodzieńcza, nadewszystko odtwarzał rodzimą przyrodę z głębokiém przejęciem się i siłą.

Wobec tak niezwykłego talentu i tak znacznych postępów, tém bardziéj niepokoiła rodziców myśl o tém, jakby ułatwić chłopcu trudną wędrówkę po stromych ścieżkach sztuki. Straciwszy ufność we własne siły, udała się rodzina do ówczesnego namiestnika Galicyi, Agenora hr. Gołuchowskiego, z prośbą, ażeby wyjednał chłopcu u Cesarza stypendyum, któreby mu pozwoliło udać się do akademii malarskiéj we Wiedniu. Hr. Gołuchowski podał wówczas proszącym szczęśliwą myśl, ażeby chłopiec dla zaskarbienia sobie względów monarchy odmalował wjazd jego do Lwowa. Dlategoto z takim zapałem zabrał się chłopiec do pracy: siedział nad nią tak wytrwale i cierpliwie,

że przez jeden dzień wykonał akwarelę na półtora łokcia szerokości, na któréj roiły się setki figur konnych i pieszych, a członkowie rodziny i znajomi podziwiali w niéj ruch i życie, wyborne odtworzenie koni, strojów, a nawet uderzające podobieństwo Cesarza i najznakomitszych osób.

Zwiedziwszy Lwów, zdążał Cesarz na Bukowinę. Zanim przybył do Stryja, zawieszono ukończoną już akwarelę obok widoków Galicyi w pokojach, przeznaczonych dla monarchy. Cesarz Franciszek Józef spostrzegłszy trafny wizerunek tak niedawno odbytego wjazdu, spytał z zajęciem o malarza, a dowiedziawszy się, że nim jest ubogi, niespełna czternastoletni chłopiec, nie mający funduszów do dalszego kształcenia się, raczył wyrazić życzenie poznania tak wiele obiecującego talentu. Jakoż wkrótce nastąpiło posłuchanie. Stanąwszy przed Cesarzem, doznał Artur jak najżyczliwszego przyjęcia, a zaszczyt, jaki go spotkał, sprawił na jego młodocianym umyśle bardzo silne wrażenie. Monarcha przyrzekł łaskawie, że o nim nie zapomni; rzeczywiście niedługo potém nadeszło z Wiednia pismo, donoszące, że Cesarz Franciszek Józef wyznacza mu ze swojéj prywatnéj szkatuły stypendyum, polecając, ażeby się udał naprzód do szkoły malarstwa w Krakowie, następnie zaś do wiedeńskiéj akademii sztuk pięknych. To rozstrzygnęło o losie i zapewniło przyszłość Grottgerowi.

W jesieni r. 1852. udał się Artur Grottger do Krakowa, gdzie w szkole sztuk pięknych rozwinąć i udoskonalić miał swoje zdolności. Z zapałem młodzieńczym rzucił się do nauki, a chociaż znacznych niekiedy doznawał przykrości, zapominał o nich w dobraném gronie towarzyszy, którzy wzajemnie wpływali na siebie, dodając sobie otuchy i chęci do pracy. Do grona najbliższych znajomych artysty należeli np. Zdzisław Suchodolski i Andrzej Grabowski, malarze, Ludwik hr. Wodzicki, Władysław i Stanisław hr. Tarnowscy i inni. W chwilach, wolnych od nauki, tworzył tutaj Grottger, jak dawniéj we Lwowie, bitwy, sceny zbiorowe, wycieczki na Tatarów, potyczki ze Szwedami i całe szeregi figur charakterystycznych w malowniczych strojach.

W r. 1853. utracił ojca, a cios ten nietylko moralnie przygnębił artystę, ale dotknął go także i materyalnie, bo odtąd matka, z resztą rodzeństwa bez żadnego pozostawiona zaopatrzenia, pracując ciężko na utrzymanie rodziny, nic mu pomagać nie mogła. Jak długo Grottger w kraju bawił, czy to w Kra-

*

kowie, czy we Lwowie, nie zaznał niedostatku, bo obrazami swymi coraz większą zyskiwał sławę, a témsamém nie brakło mu i funduszów, na wydatki potrzebnych.

Atoli kiedy w końcu r. 1854. wyjechał do Wiednia, położenie jego coraz stawało się przykrzejszém. Rozpoczął tedy nowe życie, pełne trudów i trosk o potrzeby codzienne, bolesnych kłopotów i walk z niedostakiem, którego widmo blade coraz częściéj zaglądało mu w oczy, gdyż tutaj trudniéj było o odbiorców, niż we Lwowie wśród znajomych, przyjaciół i krewnych, a biedny artysta zbyt był dumny, ażeby się miał ze swymi utworami komukolwiek narzucać. Pomimo tak ciężkiego niedostatku, pozbawiony niekiedy najniezbędniejszego pokarmu, pracuje bez przerwy, często nad siły, jak najpilniéj korzysta z wykładów, czytuje skwapliwie dzieła poważne, n. p. „Historyą wojny 30-letniéj“, a nadto rysuje i maluje bez wypoczynku, do czego niejednokrotnie brał przedmiot czyto z życia wiedeńskiego czy z dziejów stolicy Habsburgów.

W r. 1858. zwiedził Monachium. Wypadek ten sprawił znaczny zwrot w rozwoju jego talentu. Przedtém, na wzór swego nauczyciela Kossaka, był malarzem bitew, koni, psów; odtąd od ulubionych koni zwraca się do króla całego stworzenia — do człowieka, bierze motywa z jego życia, a dążąc do uwydatnienia gry fizyognomii, do psychologicznego odzwierciedlania duszy ludzkiéj w oczach i twarzy, unika zgiełku bitwy, gdzie się zaciera indywidualność człowieka. Pierwszym w tym kierunku obrazem jego jest „Modlitwa Konfederatów“.

Rok 1861. stanowi epokę w dziejach twórczości Grottgera; ten dopiero rok dał go nam poznać jako wielkiego artystę i poetę, którego duch pod wrażeniem wypadków ocknął się nagle i okazał w całéj swéj odrębności i sile. „Malarz trafił na swoję drogę — powiada hr. Tarnowski — na swoje źródło natchnienia, na swoję własną, sobie tylko właściwą formę. Zaczął się wtedy drugi okres w życiu Grottgera, okres, we wszystkiém od pierwszego wyższy: w rodzaju, w sposobie wykonania, w pomysłach, w natchnieniu“.

Pierwszy cykl utworów na nowy temat, ten początek wspaniałéj epopei, ogromne wywołał wrażenie we Wiedniu, wśród społeczności obcéj i w innym kierunku zwróconéj. „Przed wystawami sklepów — powiada Korneli Ujejski, — w których na widok publiczny rozwieszono obrazy Grottgera, stawały

tłumy przechodniów; oni wracali z jednéj uciechy i spieszyli zapewne do innéj; mimochodem zatrzymali się na chwilę, aby oglądnąć nowość. I stali potém długo, jakby przykuci, bo te obrazy odkrywały nowe, nieznane im światy. I stali zaniepokojeni, niezadowoleni ze siebie i odchodzili zadumani, smutni, e spuszczonymi głowami, a odchodzili już nie na miejsca publiczne, ale — między rodzinę, do domu".

Bez przerwy i niestrudzenie pracował artysta we Wiedniu i wiele w tym czasie powstało większych i mniejszych obrazów i szkiców. Atoli pomimo nieznużonéj gorliwości w pracy znajdował się w ciągłych kłopotach finansowych, bo pojmując idealnie obowiązki syna, brata i przyjaciela, wspierał nad możność rodzinę i przyjaciół, nie pamiętając o sobie.

Powróciwszy w r. 1865. do kraju, odżył tu i odetchnął po tylu doznanych przykrościach. Lata 1865. i 1866. należą do najpomyślniejszych w dziejach rozwoju jego talentu. Przebywając bądźto na wsi, (szczególnie u Stanisława hr. Tarnowskiego w Śniatynce), bądź we Lwowie, bawił się i odpoczywał, a w wolnych od zabawy chwilach nowe tworzył arcydzieła (n. p. „Lituanią"). W tymto czasie, w r. 1866. rozpoczął najznakomitsze swe dzieło „W o j n ę" czyli „P a d o ł p ł a c z u", nad którémto dziełem kilka miesięcy pracował.

W końcu tego roku wyjechał do Paryża, spodziewając się, że pobyt w stolicy świata utoruje mu drogę do lepszéj przyszłości. Nadzieja zawiodła. „W o j n a", wraz z wielu innymi obrazami na widok publiczny wystawiona, nie znajdowała kupca, a tymczasem zdrowie artysty, pracą nad miarę wyniszczone, coraz się pogorszało. Wreszcie choroba zastraszający przybrała charakter. Lekarze radzili choremu wyjechać do *Pau*. Marceli Krajewski, przyjaciel i nieodstępny towarzysz artysty, chcąc uzyskać potrzebne do tego fundusze, wszelkimi starał się siłami, ażeby sprzedać który z obrazów, chociażby za połowę ceny. Wszelkie usiłowania były daremne. Wówczasto, jak niegdyś w zaraniu artystycznego zawodu Grottgera, tak teraz na schyłku dni jego pomocną mu rękę podał Cesarz Franciszek Józef: zakupił „Wojnę" za 3.000 franków. Uzyskanie téj sumy umożliwiło biednemu artyście wyjazd w miejsce wskazane. Atoli choroba sięw zmagała, trzeba było wyjechać daléj na południe, do *Amelies les Bains.* I to jednak nic nie pomogło. Dnia 13. grudnia zgasł artysta zdala od rodziny, za którą tak tęsknił, zdala od ojczyzny, którą tak kochał.

W lecie następującego roku przewieziono zwłoki do kraju, a w dniu 4. lipca pogrzebano je uroczyście we Lwowie na cmentarzu Łyczakowskim. Nad grobem, otoczonym tłumami ludu, uczcił pamięć zmarłego wymownymi słowy Korneli Ujejski.

O tym tak tragicznym i dla całego kraju tak bolesnym zgonie genialnego malarza-poety tak powiada J. I. Kraszewski: „Wpatrując się w ten żywot, przebiegając kartki wspomnień, czuje się ból, ściska się serce nad tragicznością téj doli; ale widać w niéj dłoń Bożą, która chciała, aby ten wdzięczny, wonny kwiat nie przekwitł, nie opadł, nie stracił swych blasków, nie zwalał się w pyle ziemi, w prozie starości.... Trzeba mu tak było umierać z marzeniem, nadziejami, z całą wonią poezyi, która grób jego otacza“.

Według *Klemensa Kanteckiego.*

C. Proza opisowa.

I. Opisy geograficzne i obrazy z życia.

46. Tatry w śniegu.

W dolinie śnieg już stajał; południowe stoki niższych wzgórz szarzały na tle płowego marcowego nieba; potoki rozlewały się szerzéj, szumiały głośniéj i gwałtowniéj się kłębiły wśród kamieni, zawalających ich łożyska. Droga lśniła się blaskami odbitego w błocie słońca i błękitu; na obrywach pagórków żółciały kwiaty cykoryi i różowiały stokrocie. Tém dziwniéj przedstawiały się góry, oblepione śniegiem, i regle, okryte lasem, posiwiałym od szronu — wszystko w pełnym majestacie zimy, białéj i czystéj, wznoszącéj się z szarorudego dna doliny.

W taki dzień i wśród takiego krajobrazu jechaliśmy do Morskiego Oka. Naprzód odbywaliśmy tę podróż wygodnym wozem, którego koła dudniły po skorupach lodowych, pokrywających potoczki, ukryte w cieniu, potém od Bukowiny [1]) góralskimi saneczkami, wkońcu pieszo brnąc w śnieżnym nasypie wyżéj pasa. Wciśnięci grzbietami w poręcz sanek, oparci nogami o przód, trzymaliśmy się ich całą siłą, ażeby nie leżeć w śniegu na drodze, którą jeden z naszych przewodników nazywał dobrą, a która była taką o tyle tylko, o ile jego silne ramiona dźwigały nas i sanki, równoważąc wyboje, pochyłości i zatoki śnieżne. Mały, zręczny koń, posłuszny każdemu słowu, wrzynał się tylnymi nogami w śnieg, prawie siadał, trzymając z góry, albo najsumienniéj brał na lewo lub na prawo, stosownie do rozkazu. Ciągle téż rozlegało się za nami: „wiśt! wiśt!“ albo „hajt! hajt!“

Tak przewalając się z boku na bok, jechaliśmy polaną Głodówki prosto na zataczającą się przed nami ścianę śnieżną,

---

[1]) Wieś w Tatrach, na drodze do Morskiego Oka.

szczerbatą wierzchołkami turni, których nazwy wyliczali moi towarzysze. Oto dziwaczna turnia Murania, która widziana z Zakopanego niknie w ogromie stojących za nią Hawrania i Nowego. Teraz, kiedy zjeżdżając w cieniu stoku góry, patrzymy na nią, zdaje się sterczyć przed nami ponad czarnym lasem, jak potężny, bajeczny pień jakiegoś rzeczywiście niebotycznego smereku.

Cicho tu i pusto. Natura tutaj tak jest olbrzymia, w téj niedostępnéj białości śnieżnéj, tak ponad ludźmi wzniesiona, że się człowiek ze zdziwieniem patrzy i na swoję tu obecność i na dymy węglarek, ciągnące się pomiędzy zaśnieżonymi świerkami, i na zasmolonych „uhlarów“.

Jedziemy daléj. Droga, ciągle uczepiona do stoku góry, stacza się w dolinę Białki, którą widzimy u stóp pieniącą się i szumiącą wśród omszałych lub wybielonych wodą odłamów skalnych i zasp śnieżnych. Dojeżdżamy, a raczéj dochodzimy do tartaku w Łyséj, ponad którym wznosi się szara, stroma skała, a po jéj załomach pną się w górę wysmukłe sosny. Tam przed nami ponad lasem widać fioletową, lekko poszczerbioną ścianę Mięguszowieckich turni, u stóp których leży Morskie Oko. Słońce zachodzi z prawéj strony. Wjeżdżamy w las. Droga coraz mniéj ujeżdżona, ledwo przetarta płozami [1]) kilku sanek i końcami kilku belek, wleczonych z lasu; — wkońcu nie ma jéj prawie. Nasi górale zatrzymują konie i ścinają kilka obumarłych świerków, „sucharzów“, na rozpalenie ogniska. Stajemy przed jakimiś wrotkami, których ledwie wierzchołki sterczą ponad śniegiem. Mrok wieczoru gęstnieje nieznacznie wśród ciszy czarnego drzemiącego lasu. Jesteśmy w Roztoce.

Kiedy się wchodzi do téj pustéj chaty, zbudowanéj tak pierwotnie, bez okien, z czarném, okropném ogniskiem, zawaloném śniegiem, przypominają się wszystkie bajki dziecinne o tych chatach na pustkowiu, stojących w głębi strasznych lasów, do których nocami się schodzą wiedźmy lub zbójcy. Na téj pustyni, to mieszkanie ludzkie bez ludzi, ten dom bez właściciela i gospodarza, do którego nie ma śladu drogi, koło którego nie ma śladu życia, niezwykle przykre sprawia wrażenie. Zdaje się, że tu mór przeszedł i wymiótł życie, lub że to jakaś zasadzka, że jakaś zła siła kryje się po ciemnych kątach lub czai się na poddaszu.

---

[1]) drągi, bieguny u sań, sanice.

Górale przedeptują drogę do stodółki i poczciwe, zmęczone konie poprostu płyną w śniegu, a przewalając się na brzuchu i łopocąc nogami, wleką za sobą sanki, idące po wierzchu. Połupane toporami „sucharze“ zajęły się wkrótce wielkim płomieniem, napełniając czarną i ciasną izbę czerwonym blaskiem i dymem.

Na dworze tymczasem zapadła noc zupełna, czarna, pochmurna, w któréj cieniu ledwo widniała białość śniegów. Nasi przewodnicy znają tu jednak każdy zakątek, są właściwymi téj pustki gospodarzami i kiedy przyszedł czas na gotowanie herbaty, poszli po wodę. W dwumetrowéj warstwie śniegu jeden z nich wykopał dół, na dnie którego szemrało źródło; drugi stał nad nim i świecił pochodnią. Robili rzecz prostą, a zdawali się zajęci czémś bajeczném lub zbrodniczém na tle czarnéj ciemności, tém czarniejszéj, że odbitéj od blasku pochodni.

Z „Wędrowca“ (1886.).

---

47. Morskie Oko.

Od wszystkich gór na świecie różnią się Tatry licznymi jeziorami na znacznych wysokościach. Do najcelniejszych należy jezioro Rybie czyli Morskie Oko. Pierwsza nazwa pochodzi od mnóstwa pstrągów, żyjących w jego wodzie, jak łza przezroczystéj; druga łączy się z mnóstwem wyobrażeń poetycznych, szeroko i daleko rozpowszechnionych. Opowiadają, że jeziora, na wysokich górach leżące, są niezgłębione i łączą się z morzem, a dziś przy każdém znaczniejszém wezbraniu, wylewając nieprzebrane wody swoje, sprawiają w tych górach częste powodzie.

Był nawet przesąd, że znajdują się czarnoksiężniki, co umieją zaklinać wody i tym sposobem sprowadzać wylewy. Podobnym czarnoksiężnikiem był dla Podhalan sławny szwedzki botanik Wahlenberg, który wzorową florę Tatr napisał. Gdy r. 1813. zwiedzał Tatry, przy wnijściu do pewnéj wioski na węgierskiéj stronie postrzegł między ludem silne wzburzenie i usłyszał groźby głośne. Od niejakiego czasu panowały tam w tym nadzwyczajnie dżdżystym roku wielkie powodzie. Widywali pasterze, iż Wahlenberg wkładał coś srebrnego do źródeł — byłto termometr, którym ich temperaturę mierzył — i zaraz wytłómaczyli sobie, że jako czarownik swém narzędziem źródła i Morskie Oko pobudza do obfitego wylewu. Dlatego

w motyki, cepy i siekiery uzbrojeni chcieli go zabić, i byłby padł ofiarą zabobonu, gdyby nie stara kobieta, która ulitowawszy się nad nim, ukryła go w chlewku.

Rybie jezioro czyli Morskie Oko, z którego bystra Białka wypływa, rozległe jest prawie ćwierć mili kwadratowéj. Z trzech stron otaczają je kilka tysięcy stóp wyniosłe szczyty skaliste, z czwartéj otwiera się głęboka dolina Białki. Woda jego przejrzysta jest pięknéj szmaragdowo-zielonéj barwy, a powierzchnia dalsza, w miarę oświecenia jaśniéj lub ciemniéj błękitna, żywo przypomina powierzchnię morza Adryatyckiego. I zapewne ta okoliczność najgłówniéj spowodowała upatrywanie podobieństwa jezior tatrzańskich z morzem. Morskie Oko jest znacznie głębokie. Największa głębia jest w stronie południowo-zachodniéj, pod stromą skałą, zwaną Mnichem: wynosi 150 stóp paryskich.

O tém jeziorze krążą wśród Podhalan liczne powieści. Oko Morskie ma być według nich niedozgłębienia i łączy się z morzem Adryatyckiém. Pan jakiś, płynąc morzem, rozbił się w czasie burzy okropnéj; życie jednak uratował, straciwszy wszystkie swoje kosztowności. Długo w smutku pogrążony szukał swojéj szkatuły, pełnéj drogich kosztowności, ale nadaremnie. Podróżując po świecie, odwiedził także Tatry i głośne po wszystkich krajach karpackich Morskie Oko. Płynąc tratwą po tém tajemniczém jeziorze, spostrzega nagle owę szkatułkę i kawały drzewa okrętowego. Wydobywają ją juhasy: była zamknięta, nienaruszona, jak przy rozbiciu, i kosztowności wszystkie zawierała. Nie trzeba dowodzić, że cała ta powiastka jest pięknem zmyśleniem, gdyż słodka woda z jeziora w Tatrach równie dobrą jest do picia, jak liczne źródła miejscowe, a części słonych nie ma w sobie śladu. Morskie Oko leży 4200 stóp nad powierzchnią morza; gdyby się więc z niém łączyło, musiałoby w jednéj chwili wyciéc na zasadzie prawa fizycznego, mocą którego płyny w rurkach spółkujących układają się do równowagi.

Juhasy często opowiadają o potwornéj wielkości rybach, pokazujących się pośrodku głębin jeziora w czasie burzy. Są to bez wątpienia wielkie ryby, w głębinach Morskiego Oka mieszkające.

Jezioro to sławne jest szeroko i daleko ze swoich malowniczych widoków i corocznie wielu wędrowców przynęca. Idąc z wioski Bukowiny w dolinę rzeki Białki, masz jeden za drugim piękny widok. Wody, spadając z kamienia na kamień,

rozbijając się w białą pianę, nadały jéj nazwę Białki. Po najgorszéj, często do kamiennego rumowiska podobnéj drodze, trzeba w górę piąć się do Morskiego Oka. Odrazu ujrzysz wielkie, zielone czy niebieskie zwierciadło jeziora. Obraz ten, dziwnie rozmaity a wspaniały, uroczysty a smętny, niewymownie czémś pociąga: w mrocznéj dali sterczą liczne szczyty; tu wznosi się niezmierna skała, kilka tysięcy stóp wysoka, lekkimi uwieńczona obłokami, na bokach strojna w białe pasy śniegu, trwającego nawet śród najcieplejszych miesięcy letnich. Nad samém jeziorem śród świerków i kosodrzewiny stoi szałas, dla wygody gości zbudowany. Darmo szukałby kto w nim człowieka; trudniéjby mu jeszcze przyszło brać szałas ten za dom zajezdny, których na podobnych miejscach nie brak w Szwajcaryi. Szałas ten chroni tylko podróżnego od wichrów i deszczów; dlatego, wybierając się do Morskiego Oka, trzeba się zaopatrzyć w żywność, bo tam niczego nie dostanie krom czystego powietrza i wybornéj wody źródlanéj.

Ludwik Zejszner.

---

48. O limanach Dniestrowych.

Wszystkie rzeki, wpadające do morza Czarnego, mają przy ujściach swych limany, tak zwane od przekręconego wyrazu greckiego *limne* (jezioro — błoto). Są to po większéj części słone jeziora, łączące się z morzem lub w bliskości niego stojące. Limanami zowią powszechnie nietylko szerokie ujście rzeki, ale téż wszystkie jeziora słone w bliskości morza. Zwykle oddzielają je od morza tak zwane p e r e s y p y, t. j. wąskie ławy piasku. Podobny peresyp jest pod Odessą. Widocznie czas je nagromadza, a jeziora, dziś od morza nimi oddzielone, stanowiły niegdyś części jego zatoki, które późniéj za opadnieniem wód oddzieliły się peresypami, mniéj lub więcéj zupełnie. Limany, do których dziś żadne rzeki nie wpadają, wedle wszelkiego podobieństwa służyły także rzekom dziś wyschłym za ujścia; ich ślady pozostały dziś w długich, suchych b a ł k a c h (wąwozach), które przebiega na wiosnę potokami lecąca woda.

Dniestrowy liman podlega tymsamym prawom, co inne. Teraz przy jego ujściu w morze, które z turecka zowie się *Bugas* (gardło), znajduje się uformowany już peresyp. Istnieć on dawniéj nie mógł, raz, że o nim żaden z pisarzy starożytnych

nie wspomina, powtóre, że Białogród liczył się za jeden z najznakomitszych portów morza Czarnego do XVI. wieku, a dziś ledwie maleńkie łódki wcisnąć się mogą przez tak zwane gardła. Z limanu do morza wpływa Dniestr dwoma teraz gardłami, przecinającymi uformowany peresyp. Prawe gardło zowie się *Stambulskim Bugasem:* szerokie na 150 sążni, głębokie na 26 stóp. Lewe *Oczakowskie gardło*, mniejsze, szerokie na 70 sążni, głębokie na 18 do 25 stóp. Między nimi wyrósł peresyp, jak wysepka piaszczysta, na trzy i trzy ćwierci wiorsty długi, a pół wiorsty szeroki, — zupełnie ława piasku.

Obok limanu Dniestrowego jest tak zwany *Budżacki*, niechybnie dawniéj jednę z nim całość składający, dziś także przesypany, który w niektórych miejscach tak blisko dotyka Dniestru, że rybacy, łowiący tu ryby, przerzynają rowczaki z jednego do drugiego, aby w nich sieci zastawiać. Daléj jeszcze jest liman *Kimbetski*, zarówno zapewne dawniéj jednę całość z Dniestrowym składający, — jednę paszczękę morską, pochłaniającą Dniestr.

Miejscowi utrzymują, że główny bieg Dniestru w limanie idzie zachodnim, besarabskim jego brzegiem, do którego systemu należy i Stambulski *Bugas*. Tam téż i liman najgłębszy, a w środku mielizny są gęste, miejscami nawet puszczać się zaczęła trzcina. Zimą cały ten ogromny liman zamarza, tak że przejeżdżają go saniami; ale lód nigdy nie bywa gruby i nieustannie się rozpada. Gdy się szeroko roztrzaśnie, tutejsi odważni brzegów mieszkańcy rzucają na przerwach deski i tak je przebywają, albo częściéj rozpędziwszy konie przeskakują w pędzie rozpadliny.

Jakim jest wielki liman Dniestrowy, takimi są wszystkie limany w ogólności. Każdy ma swój wąski peresyp, przecięty jeném lub dwoma gardłami, jeśli przezeń wpada jaka rzeka do morza.

J. I. Kraszewski.

---

49. Dniepr.

Wysoko na północnym wschodzie Europy wznosi się wzgórzysta kraina Wałdaju i Wołchońskiego lasu, rozgałęziając się spłaszczonymi grzbietami wyżyn w długości około 370 kilometrów ku południowemu zachodowi. Ogromne bory jodłowe, wielkie

torfowiska, głębokie i ciasne doliny, tu i ówdzie zjeżone prostopadłymi ścianami skał granitowych, zatopione bagnami i zalane gęstą siecią jezior — cechują tę krainę mroczną i dżdżystą, która jest wielkiém źródłowiskiem całego północno-wschodniego niżu europejskiego. Z owych jezior i bagien wałdajskich i wołchońskich wypływają bowiem największe rzeki téj połaci Europy, tam téż między innymi biją źródła Dniepru, który zmierza na południe do morza Czarnego.

Na wschód od źródeł Dźwiny bałtyckiéj, a na południe od jezior, z których wypływa Wołga, ściekają z lasów i bagien gubernii smoleńskiéj wody, które dają początek Dnieprowi. Zasilony zaraz z początku kilku drobniejszymi rzeczkami, płynie on łożyskiem piaszczystém i kamienistém, krajem napoły uprawnym, a napoły leśnym, ku południowemu zachodowi popod Drohobuż i Smoleńsk, głośny w dziejach zapasami Polski z Moskwą, do Orszy, pamiętnéj zwycięstwami Zygmunta I. Wody jego toczą się wartem szybkim, i pomimo, że przewalają się w wielu miejscach przez podwodne skały, toć przecie na wiosnę, kiedy wzbiorą, spławiają nimi już od Drohobuża płody lasowe, masztowe drzewa, budulec wszelki, dziegieć i potaż.

Od Orszy spotężniała już znacznie rzeka zwraca się ku południowi i zmierza do Kijowa. Poniżéj Mohilewa nikną wzgórza, które aż dotąd towarzyszyły Dnieprowi, i kraj dokoła coraz bardziéj się wygładza, ale zarazem i coraz częściéj przerywają moczary orne role i coraz gęściejsze i rozleglejsze lasy oczeretów, zmieszane z podmokłymi olszynami, ocieniają oba brzegi rzeki, która rozlewa się tu już szeroko, przyjąwszy z prawéj strony Druć i spławną Berezynę, a z lewéj Soż. Już tu nietylko podczas wielkich wód wiosennych, lecz i latem roją się seciny łodzi, łyżw i tratew, wiozących z Litwy i Białéj Rusi do Kijowa konopiane i lniane płótna, rogoże, łoje i skóry; a nawet statki parowe porzą fale Dniepru, szumiąc i świszcząc.

Za Rzeczycą już całe okolice toną w trzęsawiskach, zamkniętych w oddaleniu czarnymi smugami borów, przez które przedziera się do Dniepru Nil poleski, wylewna Prypeć. Przyprowadza mu ona ogromny zapas wód, zebranych z zapadłéj Pińszczyzny, z niw wołyńskich i z mrocznych puszcz litewskich. Co wiosny i co jesieni wzbiera Prypeć i cała sieć rzek i rzeczek, do niéj uchodzących, występuje z brzegów, zalewa milowe obszary i przeistacza niziny Polesia jakoby w archipelag morski. Gdzie się suchą nogą chodzi w lecie, gdzie ledwie nikłe

po piaskach sączą się potoczki, tam w czasie wezbrania nie przejedzie inaczéj, chyba czółnem. Szczególny to i majestatyczny widok owe wylewy Prypeci: wody, rozlane bezbrzeżnie, stoją spokojne i ciche, tylko korytami wezbranych rzek rwie bystry prąd; czarne bory i sioła po pagórkach wznoszą się pośród powszechnego potopu jak wyspy; kępiaste błota przeistaczają się w jeziora, z których gdzieniegdzie tylko sterczą wierzb lub olch wierzchołki; po ulicach Turowa i Dźwinogródka pływają czółnami i cały świat roi się płytami i tratwami, na których ratują Poleszucy swój dobytek lub spławiają płody leśnéj i błotnéj ojczyzny swojéj do Dniepru.

Dopiero od ujścia Teterowa i Irpenia staje się kraj suchszym i prawy brzeg Dniepru obsiadają znowu pagórki, po których ścielą się żyźne role wołyńskie, przechodzące powoli w wysokie stepy i łany Ukrainy. Po lewym brzegu ciągną się zapadłe, moczarzyste okolice daléj jeszcze aż do Desny. Cokolwiek poniżéj jéj ujścia rozsiadł się po przeciwnéj stronie na wysokich wzgórzach stary Kijów, i odtąd już oba brzegi Dniepru wieńczą mniejsze i większe pagórki, po których bieleją miasteczka i wioski, zabezpieczone od wylewów wynioślejszém położeniem. Miejscami zbiegają tu aż ku wodzie granitowe skały, miejscami rozsypały się po piaskach nadbrzeżnych drobniejsze złomy granitu, miejscami umaiły brzegi dębowe ścianki i czereśniowe gaje. Dniepr płynie stąd ku południowemu wschodowi popod głośne w dziejach kozaczyzny Kaniów i Czerkasy, a zasilony Rosią, Taśminą i Sułą, wymula sobie prawie na milę szerokie łożysko. Ale wody jego nie sięgają zawsze od brzegu do brzegu, tylko od głównego koryta wyginają się wężykiem pomniejsze odnogi, zostawując pośrodku zasp piasków lasy oczeretów i mnóstwo drobnych kałuż: są to „ługi“ dnieprowe.

Warto u ługów zatrzymać się chwilę, warto zaglądnąć w ten świat cudowny, który co roku zupełnie się przetwarza, wynurzając się dopiero latem z głębi wód, żeby się osuszyć i ogrzać na słońcu. Od połowy kwietnia bowiem do połowy maja, kiedy po brzegach rzeki już się zielenią drzewa i sucha ziemia już się uśmiecha kwiatem ku słońcu i zarunia zasiewami, wysyłają Berezyna, Prypeć i Desna swe wody wylewne do Dniepru i zatapiają większą część jego ługów i wysepek. Ale skoro opadną wody, okrywa ługi tém bujniejsza roślinność, a w jéj tajemniczym cieniu roją się stada rozmaitego ptactwa wodnego: świszczą cyranki, uwijają się wrzaskliwe czajki, piszczą

kuliki, zalatują z cicha rybitwy, zrywają się krzyki i zwolna brodzą po bagnach czaple.

Niełatwo jednak dobije się myśliwy do téj ptasiéj stolicy. Przez główne koryto rzeki przemknie się lekko na lotnéj czajce, ale daléj trzeba przejść nasyp piaszczysty, za którym nowa odnoga rzeki, niby Dniepr drugi, zamyka drogę. Tu już czajka nie pomoże, trzeba brnąć w wodę, idąc wężykiem, żeby nie wpaść w głębokie podwodne kotliny, które Dniepr wybija co roku, żłobiąc sobie coraz nowe łożyska. Pośród trzcin i zarośli na rwących szypotach kołyszą się tam młyny, osadzone na przytwierdzonych łodziach, a daléj poza nimi ścielą się dopiero właściwe ługi, taśmy błot, olsz i łóz. Nareszcie padnie strzał; chmury ptactwa wzlecą nad oczerety, i szulak, ów prawdziwy syn dnieprowéj puszczy, wzbije się wysoko na szerokich skrzydłach i utonie w błękicie nieba. Rzadko gdzie tylko po miejscach wynioślejszych spotkasz wśród ługa sadyby, futorek, pasiekę lub jaki samotny monasterek. Znajdują się bowiem i takie wysepki na Dnieprze, takie skaliste ostrowy, których nie zalewają wody nawet w czasie największego wezbrania.

Poniżéj Kremieńczuga rozdziela się rzeka na coraz więcéj ramion, okrąża coraz liczniejsze kępy i ostrowy, ale zarazem zasilana już samymi rzekami stepowymi, nie obfitującymi w wodę, traci na głębokości w szerokim rozlewie. Od Jekaterynosławia, dawniejszéj twierdzy Kudak, zwraca się Dniepr nagle wprost ku południowi i przerywając zwężoném i przepaścistém korytem grzbiet wyżyny czarnomorskiéj, przewala się przez warstwy rap podwodnych, rozbija o granitowe skały, kołuje po bezdennych toniach, oblewa niedostępne ostrowy i tworzy 13 wodospadów, zwanych Porohami, stawiając nieprzepartą żegludze dnieprowéj zaporę. Tylko spławy lasowe i lekkie łodzie przebywają Porohy, większe statki zaś muszą się zatrzymywać przed nimi i przewozić daléj na osi swój ładunek.

Na dorzeczu Dniepru rozpostarły się tu nieprzejrzane równiny Ukrainy, których wody płyną głębokimi jarami w wysokich brzegowiskach, a wierzchowiny złocą się łanami pszenicznymi lub falują morzem traw stepowych. Dzisiaj ci chyba samotna mogiła przypomni, że tu ciągnęła się od Rosi linia kresowa, że nad spienionymi falami Porohów wznosiły się niegdyś okopy i stannice graniczne, z których śmiały towarzysz pancerny i zuchwały Kozak śledzili i strzegli szlaków tatarskich i z których witał ongi codziennie wschód Hajnał krakowski; że poni-

żéj leżały Sicz i Zaporoże, graniczą na południe ze strasznym i pustym stepem Nogajców. Wszystko się zmieniło, tylko na Porohach kipi Dniepr taksamo, jak kipiał przed wieki, ale szumi smutno, bo niema już dzisiaj śmiałków, coby na nim składali próby męstwa, ażeby sobie zasłużyć na godność Zaporożca.

Za Porohami, wywijając się ku południowemu wschodowi, rozlewa się rzeka znowu szeroko, miałczeje jeszcze bardziéj, a wart jéj staje się tak wolnym, że łodzie żaglowe przy silniejszym wietrze od morza dopływać mogą bez trudu przeciw wodzie do Porohów. Główne jéj łożysko dzieli się tu również na mnóstwo odnóg i okrąża seciny ługów i wysepek, pomiędzy którymi żerują pelikany, nadlatujące z cieplejszych stron na rybne wody dnieprowe. O kilka mil poniżéj ostatniego Porohu leży wielka wyspa Chortyca, na któréj stał niegdyś warowny zameczek kniazia Dymitra z Wiśniowca, jednego z pierwszych bohaterów kresowych, obrońcy Niżnéj Polski przeciw Tatarom. Pominąwszy kilka drobniejszych kęp, spotykamy tuż przy prawym brzegu Dniepru lesistą wyspę Tomakówkę. Na niéj to krył się niegdyś Chmielnicki, na niéj zebrały się w r. 1648. pierwsze kupy zbuntowanego kozactwa. Najgęściéj jednak i największe ostrowy zasiadły na ujściach rzek Czartomeliku i Końskich wód, łączących się z Dnieprem kilku ramionami i oblewających ławice piasków i zielone smugi, które stanowiły niegdyś jądro Siczy zaporoskiéj. Tu leży Wielki Ług, dwie mile długi, i rozległa wyspa Tawań. Po największéj części były te wyspy niedostępne i tworzyły same przez się twierdze naturalne, „do których prócz ptaka i kozaka nikt się dostać nie zdołał“.

Poniżéj nie zasilają już Dniepru żadne większe dopływy, tylko lasy oczeretów okrywają jego niskie i podmokłe brzegi.

Końska woda jest ostatnią większą rzeką, która się doń od lewego brzegu wlewa; od prawéj strony łączy się z nim Jugulec dopiero na ujściu do limanu, w który Dniepr uchodzi poniżéj Chersonu kilkudziesięciu ramionami. Liman dnieprowy, przeszło 10 mil długi, a miejscami do 5 mil szeroki, jest jednakże tak płytki, że głębiéj idące statki morskie nie mogą dopływać do Chersonu i stają na kotwicy pod Oczakowem. Dlatego zyskał pierwszeństwo przed Chersonem port Nikołajewski, położony przy głębszym i dostępniejszym limanie Bohu, który się łączy z limanem Dniepru.

Łucyan Tatomir.

---

50. Ukraina.

Spuszczając się z gór Miodoborskich i z wyniosłych pól Wołynia na wschód południowy, schodzimy na rozległe, wzrokiem nie objęte niwy, na obszary wietrznéj Ukrainy. Stepowy charakter ziemi występuje tu w całéj pełni.

Na całéj Ukrainie jest ziemia bardzo urodzajna, a nawet można powiedzieć, iż po egipskiéj do najlepszych ziem na świecie należy. Czarnoziem wydaje tu niesłychane plony, nawet przy mniéj starannéj uprawie. W niewielkich płatach okazują się same piaski, zresztą zaś są one w małéj bardzo tylko części i zrzadka do tłustych ziem przymieszane.

Strefa jest na Ukrainie prawie dwojaka: na wysokości pól i stepów, kędy zwaliste śniegi ziemię pokrywają, i gdzie kraj wystawiony jest na grę wiatrów, jest powietrze niestałe, zmienne i zimne; — na południu zaś i ku zachodowi, kędy ciepłe wiatry od morza wieją, jest powietrze łagodne, stałe i może być niejako uważane za przechód do krajów południowych. Tu téż dojrzewają i południowe szlachetne owoce, a szczególnie jestto kraina roślin tykwowych, żyjących więcéj powietrzem i oddechem liści rozłożystych, niż biorących pokarm zapomocą korzeni: te melony i kawony są to roślinne źródła stepów, które na upałach letnich brak wody zastępują w części.

Do charakterystyki tamecznych okolic należą także szczególniéj futory. Są to oazy naszych trawnych pustyń, ogniska skupionéj roślinności na niewielkiéj przestrzeni. W miarę tego, coraz więcéj stepowy klimat na obszarze Ukrainy przeważa, nikną lasy ku południowi i na wschód zupełnie, a tylko futory stają się ogniskiem skupionéj wśród stepów roślinności wyniosłego pnia.

Futory są to małe zagrody, czasami wśród lasków sady, czasami pasieki, a niekiedy i basztany [1]), w zaciszu uroczysk, padołów lub jarów leżące, które po ustroniach zdala majaczeją, przerywając jednostajność stepów... Co to za widok, kiedy wiosną zakwitną futory! Jak mlekiem oblane, bieleją się całe padoły: krajem rozrasta się krzewista czeremcha, najwyżéj wystrzela czereśnia, najpotężniéj grusza. Czasem bywają przy futorach i toki ze zbożem i stogi z sianem i koszary z bydłem pod gołém niebem. Czasem leży kilka, a nawet kilkanaście futorów

[1]) Basztan, wyorany z nowiny kawał ziemi.

w jednym lesie pomiędzy rozrosłymi jarami; — a kiedy sadowina na wiosnę okwitnie, wyglądają mleczne płaty zpomiędzy majowéj zieloności lasów i już zdaleka policzysz naówczas futory!

Co zaś do samych stepów Ukrainy, osobliwym jest ich widok! Nibyto biała karta w dziejach przyrodzenia — czy wielkie pobojowisko tumanów!.. Świat otworem leżący, wietrzny, ruchomy i nieustalony. Myśl zdaje się tutaj tęsknić za rozleglejszym widokiem, a oko nie zdoła objąć tego, co widzi... Stąd ta rzewna tęsknota krainy, która się w ludzie i w dziejach jego i w jego pieśniach rozlała!.. Nigdzie nie ujrzysz drzewa na właściwym stepie — i tylko szumną trawą porasta odłóg wieczysty... Jedyne wynioślejsze miejsca są liczne mogiły. Odmiany, jakie się tutaj zresztą spostrzegać dają, powstają z wklęsłości i zapadlisk ziemi. Są to albo wądoły, suche kotliny albo małe jeziora, bałkami zwane — czasem rzędem obok siebie leżące, czasami z osobna, bez własnéj wody i widocznego odpływu. Brzegi tych jeziorek są zwykle trzciną, osoką i tatarskiém zielem porosłe, lub ogromnymi kępami skrzypiu [1]) najeżone, a śniegi i deszcze zasilają ich kotliny wodą. Podobne kotliny i zapadliska, ale suchsze i płytsze, czasami ciągną się na milę wzdłuż stepów, i porastają całe lasem pierzastéj trzciny. Są to tak zwane oczerety, po których jak po kniejach całymi dniami polują i błądzą myśliwi... Szelest tych oczeretów, wichrem zamąconych, wydaje gwar osobliwy, ani z szumem borów, ani z szumem wód nieporównany — ostry, szorstki, przykry, niekiedy przeciągły i rzewny, dziwnie zgodny z widokiem téj ziemi i z ojczyzną mogił!...

Piękną jest roślinność stepów na wiosnę: dziki szparag i tulipan polny wykłuwa się z ziemi. W majowych trąbkach zwita pnie się trzcina do góry. Szumnie idzie burzan i łoboda, ostro idzie oset, a gdy późniéj trawa huknie, to trawy w pas, burzan wyżéj głowy, a w bodiakach uchowa się chłop na koniu i z dzidą, i jest do czego konia uwiązać.

W téj puszczy bodiaków, w tém morzu traw niezbrodzonych, przeżywia się mnóstwo niespłoszonego zwierza i dzikiego ptactwa wszelkiego rodzaju! Jak nad morzem, przeciągają nad stepem łańcuchy żórawi. Tabun dzikich koni przegania swobodnie. W trawach leżą woły stadami. Dropie gnieżdżą się w zbożach, a nocują na otwartych przyczółkach. Po jeziorkach

---

[1]) Skrzyp — roślina paprociowa.

tłucze się dzikie ptactwo. Lis przemyka komysze[1]). Wilk obywa w oczeretach. Na wznak przewrócone, zamróżywszy oczka, grzeją się pardwy do słońca, a na nie bije sokół z góry. Susły i chomiaki ryją grunt odłogu. Czasami przemknie dzika koza lub polna łasiczka i zginie w bodiakach. Z wierzchu stoga klekoce na żer mały orlik. Po zacisznych uroczyskach staczają ptasie boje sporne bataliony. W stadach zbierają się stepowe kuliki i ciągną w żórawim szyku pustkowiem. Pod tarninką siedzi w miejscu gracz zając, a w wielkich kołach okrąża stepy orzeł zaporoski!...

Panujące wiatry są tu wschodnie, przeciągłe i ostre, okropne jesienią lub w czasie zimowych zadymek! Rzadki dzień spokojny — tylko rankami i wieczorami ucisza się wiatr. I uroczą jest ta cisza wieczorna w powietrzu po wietrznym i burzliwym dniu! W czasie upałów letnich powiewa od wschodu wiatr spiekły. Kiedy po zupełném uciszeniu się wiatru słychać tylko lekki szum trawy, a potém znowu nowe fale rozpalonego powietrza na zmysły uderzą, zda się, jakgdyby z gorejącego pieca upał powionął... Zwierz szuka jamy, ptactwo sowieje, roztwiera dzióby i opuszcza skrzydła, a człowiek opada z sił i z myśli. Ale kiedy wiatry wałami z kurzawą lub śnieżycą idą, bywają tumanami zwane; lecz kiedy się młyńcem kręcą, nazywa je lud złym wichrem. Nieraz zdarzy się widzieć, że się takie trąby wietrzne całymi godzinami ze stepu na step przenoszą, i całe pokosy trawy lub zboża z sobą w górę porywają.

Piękna jest noc na stepie! Czasami nad wieczorem uciszą się wiatry, i tak spokojnie w powietrzu, iż nawet gwarliwe milkną oczerety, a jak we dnie kierunek stepem na mogiły, tak nocą na gwiazdy. Głęboko roztwiera się niebo, i jaśniéj niż nad puszczami wyiskrza się mleczna droga. Koń, chociażby znużony, rzeźwi się chłodem, i strzyże czujnie uszyma, a głucho na milę tętni ziemia, tabunami zbita! Spokojnie pod mogiłą gore ogień, nałożony z wyschłego burzanu. Słychać lot dzikich kaczek, wracających stadami z żeru na jeziorka: szumnie wachlują lotkami wśród ciszy. Za łupem lecą ziemne sowy i wrzasną czasami. Przepiórki wabią się w zbożach, bąk wodny huka po trzcinach.

Równo i płasko, jak krąg czarny, leży świat stepowy; nisko, po krańcach tego kręgu, gasną ostatki zorzy zachodniéj; a na krótkiéj świętojańskiéj nocy zaledwo zgasła na zachodzie,

---

[1]) Komysz — gęstwina.

*

a już świta od wschodu — i zda się, że się jéj jasność tylko po krańcach ziemi przesunęła. Mgły lekkie słać się poczynają, gwiazdy bledinieją, ognisko popieleje. Koń grzebie pod sobą, spiący step się trzeźwi, a gdy słońce podejdzie, zrywa się znowu wicher stepowy od wschodu.

Wincenty Pol.

---

51. Znaczenie Dunaju.

Główną rzeką monarchii austryacko-węgierskiéj jest Dunaj. Jego dorzecze, tak rozległe i tak ważne dla państwa w jego stosunkach z bliższymi i dalszymi krajami okolicznymi, opasane jest wielkimi wałami górskimi — więcéj może, niż dorzecze któréjkolwiek innéj rzeki europejskiéj. Na południu piętrzą się Alpy, wznosi się Kras i Bałkan, na północy rozciągają się szwabska Jura, góry czesko-morawskie i Karpaty. Tém ważniejszymi są owe otwory i bramy, przez które się ten strumień przedziera, a które niejako sama przyroda wytworzyła do użytku człowieka, dla ułatwienia komunikacyi i handlu. Te bramy otwierają drogę do sąsiednich krajów, przez nie téż od najdawniejszych czasów szły niezliczone tłumy wędrownych ludów, przez nie szły zbrojne wojsk zastępy i karawany kupieckie.

Najwięcéj otwarty jest Dunaj u źródeł i u ujścia. Skutkiem tego ustawicznie od ujścia rzeki ku zachodowi szły i idą ludy i płody wschodu, od źródeł zaś płynie życie zachodu w odległe strony wschodu.

Tuż u źródeł Dunaju mamy drugą ważną arteryą europejską, t. j. Ren, a za nim rozpościera się Francya. Tu istnieje niejako bezpośrednie a tak ważne zespolenie dorzecza Dunaju z dorzeczem Renu, zwłaszcza, że szwabska Jura nie przeszkadza wcale téj łączności. To téż od najdawniejszych czasów istniały tu wygodne drogi i przejścia, a ważność tego spowinowacenia Dunaju z Renem była już w dawnych czasach znana, o czém najlepiéj poświadczyć mogą starożytne pieśni niemieckie. Za pośrednictwem Menu i Renu, zapomocą dróg i kanałów przedstawiają Ren i Dunaj jednę nieprzerwaną drogę handlową i komunikacyjną. Linia Dunaju sięga przez Ren w samo serce Francyi. W kierunku téj linii szli niegdyś Burgundowie i Hunowie od Dunaju do Renu, ta droga zawiodła Attylę na pola katalauneńskie, tą linią zdążali późniéj Awarowie i Madyarzy. Tąsamą drogą na wschód ku Bosforowi, Grecyi i do Małéj Azyi

szły w starożytności plemiona celtyckie; tędy zdążał nieraz Karol Wielki. Nie inną drogą puszczali się na wschód pobożni pielgrzymi, krzyżowcy i kupcy. Na odwrót Dunajem przybywali serbscy i greccy kupcy do Ratysbony lub do Wiednia, ażeby tu zaopatrywać krzyżowców w potrzebne dla nich przybory i zasoby do dalszéj podróży. Nie mniejsze było znaczenie tego związku między Dunajem a Renem w epoce reformacyi. Tą wreszcie drogą odbywał swój pochód (r. 1809.) wielki nowoczesny bohater, Napoleon I. Odwieczny ten związek obu tych rzek uwidoczniają nakoniec i dzisiejsze drogi, kanały i sieci dróg żelaznych: płody ziemi i przemysłu austryackiego i francuskiego i dziś tąsamą drogą Dunaju dostają się przez Ren do Francyi i na odwrót.

Nigdzie jednak Dunaj nie wciska się tyle w głąb Niemiec, jak przy wielkiém swém zagięciu koło Ratysbony; tutaj téż jest punkt wyjścia całego handlu i niemal wszelkich stosunków środkowych Niemiec przez Norymbergę. Daléj zaś, nieco na wschód od Ratysbony, zbliża się do Dunaju druga wielka rzeka europejska t. j. Łaba, a to za pośrednictwem Wełtawy. Z Passawy, Lincu, z Wiednia łatwe są przejścia w okolice nadłabskie, a témsamém powstaje łączność Dunaju z północnymi Niemcami, z Hamburgiem.

Przez Morawę podaje Dunaj rękę Odrze. Kotlina Morawy nie jest od północy górami zamknięta; między wysokimi Karpatami i Sudetami napotykamy jednę z najciekawszych bram handlowych całego porzecza Dunaju. Już w starożytnych czasach prowadziła tędy handlowa droga do Dunaju przez Carnuntum, wielkie handlowe miasto u ujścia Morawy. Tędy zdążali ku Dunajowi północni kupcy z bursztynem i z futrami. Stąd zawsze mnogie cisnęły się ludy, którym Rzymianie z Carnuntum i Vindobony silny stawili opór. Przez tę bramę Morawy wkroczyły w trzynastém stuleciu hordy Mongołów. Tutaj są sławne pobojowiska pod Ołomuńcem (przeciw Mongołom), na polach Morawy, pod Sławkowem. Przez tę wreszcie bramę morawską prowadzą dziś drogi i koleje żelazne do Odry i Wisły, umożliwiając żywy ruch handlowy z krajami, nad Bałtykiem położonymi.

Najwięcéj naturalnymi zaporami oddzielone są kraje górnego Dunaju od reszty Europy w stronie południowéj. Mało jest dogodnych dróg, któreby prowadziły z dolin naddunajskich ku dolinom sąsiednich od południa rzek, jak Padu i Adygi. Dlatego

też tutaj więcéj, niż gdziekolwiek indziéj, ludy naddunajskie (przeważnie germańskie) były ściśléj oddzielone od swych sąsiadów, t. j. od ludów romańskich. Zato aż do podnóża Alp, głęboko w stały ląd Europy, wciska się tutaj długa zatoka morza Śródziemnego, t. j. morze Adryatyckie. Morze to ma kierunek od północnego zachodu ku południowemu wschodowi, a témsamém tworzy piękną i tyle ponętną drogę do Grecyi, do Małéj Azyi i do Egiptu. Morze Adryatyckie wraz z morzem Śródziemném i Czerwoném stanowi część wielkiéj światowéj drogi handlowéj, łączącéj bogate w płody Indye z ubogą pod tym względem Europą. To też pomimo przeszkód istniała zawsze ścisła łączność pomiędzy handlem na Dunaju a handlem na morzu Adryatyckiém. Adrya, Akwileja, Wenecya, a teraz Rjeka i Tryest, owe główne miasta handlowe u północnych wybrzeży Adryatyku, podtrzymywały zawsze ożywiony handel z krajami naddunajskimi. Równie ważne jest to sąsiedztwo Dunaju i morza Adryatyckiego także pod względem politycznym. Od morza Adryatyckiego szły niejednokrotnie legiony rzymskie w kraje środkowego Dunaju, czyniąc ten wielki strumień granicą swych italskich i alpejskich posiadłości. Od Dunaju dążyły późniéj Węgry i Austrya do Adryatyku i wszelkimi siłami starały się ubezpieczyć w posiadaniu tak ważnéj zatoki.

Równie ważny jest stosunek Dunaju do morza Egejskiego. Morze Egejskie (archipelag grecki) wciska się swą kończyną północno-zachodnią, t. j. zatoką Salonicką, najgłębiéj pomiędzy kraje półwyspu grecko-tureckiego; przeto powstało tam wielkie miasto handlowe Tessalonika (Salonika), które stało się ogniskiem handlu azyatycko-europejskiego w czasach starożytnych i późniejszych. Nad Bosforem znowu powstało podobne miasto, Bizancyum (Carogród, Konstantynopol). Otóż od najdawniejszych czasów usiłowali ludzie, wzdłuż Dunaju mieszkający, zbliżyć się do obu tych tak ważnych punktów. Tymczasem Dunaj, zbliżywszy się dość znacznie ku obydwom miejscom, zwraca się w najniższym swym biegu znowu na północ, a tak oddala się od Tessaloniki i od Bizancyum. Pośredniczy tu jednak między Dunajem a wspomnianymi miastami poboczna rzeka Dunaju, serbska Morawa, która, wciskając się głęboko w Bałkańskie góry, łączy Dunaj z morzem Egejskiém, z Propontydą, z Konstantynopolem i Małą Azyą. Któż zdoła wymienić wszystkie wojska macedońskie, greckie, perskie i rzymskie, które tą drogą zdążały ku Dunajowi? Kto wyliczy owe bitwy, jakie tutaj

stoczono? Tędy szli Celtowie, tędy zdążali krzyżowcy, tędy postępowali Turcy. W czasach pokoju wreszcie szły tędy i dziś jeszcze przechodzą karawany azyatyckich i europejskich kupców.

Nizina dolnego Dunaju otwiera się daleko ku morzu Czarnemu i ku wielkim stepom, rozciągającym się na północ od tego morza. Okolice nad Seretem i Prutem otaczają tylko niskie pagórki, a okolice ujścia Dunaju są taksamo płaskie, jak kraje stepowe nadmorskie, stąd też okolice naddunajskie prawie spływają tu razem z tymi krajami i niczém się od nich nie różnią. Te właśnie okoliczności były i są powodem, że i płody dolnego Dunaju są mniéjwięcéj tesame, co i w reszcie krajów, położonych na północy morza Czarnego, a skutkiem tego była od najdawniejszych czasów nieznaczna wymiana towarów i małoznaczny handel w tym kierunku. Zato o wiele donioślejsze są te strony pod względem historycznym. Swobodnie i bez przeszkód cisnęły się tędy ku Dunajowi hordy ludów koczowniczych od Kaukazu i od Uralu i zajmowały na czas krótszy lub dłuższy cały kraj u ujścia Dunaju i daléj w górę téj rzeki. Każdy bowiem lud, który szedł do Europy drogą lądową na północ od morza Czarnego, starał się przedewszystkiém o zajęcie ziemi, położonéj nad dolnym Dunajem.

Ziemia nad dolnym Dunajem otoczona jest z południowéj strony wysokim Bałkanem, który ją od Tracyi oddziela. W wielu jednak miejscach przecięty jest Bałkan przesmykami, przez które prowadzą drogi handlowe z Konstantynopola do krajów nad dolnym Dunajem, umożliwiając przewóz towarów wschodnich ku Dunajowi, a płodów ziem naddunajskich na wschód.

W obliczu Dunaju leży morze Czarne, które się właśnie w kierunku biegu Dunaju od zachodu ku wschodowi rozciąga i najdalszą swą zatoką wciska się w głąb krajów azyatyckich. Za pośrednictwem tedy morza Czarnego wchodzi Dunaj w bliższą styczność z drogami handlowymi, które się z jednéj strony od kraju złotego runa, Kolchidy i Trapezuntu, aż do Eufratu i Tygrysu ciągną, a z drugiéj aż do morza Kaspijskiego sięgają, tworząc północne gałęzie wielkiéj drogi handlowéj do Indyj. Niegdyś prowadzili Wenecyanie ożywiony handel pomiędzy ujściem Dunaju, a owém wschodniém pobrzeżem morza Czarnego, podczas gdy Niemcy, t. j. kupcy z Ratysbony lub Wiednia, przewozili daléj na zachód nadchodzące Dunajem towary i płody indyjskie. Dziś, kiedy po Dunaju parowe pływają statki i od

ujścia Dunaju do Trapezuntu w prostéj linii żeglować można, dziś nie trudnoby było ożywić dawną drogę handlową. Atoli dla wzrostu znaczenia Dunaju wielką zaporą jest to, że olbrzymi ten strumień europejski wpada do tak zamkniętego morza Czarnego. Morze to jedną tylko wąską cieśniną Konstantynopolitańską (Bosforem) łączy się z innymi morzami; przeto łatwoby się stać mogło, żeby jeden naród, opanowawszy całe morze i jego wybrzeża, zamknął je obcemu handlowi i obcym interesom. Z tego powodu w wielu razach o wiele łatwiejszą byłaby komunikacya krajów naddunajskich z krajami zamorskimi drogą lądową przez Tryest, Salonikę i Konstantynopol, niż od ujść Dunaju drogą morską przez morze Czarne, Bosfor, Helespont i Archipelag.

(Według *Fr. Umlaufta.)*

---

52. Wspomnienia z podróży.

Wyjątki z listów Juliusza Słowackiego.

1. Z Wersalu (1832.).

Przeszłéj niedzieli wyczytałem w gazetach rzecz bardzo interesującą, że w Wersalu, o dwie mile od Paryża, mają być puszczone wody. Byłem, widziałem. Nic podobnego nie ma na świecie. Prawdziwie jest to cud świata, jeszcze nic tak ogromnego nie widziałem. Byłem kilku tygodniami wprzód w Wersalu i widziałem pałac, pokoje; widziałem wielki i mały Trianon: nie potrzebuję wam go opisywać, bo go znacie z pamiętników wieku Ludwika XIV. i XV. Ostatniéj niedzieli oglądałem tylko ogród — ogromny, w guście francuskim. Zdawało się, że wody były duszą tego ogrodu. Wszędzie widać było brylantowe kolumny, najpiękniejsze myśli z mitologii starożytnéj unaocznione. Tu wpośród okrągłéj sadzawki wznosi się kilkostopniowa podstawa, na któréj szczycie stoi Latona, zamieniająca jakiś tam ród człowieczy w żaby, i żaby te tryskają na nią kolumnami wody, tak że ona cała jest nakryta brylantowém sklepieniem. — W inném miejscu jest ogromna sala pod czystém niebem, otoczona kolumnami z marmuru; między kolumnami stoi tyleż wazonów, a z każdego wytryska fontanna tak, że cała ta sala otoczona jest ścianami z marmuru i wody. — Daléj ogromny Tytan, rzucony przez Jowisza w skały, ciska do niego z gęby

ogromny słup wody na kilkadziesiąt stóp w górę. — Ale największe wody są niedoopisania; tysiące ludu je otaczają. Na ogromnéj przestrzeni kilkadziesiąt fontan strzela w różne strony. A wiecie, że fontanny wersalskie są najwyższe w całym świecie. Po każdém puszczeniu wód skarb musi łożyć 13.000 franków na ich naprawę; i dlatego puszczają je bardzo rzadko, a kiedy ten dzień nadejdzie, cały Paryż wylewa swoich mieszkańców do Wersalu. Wtenczas to miasto ożywiać się zdaje. Ale widziałem je w inne dnie; wtenczas żadne jeszcze miasteczko nie wydało mi się tak smutne. Pałac ogromny i pusty; przed pałacem ogromny plac, otoczony domami dosyć nędznymi; a po całym placu ledwie gdzieniegdzie można ujrzéć żywą duszę, wyjąwszy dragonów, którzy zajmują będące naprzeciwko pałacu i takąsamą architekturą stawiane koszary.

2. Z Szwajcaryi (1834.).

Bawiąca w Genewie pani Wodzińska, wyjeżdżając z rodziną w podróż po górach, namówiła mnie, abym jéj towarzyszył. Nie mogłem się oprzéć pokusie. Towarzystwo nasze składało się z 9 osób: pani W., dwóch jéj córek z guwernantką, trzech synów pani W., jeszcze jednego młodego Żmudzina i mnie. Nigdy w życiu mojém nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów, jak te, które przez dwadzieścia dni przemijały przed moimi oczyma. Ciągła zmiana miejsc sprawiała to, że w nich upatrywałem różne z rodzinnymi stronami podobieństwo. Nigdy tyle cieniów przeszłości nie stanęło przedemną: różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mię jak wierne przyjacioły; różne zapomniane piosnki cisnęły się do ust moich; było mi smutno i miło.

Rano tedy 31. lipca statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijające jeziora brzegi. Kolejno wysuwały się z jeziora Coppet, gdzie pani Staël mieszkała, potém Lausanne, za Lausanne Vevay i t. d. Przepłynęliśmy koło sławnego zamku Chillon i nakoniec wylądowaliśmy w Villeneuve. Tam najęty powóz zawiózł nas do Bec, miasteczka, sławnego fabryką solną i minami. Nazajutrz zwiedzaliśmy miny solne: pół mili prawie szliśmy drogami podziemnymi, niosąc w rękach lampy żelazne. Było w téj podziemnéj podróży prawdziwie coś uderzającego imaginacyą.

Trzeciego dnia naszéj podróży udaliśmy się do klasztoru św. Bernarda. Wszyscy męszczyzni szliśmy pieszo dzień cały drogą, przez Napoleona wykutą: z obu stron ogromne góry, rzeka płynie przepaścią pod nogami, chaty nędzne, ludzie ubodzy. O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb biednego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a spiew pogrzebowy nie mógł przewyższyć szumu potoków. O godzinie 5. wieczorem wjechałem na mule w krainę śniegów, potém między skałami w ciemném, mglistém powietrzu ukazał się klasztor. Ks. gwardyan w ciemnym habicie stał na ganku, pies ogromny leżał na dziedzińcu, jakby z marmuru wykuty, a za klasztorem błyszczało oprawione w skalistym brzegu czarno-ołowianego koloru jezioro. Klasztor ten prawdziwie zachwycający. Spaliśmy w celach, zimnych jak lodownie. Refektarz wygląda jak salon światowy, a towarzystwo, koło kominka siedzące, śmiechem i żartobliwą rozmową odstrasza wszelką myśl smutną. Blisko klasztoru stoi mały domek, gdzie się składają znalezione w śniegach trupy. Okropny to widok. W różnych pozycyach zmarli to siedzą, to leżą, — jedni do szkieletów podobni, drudzy czarną skórą powleczeni:... okropny widok!

Stamtąd weszliśmy znowu w uśmiechającą się krainę wiosny. Po dwóch dniach podróży stanęliśmy u stóp góry Ghemi. Trzy godziny jechać na nią trzeba na mułach, a tak jest sterczącą, że nie do góry, lecz do muru gładkiego jest podobna; droga w zygzak wykuta ciągle wisi nad przepaścią. Kto na tę górę nie wszedł, ten stojąc u jéj stóp wierzyć nie może, żeby wejść można było. Na zielonéj równinie pod tą górą leży miasteczko, sławne wodami, Luèche; żadne opisy nie odmalują wam zieloności szmaragdowéj, którą widać w dolinie, tych domów białych, które po niéj są rozsypane, téj góry żółtego koloru, tych gazowych chmur, które się wieszają po jéj szczytach. I znów po trzech godzinach drogi stąpaliśmy po gołych skałach, gdzieniegdzie śniegami pokrytych, i znów nic nie było widać, tylko skały, śnieg, czarne jezioro i niebo. Po zejściu z téj góry, na drugiéj stronie znaleźliśmy jeszcze piękniejszą okolicę, jeszcze piękniejsze drzewa i kwiaty i srebrne z gór spadające kaskady i prześliczne szalety.

Po trudach pieszéj podróży przyjemnie nam było siąść do łódki i przepłynąć jeziora Thoune (Thun), Brienz do sławnéj Giesbach. Po odwiedzeniu kaskady Giesbach damy nasze, zmę-

czone i przerażone podróżą po przepaścistych górach, porzuciły nas i pojechały inną drogą do Lucern, my zaś chłopcy poszliśmy pieszo przez góry. Tu dopiero podróż nasza zachwycającymi nas zaczęła karmić dolinami. Lauterbrunn i Grindelwald nic podobnego nie mogą mieć w naturze. W Lauterbrunn spada ze skał, wysoka na 800 stóp, kaskada Staubbach. Woda jéj nigdzie się prawie o skały nie odbija, ale przez sam lot z takiéj wysokości zamienia się na wstęgę mgły białéj i tak leci na dolinę. Góra Jungfrau, śniegiem pokryta, stoi jak olbrzym biały. Druga dolina Grindelwald jeszcze piękniejsza, bo do niéj wpływają dwie rzeki lodów. Lody te aż do jéj głębi dochodzą i promienna ich białość ślicznie odbija wpośród muraw, drzew i kwiatów. Nigdy mi się nic podobnego nie śniło! Tam widziałem z gór spadające lawiny: huk, podobny do piorunu, rozlega się po dolinie, ile razy bryła śniegu oderwie się z czoła gór. Matko moja, wystaw sobie, że najpiękniejsze słońce oświecało to wszystko, że wstawaliśmy o wschodzie, że oddychaliśmy wonią zroszonych kwiatów.

Weszliśmy na Faulhorn, gdzie jeszcze mało było podróżnych. Oberża na téj górze jest najwyższém mieszkaniem w Europie. Podróżni, chcąc patrzeć na okolicę, muszą wychodzić z domu kołdrami okryci. Mróz nam dopiekał, ale jaki widok! O zachodzie słońca mgły nas owiały i staliśmy na szczycie góry, jak na pokładzie płynącego do nieba okrętu; słońce czerwone było od nas niżéj na niebie, a jeszcze miało drogę do przebycia, nim zaszło. Za nami z mgły wychodził ogromny szereg gór śniegowych; niktby w godzinie nie obliczył ich szczytów, a wszystkie były czerwone od słońca, ogniste. Nocowaliśmy w oberży i zrana widzieliśmy wschód słońca, czysty, bez żadnéj mgły, przepaście, błyszczące jeziora; cała Szwajcarya pod nami, widna, jasna; — a jaka cichość! Taki sam widok mieliśmy jeszcze z góry Rhigi. Na tę górę wchodzą wszyscy podróżni. Widok z niéj rozleglejszy, ale mniéj piękny. Góry śniegowe w oddaleniu nie przerażają wielkością swoją rozumu, ani nawet wyobraźni człowieka.

Z góry Faulhorn przechodziliśmy znowu do czarujących dolin Oberhassli. Byłem w Roskulanen, prześliczne widziałem lodniki; byłem w lodowych gmachach, pod sklepieniami błękitnego kryształu; u nóg moich ogromne były przepaści i potok lody podrywał, a ze ścian gmachów, w których stałem, kropliste od słońca spadały deszcze. Jak to smutno pomyśleć, że Ty, Mamo, z tych krótkich opisów nie będziesz sobie mogła wystawić miejsc, gdzie Twój syn był, gdzie myślał o Tobie. Obrazy, które

sobie Twoja wyobraźnia utworzy, będą może piękne, ale nie będą tymisamymi, które teraz ja widzę we wspomnieniach.

Byłem po raz czwarty jeszcze na śniegach Grimsel, po raz czwarty nocowałem w zimnéj oberży, przechodziłem śliczną drogą św. Gotthardа, widziałem na niéj sławny „most dyabła“, nareszcie po 9-dniowéj podróży przybyliśmy do Lucern, gdzie na nas nasze damy od 7 dni czekały, a przebyliśmy tam przez najpiękniejsze jezioro cztérech kantonów. Byłem w kaplicy Wilhelma Tella, łódka nasza zatrzymała się u skały, na którą bohater wyskoczył, Gesslera na jezioro odepchnąwszy.

Wreszcie przez Bern wróciłem do domu. Zastałem tam pełno cudzoziemców, i może z téj przyczyny podróż zostawiła mi jakiś ponury smutek i tęsknotę, bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie — gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny, ale ów zwyczajny gwar świata.

3. **Z Egiptu** (1836.).

Dnia 28. października przybyłem łódką do Kairu. Pyszne miasto, piramidy widać było zdaleka, pełno lasów palmowych, całe przedmieście w ogrodach. Na drugi dzień odbyłem z Zenonem Brzozowskim podróż do piramid. Obaj byliśmy na małych osiołkach i dziwnie na tych stworzeniach wydawaliśmy się maleńcy przy olbrzymich gmachach granitowych. Beduini w białych płaszczach zbiegli się zewsząd, aby nam służyć za przewodników, i biorąc nas za ręce, wciągali przez ciemne, granitem wykładane korytarze aż do małych pokoików, we wnętrzu piramid będących, w których stały niegdyś dwie, dziś tylko jedna granitowa trumna. Wyszedłszy z ciemnych piramid, zacząłem się drzéć po kamieniach aż na ich szczyt, wciągany zawsze za ręce od dwóch Arabów. Byłem na szczycie najwyższéj piramidy: cudowny widok! Szczyt Faulhornu, kopuła św. Piotra, Wezuwiusz, Piramidy — były to dla mnie jak najwyższe gałązki na drzewie, na których ja biedny ptaszek wędrujący siadałem na chwilę, aby odetchnąć.

Dnia 6. listopada, wziąwszy na miesiąc łódkę z 8 marynarzami, którzy zupełnie byli na nasze rozkazy, jak niewolnicy, puściliśmy się Nilem ku pierwszéj katarakcie, szukając spotkania się z dwoma Hołyńskimi, którzy puścili się przed nami w tę drogę. Śliczna podróż! Rysowałem wiele, słowa bowiem byłyby

niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało w oczy. Mnóstwo żórawi, lecących po błękicie, mnóstwo innych ptaków wodnych, chmury gołębi, unoszące się nad wioskami, wioseczki z ziemi bite, najczęściéj w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały i sępy wielkości człowieka, siedzące o zachodzie słońca na górach, nareszcie krokodyl leżący na piasku, dla którego porwaliśmy się od stołu, aby mu się zbliska przypatrzyć, — wszystko to tworzy teraz w wyobraźni sen bardzo piękny. Spotkaliśmy Hołyńskich w Denderze. Razem chodziliśmy do przepysznego kościoła w Denderze, aby obaczyć ruinę, o jakiéj się nawet wyobrażenia nie miało. Kościół ten zaledwie się ruiną nazwać może, tak jest cały, tak piękny. Na drugi dzień pożegnaliśmy Hołyńskich, którzy już do Kairu wracali, a sami pojechaliśmy do katarakty.

Przyjechawszy tamże, wzięliśmy na dzień jeden osiołki i ruszyliśmy, objeżdżając Nil, do Nubii, aby widzieć wysepkę File. Śliczne miejsce, śliczne ruiny! Imieniny Twoje, Matko droga (29. listopada), przepędziłem na Nilu, zbliżając się do Tebów. Ruiny tego miasta przechodzą wszystko ogromem. Ale najbardziéj mi się podobała statua Memnona i druga statua, przy niéj stojąca. Widziałem je o wschodzie i zachodzie słońca. Są to olbrzymy granitowe, wysokości domu trzypiętrowego, siedzące cicho na ogromném polu, twarzami obrócone na wschód. Na nodze Memnona znajdują się rzymskie napisy. Jeden z tych przed wiekami zmarłych podróżnych napisał na granicie: „słyszę Memnona“; słowa te, w czasie teraźniejszym napisane, a o tak dalekiéj świadczące przeszłości, dziwnie zasmucają biednego człowieka.

Dnia 10. grudnia, to jest po trzydziestu kilku dniach, spędzonych na podróży po Nilu, wróciliśmy do Kairu. Oprócz jednéj burzy Nilowéj podróż tę odprawiłem zupełnie bezpiecznie, mając firman baszy, który Arabowie odczytywali z największém uszanowaniem. Pięć dni przepędziliśmy znowu w tém mieście, a potém wsiadłszy na wielbłąda i kupiwszy sobie namiot, z dwoma służącymi i beduinami, puściliśmy się przez pustynię z Kairu do Gazy. Nie wystawisz sobie, droga Matko, jakto dziwnie wsiadać na klęczącego wielbłąda, jak się trzeba trzymać siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i trzy razy rzuca człowieka w różne strony, wstając na nogi. Lecz jeszcze nieprzyjemniéj jest siedzieć na nim, kiedy klęka; zdaje się, że się dom pod człowiekiem wali.

Wielbłądy, idąc drogą, pasły się wonnym tamaryntem, a beduini pędzili nas jak pasącą się trzodę.

Najdrobniejsze wydarzenia takiéj podróży stają się bardzo znacznymi i urozmaicają ją dziwnie. Czyto kilka gazeli, skaczących po stepie, czy ślad hyeny, czy spotkanie karawany, czy widok samotnego beduina, który ze swoim wielbłądem przebywa pustynię i obok naszych ogniów swój ogień rozkłada, — nic z tych rzeczy nie jest obojętném. Zachody słońca pyszne, krzaki cierniowe, palące się lekkim płomykiem, były jak koronki brabanckie. Życie takie i podróż taka ma dziwny powab! Wreszcie przybyliśmy do El-Arisch, gdzie trzeba było odbyć dwunastodniową kwarantannę.

---

53. Wielki lodnik Aletschu.

Śledząc źródeł Rodanu, przebiegliśmy już większą część jego doliny. Zwiedzając ją raz jeszcze, zatrzymaliśmy się w małém miasteczku Viesch. Stąd udaliśmy się do hotelu, stojącego na stokach Aeggischhornu. Tu założyliśmy naszę główną kwaterę przez czas zwiedzania króla europejskich lodowych strumieni — wielkiego lodnika Aletschu.

Wspaniała ta rzeka lodowa ma około 20 mil angielskich długości, w środku zaś szerokość jéj od brzegu do brzegu wynosi prawie 1¼ mili angielskiéj. Największe góry berneńskiego Oberlandu: Jungfrau, Trugberg, Aleschhorn, Breithorn, Gletscherhorn, zasilają go swymi śnieżnikami. Z trzech wielkich dolin, w łonie gór leżących, zstępują śnieżniki i łącząc się tworzą pień Aletschu w miejscowości, którą dowcipny góral nazwał: *Place de la Concorde*, placem zgody natury. Jeżeli nazwa ta ma oznaczać spokojną wielkość, piękność postaci i czystość barwy, to jest tu bardzo na swojém miejscu.

Hotel nasz nie stał na samym szczycie Aeggischhornu, ale żwawa ranna wycieczka wkrótce nas tam przywiodła. Lodnik ze szczytu przedstawia się szeroką rzeką, sięgającą u góry podnóża Jungfrau, a u dołu przechodzącą aż za Piękną Alpę *(Belle-Alpe)*. Poglądając daléj jeszcze ku dołowi, wzrok nasz spotyka najpiękniejszą w całych Alpach grupę gór: Dom i przyległe mu szczyty, Matterhorn i Weisshorn. Jest to rzeczywiście dziwnie wspaniały widok, na który składa się jeszcze mnóstwo szczytów i grzbietów.

Ale głęboko na dole po naszéj prawicy, wśród otaczających gór, spostrzegamy przedmiot, którego piękność uderza niespodzianie każdego widza. Jest to w oddali nagi bok lodnika o błyszczących skałach lodowych, na 60 do 70 stóp wysokich. Wydaje się to, jakgdyby Aletsch jedno ze swych ramion usiłował napróżno przerzucić przez boczną dolinę. W rzeczy saméj niegdyś tak było; ale obecnie ramię to wciąż się obłamuje przy samym pniu lodnika, a wielka przestrzeń, niegdyś lodem pokryta, dziś wypełniona jest wodą, ze stopienia jego powstałą. Woda ta tworzy śliczne lazurowe jezioro, sięgające do stóp owych skał lodowych, podmywające je, jak fale oceanu podmywają Grenlandzkie lodniki, i przyjmujące w swe łono podmyte i oberwane bryły. Widzimy, jak na spokojnéj powierzchni jeziora unoszą się drobne lodowe góry, niby śnieżne łabędzie, z własnym cieniem, na wodę rzuconym. Jest to właśnie piękne jeziorko Märgelin albo, jak je tu Szwajcarowie nazywają, Märgelin-See. Widzicie pryskającą wodę i zaraz potém słyszycie łoskot zanurzającego się w nią lodu. Lodnik łamie się w naszych oczach, a bryła lodowa wpada do jeziora. Wskutek tego woda na całéj powierzchni w ruch się wprawia i w małych rozmiarach przedstawia nam obraz potężnych fal, jakie wywołują ogromne wyspy lodowe, spadające z lodników podbiegunowych do morza. Spojrzmy na kraniec jeziora. Pokryty jest on szczątkami brył lodowych, na dnie osiadłych, przyniesionych w części wiatrem, w części zaś powolnym prądem wody, łagodnie ku temu miejscu dążącéj.

Na środku jeziora znajduje się wielka, oddzielna góra lodowa. Nagle daje się słyszeć odgłos, niby wodospadu; spoglądamy na owę górę i widzimy, jak woda po jéj stokach spływa. Skąd ta woda pochodzi? — Góra straciła równowagę wskutek stopienia swéj podstawy, w téj chwili właśnie wywraca koziołka; przewracając się zaś zabiera na siebie masę wody, która po stokach jéj spływa strumieniami. I góra, która przed chwilą była jak śnieg biała, teraz przybrała jasnoniebieską barwę, lód zbity cechującą. Ale działanie słońca znowu ją wkrótce białą uczyni. Niekiedy i większe lodowe góry oceanu północnego przewracają się w takisam sposób.

Cały tydzień z przyjemnością i korzyścią można spędzić na Aeggischhornie.

(Według *Jana Tyndalla).*

54. Kościół Panny Maryi w Krakowie.

Najpierwszym co do okazałéj budowy i dawności, a drugim po katedrze (na Wawelu) co do wewnętrznéj wspaniałości, jest kościół archiprezbyteryalny pod założeniem Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny. Świątynia ta, stojąca we wschodniéj ścianie czworoboku, tworzącego rynek krakowski, i zdobiąca tenże najokazaléj, należy do najśmielszych i najpiękniejszych utworów architektury gotyckiéj. Starożytność jéj, wielkość, wysokość wież, a nadewszystko (nieznana dzisiaj) trwałość materyału i doskonałość roboty mularskiéj, które się potędze tylu wieków oparły, patrzącego na gmach ten niezmiernie zachwycają.

Fundował ją (r. 1226.) własnym znakomitym nakładem, wsparty przytém składkami ludzi pobożnych, Iwo Odrowąż, biskup krakowski i kanclerz Leszka Białego, wiedziony chęcią, „aby wiara Chrystusowa, przez św. Wojciecha na ziemi polskiéj zaszczepiona i utwierdzona, coraz większy wzrost brała“. W pomroce dawnych wieków zaginęła wiadomość, kto był budowniczym téj świątyni; należy przecież mniemać, że to był Polak, zwłaszcza iż kunszta w owym czasie nie były u nas nieznane. Że zaś budowa ta długi czasu przeciąg trwać musiała, domyślać się każe samo obejrzenie się na wielkość gmachu, a stwierdzają to starożytne świadectwa.

Niemałéj przydają świątyni téj okazałości dwie wieże, z których jedna najwyższą jest w Krakowie, a może i w całéj Polsce, i stąd dała początek miejscowemu przysłowiu: W y s o k i j a k M a r y a c k a w i e ż a. Wznosi się ona wspaniale ponad wszystkie wieże kościołów krakowskich i panuje nad miastem, na którego dni świetności i sławy, oraz na zmianę i przejście tylu pokoleń, sama przez czas nieuszkodzona, patrzyła. Z funduszów miasta utrzymuje się ciągle na niéj straż czyli trębacz, obowiązany powtarzać godziny wybijaniem ich w dzwony tam będące, oraz dniem i nocą czuwać nad bezpieczeństwem pożaru i o wszczętym ostrzegać. — Na niższéj wieży, która zapewne równie wysoką być miała i tylko w dokończeniu jéj zajść mogła jaka przeszkoda, znajduje się znacznéj wielkości pięć dzwonów.

Jeżeli widok zewnętrzny świątyni tak przyjemne zadziwienie obudza, uczucie to wzrasta do wyższego daleko stopnia, gdy się do jéj wnętrza wielkimi wnijdzie drzwiami. Odrazu oczy widza

uderzy piękna harmonia jéj budowy. Wrażeniu temu dopomaga ogrom i kształt budowli gotyckich, wysokością sklepień przypominających wzniosłość wiary ojców naszych. Wysokie i śmiało rzucone sklepienie kościoła Panny Maryi w wielkiéj nawie wspiera się na dziesięciu filarach ciosowych; po obu zaś stronach są dwa boki, daleko niższe, niż sama świątynia, a w tych znajdują się kaplice, których jest jedenaście. Przy znacznéj liczbie okien (ogółem 28), jest ona należycie, wszakże umiarkowanie jasną, nie wychodząc z warunku, wymaganego przez wielu, aby miejsca, czci Najwyższego poświęcone, dla utrzymania należnego świątyniom charakteru uroczystości i powagi, niezbyt były oświecone.

Znajduje się tu ołtarzów z marmuru, a po części i hebanu, trzydzieści i dwa, z których największym i najwspanialszym (acz tylko drewnianym) jest wielki ołtarz, zabytek starodawny snycerstwa z XV. wieku, na święta uroczyste na kształt szafy otwierany. Część jego zewnętrzną składa dwanaście płaskorzeźb czworobocznych, dzieje życia Jezusa Chrystusa przedstawiających; wewnątrz znajduje się wyobrażenie zaśnięcia Najśw. Panny w obecności apostołów. Posągi te naturalnéj wielkości, pełne zalet, wykazują niepoślednią biegłość w sztuce rzeźbienia snycerza Wita Stwosza, Krakowianina, którego za to dzieło prawem obywatelstwa miejskiego nagrodzono. I w rzeczy saméj artysta na nagrodę tę zasłużył, gdyż ołtarz ten policzyć można do arcydzieł gotyckiego smaku, a żadna świątynia Europy podobnéj okazałości dziełem z owych czasów popisać się nie może, ani nawet podziwiane ręki jego roboty, znajdujące się w Norymberdze, z tym ołtarzem nie mogą być porównane. Jest to niezaprzeczenie największe ze znanych dzieł jego.

Lubo znacznie mniejszy, atoli z kształtu swego powszechnie chwalony jest ołtarz Bożego Ciała, z mozaiki i marmurów pięknéj rzeźby, i drugi obok niego stojący znakomitéj okazałości ołtarz ukrzyżowanego Pana Jezusa z cztérma kolumnami spiżowymi.

Wiele pięknych nagrobków okrywa mury świątyni i kaplic: są z czarnego i czerwonego marmuru, niektóre z alabastru, lecz najgodniejsze uwagi są odlewane z bronzu w płaskorzeźbie. Kościół ten bogaty jest i w liczne malowania. Takimi są wielkie obrazy dziejów życia Jezusa Chrystusa i Najśw. Panny, wzdłuż całego gmachu pod oknami będące. Nad wielkim ołtarzem umieszczone są okna, w starożytnym guście, z kolorowych

szyb układane. Żywości ich farb, nadewszystko gdy je poranne oświeca słońce, gdy świetniejąc kolorami tęczy, łagodne przesiewają światło, nic wyrównać nie zdoła.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, iż kościół Panny Maryi jest wspaniałym przybytkiem sztuk pięknych i szanownych pamiątek naszéj przeszłości; nie dziw zatém, że nawet turyści sąsiednich krajów, którym się u nas niewiele podoba, nie mogą zaprzeczyć wysokich zalet téj świątyni pod każdym względem.

Ambroży Grabowski.

---

55. Zamek Odrzykoński.

Pół mili za Krosném, ku północy, leżą na wysokiéj górze gruzy niegdyś mocnego zamku Kamieńca, który dawniéj dzikiemu najezdcy harde stawiał czoło, dziś jako smutny obraz przeszłości, na młodsze pokolenie, ścielące się u stóp jego, ze wzgardą spogląda. Mozolna wprawdzie i smutna droga prowadzi na wierzchołek góry, lecz cudny za to widok sowicie wynagradza poniesione trudy. Przed sobą widzisz ku południowi urocze Podbieszczadzie w najrozmaitszych kształtach: naprzód u stóp góry młodzieńczy Wisłok, w srebrzystą rozlany wstęgę, w którego objęciach ginie rozkoszna Łabanówka; tuż za nim z gotyckimi kościołami smętne miasto Krosno na wzgórzu; daléj w dolinie modre góry, pomiędzy którymi poważna w powieściach ludu Cergowa, odznaczająca się szczególniejszą swą barwą, w tym krajobrazie celuje. Więcéj ku wschodowi dostrzeżesz białe mury i w słonecznym blasku połyskujące dachy miasteczka Rymanowa; ujrzysz, jak w dalekiéj odległości sędziwy Bieszczad mgłą owianemu Beskidowi bratnią podaje rękę; rozradujesz się jasno-zielonymi smugami Roborni i kwitnącymi gajami Krościenka. Ku zachodowi oko twoje, nim w dalszą puści się podróż, ukołysze cię na złotych falach urodzajnych niw odrzykońskich, bujnymi kłosami porosłych, spocznie nieco na dymiących strzechach wioski Odrzykonia, zwiedzi po drodze ładną Moderówkę — i tyle niezrównanych piękności.

Gruzy zamku zajmują dosyć obszerną przestrzeń na samym wierzchołku góry. Prócz niedostępności miejsca, którą z kilku stron sama natura gród obwarowała, bronił go jeszcze od południa przed napadem niespodzianym dosyć znaczny okop. Zachodnia i północna część, najwyżéj wzniesiona, na wysokich

i stromych spoczywa skałach. Do znacznéj wysokości wywiedzione mury, pomimo gromów, które burza przez wiele wieków z wściekłością o te mury rozbijała, dzisiaj jeszcze są podziwem wszystkich znawców budownictwa. Zachodni koniec zamku, warowną wzmocniony basztą, obejmował obszerny dziedziniec, skupione stajnie, oraz piwnice. Tuż za nim wznosi się gmach wysoki o kilku piętrach, niegdyś pomieszkanie pana zamkowego. Z widocznych śladów okazuje się, iż tu obszerne były pokoje i komnaty. Duże okna i drzwi, z pięknie wyrabianymi kamiennymi osadami, dotąd jako zabytek dawnego przepychu pozostały; przy nich w kamieniu kuty herb dawnéj rodziny Kamienieckich: Piława. Na wierzchu w murze są wąskie ganki i strzelnice, służące niegdyś do oporu przeciw najazdom nieprzyjacielskim. Popod wspaniałymi pokojami, wśród opok kamiennych w głębi, było miejsce więzienia. Ze sali trzyrożnéj, na zbrojownię zapewne przeznaczonéj, wiedzie piękna gotycka brama do miejsca dawnéj kaplicy. gdzie się wznosiła kamienna kazalnica i ołtarze. Jeszcze w końcu zeszłego wieku odprawiano tu służbę Bożą; potém rozebrali ją chciwi zysku właściciele. Wschodnia część zamku znaczniejszemu uległa zniszczeniu; jednakże można tam oglądać obszerny dziedziniec, a w nim nader głęboką studnię w kamieniu kutą, dziś zupełnie prawie zasypaną, i główną bramę wjazdową. Z téj strony obwarowany był gród wysokimi murami, potężnymi basztami i dużą kamienną wedetą.

Założenie zamku tego słusznie do najodleglejszéj starożytności odnieść należy. Zdaje się, że go na posadzie pogańskiego grodziszcza i świątyni wzniesiono, co potwierdza owa kamienna wedeta, mająca kształt pogańskiego ołtarza skalistego. Jeżeli zważymy, iż dawni Słowianie szczególniéj podobne skały i wyniosłe wzgórza ku czci swych bożyszcz obierali; jeżeli w kilku miejscach téj góry, równie jak w Czorsztynie, owym odwiecznym grodzie dawnéj Polski, można napotkać ślady zgliszcz i potłuczone kawałki popielnic: wcale nam się to mniemanie dziwném wydawać nie będzie, zwłaszcza gdy zważymy, że przezorne chrześcijaństwo, zwykle dla łatwiejszego wytępienia pogaństwa, na świętych uroczyskach potężne grody lub kaplice i kościoły stawiało. Skaliste położenie grodu tego dało powód do nazwania go Kamieńcem. Obecnie słynie pod imieniem zamku Odrzykońskiego lub Korczyńskiego, ponieważ wschodnia część gruzów do małego, u stóp góry leżącego miasta Korczyna należy. W trzynastym już wieku

*

wspominają dzieje zamek Kamieniec jako własność hrabiów Moskorzewskich, herbu Piława, z których Janusz, wojewoda krakowski, za rządów Bolesława Wstydliwego posłował do Węgier. W r. 1408. przybrał Klemens z Moskorzewa, któremu się działem zamek Kamieniec dostał, od tegoż miejsca nazwę Kamienieckiego i dał początek sławnéj i wielce zasłużonéj rodzinie Kamienieckich. Widział naród tę rodzinę w ciągłych bojach z Turkami, Tatarami i zdradliwymi Wołochami, zapuszczającymi po Rusi łupieskie zagony. Jan Kamieniecki, kasztelan lwowski, w r. 1507. na czele 500 jazdy napadł na niezliczone hufce Tatarów, Wołyń pustoszących, z których 2000 w srogiéj walce na placu położył. Mikołaj Kamieniecki, wojewoda krakowski, hetman wielki koronny, mszcząc się za najazdy hospodara Bogdana, zniszczył aż po Suczawę Wołoszczyznę i skruszył walecznie przemoc tatarską. Zygmunt I., wyjeżdżając do Wiednia w r. 1515., królestwo mu oddał w opiekę. Marcin Kamieniecki, wojewoda podolski, poraził pod Trębowlą 1516. r. Tatarów. Następnie posiadali zamek Kamieniec Bonary i Firleje.

Żegota Pauli.

---

56. Kościół św. Szczepana w Wiedniu.

Historya starożytnéj téj świątyni sięga połowy XII. wieku i panowania Babenbergów. Henryk II., pierwszy książę austryacki, od przysłowia swojego „Ja-so-mir-Gott“ zwany, położył w r. 1144. pierwszy kamień do tego kościoła za obrębem murów ówczesnego miasta. Oktawian Wolzner, zwykle u Niemców Majster Oktawian zwany, budowniczy krakowski, zarządzał jego budową. Nieco późniéj poświęcony na cześć św. męczennika Szczepana, stał się głównym kościołem stolicy. W wieku XIII. doznał on trzykrotnego przez ogień uszkodzenia, aż Otokar, król czeski, zajął się jego naprawą i już budowa jego była nanowo ukończoną, kiedy wielki plemiennik domu habsburskiego, pobożny Rudolf, składał w nim dzięki Panu wszech Panów za odniesione nad Otokarem zwycięstwo. Więcéj niż jednego wieku i wsparcia kilku Habsburgów potrzeba było, aby gmach ten stanął w téj wspaniałości, w jakiéj się dziś przedstawia zdumionemu oku. Niejaki Grzegorz Hausern wzniósł wieżę do $^{2}/_{3}$ części teraźniejszéj wysokości. Siedm lat po nim burzyli jedni, co drudzy wznosili, aż się zjawił mąż wielkiego talentu, Antoni Pilgram

z Berna (Brünn), który w r. 1433. téj wieży dokończył. Jemu to należy się cześć, że ten śmiały, w obłoki dążący szczyt mimo pozornéj lekkości swojéj wyszczególnia się niespożytą mocą.

Gmach ten olbrzymi śmiało policzyć można do najpiękniejszych pomników gotyckiego budownictwa. Wystawiony jest w formie krzyża łacińskiego, cały z ciosowego kamienia. Długość jego wynosi 57, a największa szerokość 37 sążni wiedeńskich, wysokość zaś murów 13 sążni. Dokoła znajduje się 31 wysokich, sklepienia sięgających okien, po większéj części na szkle malowanych. Nad nimi wznoszą się ogromne dachy, otoczone zewnątrz gankami, pięknéj kamieniarskiéj roboty, wyłożone cegłą, biało, czerwono i żółto polewaną. Front kościoła wychodzi na zachód. Główne wejście jest arcydziełem starożytnéj budowy. Reszta mało jest ozdobiona, wyjąwszy pełne smaku okna okrągłe, bardzo staroświeckie. Do zewnętrznéj ozdoby téj wspaniałéj świątyni najwięcéj się przyczynia wysoka wieża, na stronie południowéj stojąca.

Wnętrze kościoła, jak wszystkich świątyń gotyckich, głębokie sprawia wrażenie. Ponurość olbrzymiéj przestrzeni w wieczór przeraża, we dnie budzi wzniosłe uczucia, które się z żadnymi porównać nie dają. Sklepienia, w których wzrok się gubi, słupy olbrzymie, gmach unoszące, mnóstwo ozdób rzeźbiarskich w smaku odległéj starożytności, mnóstwo marmurowych ołtarzy, obrazów, pomników, zgoła, ta osobliwsza, z rozmaitych widoków złożona, całość przejmuje podziwieniem i ledwo dopuszcza myśli, że to jest dzieło rąk ludzkich. — Wielki ołtarz z czarnego marmuru, który jedenaście zdobi posągów, i obraz w nim, przedstawiający ukamienowanie św. Szczepana, są dziełami dwóch braci: pierwszy Jana Jakóba, drugi Tobiasza Boka. — Przed ołtarzem Męki Pańskiéj znajduje się pyszny grobowiec cesarza Fryderyka III., największe zapewne arcydzieło owych czasów i główna tego kościoła ozdoba, dłuta sławnego sztrasburskiego rzeźbiarza Mikołaja Lercha. Pomnik ten kosztować miał 40.000 dukatów. — Znajdują się tam także pamiątki wielu znakomitych, wielu sławnych mężów, między innymi wspaniały wspólny grobowiec słynnego z dzieł wojennych Eugeniusza z Sabaudyi i generała feldmarszałka Emanuela, pochodzącego równie z tego bohaterskiego plemienia; grobowiec Alexandra, księcia mazowieckiego i w. i. — W podziemnéj części kościoła znajduje się 30 wielkich sklepień i grób, przeznaczony przez

Rudolfa IV. na składanie zwłok książąt austryackich. Dwa przeszło wieki służyły te groby ku temu celowi, aż cesarzowa Anna zbudować kazała nowy grób w kościele OO. Kapucynów.

Ale wróćmy jeszcze do wspaniałéj owéj wieży na południowéj stronie kościoła. Co do mocy pierwszą ona jest w Europie, co do piękności struktury z jedną tylko wieżą sztrasburską o pierwszeństwo walczy. Jak zwykle przy wszystkich starożytnych kościołach, tak i tu miały być dwie takie naprzeciw siebie, ale drugą zapewne dla wielkich kosztów tylko do 25 sążni doprowadzono. Wysokość téj wieży wynosi 74 sążni i 4 stopy. Podwójny ruchomy orzeł z dużym nad sobą krzyżem wieńczy najwyższy szczyt olbrzymiéj téj budowy. 586 schodów prowadzi na wieżę, oprócz drabin, które po 200 szczeblach do samego wywodzą szczytu. Znajduje się tu dzwon ów sławny, który cesarz Józef I. ulać kazał r. 1711. z dział tureckich, zdobytych przy odsieczy Wiednia. Na rusztowaniu niespożytéj mocy i trwałości wisi ten olbrzym, 367 cetnarów ważący. Prześliczny z góry odsłania się widok. Na kilkanaście mil wokoło wyraźnie wszystko się przedstawia. Żałować tylko trzeba, że jedynie częściami tego widoku się używa, bo otwartéj na wszystkie strony galeryi nie ma. Widać preszburski zamek na górze, całą rozległość pola, Marchfeld zwanego, wioskę Aspern, pamiętną w dziejach zwycięstwem Austryi i wojennym talentem arcyksięcia Karola; widać wijące się odnogi Dunaju, mosty, ogrody i całe miasto jak różnokształtną budowę, którą dzieci dla igraszki z czerwonych kart na stole rozłożyły. Z téj wieży niegdyś Stahremberg przeglądał obóz Mustafy, wzdychając za odsieczą. Szczególne to jest uczucie po upłynionych wiekach cofać się w przeszłość, odświeżać wiekopomne zdarzenia i rozbierać w myśli znakomite czyny wielkich ludzi na tychsamych miejscach, na których były zdziałane.

(Wedł. *Kłosów ojczystych*).

---

57. Bazylika św. Zofii w Konstantynopolu.

Sławna niegdyś bazylika grecka św. Zofii, a teraz meczet Aja Sofia, była wzniesiona przez cesarza Justyniana, który do zbudowania téj świątyni użył dwóch znakomitych architektów: Antemiusza z Tralesu i Izydora z Miletu; lud zaś utrzymywał, że sam anioł z nieba przyniósł plan, imię i pieniądze. Ten gmach nie wydaje się w swojéj piękności, kiedy nań z bliska i zewnątrz

patrzymy, bo budynki, zwykle przy meczetach będące, jak n. p. szkoły, tak go zasłaniają, że niepodobna dojrzéć wspaniałéj i wzniosłéj architektury; ale gdy zdala patrzymy, osobliwie z wysokości, n. p. z wieży galatskiéj, wtedy cały ten olbrzym z prześliczną swoją kopułą nad wszystkimi meczetami góruje; — a jeszcze więcéj można być uderzonym wspaniałością téj budowy, poświęconéj Mądrości przedwiecznéj, za wejściem do tego gmachu.

Wstęp do meczetu Aja Sofia jest zawsze trudny, bo albo trzeba mieć ferman sułtana albo przekupić Imamów. Chwyciliśmy się téj ostatniéj drogi jako łatwiejszéj. Złożyliśmy się na 600 piastrów t. j. 12 dukatów i tym sposobem poważnych muzułmańskich Imamów zmieniliśmy w usłużnych ciceronów. Każdemu dozwolone jest wejście na dziedziniec, wyłożony ciosanym marmurem i otoczony krużgankiem, wspartym na pięknych kolumnach. Tam przy meczecie i na środku świętéj zagrody, są fontanny, służące do umycia się wiernych, wstępujących do wnętrza.

Po dwóch przedsionkach w guście greckim odkrywa się majestatycznie ta niedarmo sławna budowa. Wokoło idą wewnątrz podwójnym rzędem ogromne kolumny, dzielące ten gmach na trzy nawy, podpierające galerye, co się ciągną dokoła; na galeryach znowuż takie kolumny sięgają stropów. Kolumny te górne i dolne idą w równoległobok i mają rząd jaspisowy, serpentynowy, porfirowy i z marmuru zielonego dawnego, — a wszystkie z jednéj sztuki. W środku odkryta kopuła, która wspiera się na ośmiu jeszcze większych, niż pierwsze, kolumnach z porfiru i serpentynu, osadzonych nad sklepieniem galeryi, przypomina dziwnie swoją lekkością i wysokością sklep niebieski. Te kolumny w kopule porfirowe mają być wzięte z kościoła słońca w Balbeku, a serpentynowe ze świątyni Dyany efeskiéj. Kopuła jestto doskonała półkula, mozaikowana szkłem pozłacaném i w różne kolory malowaném: wokoło ma okna z różnofarbnych szyb złożone. Okna w ścianach bocznych są we trzy rzędy, naprzód trzy okna, potém pięć, a nareszcie siedm, co stanowi formę trójkąta, z wierzchu nieco ściętego.

Po kręconych, bocznych, kamiennych schodach wstąpiliśmy na pyszne galerye, mające pięć sążni szerokości, które za czasów greckich były przeznaczone dla kobiet. Na marmurowych wrotach galeryi powitałem dwa krzyże w płaskorzeźbie, przypominające pierwsze przeznaczenie gmachu. Widziałem też na marmurze ryty piękny wieniec z wstęgą u dołu, a wewnątrz

mat, co mi Imam tłómaczył, że koło wieńca wyobraża świat, a matowa robota we środku przedstawia morze, wstęga zaś, ciągnąca się u dołu, oznacza węża, który jeśli się wkradnie do koła, nastąpi koniec świata. Pokazywał mi także wyrytą szalę, na któréj wszystkie dusze mosleminów po śmierci się ważą.

Wszystkie zaokrąglenia sklepień są mozaikowane; ściany meczetu albo marmur albo mozaika okrywa, — i jeszcze widać w górze obrazy Ojców świętych z mozaiki, jakby czekali powrotu czci prawéj do téj świątyni. Imam dał mi odpadłych kilka sztuczek mozaiki, która mi przypomniała podobną mozaikę w kijowskiéj cerkwi Zofii, zbudowanéj na wzór téj świątyni.

Gmach cały, zbudowany w kształcie krzyża greckiego z bardzo krótkimi ramionami, że prawie formuje czworogran, ma 42 sążni długości, a 36 szerokości. Sama kopuła, zajmująca cały kwadrat krzyża bez ramion, ma średnicy 18 sążni. To mnóstwo kolumn, kędy widzisz porfir, granit egipski i serpentyn, kędy spostrzegasz marmur różowy, zielony, błękitny i czarny, a wszystko to sprowadzone z najsławniejszych świątyń pogańskich w Balbeku, Efezie, Cyzyku, Alexandryi, Troadzie, Atenach i Cykladach, — ta nareszcie wielkość i wspaniałość budowy, którą Grecy nazywali ziemskiém niebem Boskiéj mądrości — wszystko to tak rzeczywiście uderza, że można przebaczyć chełpliwości Justyniana, który w dzień poświęcenia tego kościoła wykrzyknął: Zwyciężyłem ciebie, o Salomonie! Ku wiecznéj pamięci tego urojonego zwycięstwa postawił ten cesarz na wielkiéj cysternie, będącéj naprzeciw św. Zofii, posąg miedziany Salomona, który wyobrażał króla Izraelitów, patrzącego na gmach z pomieszaniem i zadziwieniem, jakby się wstydził, że kościół jerozolimski ustępuje piękności św. Zofii.

Teraźniejsze urządzenie téj budowy jest następujące: w końcu nawy, zaokrąglonéj w półkole, gdzie był wielki ołtarz Greków, mieści się wielka szafa zielona z wyzłacaniem i drzwiczkami w kratki, także złoconymi; w niéj widać Koran rozłożony. Przed tą szafą na wielkich świecznikach stoją dwie olbrzymie świece. Po lewéj ręce Koranu, niedaleko z boku, wznosi się niby ambona wąska ale zgrabna, mająca nad sobą daszek, podobny do kołpaku: tam Imam przewodniczy nabożeństwu mosleminów. Na téj ambonce wiszą dwie stare chorągwie, które tam złożył Mohammed II. jakby na pamiątkę zwycięstwa swéj wiary nad chrześcijańską. Po prawéj stronie Koranu jest także ambonka zielona, ale daleko wyżéj przybita, gdzie kapłan odma-

wia w piątek modlitwę, nazwaną Kutbe. Pod tą amboną jest dla sułtana katedra, nieco wzniesiona nad posadzkę, w kraty, wyzłacana, i z podobnym baldachimem na wierzchu, a tak głęboka, że ledwie głowę monarchy może lud widzieć. Z wierzchu kopuły i sklepienia mnóstwo wisi sznurków, do których poprzyczepiane pająki i koła blaszane z lampami różnokolorowymi, co w dzień szpeci, ale wieczorem dziwnie upięknia. Posadzka, jeszcze dawna grecka mozaika z różnofarbnych kawałków marmuru, pokryta jest matami w różne kolory.

Ta świetna bazylika, ileż rozmaitych wspomnień obudza! Tu się odbywały sobory, tryumfy, koronacye i śluby cesarskie; tu kłótnie obrazoburców pierwéj jeszcze znieważyły tę świątynię, nim Turek po zdobyciu Carogrodu gwałt i mord na jéj ołtarzach popełnił. Dziś tu Turcy zachowują się, jak we własnym domu: jedni na środku kościoła spią wyciągnieni, podłożywszy pod głowę wierzchnie swoje odzienie; drudzy przechadzają się i rozmawiają; a inni szepcą coś przed Alkoranem. Przy wychodzie z bazyliki rzuciłem jeszcze wzrok po tym pysznym gmachu, wzrok rzewnego pożegnania: kiedyż, pomyślałem sobie, ta wiekowa cichość, przerywana tylko monotonnym jękiem Koranu, skończy się tryumfalnym hymnem Boga i Zbawiciela?

Ignacy Hołowiński.

---

58. Rynek w Wenecyi.

Krótko zabawiwszy w Tryeście, wsiedliśmy na statek parowy, który nas nazajutrz rano na mały rynek wenecki wysadził. Wjazd do poetycznéj Wenecyi osobliwsze nastręcza widowisko: „miasto pływające na morzu!“ Przyjezdny, nie umiejący jeszcze rozróżnić laguny od morza, nie pojmuje zrazu, jakim sposobem tu miasto stać może. Tu go na pierwszym zaraz wstępie czekają rzeczy niezwyczajne, osobliwsze, jakby z powieści arabskich wzięte. Zamiast długich, a częstokroć niebardzo powabnych przedmieść rozsypane po lagunie wysepki; zamiast dolin, na których zwykle miasta stoją, równa i lśniąca jak zwierciadło laguna, plewką srebrną pokryta; zamiast murów, otaczających miasto, olbrzymie groble z ogromnych skał zbudowane; zamiast bramy, stojąca na trzęsawiskach twierdza św. Andrzeja z czerwonymi murami i strzelnicami, z trawy bujnéj wyglądającymi,

mocna, jakby w żywéj wykuta była skale, choć ją rozhukane bałwany Adryatyku nieustannie tłuką. W tém to miejscu corocznie doża na złoconym statku, zwanym Bucentoro, wyjechawszy, brał ślub z Adryatykiem. Od r. 1520. do upadku rzeczypospolitéj 250 pierścieni tu wrzuconych przetacza się po dnie morskiém pomiędzy roślinami i muszlami, bo jeden tylko, połknięty przez rybę, późniéj znaleziono.

Kiedy stąd płynie się ku miastu, cała Wenecya z wieżami i kopułami chwieje się i kołysze, jakby na czółnie płynęła; nareszcie po krótkiéj żegludze wchodzi się odrazu na rynek, najpiękniejszy, najosobliwszy, zaludniony, żyjący, ozdobny, a jednak cichy, jakby się bano obudzić spiące duchy dożów w owym arabskim pałacu. Albowiem na rynku św. Marka nie słychać turkotu powozów, nie masz koni prócz cztérech bronzowych, nie trzeba się oglądać, żeby kto nie przejechał i dyszlem nie trącił; jestto przepyszny ogromny salon, o którym Napoleon powiedział, iż tylko niebo godne być jego sklepieniem.

W rzeczy saméj jestto coś niespodzianie pięknego, coś do sennego marzenia podobnego; — takiego drugiego rynku nie ma na świecie. Z trzech stron otaczają go prokuracye nowe i stare, w łuki trzypiętrowe zbudowane, gdzie mieszkali prokuratorowie św. Marka, którzy po Radzie dziesięciu największą w rzeczypospolitéj piastowali władzę. Koło prokuracyj starych wznosi się wieża zegarowa, która swą oryginalnością, jak tu wszystko, bardzo zastanawia. Piotr Lombard, którego imię często się tu powtarza, po spaleniu drewnianéj zbudował teraźniejszą w r. 1496. Front zdobi ogromne koło z zodyakiem, ze zmianami księżyca, tudzież koło, podzielone na 24 godzin, włoskim obyczajem. Nad niém stoi Najśw. Panna pozłacana, a koło niéj drzwiczki, z których co godzina wychodzą trzej królowie w wielkim stroju i przechodząc po półkolistym ganeczku, kłaniają się Najśw. Pannie, podnosząc z głowy korony, i drugimi drzwiczkami znikają. Nad lwem jest dzwon, w powietrzu zawieszony, o który dwóch murzynów, z miedzi ulanych, młotkiem godziny wybija.

Czwartą ścianą tego salonu jest pyszny front kościoła św. Marka z mozaikami na dnie złotém i stojącymi nad głównymi drzwiami cztérma końmi z bronzu. Dzieło to Lizypa, sławnego snycerza za Alexandra Macedońskiego, któremu tylko jednemu popiersie Alexandra lać było wolno. Nie wiadomo, gdzie te konie naprzód stały; to tylko wiemy, iż w pierwszym po Chrystusie

wieku zdobiły w Rzymie łuk tryumfalny Nerona, a potém Trajana; przeniesione później do Konstantynopola, stały przez dziewięć wieków na hipodromie. Marino Zeno, będąc gubernatorem zawojowanéj stolicy Konstantego, przysłał je w r. 1205. wraz z innymi dziełami kunsztu do Wenecyi, gdzie stały przez sześć wieków. W r. 1797. zabrał je generał Bonaparte do Paryża; potém przez dziewięć lat zdobiły łuk tryumfalny cesarza Napoleona. W r. 1815. wróciły do Wenecyi, gdzie je z uniesieniami radości przyjęto. Na wielkiém czółnie, czarném suknem pokrytém, na podniesioném nieco rusztowaniu, wpłynęły te bluszczem przyozdobione zwierzęta na wielki kanał, otoczone wojskiem z zielonymi gałązkami u kaszkietów. Ten orszak otaczały tysiące czółen różnego rodzaju; we wszystkich pałacach okna widzami były napełnione, których okrzyki gubiły się w okrzykach tłumu płynącego. Wysadziwszy je na brzeg na małym rynku, poprowadzono w uroczystości do ogromnego rusztowania, którém te konie na dawne dźwigano miejsce; rzecz niełatwa, jeśli zważymy, że każdy z cztérech koni waży 1700 cetnarów. Gdy je ciągnięto do góry, w tłumie, który cały rynek św. Marka zalegał, głuche panowało milczenie; dopiero gdy stanęły szczęśliwie na dawném miejscu, powstały okrzyki serdecznéj radości.

Kościół św. Marka, zbudowany na wzór kościoła św. Zofii w Konstantynopolu, ale mniejszy, przezwany złotym, bo w pięciu swoich niszach u góry i u dołu i cały w środku pokryty jest mozaiką z dnem złotém, a z kilkuset kolumn, zdobiących facyatę, z których większa część nic nie podpiera, wiele jest z tak rzadkich kamieni, że prawie równéj są ze złotém wartości. Bizancyum, Grecya, Egipt, cały Wschód swe bogactwa tu oddawać musiał; to téż mieszanina wschodniego gustu z greckim i rzymskim wybitnie tu się maluje: często na saraceńskim łuku stoi święty, średniowieczném dłutem chrześcijanina wyciosany, a przy gotyckich wieżyczkach kapitele arabskie i cztéry konie greckie. Jest to przepych bogacza, który w wieku swoim nie mógł znaleść artystów.

Kiedy Wenecyanie, przewożąc Krzyżaków na Wschód, coraz bardziéj z tamtymi krajami się oswajali, a szkarłatna chorągiew św. Marka coraz większéj nabywała powagi, zawsze flota do Wenecyi ze sławą i ze skarbami wracała, a z przywiezionych drogości i osobliwości wielką część dla ozdoby św Marka oddawano. W r. 1204., kiedy im na Wschodzie nie dotrzymano

traktatu, Henryk Dandolo, już ślepy prawie starzec, sam na czele floty weneckiéj wyprawił się, dwakroć Konstantynopola dobywał i zabrał wszystkie bizantyńskie posiadłości na Archipelagu. Odtąd Kandya, Morea i Cypr płaciły daninę Wenecyanom, którzy przed bazyliką św. Marka trzy chorągwie zdobytych państw zawiesili, a zwycięska flota złożyła w hołdzie św. Markowi kolumny z porfiru i serpentynu, alabastry, posągi, wazy, płaskorzeźby z Konstantynopola, z Cypru, z Lesbos i Kandyi. Każda więc kolumna św. Marka ma swoje osobne dzieje i wspomnienia.

Wspaniały, rozległy i piękny jest widok z wieży św. Marka na miasto i jego okolice. Wenecya jest jedyném miastem bardzo poetyczném i niejednemu już poecie na widok tego miasta otworzyły się złote wrota imaginacyi. Lecz najpiękniejszą się wydaje przy świetle księżyca, kiedy gmachy i pałace z różnych wieków nabierają olbrzymich rozmiarów, a wszystko przy panującém naokoło milczeniu osłania się jakąś tajemnicą i mimowolnie ciekawość i obawę wznieca. To poezya z kamienia wykuta. Przy tém bowiem świetle znikają niedokładności sztuki, a zostają tylko ogólne, teraz mocniéj wyskakujące rysy, w których się pomysł architekty, dzieło jego duszy, najlepiéj odbija. Do tego uroku nie mało się przyczynia i osobliwsza natura kraju i ruch morski, ze spokojnego brzegu widziany. Tu około wielkich i małych okrętów snują się cichaczem po srebrzystéj wodzie czarne gondole, już zwolna płynąc, już pędząc z szybkością strzały; tam znowu, jak cienie jakie, występują z wody wieże, kolumny i kopuły; daléj lekkim południowym wiatrem, który nie wieje, ale chucha, poruszana laguna, pokrywa się białą plewką; tam żółte światło latarek, palących się przy gondolach, rzuca tysiące iskier po morzu; tu znowu odpływający do Tryestu statek parowy wlecze za sobą czarny pas dymu, który księżyc bladą obwódką otoczył.

Michał Wiszniewski.

---

59. Święto Trzech Króli.

W dniu tym kładziono dawniéj na ołtarzu złoto, mirrę i kadzidło, które kapłan poświęcał; przydawano do tego i kredę. Jan Kazimierz miał zwyczaj w ten dzień ofiarowywać wszelki gatunek monety, tego roku bitéj. Pospolicie starano się temu

obrządkowi gwoli nabyć czerwone złote z Najśw. Panną, jeśli być mogło, z poprzedniego roku i te przez całe utrzymywano życie. Kogo nie starczyło na złote, kładł srebrny pieniądz albo węgierskie trojaki i z błogosławieństwem rozdawał je dzieciom swoim. Złotem święconém określano szyję na ból gardła; kadzidłem i mirrą nakadzano domy, obory, bydło chore; kredą właściciel pisał na każdym uszaku mieszkalnego domu, stodoły, szpichlerza i obory litery K. M. B., tudzież rok, czyli imiona 3 króli: Kasper, Melchior, Baltazar.

Tego dnia w domu na końcu obiadu roznoszono ciasto, którego tyle było sztuk, ile osób przytomnych; w jedném z tych ciast znajdował się migdał. Kto go otrzymał, królem téj rodziny zostawał i królowę mianował, ofiarując jéj kosztowny wieniec, albo piękny bukiet z prawdziwych lub sztucznych kwiatów. Jeśli znaczna była liczba osób płci obojga, jeden półmisek ciast roznoszono wtenczas męszczyznom, drugi kobietom, a los zarówno króla, jak i królowę wyznaczał. Wszyscy potem pili ich zdrowie, cześć im oddawali i przez rok cały trwało w rodzinie ich panowanie.

Co dało powód téj zabawie, nie potrzebujemy tego dowodzić; nie sam wszakże religijny tu jest obyczaj, lecz familijny i poniekąd narodowy. Patryarchalne zawsze dostrzegamy u przodków naszych obyczaje; lud, władzy dobrych monarchów ulegać pragnący, przywiązywał się do nich z upodobaniem. Zbierała się cała gromadka jednego rodu ze stron rozmaitych do domu najznakomitszéj w tym rodzie osoby; zbierała się nie na jednę dobę, lecz na czas dłuższy, bo przyjemnie było wspólnie rok dawny kończyć, a nowy zaczynać. Tak więc zjechawszy się nieco przed wilią, razem przepędzali święta Bożego Narodzenia, razem Rok nowy i święto Trzech Króli, a potém się rozjeżdżali. Że to była ostatnia zwykle uczta familijna, ożywić ją chciano tą zabawą niewinną. Zręczna gospodyni umiała nakierować losy, ażeby się migdał dostał temu, komu go przeznaczała: to najsędziwszemu, to najwaleczniejszemu, to mężowi kochanemu, to najmilszemu z dzieci, to najszanowniejszemu z przyjaciół, to dziewicy, którą chciano ujrzéć synową. Czasem, gdy przewidywano trudność i lękano się, by wybór nie padł mniéj właściwie, wszystkie ciasta były z migdałami, a jednego tylko umówionego okrzyczano królem. Zwykle król migdałowy zapraszał do siebie na dzień pewny, zasiadała obok niego królowa, częstowali

wszystkich, raczyli, upominki rozdawali. Niedość było na tém; w ważniejszych wypadkach powinni byli każdéj osobie z rodziny dopomagać i czynili to chętnie.

Zwyczaj ten, jak się zdaje, przyniesiono do nas z Francyi.

Łukasz Gołębiowski.

---

60. Święcone.

Obyczaj to kraju naszego. W tym dniu i kmiotek i najuboższy człowiek zdobędzie się przynajmniéj na kiełbasę, na placek i jaja, majętniejszy na okazalsze święcone. Po nabożeństwie z rodziną i domownikami, z gośćmi i każdym w dom przybyłym, wśród życzeń jak najlepszego zdrowia i pomyślności, dzielą się wszyscy uprzejmie święconém jajkiem, którego nikt odmówić nie może; potém innymi zapasami częstują się i raczą. Każda część święconego miała w ówczesnych wyobrażeniach jakąś moc szczególniejszą, jakieś znaczenie. Baranek na sucho pieczony, placki pełne szafranu i rozynków — to główna zasada święconego. Kto rezurekcyą zaspał, utrzymywano, że nie ma prawa jeść święconego.

Oto dwa szczegółowe opisy, dowodzące przepychu w tym względzie.

Mikołaj Pszonka, dworzanin hetmana Tarnowskiego, tak opisał żonie swojéj święcone u mieszczanina krakowskiego: „U rajcy Mikołaja Chroberskiego, na stole okrągłym, u którego i sto osób pomieścić się mogło, przykrytym w krzyż zszywanym obrusem, na 6 misach srebrnych mięsiwa wędzone wieprzowe, na drugich 6 po dwoje prosiąt, kiełbasy dziwnie pachnące, ustrojone rzędami jaj święconych, pomalowanych w przeróżnéj barwie, ale najwięcéj na rakową. Stały figury z ciasta przedniego, wyobrażające dziwnie zabawne historyjki. Piłat wyjmował kiełbaskę z kieszeni Mahometowi, a wiadomo, że Turcy nie jedzą mięsa wieprzowego, więc to na nich epigramma było pocieszne. Na środku stołu dziwnie piękny baranek z masła, wielkości naturalnéj owieczki, ale jabym za cały stół rad był wziąć jemu oczy. A wszakże to dwa były brylanty, jak laskowe orzechy, w czarnéj oprawie, czyli pierścienie, ukryte w maśle, których tylko tyle widać było, ile potrzeba na okazanie oczu. Pan hetman (Jan Tarnowski), zaproszony przez pana Chrober-

skiego na to święcone, przybywszy wraz z dworem, długo mu się przypatrywał; ale co tam u niego znaczą dyamenty, kiedy sam ich ma pełną rękojeść u karabeli. Tylko go robota cieszyła; kilka razy poprawił karabelę, co znaczy u nas, że kontent i pełen afektu. — Daléj stały bańki srebrne pozłociste z octem, oliwą i 4 kruże wielkie starego miodu na tacach srebrnych wyzłacanych, obstawione czarami, także wyzłacanymi. Daléj stały srebrne łódeczki z konfektami wszelkich owoców, jakie Pan Bóg dał w kraju. Stało téż wino w gąsiorkach, prawda szklanych, ale te gąsiorki stały w koszykach srebrnych, wyzłacanych, a główki miały śrubowane w zawoje srebrne, a szkło białe jak śnieg i bardzo gładkiéj roboty. — Czas przystąpić do najważniejszych rzeczy, które i Wasze, Saluniu, lubisz, do kołaczów, placków, jajeczników, maczniczków i Bóg spamięta ich miana, które okrążały jeden najpoważniejszy kołacz. Ten miał cyrkumferencyi [1]) z 8 łokci, jeśli nie więcéj, gruby na 2 piędzi, a jakeśmy tylko weszli do izby, to nam już zapachniał swoimi przyprawami. Po brzegach wkoło niego stały różne figurki: święci 12 apostołowie, udani jako żywo, a to wszystko z ciasta. W środku stał Pan Jezus Chrystus z chorągiewką, a nad nim unosił się anioł na druciku, nieznacznie w górze zawieszony, iż zdawało się, jakby leciał po niebie, a z ust wychodziły mu słowa: *Resurrexit*, *sicut dixit*, *Alleluia!* [2]) — Inne placki wyobrażały różne zjawiska. Był taki jeden placek, co miał w środku sadzawkę z białego miodu, a wyglądały z niéj rybki i nimfy: robota tego była bardzo sztuczna. — Po zmówieniu zwyczajnych modlitw zaczęło się pożywanie daru bożego. Pan hetman prosił, aby mu wolno było gospodarzyć podług woli. Jadł wszystkiego potroszę, napił się miodu, wina nie chciał, mówiąc: „bodaj my go nie znali! dużo nam szkodzi ten trunek!“ Podał IMć Pan hetman święconego jajka każdemu. Czekaliśmy z wielką estymą [3]), aż P. hetman pozwoli nam przysunąć się bliżéj do stołu; nie długo téż rzekł: „używajcie waszmość panowie hojności gospodarza, a skromnie i *honeste* [4])“. Sam pokłoniwszy się, pożegnał wszystkich łaskawie i odjechał na zamek. Tu my dopiero zaczęliśmy repetować [5]), co daj Boże; miód i kołacz najgorzéj trzeszczał. W nim było sera ze trzy kamienie, miodu tyleż, i innych przypraw nie licząc, dziwnie smaczny. P. Śniatycki

---

[1]) obwodu. — [2]) zmartwychwstał, jak powiedział, A. — [3]) z uszanowaniem. — [4]) uczciwie. — [5]) powtarzać.

tak jadł, że się ledwie nie dławił. Aż téż przyszli żaki z oracyami, Boże odpuść, pełnymi banialuk. Głodomory te straszliwie się oblizowały, ale téż nie na sucho odeszli; każdy z nich dostał po całym bochnie chleba, po garnuszku przaśnego miodu i po kawałku *plus minus* [1]) półłokciowym wędzonéj twardéj kiełbasy z gorczycą, jak Bóg przykazał. W otwartości i afekcie staropolskim odbyliśmy tę biesiadę. Każdy pożył, co chciał, nikt nie zalał, przy wesołém alleluja rozeszliśmy się i dosiadłszy koni, w imię Boże ruszyliśmy na zamek, gdzie była radość ze zmartwychwstania Pańskiego".

W jednym ze starych kalendarzy poznańskich znajduje się opis bez daty, zdaje się jednak, że to musiało być za Władysława IV. Wojewoda Sapieha w Dereczynie takie wyprawił święcone, na które zjechało się wielu panów z Litwy i Korony.

„Na samym środku był baranek, wyobrażający *Agnus Dei* z chorągiewką; ten specyał dawano tylko damom, senatorom, dygnitarzom i duchownym. Stały 4 przeogromne dziki, to jest tyle, ile części roku. Każdy dzik miał w sobie wieprzowinę, *alias* [2]): szynki, kiełbasy, prosiątka. Kuchmistrz najcudowniejszą pokazał sztukę w upieczeniu całkowitém tych odyńców. Stało daléj 12 jeleni także całkowicie pieczonych, ze złocistymi rogami, cale do admirowania [3]), nadziane były rozmaitą zwierzyną: zającami, cietrzewiami, dropiami, pardwami. Te jelenie wyrażały 12 miesięcy. Na około były ciasta sążniste — tyle, ile tygodni w roku, to jest 52, cale cudne placki, mazury, żmudzkie pierogi, a wszystko wysadzane bakalią. Za nimi było 365 babek, to jest tyle, ile dni w roku. Wszystko było adornowane inskrypcyami [4]), floresami, że niejeden tylko czytał, a nie jadł. — Co zaś do bibendy [5]): były 4 puhary, *exemplum* [6]) 4 por roku, napełnione winem jeszcze od króla Stefana; daléj 12 konewek srebrnych z winem po królu Zygmuncie: te konewki *exemplum* 12 miesięcy; daléj 52 baryłek także srebrnych, *exemplum* 52 tygodni: było w nich wino cypryjskie, hiszpańskie i włoskie. Daléj 365 gąsiorków z winem węgierskiém, *alias* tyle gąsiorków, ile dni w roku, a dla czeladzi dworskiéj 8760 kwart miodu, robionego w Berezie, to jest tyle, ile godzin w roku".

---

[1]) mniéjwięcéj. — [2]) inaczéj, to jest. — [3]) podziwiania. — [4]) ozdobione napisami. — [5]) napitku. — [6]) przykład, na znak.

I teraz uginają się stoły pod ciężarem szynek, mięsiw, jaj, kiełbas, placków lub mazurków. Ale rzadko już gdzie dają się widzieć starożytne ciast gatunki. Jaka w owych wiekach, taka i teraz radość, kiedy się udały ciasta; smutek w przeciwnym razie. Gdzie większą chcą mieć okazałość, nadewszystko po miastach, zastawiają ciasta cukiernicze.

Ł. Gołębiowski.

---

61. Polowanie na kozice.

Polowanie na kozicę nie może iść w porównanie z żadném innémi: jak bowiem z jednéj strony staje się nader uciążliwém dla rączości i przezorności kozicy, tak z drugiéj znowu niebezpieczném dla dzikości i przepaścistości krain, przez nią zamieszkanych. Mimo to jednak oddaje mu się wielu z całą namiętnością, podniecaną czy to chciwością marnego zysku, czy téż ponętą szukania i pokonywania przygód, niebezpieczeństw i niezwykłych trudów. Smutnym wynikiem téj namiętności, godnéj zaiste lepszéj sprawy, jest coraz znaczniejsze ubywanie kozic w niektórych górach, a nawet zupełne ich wytępienie.

Dawniejszymi wieki polowanie na kozicę było zabawą panujących. Znaną jest przygoda cesarza Maxymiliana na takiém polowaniu w Alpach tyrolskich, nad wsią Zirl, nieopodal Insbruku. I dzisiaj w dobrach rządowych w Górnéj Austryi jest ono zastrzeżone dla cesarza. Wszakże zawsze i wszędzie zajmowali się niém także nieproszeni lubownicy, tak zwani skrytostrzelcy, którzy jak na zające, sarny, kuropatwy, bażanty, tak téż na kozicę polowali ukradkiem. Obecnie polowanie na kozicę należy mniéj do pańskich zachcianek, a jego uczestnicy pochodzą przeważnie z warstwy ludności niezamożnéj. Są to ludzie wytrzymali, umiejący przestawać na małém, dobrze obeznani z właściwościami gór, w których polują, z życiem kozic i sposobami polowania na nie. Orli wzrok, głowa niesklonna do zawrotu, hart ciała, zdolny do znoszenia wszelkich trudów i niewygód, na które naraża błąkanie się po turniach i lodowcach, odwaga, nie cofająca się przed żadném niebezpieczeństwem i z zimną połączona rozwagą, rozum przenikliwy, zdrowie i silne piersi, — oto główniejsze własności myśliwego na kozice. Musi on tém zarówno celnie strzelać, jak śmiało i zręcznie umieć

się po miejscach, na które nie odważyłaby się pójść najśmielsza koza swojska, używać nieraz nietylko rąk i nóg, lecz paznokci lub zębów nawet i każdego prawie mięśnia, aby się na urwiskach uczepić, utrzymać, posunąć, zwrócić, podnieść.

Polując na kozice ze strzelbą, jużto zasadzają się strzelcy na nie lub obchodzą je przykrymi drogami, by się zakraść ku nim na strzał dogodny, już też ścigają osaczone póty, póki ich nie zapędzą na urwiska, skąd się już ruszyć nie mogą.

Czas trwania wyprawy myśliwskiéj bywa rozmaity. Jeżeli szczęście sprzyja strzelcom, powracają już po jednym lub dwóch dniach; w przeciwnym razie bawią do cztérech dni. W ostatnich zaś czasach, kiedy ilość kozic w Tatrach znacznie się zmniejszyła, nawet w dniach sześciu do siedmiu nic nie upolowano. Najwięcéj kozic ubijają we dnie; przed wschodem słońca i po zachodzie nie strzelają do nich.

Pora wyruszania strzelców z domu zależy od okoliczności. Czasem wychodzą z południa, zwykle zaś przed świtaniem, zdążając do regli, gdzie się jeszcze raz naradzają. Stąd ruszają ze świtem w turnie. Na uradzone miejsce razem zdążają i wypatrują stąd kozice w szczytach. W pochodzie swym nietylko posuwają się ciągle tak, aby ich kozice nie spostrzegły, lecz także szczególnie uważają na ciąg wiatru, aby ich nie zwietrzyły. Wypatrywanie kozic jest pierwszém zadaniem strzelców, idących na polowanie, i wymaga zarówno wzroku sokolego, jak wielkiéj wprawy. Odkrycie swoje udziela zaraz jeden strzelec drugiemu, poczém obaj badają najbliższe otoczenie kozic, aby ułożyć plan ich ubicia. Wszakże gdy stało się to ku wieczorowi, odkładają polowanie na dzień następny, wiedząc, że kozice nie pójdą daléj.

Polowanie samo rozpoczyna się krótką naradą, jak wykonać skradkę i zasiadkę, przyczém strzelcy zawsze się stosują do prądu wiatru, a dawniejsze ich doświadczenia są najlepszą dla nich szkołą. Po zapadłéj uchwale zrzucają z siebie rzeczy, niekoniecznie potrzebne, któreby przeszkadzały w wspinaniu się po turniach, a podzieliwszy między siebie role, każdy zabiera się do ich wykonania. Mianowicie rozchodzą się w przeciwne strony: zasiadacz na stanowisko takie, którędy ruszone kozice prawdopodobnie pójdą, goniec zaś tam, skądby mu było najlepiéj do kozic strzelić lub przynajmniéj je ruszyć i nagnać na zasiadacza. Gdy jest więcéj strzelców, niż dwóch, natenczas jeden z nich skrada się i goni, drudzy zasiadają.

W podchodzeniu zwierzyny, co w stromych górach zawsze jest pochodem po wąskiéj granicy między życiem a śmiercią, strzelcy jeszcze strzéc się muszą, aby nogami nie spłoszyli czujnych kozic, tém więcéj jeszcze, aby nie strącili kamyka. Ten bowiem staczając się ku kozicom, nietylko sprawia, że one przy pomyślnym wietrze poczują człowieka i zaraz uciekają, lecz także w każdym razie daje im znać, w któréj stronie groźny kryje się nieprzyjaciel. Toż gdy słońce świeci, muszą strzelcy na to uważać, aby cienia, od nich padającego, która z kozic nie spostrzegła, bo skoro strzeliwszy nań oczyma, obaczy go w inném miejscu, zaraz miarkuje, że pochodzi od czegoś żyjącego, zmieniającego miejsce; wstaje więc, gdy leżała, wyciąga szyję, gwizdnie, skoczy i już jéj nie ma: znikła w przeciwnym kierunku, a za nią towarzyszki. W mgły ciche i suche strzelcy łatwiéj uchodzą ócz lub węchu kozic. Zresztą zwierzęta te, acz zawsze ostrożne i baczne, dają się łatwiéj i dość blisko podejść, jeżeli nie są płoszone; przeciwnie zaś te, na których zgubę człowiek już się zasadzał, są bojaźliwsze i za najmniejszą oznaką możebnego niebezpieczeństwa szukają ratunku w chybkich nogach.

Tak goniec jak zasiadacz w pochodzie swym przesuwa się to schylono, to raczkiem, gdyby mara, poza turnie, a pierwszemu przypada zarazem zadanie nie spuszczać z oka ruchów kozic. To téż zatrzymuje się od czasu do czasu za turnią, która go zasłania, kładzie strzelbę na bok, wznosi nieco ręce, opiera je na skale i tak podnosi się bardzo zwolna, niby wyrastając z za głazu, tak wysoko, aby tylko głowę wychylić i oczy wznieść ponad grań, poczém w takiéj postawie przypatruje się kozicom, co robią, bacznie atoli uważając, czy go dostrzegły lub nie.

Obszedłszy wreszcie wierch zboczem, zwykle przeciwném, spuszcza się potém goniec wprawdzie w dół ku kozicom, nie schodzi atoli nigdy niżéj nich, a to dla prądu wiatru. Miarkując, iż się znajduje już naprzeciw zasiadacza i na strzał od kozic, wyziera jeszcze raz ku nim z poza turni, a jeśli się wtedy okoliczności dla niego pomyślnie składają, t. j. jeżeli może dogodnie mierzyć i strzelić do któréj z kozic, oddalonych od niego na jakie cztérdzieści do pięćdziesiąt kroków, natenczas daje ognia, gdyż najczęściéj jest skutku pewniejszy, aniżeli zasiadacz. W przeciwnym razie, t. j. gdy dla miejscowych przeszkód albo odległości strzelić nie może lub téż sądzi, że strzał chybi celu,

zbiega nieco i ile możności tak się podkrada ku kozicom, aby je przynajmniéj ruszyć i napędzić na zasiadacza. Kozice, zwietrzywszy go wtedy albo téż poznawszy, stają zrazu i patrzą nań chwilę, tupając nogami, potém biegą powoli do góry, od czasu do czasu zatrzymują się, oglądając i gwiżdżąc.

Teraz goniec dla ostrzeżenia zasiadacza krzyknie donośne „waruj“, sam zaś na myśl, że mozolnie osaczona zdobycz mogłaby się wymknąć, wyprężywszy wszystkie mięśnie, zabiega co tchu kozicom drogę i nagania je w stronę zasadzki, krzycząc „he-he-he“, machając rękami i ciskając kamieniami; one zaś, widząc się prześladowanymi, gdyby piorunem rażone, nuż w nogi, sadząc ogromnymi susy w stronę od gońca przeciwną, a wprost na zasiadacza lub nieopodal mimo niego.

Zasiadacz, usłyszawszy ostrzegające „waruj“, które mu turnie jeszcze kilkakrotnie powtórzyły, zrywa się, sposobi się z poza głazu do strzału, mierzy i daje ognia do jednéj z kozic. Nie zważając potém zwykle na to, czy chybił, postrzelił lub zabił, zmienia rolę zasiadacza na rolę gońca: natychmiast bowiem pokazuje się kozicom i zabiegając pierzchającym drogę, krzyczy, rzuca kamieniami i macha rękami, aby je nagnać ku zasadzce gońca. Kozice przelęknione rzeczywiście się tędy częstokroć zwracają, poczém zasiadacz woła na gońca „waruj“; ten zaś z biciem serca oczekuje ich i pali do nich lub tylko chciwym wzrokiem pogoni za uciekającymi, gdy się pędem strzały przemknęły po przepaścistych urwiskach.

Po przebrzmieniu strzelaniny towarzysze, nie widząc się, zwołują się gwizdaniem, a zszedłszy się ze sobą, wywiadują się o skutku i zabierają się, gdy co upolowali, do myśliwskiego przyrządzenia ofiary; w razie zaś niepowodzenia radzą, czy i gdzie polować daléj lub wracać do domu.

Czasem strzelcy osaczają kozice i z niewymownym trudem zapędzają w miejsca, skąd biedaczkom niepodobna daléj postąpić. Wtedy zdobycz jest pewna, lubo przyparte zwierzęta niekiedy wracają i, nie zważając na strzelca, jak błyskawica go mijają lub przeskakują, według tego, jaka miejscowość. Strzelec na on czas, jeśli nie zajął dogodnego, bezpiecznego stanowiska, kładzie się co tchu na skałę lub przyciska do ściany, bo inaczéjby go kozice zepchnęły.

Kiedy liczba kozic w całych Tatrach bardzo zmalała, a polowanie na nie ze strzelbą częstokroć pomimo wszelkich zabiegów i trudów na niczém spełzało, myśliwi, prześcigający jeden drugiego w wytępianiu pozostałych resztek, wymyślili dwa sposoby katowania kozic, t. j. chwytanie ich w oklepce (żelazka) i na zwódki (sidła). Piekielne te narzędzia są wprawdzie dosyć praktyczne do tego celu, ale służą zarazem do najokrutniejszego i uczucie ludzkie oburzającego dręczenia zwierzęcia, szczególnie oklepiec, bo zwódka łatwiéj je o śmierć przyprawia, nie wystawiając go na długie męczarnie.

Dr. Maksymilian Nowicki.

---

62. Polowanie na morzu.

Najmniejsza chmurka nie mąciła czystego, błękitnego sklepienia nieba; lazurowe tonie wodne poruszał zlekka łagodny północno wschodni wiatr, dmąc w białe żagle naszego okrętu, spodczas gdy podzwrotnikowe słońce ozłacało cuda fauny oceanu: zielonawe bonity, srebrne ryby latające, wesołe stada delfinów, bujające na falach żółwie morskie olbrzymich rozmiarów, jaskrawe meduzy, gwiazdy morskie i owę różnorodną a niezliczoną ilość różnych mięczaków, których delikatne barwy lądowemu mieszkańcowi opisać jest niepodobieństwem.

Każda cząstka wodnych obszarów lśni się i błyszczy w tych tronach, gdzie słońce prostopadle zsyła swe promienie. Już duszne kajuty opuszczone; wszyscy podróżni wyszli na pokład i wpatrują się z wysokiego pokładu w ożywiony ten świat podwodny. Okręt tymczasem jednostajnie posuwa się naprzód.

Monotonność żeglugi przerywało zawsze drobne jakieś zdarzenie, urozmaicając okrętowy tryb życia. Najczęściéj powodem było zjawienie się koło okrętu mieszkańców morskich lub czatowanie na nich. Zakładano wędki, czatując na bonity i tony. Często łowiący długo czekał napróżno, zawiedziony rzucał wreszcie wędkę i siadał do stołu. Nagle ukazuje się zamiast tona drobna srebrzysta rybka. „Pilot! pilot!“ — krzyczy któryś z majtków; wszystko, co żyje, opuszcza stół, talerze i dąży w oznaczonym kierunku za ster. Rzeczywiście, płynie tu drobne, zwinne stworzenie, to zbliżając się do wyrzuconych na rekiny przynęt, to oddalając się od nich. Wtém.... znikło! Lecz na jego miejscu ukazuje się w głębi bezkształtna, szara masa,

poruszająca się to w prawo, to w lewo. Podnosi się zwolna: — już odróżnić można nieforemną głowę, olbrzymią paszczę, niby na gardle umieszczoną. — Wtém paszcza ta podskakuje ponad powierzchnię i łakomie chwyta jeden z kawałków mięsa, które wleką po wodzie za okrętem ukryte haki.

„Rekin!“ — „Harpuna!“ — wyrywa się naraz ze wszystkich piersi. Stary majtek chwyta za ostre żelazo, przyczepione do długiéj, mocnéj liny, i staje na burcie za sterem, otoczony widzami. Potwór poczuł już połknięty hak; zdziwiony, czuje się pociągniętym ku burcie, a w chwili, gdy zupełnie już do niéj zbliżony, czatujący nań majtek, zawoławszy: „baczność!“ ze zręcznością, nigdy nie chybiającą, zrzuca harpunę i wbija ją głęboko w kark znienawidzonego morskiego zbója. Struga krwi farbuje wodę naokoło, zwierz rzuca się z siłą wściekłéj rozpaczy; lecz już drugi majtek zarzucił mu pętlicę z liny naokoło ciała i razem z pierwszym ciągną go na pokład. Jeżeli harpuna dobrze była rzuconą, wtedy od głównego jéj ostrza odskakuje we wnętrzu zwierzęcia drugie ostrze, tworząc z pierwszém krzyż; można więc śmiało ciągnąć za linę wbitéj mocno w kark rekina harpuny, bez obawy, iż ta ostatnia wyskoczy. Gdy zwierzę podciągnęli już do burtu, dwóch majtków niezwłocznie i szybko odrębuje mu ogon; inaczéj bowiem rekin, którego siła w ogonie jest zdumiewającą, potrzaskałby burt i wszystko, coby tylko pod straszny młot ten wpadło. Nawet po odrąbaniu ogona należy się mieć na baczności; widziałem bowiem raz, jak jedném uderzeniem resztą swego ogona złamał nogę odważnego majtka, który nie wierzył należycie w jego siłę i zbliżył się do rozbestwionego potworu. To téż rekin tak jest nienawidzony przez załogi okrętowe, iż z nieopisaną radością witają jego przybycie na pokład, by go dobić; a posiada on nadzwyczajną siłę żywotną, bo, rozcięty i rozpłatany, porusza się czasem jeszcze po dwóch godzinach.

I na naszym statku powitali wszyscy wciągnięcie rekina z wielką radością — majtkowie dla zemsty za starych kolegów, podróżni dla pozyskania różnych jego części, jakoto: szczęki, skóry ostréj jak pilnik, kości pacierzowéj i skrzeli. Zapomniano o obiedzie i wszystkiém inném, nawet o zapachu tranowym, który panuje na okręcie długi czas po zabiciu rekina.

Stefan Rogoziński.

---

63. Na zachodniém wybrzeżu Afryki.

Kto nie zna zachodniéj Afryki, ten zaledwie sobie przedstawić zdoła krajobraz, który się oczom naszym przedstawił. Już zdaleka powitały nas lasy pierwotne, morza świeżéj, uroczéj zieleni: bombaxy, bambusy afrykańskie, palmy najróżnorodniejszych rodzajów, powiewne banany, manguzy, olbrzymie paprocie i złociste ananasy — wszystko poprzeplatane lianami i ożywione barwną orkiestrą spiewaków leśnych, witających piękny, ochoczy poranek. Od czasu do czasu wystrzał, pochodzący to z jednéj to z drugiéj łodzi, zagłuszał świegot ptactwa, i kilkunastu spiewaków stoczyło się z wysokiéj swéj siedziby. Były to śliczne okazy o niezmiernie żywych barwach. Papugi afrykańskie o popielatych skrzydłach, białym spodzie i czerwonym ogonie; drobne różnobarwne „karły“, niby kolibry, świecące wszystkimi barwami tęczy; „król rybaków“, wielkości szpaka naszego, a tak zwany dla swéj pełnéj lazurowéj barwy — wszystko to tworzyło żywy kalejdoskop, zmieniający się nieustannie, a zapraszający co chwila do chwytania za dubeltówkę, nigdy bowiem przedtém ani w Afryce ani w Europie nie widziałem naraz tyle najrozmaitszego ptactwa.

Słońce tymczasem wzbiło się wyżéj i zaczęło przypiekać gorącymi promieniami. Na twarzach wioślarzy można było spostrzéc zmęczenie; kazałem im więc podpłynąć ku brzegowi, w cień, by wypoczęli przez chwil kilka. Olbrzymie drzewo, które rosło niby wywrócone lub wygięte przez kaprys przyrody, tuż nad wodą, służyło za przystań; przywiązaliśmy przy niém łodzie i wdrapawszy się na ląd, wstąpiliśmy do lasu.

Niewstrzymywana tu przez żadne wpływy roślinność, wytryskująca wszędzie z każdego atomu przyrody, rozrastająca się w jeden węzeł, nie przepuszcza nawet promieni słonecznych, i pogrążając olbrzymie te przestrzenie w wiecznym zmroku, obejmuje podróżnika z początku niepokojem i tajemniczością. Tajemnicze téż światy dokoła! Każdy krzak, każdy pień spróchniały, obrośnięty lianami, każde drzewo — zdaje się ukrywać wrogów, czyhających w ukryciu; człowiek, przejęty majestatem przyrody, czuje się jak dziecko niepewnym swych kroków i obawia się nawet dotknąć liścia, który mu drogę zasłania. Wkrótce jednak krok staje się pewniejszym, oko łatwiéj wszystko spostrzega, a wyobraźnia mniéj staje się rozgorączkowaną.

Syczący wąż nie czyha na podróżnika, jak się to zdaje w Europie, lecz pospiesznie się kryje, skoro tylko usłyszy nadchodzące kroki; tosamo dzieje się i z resztą mieszkańców gęstwiny, których liczne zastępy, ukryte w swych jarach i łożyskach, spią leniwie, oczekując nocy dla swych drapieżnych wypraw. Coraz pewniéj kroczy podróżnik swą leśną dróżką, aż wkońcu czuje się prawie równie swobodnym, jak w lasach europejskiéj ojczyzny.

Tosamo wrażenie rysowało się i teraz na twarzach tych, co po raz pierwszy wstępowali w lasy egzotyczne, środkiem lianów, gałęzi i paproci. Liczne ananasy czepiały się liśćmi swymi przechodnia; słodkie wnętrza owoców powydrążali już byli dzicy i tylko skórki leżały dokoła. Krajowcy bowiem mają inny sposób jedzenia ananasu, niż my w Europie: zamiast obierania ananasu i krajania go na kawałki, przyczém zwykle traci się cały sok, wypijają go oni, wydrążając mięso we wnętrzu owocu. Mnóstwo mrówek i robactwa rozpoczynało się zagnieżdżać w rozrzuconych łupinach, wskazując przechodniom, jaką ilość owadów ukrywa tu każdy zakątek. Przed krokiem nadchodzącego uciekały tysiące drobnych i większych żyjątek do swych kryjówek, a pomiędzy nimi rysowały się tu i ówdzie nieforemne kameleony, najróżniejszych rodzajów jaszczurki, drobne wężyki i olbrzymie pająki, których wstrętne ciała były czasem wielkości kurzego jaja. Wszędzie kipiało życie w pełni i sile.

Postąpiwszy kilkaset kroków, napotkaliśmy stare szczątki opuszczonéj chaty murzyńskiéj. Wśród bambusowych belek porosły już były liczne pasożyty, liany oplatały całość, a zwinne jaszczurki kryły się w nich przy naszém zbliżeniu. Jak łatwo wytryska tu zieleń! Lada przedmiot, opuszczony przez człowieka i oddany pod opiekę przyrodzie, odziewa się wkrótce jéj szatami.— Czasem przed początkiem pory deszczowéj zwali wicher jednego z zielonych olbrzymów leśnych: — pozostał strzaskany pień i zwalone drzewo, które wkrótce zaczyna gnić w leśnéj wilgoci; lecz zanim zdoła się rozłożyć nieboszczyk, już objęły go zielone ramiona nadziei, zawsze młodéj bogini — afrykańskiéj flory. Jakby dotknięty jéj nieśmiertelnością, pokrywa się nową zielenią, a po niedługim czasie znajdujemy na témsamém miejscu — wdzięczną zieloną kolumnę i fragment jéj, również żyjący u jéj stóp, jakby bukiet, rzucony przez tropikalne dryady.

Wszystko oplotły liany swymi wiecznymi wieńcami. Tak też przedstawiała się opuszczona chata. Wkrótce odkryliśmy przyczynę jéj opuszczenia. Niedaleko od chaty, nieco ukryty

w zaroślach, stał wysoki pagórek termitów, dochodzący do wzrostu człowieka: drobny ten biały wróg ludzkich mieszkań spłoszył widocznie murzyna, który tu miał swoje siedlisko.

Podziwienia godne te owady białożółtego koloru są plagą mieszkańców tej części Afryki. Europejczyk, który u siebie zapakował swe rzeczy w drewniane skrzynie lub kufry, a przybywszy tu, postawił je nieszczęsnym trafem w miejscu, w którém żarłoczny owad obrał swą siedzibę, odkryje zapewne z żalem już po dwóch dniach ciężką stratę. Skrzynie będą pokryte długimi liniami, przedstawiającymi się jakby wstęgi z gliny: są to tunele, które legiony tych białych owadów, nie cierpiących światła, zbudowały na swéj zdobyczy — może w przeciągu jednéj nocy, by pod tém mieszkaniem wkrótce przedrążyć skrzynie i zniszczyć przedmioty, w nich zawarte, głównie płótna, książki i rzeczy drewniane. Częstokroć stół, wstawiony kilka tygodni temu do mieszkania, rozpada się nagle, zniszczony przez te owady.

Lecz stokroć ciekawsze i oryginalniejsze są ich budowle w lesie. Są to wysokie, nieraz wyższe od człowieka budowle z gliny, przedstawiające się jakby piramidy, ozdobione z różnych stron niby wieżycami gotyckimi. Wnętrze téj misternéj budowy przerzynają liczne korytarze i celki, a w pośrodku znajduje się królowa. Otwór i wejście do jéj celi jest daleko mniejsze, niżby się zdawać mogło z powodu znacznych rozmiarów jéj ciała: kiedy otworem tym królowa weszła do celi, byłto jeszcze mały, wątły owadek; następnie się rozrósł, nabrał tuszy i jest już więźniem, któremu liczne drobne karawany poddanych obficie dostarczają pokarmu.

Obejrzawszy taki pagórek termitów, wróciliśmy z krótkiéj wędrówki do brzegu. Tymczasem wypoczęli już byli wioślarze, siedliśmy nazad do łodzi i wypłynęliśmy wkrótce na wspaniałe wody rzeki św. Pawła.

St. Rogoziński.

---

64. Chamsin.

Nieoswojonego z Saharą podróżnika mrowie przechodzi, kiedy z przerażeniem widzi skielety wielbłądów i ludzkie kości, rozsiane po drodze. Zdają się one wołać na niego: jutro już może spotka cię takisam los, bo jedno pęknięcie kubłaka z wodą

lub ochromienie wielbłąda przepłaca się tu życiem! Każdy powiew wiatru szepce mu złowrogim jękiem w wytężone ucho: uciekaj!

Zaiste, czas uciekać. Na widnokręgu wzbiły się wielkie słupy żółtawo brunatne: podstawą wiercą piasek, a głowy nurzają w kłębach chmur. Jak na oceanie cyklony kręcą w szalonym pędzie wirujące trąby wodne, niebezpieczne dla statków, do których się zbliżą, tak w walce przeciwnych wiatrów powstają w pustyni trąby piaszczyste, grożące zaduszeniem i zasypaniem wszystkiemu, co żyje. Unoszone na skrzydłach wichrów, zmieniają co chwila miejsce i kształt; to posuwają się powoli, jakby się namyślały, w którą uderzyć stronę, to znowu pędzą z szybkością strzały, jakgdyby chciały wynagrodzić stracony czas; to zbliżają się do siebie, to znowu się rozchodzą, aż dopokąd ze zmniejszeniem się siły kręcącego nimi wichru nie przerwą się i nie spadną deszczem piasku z nieba, sypiąc wały całe na ziemi.

Karawana uszła szczęśliwie ich pogoni i odetchnęła. Ale radość przedwczesna, gdyż trąby piaszczyste są zazwyczaj poprzednikami straszniejszych jeszcze niszczycieli, spiekłych orkanów południowo wschodnich, zwanych rozmaicie w rozmaitych okolicach: *samum*, *gebli*, albo najczęściéj *chamsin*.

Nie czuć jeszcze ani najlżejszego tchnienia wiatru w duszącéj ciszy, ale jasny i czysty zwyczajnie w pustyni widnokrąg zasępia się, gdyż nadciągający chamsin unosi już tam tumany piasku, które zdaleka wydają się jak mglista zasłona, rozpięta na niebie. Wielbłądy przeczuwają zbliżającą się burzę, stają się niespokojne i lękliwe, cała karawana się miesza.

Nareszcie wionął od południa gorący wiatr, piekący, jak żar z czeluści rozpalonego pieca. Urywane zrazu podmuchy jego powtarzają się w przestankach coraz krótszych, stają się coraz częstsze, coraz przeciąglejsze, wkońcu dmą już nieustannie z wzrastającą od chwili do chwili gwałtownością, pędząc chmury czerwonego pyłu, w którym tonie cały świat dokoła i wygląda jakoby rozżarzona otchłań. Przez te chmury pyłu przegląda zaledwie słońce, odarte z promiennéj korony, jak księżyc, i wszystkie przedmioty rzucają tylko blade, niewyraźne cienie; ale pomimo przygaszonego światła wydaje się, jakoby promienie słoneczne padały prostopadle na głowę, taki okropny panuje upał. Po niejakim czasie zmienia się barwa atmosfery: z płomiennéj purpury przechodzi w czarną i wszystko tonie w cie-

mności. Powietrze tak jest przepełnione elektrycznością, że z sukień wełnianych i jedwabnych można wytrząsać trzaskające iskry. W nocy nie widać ani gwiazdki na niebie, ani ogniska w obozie karawany, gdyż wiatr szalony, pędzący najmniéj 30 metrów na sekundę i toczący kamienie wielkości pięści, nie dozwala ani rozniecić ognia, ani rozpiąć namiotu. Wielbłądy leżą jeden obok drugiego, zwrócone grzbietem do wiatru, i wyciągają szyje na ziemi; konie tulą się do Arabów, którzy, złożywszy w jeden stos wory z wodą i przykrywszy je jak można najlepiéj, aby uchronić wodę od wyparowania, siedzą okutani w burnusy, i oczekują z fatalistyczną rezygnacyą przejścia orkanu.

Nieprędko on jednak przemija i zdarza się czasem, że dmie nieustannie przez kilka dni. W rozpaloném powietrzu pękają wówczas podróżnym wargi, język przylepia się do podniebienia, dręczy ich pragnienie, a w dodatku do tego wszystkiego swędzi i piecze całe ciało, gdyż skóra otwiera się w różnych miejscach, a miałki piasek wciska się w każdą ranę. Skutkiem tylu udręczeń zdarzają się śmiertelne zapalenia i uderzenia krwi na mózg tak gwałtowne, że dotknięci nimi padają o drazu na ziemię bez przytomności, aby się już nie podnieść nigdy. Stokroć nieszczęśliwszy, kto tracąc siły, zatrzymuje przytomność i, skazany na tortury powolnego konania, pojmuje okropność swego położenia. Wielbłąd jego upada wysilony, kubłak jego próżny. Próbuje iść, ale wnet okrywają się jego nogi pęcherzami w rozpalonym piasku i każdy krok straszny sprawia mu ból. Towarzysze jego są zanadto sobą zajęci, aby zwracali na niego uwagę; jedna tylko myśl wszystkich zaprząta — uratować siebie i dobić się jak najprędzéj studni. Bez wody, bez pomocy, zostaje opuszczony w okropnéj samotności. W rozpaczy rwie sobie brodę i przeklina swój los. Wszelka nadzieja stracona, zgasła ostatnia jéj iskierka. Wtém jakby na piekielne szyderstwo jawią się przed zaczerwienioném okiem jego złudne obrazy — fata morgana. Widzi wszystko, czego tylko serce zapragnąć może: gaje palmowe, zwierciadła jezior, czarodziejskie ogrody, opasane wstęgami strumyków. O gdyby mógł się tylko dowlec do brzegu téj oazy, piekielne męki zamieniłyby się w rajskie rozkosze. Ale widziadło usuwa się coraz daléj i daléj; ścigając je, traci resztę sił i upada konający. Sępy i kruki, te korsarze napowietrzne, ciągnące za karawaną z oazy na oazę, spadają na omdlałego i, nim mu jeszcze anioł śmierci zawarł na zawsze powieki, wydzióbują mu oczy! Suche powietrze zamienia w krótkim czasie

trupa w naturalną mumią, która patrząc jamami, gdzie były oczy, i pokazując odarte z warg zęby, zdaje się wyzywać do walki pustynię, nie straszną jéj już teraz. Nic to nie pomoże, że jakaś miłosierna dusza, przerażona okropnym widokiem, przysypie piaskiem zczerniałe zwłoki; wiatry odgrzebią je wnet napowrót, bo pustynia odmawia swoim ofiarom nawet grobu!

Ale komu Bóg pozwolił przetrwać katusze chamsinu i przebyć szczęśliwie pustynię, jakiegoż błogiego doznaje uczucia, gdy spostrzeże nagle wierzchołki palm, wyzierające jak małe krzaczki z zasp piaszczystych. Niepewny, czy to nie złudzenie, zbliża się z drżącém sercem do upragnionego celu, licząc krok każdy i każdą sekundę. Drobne krzaczki coraz się powiększają, już widać wyraźnie zielonowłose czuby i smukłe pnie palm, wyrastające z piasku, dalej jawi się biała kopuła meczetu, usklepiona z gipsu na wiązaniu z liści palmowych, a wkońcu wynurzają się i białe domki, kryte liśćmi palmowymi, a murowane, jak wszystko w téj części Sahary, z kryształów gipsowych. Przekonywa się, że to nie złudzenie, lecz rzeczywistość i z głębi piersi wyrywa mu się okrzyk radosny: oaza!

Ł. Tatomir.

---

65. Święta góra Cejlonu.

Perłą w koronie indyjskiéj, zdobiącéj czoło królów angielskich, jest prześliczna wyspa Cejlon, czyli Singhala-diva. Większa od królestwa czeskiego, odznacza się ona bogactwem płodów wszelkiego rodzaju.

Wnętrze jéj zajmuje rozłożyste gniazdo górskie, z którego liczne rzeki spływają w nadbrzeżne równiny. Najwyższy szczyt, Pedura Talla-Galla, wznosi się niemal w samym środku wyspy, prawie do téjsaméj wysokości, co Łomnica w Tatrach. Okazalszą jednakże choć niższą od niego jest góra, zwana przez Europejczyków „górą Adama“ *(Adams-Pik)*, a przez krajowców Samanala, u południowo-zachodniego rogu rozgórza.

Już na pełném morzu wpada w oko stożkowaty, do głowy cukru podobny wierzchołek, służący żeglarzom za cel dalekowidny, podobnie jak Etna w Sycylii, Wezuwiusz koło Neapolu, lub szczyt Teneriffy śród wysp Kanaryjskich. Na szczycie Samanali znajduje się „Sripada“, „święta stopka“, to jest naturalna zaklęsłość w litéj skale, prawie na sążeń długa a półtora łokcia

szeroka, w któréj mieszkańcy Cejlonu widzą podobieństwo do stopy ludzkiéj. Pierwotni wyspiarze, tak zwani Singalezowie, wyznający religią Buddhajską, twierdzą, że to ślad stopy Buddhy, który śród grzmotów i błyskawic miał zstąpić na ich wyspę, a wygnawszy z niéj złych duchów i nawróciwszy lud do swéj nauki, na prośbę pobożnego króla pozostawił na pamiątkę odcisk swéj stopy. Późniejsi przybysze ze stałego lądu Indyi, malabarscy Tamilowie, wyznawcy przyjętego od Hindusów Bramanizmu, głoszą, że to potężny bóg Siva stanął w tém miejscu nogą, unosząc się ku niebu. Muzułmanie zaś z dalekiéj Arabii i z Indyi, którzy od dawna dla handlu odwiedzali i odwiedzają uroczą wyspę, twierdzą, że nie kto inny, jak ojciec rodzaju ludzkiego, Adam, ślad ten wycisnął, gdy go tu przyniósł anioł z raju, ażeby rozpoczął na ziemi pokutę za grzech pierworodny. Tak otoczyły wszystkie wyznania azyatyckie wierzchołek ten uroczą mgłą swych podań; a mieszkańcy wyspy i nawet pielgrzymi z dalekich krajów południowo-azyatyckich odbywają uciążliwe podróże do tego wrzekomo cudownego miejsca.

Dwie drogi idą od wybrzeża do podnóża góry: uciążliwa północna, zwana drogą „ojca“ („baby“, Adama), i łatwiejsza południowa, droga „mamy“ (Ewy). Obie wiodą przez gęste lasy, zaludnione gromadami różnorodnych zwierząt, ponad przepaście, w których szumią wodospady, poprzed źródła i groty, opromienione uroczymi podaniami. Na obu grożą pielgrzymom niezliczone pijawki, wciskające się pod odzież i wysysające krew aż do omdlenia. Dzisiaj jednakże odwiedzenie góry łatwiejszém jest, niż przed laty. Zbudowana przez Anglików koléj żelazna prowadzi w głąb wyspy, gdzie liczne plantacye kawy, herbaty i drzewa chininowego przynoszą znaczne korzyści. Omnibusem pocztowym można dostać się daléj aż do samego północnego podnóża skalistego stożka. Gościnność angielskich plantatorów ułatwia Europejczykowi pobyt i podróż w tych okolicach.

Jak na innych górach międzyzwrotnikowych krain, przebywa podróżny w jednym dniu kilka stref roślinnych, które tu jednakże zawsze zachowują piętno gorącego klimatu i aż niemal do szczytu odznaczają się niezwykłą bujnością. W równinie chaty Singalezów otoczone palmami kokosowymi i arekowymi, zaroślami bambusów, drzewami chlebowymi i melonowymi. Wyżéj na podgórzach inne rodzaje palm odbijają od soczystéj zieleni pól ryżowych. Minąwszy je wchodzi się w olbrzymie lasy, otaczające większą połowę góry wiecznie zielonym płaszczem,

śród którego osadnicy wycięli polany i majdany na swe plantacye. Drzewa o pniach, na 80—100 stóp wysokich, tworzą wierzchołkami swymi cieniste sklepienie. Każdy pień, każda kłoda ozdobiona istną grzędą przedziwnych pasożytnych kwiatów. Pnącze i powoje grube tworzą sieć lin, po których harcują gromady małp i zwinne wiewiórki śród stad wrzaskliwych barwnych papug, gołębi i innych ptaków. Małe żabki, ukryte w kielichach lilij, rzekocą dźwięcznymi głosikami. Mnóstwo węży niejadowitych zwiesza się z drzew, łudząc podobieństwem do zielonych gałęzi. Podobnie i z owadów jedne bawią oko bogactwem barw, inne sprawiają niezliczone niespodzianki dziwacznymi kształtami, mylącymi nieraz oko.

Wyżéj następują inne ale niemniéj piękne drzewostany: mirtowce i wawrzynowce o pniach, owiniętych w kołdry bujnych mchów żółtawych, rododendrony drzewiaste, drzewa paprociowe i t. d. Śród nich uderzają wydeptane ciężkimi stopami ślady dzikich słoniów, które jeszcze w téj wysokości na stromych zboczach skał szukują ziół ulubionych. Obok nich lamparty i niedźwiedzie polują na stada małp i jeleni. Obok tropów zwierzęcych pielgrzymi wydeptali śród gęstwiny ścieżki, podobne do cienistych korytarzy. W pewnych odstępach znajdują się dla nich schroniska, zbudowane przez pobożnych.

Najwyższa i najuciążliwsza część drogi wspina się po stromych ścianach skalistych, że potrzeba było powykuwać stopnie i poprzytwierdzać do skały żelazne łańcuchy, których się pielgrzymi trzymają, aby nie stoczyć się w przepaść. Szczęściem, że na téj karkołomnéj przestrzeni padający musi się zatrzymać na splecionych gęsto gałęziach lasu, które mu zostawią parę sińców, ale go uratują przed dalszym upadkiem.

Sam szczyt, obmurowany dokoła, jest bardzo ciasny. Nad „świętą stopą“ wznosi się mała świątyńka, przykuta do skały łańcuchami dla ochrony od huraganów, które tu w pewnych porach roku panują. Otaczają ją rododendrony o bujnych gałęziach, świecących pękami przecudnych, szkarłatnych kwiatów, i domki kapłanów, którzy tu bawią przez 4 miesiące (od stycznia do maja). Stąd roztacza się widok na morze zieleni, w któréj toną zupełnie domy osadników i wsi krajowców. Srebrne nitki rzek wynurzają się miejscami, a w dali na zachodzie błyszczy powierzchnia oceanu. Tu pielgrzymi wszystkich trzech wyznań, wymienionych na czele, odprawiają modlitwy, biją pokłony, sypią kwiaty, palą wonne kadzidła i świece ofiarne, uderzają w po-

święcane dzwonki, zawieszają jako wota suknie znoszone i składają kapłanom dary w żywności lub pieniądzach.

Podobną czcią są otoczone i inne szczyty górskie, wpadające w oko. Japończycy pielgrzymują na szczyt wulkanu Fudzino-jama. Persowie opiewają w swych podaniach niedostępny szczyt Demawendu, na którym gnieździ się bajeczny ptak, olbrzymi Simurg. W Hiszpanii Montserrat, w Alpach liczne skały wyniosłe, niegdyś pogańskie ofiarniki, dźwigają dziś kościoły i kaplice. I śród naszych równin klasztory na Jasnéjgórze pod Częstochową i na górze Świętokrzyskiéj powstały niewątpliwie na miejscach, gdzie pogańscy przodkowie nasi oddawali cześć swoim bożyszczom. A czyż my wszyscy nie spoglądamy od dziecięcych lat do grobu z głęboką czcią w duszy na śnieżny wierzchołek Araratu w Armenii i na skalisty szczyt Synaju w Arabii? Wszakże każdy z nas ma chwile takie w życiu, w których pragnąłby tam uklęknąć, „bliżéj Boga“, daléj od „ziemskiego gwaru“, gdzie „myśl ostrzem leci w otchłanie błękitu, wyżéj, wyżéj, wyżéj aż do niebios szczytu!“.

Bolesław Baranowski.

---

66. Wodospad Niagary.

Pociąg ruszył daléj, my zaś zatrzymaliśmy się dla obejrzenia Niagary i sławnych jego wodospadów. Najęliśmy konie i ruszyliśmy przez most, który oddziela Stany Zjednoczone od Kanady. Na jednéj jego stronie znajduje się komora amerykańska, na drugiéj angielska; ponieważ zaś wielki wodospad ze strony amerykańskiéj jest nieprzystępny, trzeba więc przejechać w posiadłości Anglików. Już jadąc przez most, można widzieć całą szerokość obydwóch wodospadów; jednakże bądźto z powodu dżdżystéj pory wiosennéj, bądźto z powodu siły, z jaką woda rozbryzguje się, spadając z takiéj wysokości, widziałem tylko jakby olbrzymią chmurę mgły, wznoszącą się z przepaści ku niebu. Ale straszliwy huk, wydobywający się z poza téj mgły, zwiastował doskonale, co się dzieje poza jéj białawą zasłoną.

Stanęliśmy wreszcie przed szeregiem domów, stojących na niezmiernie wysokim brzegu, tuż koło wodospadu. Wtedy mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Rzeczywiście, widok to, na wspomnienie którego mdleje i zwija skrzydła wyobraźnia,

a pióro wypada z ręki. Olbrzymia masa wód jeziora Erie, spływając potężną gardzielą ku Ontario, traci nagle grunt pod sobą i spada w dwóch miejscach w otchłań. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że ziemia nie wytrzyma tego ciężaru i uderzenia wód, rozszalałych i dzikich, które same wydają się być przerażone. Jest wtém wszystkiém jakieś przedpotopowe barbarzyństwo, jakaś niepojęta siła, a zarazem i okropność, niespotykana nigdzie, bijąca w oczy, jakby straszliwym gwałtem, zadawanym naturze. Mimowoli przychodzi ci na myśl, że stało się tutaj coś okropnego, że to jakiś kataklizm natury, i nie możesz oswoić się z myślą, że ten kataklizm nie kończy i nie skończy się nigdy. Niebo tu chmurne i poszarpane. Gnane wichrem obłoki zbiegają się i rozbiegają, jak stada dzikich koni. Naokoło czarne, ponure skały, połupane w demoniczne zręby. Huk wody ogłusza cię. Ostry wiatr tnie kroplami wodnymi po twarzy. Czasem mgła wybucha nagle u stóp wodospadu i zasłania oku wszystko; to znów niknie, a wtedy widzisz kłęby piany i cały wodospad, jak na dłoni.

Chwile te jednak trwają krótko. Zwykle mgła, piana, woda i powietrze, zmieszane ze sobą, tworzą taki chaos, że gubisz w nim wzrok i słuch, a nareszcie i świadomość, co się dzieje z tobą samym. Po pięciu minutach podróżnik czuje się zmęczony, a na czoło występują mu krople potu, które mrozi lodowaty oddech otchłani. Pragnie zawołać: dosyć już! a tam wodospad huczy i huczy, przepaść całą szerokością wypluwa pianę, słychać jakby jakieś jęki, jakby głosy, wołające o zmiłowanie; to znów niby śmiechy, przechodzące nagle w ryk wściekłości; — rzekłbyś, że to całe piekło rozpętane szaleje w straszliwéj orgii wśród chaosu. Takie wrażenie, a raczéj takie przez pół tylko świadome siebie poczucie wywołuje Niagara. Jest wtém poczuciu pewien ucisk, ale jest i rozkosz, jaką sprawia zawsze chwilowe zapomnienie o życiu i oddanie się całkowite naturze. To téż przezwyciężywszy pierwszy nieład pognębionych myśli, trudno potém oczu oderwać od tego widoku. Otchłań poczyna nęcić i wabić. Jakaś nieprzezwyciężona siła ciągnie widza nad sam brzeg przepaści; chciałby ją mieć tuż, tuż pod stopami, chciałby pochylić się i zawisnąć, choćby przez chwilę między życiem a śmiercią. A tam, na dnie, potworne skręty spienionéj wody zdają się otwierać na przyjęcie topielca, to znów bryzgi wyciagają się nakształt ramion, gotowych objąć i porwać.

Można zejść na dół pod kaskadę, woda bowiem spada z taką siłą i pędem, że wygina się i tworzy łuk, a pod jéj strumieniem a skałą znajduje się miejsce wolne, zawalone tylko pianą i lodami. Żeby jednak tam się dostać, trzeba naprzód przybrać się odpowiednio; dlatego udaliśmy się do domku przewodnika murzyna, który wynajmuje siebie i swoje ubrania. W płaszczach i kapturach z pęcherzów rybich weszliśmy za murzynem do małego, drewnianego budynku, w którego podłodze czerniał otwór, w otworze zaś schody. Zimno, bijące z lodów, leżących między skałą i wodospadem, i ciemność ogarnęły nas zaraz na wstępie. Murzyn szedł naprzód, wołając od czasu do czasu „ho! ho!“ dla wskazania nam drogi w ciemnościach. Nakoniec po kilkudziesięciu schodach blade światło, idące z dołu, uderzyło o oczy nasze. Weszliśmy do małéj sionki, z któréj wyjście wiodło prosto pod wodospad; tu przewodnik przywiązał do butów naszych podeszwy, podbite ostrymi, żelaznymi gwoździami.

Weszliśmy pod wodospad. Wewnątrz huk wydaje się mniejszy, niż zewnątrz. Szarawe światło dzienne wnika przez zasłonę wody, napełniając całą jaskinię ponurym jakimś półmrokiem, półblaskiem. Skała, stanowiąca tylną ścianę, czarna, popękana; grunt złożony z wielkich złamów lodu; wszędzie dziko i pogrzebowo. Wąskie wstążeczki wody, oderwane od ogólnego wodospadu, spadają z szelestem na lody; powietrze przesiąknięte jest mgłą i kroplami; wiatr, który nie wiem, jak się tu dostaje, dmie jakby w kuźni dyabelskiéj; zimno przenika przez pęcherzowe płaszcze i paletoty. Mimo mniejszego huku niepodobna się usłyszeć i rozumieć. Po ogromnych i śliskich jak szkło bryłach lodu zbliżyłem się tuż do wodospadu, albowiem ostre kolce moich butów usuwały wszelkie niebezpieczeństwo. Przewodnik zaczął coś wołać, ale widziałem tylko jego giesta i poruszenia ust, głos zaś zginął wśród ryku.

Nic piękniejszego, jak wodospad, widziany od wewnątrz z dołu. Kiedym spojrzał w górę, zasłona wód wydała mi się nieruchomą, niby jedną ogromną szybą lodową, i gdyby nie wrzenie u dołu, sądziłbym, że istotnie zamarzła. Ale kłęby piany, które od czasu do czasu dostawały się z zewnątrz, rozpraszały wszelkie złudzenie. Potém spojrzałem na dół. Jakąźto niezgłębioną przepaść musiały wybić w ziemi te wody, spadające od wieków z taką siłą. Wszystko tam na dole wre, kipi, rozbija się, burzy, słowem: istne piekło wodne. Cofnąwszy się z lodowatego krańca, odetchnąłem głęboko jakby po nadmiernéj pracy.

Wnętrze jaskini wydało mi się spokojne, a oczy me tak dalece już oswoiły się z pół-mrokiem, że widziałem dokładnie każdy złam i każdą szparę czarnéj skały, również jak i kępki mchu, lśniącego wilgocią w szczelinach.

Czas było wracać, bo zimno i wilgoć stawały się coraz dotkliwsze. Wyszedłszy na powierzchnię ziemi, nie ujrzeliśmy znów wcale wodospadu, wszystko bowiem zasłaniał białawy tuman mgły, którym było przesiąknięte całe powietrze.

Zwiedziliśmy jeszcze domy, leżące nad brzegiem. W jednym z nich jest muzeum, zawierające różne osobliwości Niagary, jakoto: muszle, skamieniałości, kości zwierząt, porwanych przez pęd wody, fotografie okolicznych widoków i tym podobne. W rzeczywistości domy te są to pułapki na podróżnych, którym sprzedają tu na wagę złota rozmaite, niby pamiątkowe drobiazgi. Potém prowadzą jeszcze podróżnych na górę tego muzeum; jest tam mała wieżyczka, stanowiąca rodzaj obserwatoryum, z którego widać jak na dłoni całą okolicę. Ściany i balustrada wieżyczki pokryte są tysiącami napisów w języku angielskim, francuskim, włoskim itd. Widziałem także napisy polskie: każdy bowiem uważa sobie za obowiązek, zostawić tu swoje nazwisko, i datę odwiedzin. Kiedyśmy zeszli na dół, porwano nas, posadzono na pniu i odfotografowano w ciągu pięciu minut, wraz z naszymi pęcherzowymi ubiorami, zaco kazano sobie oczywiście dobrze zapłacić.

Tymczasem ściemniło się. Wodospad obwijał się coraz bardziéj nieprzeniknioną zasłoną mgły; począł téż zacinać drobny deszczyk. Wróciliśmy więc do najbliższéj stacyi kolejowéj, a wkrótce nadszedł pociąg i powiózł nas daléj, w głąb kraju.

Henryk Sienkiewicz.

---

67. Z podróży po Australii.

Jeszcze przededniem, w niewielkiém towarzystwie wyjechaliśmy do lasu, który, jak nam mówiono, obfitował w papugi. Wyprawa nasza pełną była wrażeń. Sam las zajął mnie bardzo. Widziałem eukalipty w całéj okazałości. Wszystko, co las posiada dzikiego, kiedy się rozpościera na niezmiernych obszarach, drzewiaste paprocie, wspaniałe trawy, nieprzeliczone trzody wołów i koni, pasących się bez pasterza, stuletnie drzewa, wyrwane i poprzewracane przez burze, trzony nadgniłe od korzenia i gro-

żące upadkiem, ślady ognisk, które krajowcy zapalali u stóp tych drzew: wszystko to dziwnie wiele ma uroku! Wdrapywaliśmy się na skały, przebywaliśmy wbród strumyki, konno po pniach drzew jak szaleni biegaliśmy za pstrymi papugami. Gdyby nie nasz dzielny przewodnik, zgubilibyśmy się byli już ze sto razy.

Prześliczny widok sprawiają w promieniach słonecznych te różnobarwne stada papug, które latają, krzycząc przeraźliwie. Co za rozmaitość barw! Dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt zrywa się naraz i niknie jak strzała! Nagle szmer głośny daje się słyszeć w oddali: biegniemy. Trzysta białych kakadu walczy ze sobą na ziemi o pożywienie. Trudno sobie wyobrazić ogłuszające szczebiotanie tego mnóstwa. Połowa ptaków siedziała na czatach, druga połowa dziobała zielony trawnik. Z trudnością podchodziliśmy na czworakach, pośród skał i wysokiéj trawy, jakoż udało nam się postrzelić jednę papugę, która trzepocąc się inne przywoływała na pomoc. Ogólne echo krzykliwéj zgrai odpowiedziało jéj, a za chwilę potém przebiegło całe stado o parę sążni nad naszymi głowami, spiewając z hałasem żałobny hymn naszéj wspaniałéj ofierze.

Nazajutrz gwiazdy jeszcze świeciły, kiedy już byliśmy w głębi lasu. Wszystkie papugi czerwone, szkarłatne, jasnoniebieskie, zielone, pomarańczowe lub fijołkowe budzą się zaraz przy pierwszych promieniach słońca, ale są trwożliwe i uciekają tak szybko, jak ostatni cień nocy. Całe ich miryady krzyczą na wsze strony, niektóre drzewa tak są nimi pokryte, że ptactwo wisi na nich jak grona na winorośli. Upolowałem 85 sztuk, a żywe i świecące ich kolory, od granatu aż do lazuru, są prawdziwą dla oka rozkoszą. Szczególna rzecz, że spiew tych stworzeń tak mało podobny do upierzenia! Podczas kiedy w Europie lasy brzmią harmonijnym dźwiękiem ptaków, a słowik zachwyca nas przed wschodem słońca, tu ostre i niezgodne krzyki tych papug tworzą dziwnie przykrą muzykę. Ale za to dała natura tutejszym krzykaczom najozdobniejsze okrycie.

Wieczorem, kiedy słońce już zachodziło, przebywszy wiele strumyków, ujrzeliśmy Murray. Jestto największa rzeka w Australii, ocieniona wielkimi drzewami, które panują nad rozległą płaszczyzną. Niełatwą była przeprawa przez nią. Długo konie walczyć musiały z silnym prądem wody, nim przybiły do przeciwnego brzegu. Na tym brzegu stała chatka drewniana o trzech pokojach. Dach był z kory eukaliptów, a gęste liany,

otaczające go zewsząd, nadawały mu pozór dziki. Gospodarz Anglik, człowiek bardzo zamożny, ucieszył się naszém przybyciem i obiecał nam wyprawić piękne polowanie. Po wesołéj tedy gawędzie koło dużego ogniska i po smacznéj wieczerzy udaliśmy się na spoczynek.

Kilka dni bawiąc u gościnnego gospodarza, robiliśmy wycieczki na wszystkie strony. Zaraz pierwszego dnia udaliśmy się brzegiem rzeki Murray. Nagle zerwały się zastępy dzikich kaczek i krążyły w powietrzu: widziałem ich najmniéj tysiąc! Ich lot podobny do biegu chmury, która rzuca od słońca szybko posuwający się cień na pola lub stawy. Lecz mimo mnogości tych kaczek nie mogliśmy ubić ani jednéj: połowa z nich zawsze stoi na straży, ale i druga połowa nie spi! Przeciskając się przez zarośla, czołgając się na czworakach po trawie, doszliśmy do małego, dzikiego jeziorka, skąd dziwny szmer z daleka uderzył nasze uszy. Było to stado czarnych łabędzi. Uciekają one, wyciągnąwszy przed siebie szyję i bijąc wspaniale skrzydłami. Trzy sztuki upadły z hałasem, trzepocąc się w wodzie: jednę schwyciłem i nie posiadałem się z radości. Drugiego dnia w témsamém miejscu spostrzegliśmy pelikany, spiące na jednéj nodze, z podgardlem pełném ryb: zabiliśmy z nich dwa. Potém widzieliśmy ogromną chmurę niebieskich i białych żórawi; ale strzały nasze były daremne. Nic nie ma dzikszego nad austrtalskie żórawie, i zręczny ten, kto się do nich przysunie. Nigdy w życiu nie widzieliśmy tylu ptaków, nigdy téż nie podjęliśmy tylu trudów, nie naczołgali się tyle po ziemi i nie zmarnowali tylu strzałów napróżno. Przez dwa dni zabiliśmy 35 tych pięknych ptaków. Niektóre z nich mają śliczne czerwone naszyjniki, inne znów czubki wąskie, inne nareszcie mają dziób długi na pół stopy, szeroki na palec, spłaszczony i opatrzony małymi ząbkami.

Po wodnych ptakach przyszła koléj na dzikie indyki. Siedzą one jużto samotnie na łąkach, jużto znowu w towarzystwie po 12 lub 15, z podniesioną głową, z wytężonym wzrokiem. Są to najzłośliwsze ptaki, jakie znam. Z początku ścigaliśmy garstkę, złożoną z 17 sztuk; przez trzy godziny nie mogliśmy ich doścignąć. Wkrótce podstęp przyszedł nam w pomoc: kazaliśmy sobie przyprowadzić konie. Jak tylko spostrzegliśmy szarego indyka na łące, chowaliśmy się zaraz za konia, któregośmy popędzali wkoło. Ścieśniając je coraz bardziéj, po upływie godziny byliśmy w odległości strzału od dużego ptaka, który sobie

dziób czyścił o nogi, zupełnie jak nasze koguty. Strzeliliśmy śrutem, indyk padł na ziemię. W ten sposób zabiliśmy kilka.

Ale najprzyjemniejszém i najoryginalniejszém było polowanie nasze na kazuary. Jestto rodzaj popielatego strusia, który biegnie tak szybko, jak koń. Gdyśmy spostrzegli gromadę tych pięknych ptaków, zasłanialiśmy twarze zielonymi gałązkami, sami zaś owijaliśmy się w czerwone kołdry, które wlekły się za nami po ziemi. Zaprawdę, śmialiśmy się sami ze siebie, widząc, jak wspaniale w takiém ubraniu posuwaliśmy się po łące. Struś, podobnie jak byk, napada na wszystko, co czerwone. Ujrzawszy nagle czerwone widmo na horyzoncie, szwadron ptaków zaczyna szybko pędzić, i z wyciągniętą szyją szalone zwierzęta rzucają się jeden za drugim. Gdy były już na jakie sto kroków oddalone od nas, wódz wyprawy zatrzymał się, a za nim stanęły wszystkie ptaki: odkryły podstęp i ze strachem zaczęły uciekać. Ugodziłem kulą największego, który też padł bez życia. Kości ich goleni są tak grube, jak ręka ludzka; nogi wysokie przeszło na 3 stopy; popielate sute upierzenie jest tak gęste, że zwiesza się koło ciała, jak duży parasol. Co do skrzydeł, tych długo szukałem, lecz znalazłem tylko mały kikut, na 5 do 6 cali długości i zupełnie bez piór. Takie szare strusie znajdują się tylko w Australii; te zaś, których piękne pióra zdobią u nas kapelusze, istnieją tylko w Afryce.

Najpiękniejsze okazy ptaków ubitych staraliśmy się zachować, aby je pokazać w Europie.

(Z „Dziennika podróży naokoło świata", *hr. de Beauvoir).*

II. Przyroda, jéj zjawiska i płody.

68. Z wędrówki roślin.

Jak się ma rzecz z ludzkim rodem, nieinaczéj dzieje się i w świecie roślinnym. I tu lichsza strawa sprowadza zbyteczne plenienie się osobników, lepsza zaś ogranicza ich rozróst. Na urodzajnéj glebie dębowego lasu mnogie żyją gatunki roślin, z każdego jednak nieliczne tylko okazy. Piaszczyste zaś wydmy roją się tysiącznymi okazami kilku zaledwie typów. A pomiędzy takimi piaskowymi nędzarzami znamy i takie rośliny, które w ciężkich warunkach szacowne zdobywszy sobie przymioty, groźnymi stały się dla innych. Jednym z takich roślinnych Chińczyków jest szeroko dziś w Europie rozpościerający się wiosenny starzec *(Senecio vernalis)*. Jest to ziele niewielkie, stopy dorastające; łodyżkę ma gałęzistą, liście łękowato wycinane z brzegiem kędzierzawym. Całe gęstym kutnerem [1]) pokryte, kwiaty ma żółte, w główki promienisto zebrane, a nasiona opatrzone puchem.

Gdzie jego ojczyzna, trudno napewno powiedzieć. Dość, że po wypędzeniu z raju roślinnego świata, kiedy inne kmotry żyznych czepiały się stołów, on, stojąc na uboczu, spędzony z lepszych, a widocznie próżniak z natury, utknął na najbliższych piaskach Baku pod Kaukazem. Utknął i dokonał z czasem sztuki nielada, bo z piasku bicz ukręcił. Siedząc przy tym głodnym stole, nauczył się wstrzemięźliwości wielkiéj. Narażony na spieki i skwar słoneczny, ubrał się w gęsty kutner, który go od wyschnięcia zabezpieczał. Nasiona uzbroił w puch, dzięki któremu podmuch wiatru unosił je na dalekie przestrzenie. Od zwierzęcych napadów chronił się kwaśnym i ostrym sokiem swych tkanek. Zresztą wyrobił sobie znośną postać, a żywo cytrynowe kwiaty dość pokaźnym zrobiły go starcem. I długie upłynęły wieki, zanim do tego wszystkiego doszedł. Pomimo lichego pożywienia, a właściwie dlatego, że było ono liche, wyrobiły się w nim te szacowne, chińskie przymioty wstrze-

[1]) kosmatość, włos — na suknie i na roślinach.

mięźliwości w karmi i wytrwałości w pracy. Długo tak walczył z nędzą na rodzinnéj glebie. Kto wie, jakie tam odbywały się dramata; jak brat zapierał się brata, zazdroszcząc mu lichego krawka piasku; jak osadniejszy stryj sadowił się obok słabego synowca i o śmierć go przyprawiał. Dość, że wkońcu musiało przyjść do emigracyi i wówczas wszystkie te szacowne przymioty *wiosennego starca*, w walce o byt zdobyte, jawne usługi zaczęły mu oddawać.

Kiedy się ta emigracya poczęła, nie wiadomo. To pewna, że szła na zachód. Od Kaukazu aż po Niemen przedarł się nasz piaskowy kudłaciarz niespostrzeżony. Dopiero w r. 1781. wspomina go Gilibert jako obywatela grodzieńskiego. Stąd rozszerza się już szybko. W r. 1824. zjawia się pod Warszawą, w r. 1835. koło Opola na Szląsku, w r. 1850. w Brandenburgii, a dziś przeszedł już Odrę, Łabę i Ren.

Tak się to łatwo mówi: przeszedł od Kaukazu do granic Francyi! Ale wejrzawszy tak do głębi téj wędrówki, przypatrzywszy się uważnie temu kobiercowi zieleni, po którym depcemy zwykle bezmyślnie, jak swawolna dziatwa, ileż się tam nie daje widzieć bezkrwistych, a jednak krwawych dramatów! Naprzód ten przybysz skromny i potulny osiedla się tylko na piaskach i tu wypowiada śmiertelną walkę ich legalnym mieszkańcom. Kozia bródka, żabie gronka, kostrzewa, sporysz, macierzanka i czerwiec, z początku zaniepokojone, potém opatrzyć się nie mogą, jak są wypierane. One, nie tak kosmate, cierpią od słonecznego skwaru, on nic; — one zjadane przez zwierzęta, on od nich zabezpieczony kwaśnym i ostrym sokiem swych tkanek; one zaledwie obok siebie rozrzucają nasiona, kiedy jego nasiona unoszone są wiatrem na wsze strony. A na wiosnę, kiedy tamte ledwo wykiełkowały, on już buja, zacienia je i o śmierć głodową przyprawia. A raz zyskawszy grunt pod nogami na mizernym piasku, dalej szerzy swoje zagony. Teraz i brzegi lasów i pastewne pola i uprawne role — wszystko ogarnia spanoszony barbarzyńca, niczego nie oszczędza, nic nie uszanuje. Pada strach na wszystkie zioła i chwasty, bo bicz z piasku chłosta je potężnie zdolnościami, nabytymi wiekową pracą i walką z niedostatkiem, biedą i nędzą. Nie mogą zaś one, tak jak Anglicy w Wiktoryi przeciw Chińczykom, wyjątkowych praw wydawać: muszą więc albo same ustępować najezdcy albo się starać wzmocnić i spotężnieć, żeby mu w téj walce sprostać.

Są jednak emigracye, mające inne przyczyny.

W granicach pasu Śródziemnego morza rosło sobie za średnich wieków rosochate chwaścisko, *rzepieniem kolczastym* zwane *(Xanthium spinosum)*. Ziele to gałęziste, dwu stóp dorastające, ma liście niewielkie, wydłużone, trzyłatkowe, ciemnozielone i tak nieliczne, że nagich łodyg nie pokrywają. To téż te wpadają najpierw w oko, a potém i calowe nieledwo kolce trójdzielnie, złotożółte, pojedynczo lub parami w nasadzie liści osadzone.

Czy ojczyzną jego jest Krym czy Mała Azya, to rzecz wątpliwa. Może już Fenicyanie przywieźli go do Hiszpanii, a to tylko pewna, że przed dwoma wiekami bujnie gnieździł się na ruinach państwa Chazarów, okalał uroczą zatokę Neapolu, podziwiał wodociąg Ludwika XIV. w Montpellier i przypatrywał się pomnikom budownictwa dawno wygnanych Maurów. A zaszedł tam wszędzie z handlem, zaszedł zaś z przymiotami, wyrobionymi w walce o życie. Tęgie kolce, jakimi jest zbrojny, zabezpieczają go od chciwéj paszczęki roślinożernych zwierząt i pozwalają mu wydawać dojrzałe owoce. Te nie są wprawdzie tak lekkie i opatrzone puchem, jak u wiosennego starca, owszem są ciężkie i opadające; ale są pokryte tęgimi, haczykowatymi wyrostkami, przy pomocy których czepiają się z wszelką łatwością grzywy końskiéj, sierści bydlęcéj lub wełny owczéj. Z chwilą więc, kiedy otwierają się na północ nowe drogi handlowe stepowego bydła, kroczą wraz z nim miliardy nasion *kolczastego rzepienia* na nowe szlaki i ziemie. Między rokiem 1814. i 1818. spotyka go Andrzejowski koło Tulczyna i Obodówki, w r. 1832. już nachodzi tłumnie Węgry, a stąd doliną Dunaju dostaje się w r. 1854. do Ulmu i rozszerza swe zagony aż do Brandenburgii. W r. 1829. zjawia się u nas koło Pińczowa i Sandomierza, ale tylko przemijająco. Kiedy jednak w r. 1871. zwiedzałem kraj w celu naukowym i dążyłem do Klemensowa w Lubelskiém, przy wjeździe do jednéj wioski dziwny uderzył mnie obraz: przydroża, płoty, rumowiska, przychacia pokryte były wyłącznie rzepieniem; stał w zbitych szeregach, kąpiąc w słońcu swe liście i wyszczerzając szydersko złociste swe kolce.

I teraz dopiero wszystkie zioła naszych domostw, których nie było na zwykłém ich miejscu, żywo stanęły mi w pamięci. Niegdyś przechodziłem koło nich obojętnie, widząc w nich tylko chwasty; dziś, biedne, wyparte i pognębione, wzbudziły litość w mém sercu. Żal mi było teraz i pochylonych *komos* i ptasiego

rdestu i rózgowatéj *bylicy* i gorzkiego *piołunu* i parzącéj niełedwo *pokrzywy;* nawet ponure *lulki* i wstrętne *blekoty* inną zdawały się przybierać postać. — Wyparte! wszystkie wyparte! Wówczas tu, dziś już daléj; kilka lat jeszcze, a utkną o ławice królewieckiego piasku lub zginą w falach bursztynowego morza.

Takto odgrywają się wokoło nas wielkie przewroty świata roślinnego; tak płyną między nami, jak Hiobowe skargi, niepostrzeżone, bo milczące, jak zwykle boleść.

Dr. Józef Rostafiński.

---

69. O warunkach istnienia owadów.

Wszędzie, gdzietylko oczy zwrócimy, spotykamy się z owadami. Czy w domu i w ogrodzie, czy w lesie, na polu i w wodach, wszędzie ich pełno. Ani kroku postąpić nie można, by nie powitać albo najlepszego przyjaciela, wyświadczającego nam uprzejmą usługę, albo zaciętego i uprzykrzonego wroga, niepostrzeżenie pracującego na naszę zgubę, na zniszczenie naszego mienia. Mimowoli tedy zwracają owady naszę uwagę i nastręczają pytanie, skąd się ich tyle bierze, jakie są warunki ich istnienia?

Więcéj owady, niż inne zwierzęta, zawisłe są od ogólnych praw fizycznych. Istnienie ich zatém zależy od pięciu głównych warunków życia, t. j. od odpowiedniéj ciepłoty, światła, powietrza, wilgoci i żywności. Suma tych pięciorakich czynników wywołuje nietylko pod każdém podniebiem, lecz i w każdéj okolicy właściwy świat owadów i staje się najważniejszym warunkiem utrzymania ich życia. Nie wszędzie jednak dane są teżsame warunki, to téż ze zmianą ich i świat owadów innéj nabywa cechy.

Polarne okolice żywią krocie owadów, nieznanych pod gorącym stropem nieba podzwrotnikowego. Malutkie komary Laponii i Grenlandyi niemniéj są dokuczliwe, jak moskity na preryach amerykańskich lub malutkie nasze górskie *simulie*[1]). Gorący zaś pas równika żywi mnóstwo brylantami błyszczących żuków lub motyle, przyćmiewające jaskrawością barw najpiękniejsze nąsze owady, pod umiarkowaném wylęgłe podniebiem. Palmy, tonące pierzastą koroną w ciemnym błękicie brazylijskiego nieba, zarówno mają srogich swych dręczycieli z działu chrząszczów, jak nasze dęby i jodły, jak brzozy na skałach

---

[1]) gatunek owadów.

skandynawskich. W krainie hal Tatr naszych kobierce roślin alpejskich nie mniejszym ożywione są rojem owadów, jak nasze ciepłe równiny i doły. Na samych szczytach nawet, 7000—8000 stóp wysokich, obnażonych z szaty wyższéj roślinności, po granitach, szorstkim porostem okrytych, żyje jeszcze do kilkuset gatunków owadów wraz z alpejskimi kozicami i świstakami, dla których dziewięciomiesięczna prawie zima nie jest za ostrą.

Nie wszystkie jednak owady równie są wytrwałe na skrajne zmiany ciepłoty; wiele z nich nie może znieść długotrwałéj słoty lub ostrych mrozów, życie bowiem owadu potęguje się zwykle z ciepłem, a spada w zimnie *ad minimum*, jak życie roślin. Owady doskonałe zapadają w zimie, ukryte pod mchem, pod liściem opadłém, w szczelinach lub za korą drzew, w odrętwienie, analogiczne uśpieniu kręgowców. Gąsienice i poczwarki czekają w kilkumiesięcznym letargu zmartwychwstania pod wpływem wiośnianych promieni, które wnet obudzają czynność organiczną i przyspieszają rozwój ciała. Towarzysko żyjące owady, jak pszczoły, nie zapadają w doczasowe odrętwienie, lecz zbijając się w gromadną kupę, utrzymują nieustannie wyższą ciepłotę od otoczenia. Nigdzie może w świecie zwierzęcym nie daje się bardziéj czuć magiczny wpływ ciepła, jak w dziale owadów.

Drugim ważnym warunkiem istnienia owadów jest światło. Większa lub mniejsza ilość światła oddziaływa niezmiernie na pobyt, pojaw i ubarwienie owadu. Znaną to jest rzeczą, że są owady, jak inne zwierzęta, a osobliwie rośliny, lubiące albo zupełną ciemność, półmrok wieczoru lub jasność słoneczną. W promiennéj n. p. jasności przebywają wyłącznie dzienne motyle, wiele chrząszczów, ważki, koniki, większa część much i inne; w skwarze tylko lipcowym i sierpniowym nucą koniki polne monotonne swe piosenki, a szarańcza tylko w dni gorące i jasne zlatuje chmurami na dojrzewające niwy. Inne owady szukają tylko cienia lub wieczorem dopiero, do zachodzącego słońca lub zapadającego mroku, wyprawiają ciekawe harce, n. p. komary, chrząszcze majowe i ćmy wieczornice; inne znowu, jak n. p. szare ćmy nocne i świerszcze, dopiero po zachodzie słońca opuszczają swe kryjówki i poczynają nocne życie wraz z nietoperzami i sowami. Z tego téż powodu co do pojawu dzielą się owady na dzienne, wieczorne i nocne.

Innym ważnym wpływem światła jest ubarwienie owadu, zawisłe zwykle od refleksyi promieni słonecznych w miejscu pobytu. Dlatego owady i ich gąsienice, mieszkające w miejscach

ciemnych, mają mdłą barwę białawą, szarawą lub brunatnawą; przeciwnie, żyjące na otwartém polu po świetlistych zaroślach i łąkach, zazwyczaj jasno są ubarwione. Ćmy, żyjące na drzewach, a siedzące za dnia w szczelinach kory lub na niéj, mają zwykle barwę podobną do kory. Koniki polne lub łąkowe odpowiadają jaśniejszéj lub ciemniejszéj albo téż brudnéj zieleni roli lub łąki. Gąsienice zwykle podobnie są ubarwione, jak liść, kwiat lub łodyga rośliny, na któréj żyją; tak téż i owad doskonały, którego czasem trudno rozeznać od tego, na czém przebywa. Ubarwienie zatém jest zarówno korzystnym warunkiem, ubezpieczającym istnienie owadu, jak pora pojawu, pobyt i sposób życia.

Trzecim niezbędnym warunkiem do utrzymania życia jest powietrze, bez którego owady, jak wiele innych zwierząt, żyćby nie mogły. To téż wszystkie owady opatrzone są po bokach pierścieni dychawkami, wiodącymi do rurkowych rozgałęzień po całém ciele. W stanie gąsienicznym żyje wiele owadów w wodzie, jak n. p. zwykły nasz komar, ważki, chrząszcze, pływaki i niektóre pluskwy; natenczas jednak zapomocą skrzelowatych przyrządów wciągają w siebie powietrze, zawarte w wodzie.

Czwartym fizycznym warunkiem, jak poprzednie nader ważnym, jest wilgoć, któréj rozmaite stopnie, podobnie jak światło, na pobyt i pojaw owadu niezmiernie oddziaływają. Wiele pluskw i chrząszczów nawet w doskonałym stanie zaludnia nasze wody, a liczne muchy komarowate i sieciówki żyją jako gąsienice w wodzie. Mnóstwo gatunków lubuje sobie tylko na mokrych brzegach rzek i stawów lub na grząskich bagnach, inne obierają sobie już suchsze miejsca, lubo jeszcze wilgotne, w bujnych i cienistych zaroślach lub w lasach, inne żyją wyłącznie na suchych ugorach i porębach leśnych, a najmniéj przebywa na piaskach, gdzie żadna nie zieleni się trawka.

Ostatnim najważniejszym warunkiem jest świat roślinny i zwierzęcy, będący właściwą podstawą życia owadów.

Przed nami ścieli się zielony kobierzec łąki, utkany pstrymi kwiatami, roztwierającymi ku słońcu swe zdobne kielichy. Zdaje się, że życie rośliny płynie tu swobodnie, że nic nie przeszkadza bujnemu wzrostowi, ni gleba zbyt twarda, ni wiatr północny, ni palący promień słońca. Zbliżmy się jednak, zatrzymajmy się wzrokiem na łodyżkach, liściu i kwieciu, a wnet do ucha naszego zaleci brzęk przygłuszony, przerywany szelest lub urywkowy

skrzek niedokształconego konika. Wnet przy natężonéj uwadze obaczymy mnóstwo snujących się muszek, zdradzi się nam złotolśniący chrząszczyk, ogryzający pilnie listki, wymknie się z pod grudki ukryta ćma szara lub biały przeleci motyl. Po chwili otwiera się nam cały dramat życia owadów i to już na przestrzeni kilku stóp zaledwie. Roślina, wydająca się nam zdala zdrową i pełną życia, chorzeje: jéj liść, wielokrotnie pokłuty i pogryziony, i kwiat, przeznaczony na zgubę, pielęgnuje w swém wnętrzu toczące gąsienice, które się niedawno wylęgły i na koszt obcy żyć poczynają. Tam w korzonkach podgryziona trawa żółknieje i usycha, ustępując miejsca drugiéj, żywotniejszéj. Tu znowu prowadzi norka głęboka, którą właśnie teraz wyłazi turkuć podjadek z krecimi nóżkami przednimi, zwany u ludu niedźwiadkiem.

Idźmy do lasu. Smukłe sosny i barczyste dęby, niby arkady gotyku, wystrzeliły ponad nami. Na świetlistych ustępach rozpiera się leszczyna jasną zielenią, szarawą korą buk w głębi świetleje i brzoza, jak smukła kolumna z marmuru białego, podpiera gmach leśny. Spodem ścielą się borowiny i paprocie rozpuściły pierzaste wiechy. Czy wolne te olbrzymy państwa roślinnego od gryzących owadów? Tam wichrem przeszłorocznym wywrócona leży sosna, oparta gałęziami o poduszki mchu miękkiego. Oddzieramy, gdyby śrótem drobnym podziurawioną korę, a pod nią labiryntowe chodniki rozmaitéj szerokości ciągną się po bielu drzewa, niektóre większe i w głąb sięgają. Tutaj obrali sobie siedzibę najniebezpieczniejsi nieprzyjaciele lasu, brunatne korniki i inne chrząszcze drzewotoczne. Liście leszczyny skręca w trąbkę czerwony ryjkowiec, leszczyniak, a śniady słonik przewierca zielone jeszcze orzechy. Na korze, liściu i w kwiecie mnóstwo drobnych owadków. Tu na bukowém liściu drobniutka muszka stożkowate sprawia naroście, tam na dębie galasówka zmusza soki do nieprawidłowego przypływu, by na liściu gałkę utworzyły, w któréj jéj gąsienica przemianę odbywa; inny znowu owad żołądź psuje. Indziéj znowu pilarz, wylęgający się w młodych pędach, nie pozwala na wzrost drzewka lub mszyce wysysają najżywotniejsze soki. I tu obok życia śmierć i zniszczenie.

Zwróćmy się daléj do roli. Przed nami morze łanów zbożowych za powiewem wiatru falisto się łamie. Jestto państwo odrębnego świata zwierzęcego. Mnóstwo rozmaitych owadów pląącze się w tym lesie źdźbeł bez końca, a każdy z nich co innego

ma do czynienia. Pod grudką w bruździe siedzi teraz spokojnie łokaś garbaty, objadający porą nocną źdźbła soczyste i dojrzewające kłosy. Gąsienica jego wraz z gąsienicą majowego chrząszcza i innych żuków ogryza chciwie korzonki. Na wysypujących się kłosach przesiaduje nałan kłosiec, objada kwiat i wypija mleczko z niedojrzałych ziarnek. Tam znowu wygląda z pod miedzy szara ćma, zanocnica zbożowa, któréj gąsienica psuje czasem do szczętu ozime posiewy. Wewnątrz źdźbła toczy kolanka i włókienka maluchna gąsieniczka muchy niezmiarki. Bruzdą cwałują rozmaite szczypice, polujące na owady, i pająk ziemny zdradne rozstawia sieci. Łany rzepaku, chmielu, ziemniaków, koniczu, ileż nie żywią właściwych sobie owadów, z których jeden i drugi w ten lub inny sposób pomaga lub szkodzi mozolnéj uprawie?

Zaglądnijmy teraz do sadów i warzywnych ogrodów w porę, kiedy kwieciem osypują się drzewa, a młode jarzynki wykiełkowały. I tu życie owadu nader bujne i różnorakie. Tam boleje i usycha liść rosłego szczepu, bo nieprzyjaciel podziemny popodgryzał korzenie, a ogłodek biel pod korą wyjada. Pomiędzy kwiatem grusz i jabłoni uwija się kwiatomirek z działu ryjkowców i psuje kwiat, pieszczący owoc, który przed czasem jeszcze oblatuje. Chrząszcze majowe starają się z liści ogołocić zieloną koronę i pozbawić ją cienia. Drobny pędrak niebieskawy psuje młode pędy i kwiaty wraz z tutkarzem bachusem i obcinaczem, które się karmią sokiem pączków kwiatowych i w tym celu dziurawią je ryjkiem swoim. Ogrodowe jarzyny cierpią wiele przez rozmaite owady, czyto w korzeniach ogryzane przez żarłoczne gąsienice, na które kret poczciwy lub brzydka ropucha poluje, czyto na liściu, które gąsienice białawców wraz z pchłami ziemnymi skrzętnie szkieletują.

Nie na tém jednak koniec. Za składem drzewa i żywności wciskają się owady jeszcze do naszych pomieszkań, spichlerzy i pokarmów. Kołatki z pustoszem i bielotoczem prześwidrowują nam sprzęty domowe i po niewielu latach w próchno je obracają. Skórniki i mole, rade w domach mieszkające, psują nam odzież i obicia. Mącznik zagnieżdża się w spiżarniach, a złowrogi malutki wołczek zbożowy niszczy składy zbóż; nie mówię tu już o znanych muchach domowych i o dokuczliwych zarówno świerszczach i karaczanach, które wraz z wiernymi myszami, stały się domownikami, dzielącymi się chętnie owocem naszéj pracy.

Wszędzie więc, gdzietylko ziemia w roślinną przebiera się szatę, gdzietylko drobina organicznéj materyi się znajduje, wszędzie tam jawią się owady w nieprzeliczonych formach. Bardziéj niż inne zwierzęta zawisły one od państwa roślinnego, z którego swój pokarm biorą, a tylko mniejsza ich połowa przeznaczona do pokarmu zwierzęcego.

Maryan Łomnicki.

---

70. Owady w gospodarstwie przyrody.

Bardzo wielkie jest znaczenie owadów w gospodarstwie przyrody.

Nie ma prawie ani jednéj rośliny, ani jednego zwierzęcia na suchéj ziemi, któreby temu lub owemu owadowi nie służyły za pokarm. Gdy jedne wypijają tylko nektar kwiatów, jak wiele much i pszczołowatych, albo się karmią świeżymi sokami roślinnymi, inne wyjadają twarde łyko albo miąsz drzew zdrowych lub obumierających, albo téż toczą twarde jak kamień nasiona. Mięsożerne owady polują na roślinożerne, przemocą i chytrością je pokonywają; ścierwożerne zaś, obdarzone nad miarę bystrym węchem, wyszukują padliny wyższych zwierząt i przyspieszają proces gnicia, zarówno jak żywiące się schorzałymi roślinami przemieniają obumarłą materyą w tysiąckrotnie rozcząstkowane życie. Jestto najważniejsza rola owadów w gospodarstwie przyrody. Pracują one nad tém nieustannie, by życie w jak najrozliczniejsze rozprowadzić formy; służą oraz za jawne świadectwo, że niema bezwzględnéj śmierci, że w przyrodzie najmniejsza drobina marnie nie ginie.

Przy prawidłowym pojawie owady nie sprzeciwiają się harmonii, istniejącéj w uszykowaniu pojedynczych czynników w gospodarstwie przyrody. Celem ich bowiem jest utrzymanie równowagi nie tylko w samym świecie roślinnym, lecz także i zrównoważenie tegoż ze zwierzęcym. Wypełniają one wielkie zadanie fizyologiczne, by pewną tylko ilość roślin utrzymać przy życiu, a przeto ułatwić im snadniejsze wyżywienie. Ograniczając ilość roślin na jakim obszarze, ograniczają one zarazem liczbę roślinożernych, a skutkiem tego i liczbę mięsożernych zwierząt Przyspieszając zaś rozkład ciał organicznych, działają pożytecznie wraz z atmosferycznymi wpływami i utrzymują jednakowy stan zdrowia w przyrodzie; nadto użyźniają ziemię (n. p. żuki).

Schorzałe i nadpsute rośliny ściągają do siebie wiele owadów, których pojaw w wielu razach nie za przyczynę, lecz za skutek choroby roślinnéj uważać należy. Wielka bowiem jest mnogość takich owadów, dla których naturalne warunki rozwoju tylko w próchnie i w gnijącém ciele roślinném są dane. Zdrowe zaś rośliny bywają nawiedzane przez rozmaite owady, które jednak jako niszczyciele całego organizmu roślinnego tylko wtedy występują, kiedy przy nader korzystnych warunkach w mnogiéj zjawiają się ilości. Dąb n. p. żywi mały światek owadów, bo około 200 gatunków, z których 50 wyłącznie na nim żyje; po nim najwięcéj ich żywią brzozy, wierzby i topole.

Rozmaitość roślin, tudzież klimatyczne i topograficzne stosunki pewnéj okolicy oddziaływają niezmiernie na ustrój i rozmaitość świata owadów. Za jednostajną florą idą tesame owady, które przy gromadném występowaniu téjsaméj rośliny równie gromadnie się jawią w mniejszéj lub większéj mnogości, a wtedy zazwyczaj szkodliwie. Z ubożeniem roślinności lub jéj zmianą ubożeją w gatunki i okazy owadów lub téż giną i przenoszą się w korzystniejsze warunki. Jakość bowiem i ilość pokarmu roślinnego niezmiernie oddziaływa na istnienie i przyspieszony rozwój owadu. Dlategotéż pomiędzy wszystkimi zwierzętami owady najwięcéj zawisłe są od roślin i to tak dalece, iż z roślinności śmiało można wnosić na jakość owadów lub z téj odwrotnie na jakość i bogactwo życia roślinnego.

W stosunku do człowieka, jako najważniejszego na teraz czynnika w gospodarstwie przyrody, dzielą się owady na dwa przeciwne obozy. Jedne, pracujące nad szybkim rozkładem obumarłéj materyi lub jako tępiciele szkodliwych swych pobratymców, będą pośrednio, inne zaś, zalecające się płodami swego gospodarstwa, będą bezpośrednio dla nas zwać się pożytecznymi. Do pośrednio pożytecznych liczy się prawie połowa znanych owadów. Do bezpośrednio pożytecznych liczą się niektóre tylko gatunki, jak: ćmy prządkówki, do których jedwabnik z pokrewnymi gatunkami należy; z błonkówek pszczoła, oswojona już od kilku tysięcy lat jako domowe miododajne zwierzątko; — z mszyc czerw polski, przed dwustu jeszcze laty używany w barwierstwie jako karmazyn, a wyparty dziś przez amerykański czerw kaktusowy — i inne.

Wielka część owadów w gospodarstwie rolném odgrywa nadto jeszcze pomocniczą i nader ważną rolę przy rozmnażaniu

roślin. Są bowiem rośliny, które z powodu właściwego ułożenia słupków i pręcików, nigdyby owocu wydać nie mogły, gdyby nie pomoc owadów, n. p. motyli, wielu błonkówek, jak pszczół, ós, trzmielów i innych, bardzo wielu much i drobnych chrząszczów. Owady te bowiem, włażąc w koronę, oprószają pyłkiem swe nóżki i przenoszą go na znamię słupka, przezco nieświadomie wyświadczają roślinie ogromną usługę; usługa ta wyrównywa pewnie szkodzie, jaką inne owady lub tesame swą żarłocznością sprawiają. Tak n. p. bywa u baldaszkowatych roślin, do których należą pietruszka, marchew i inne; tak i koniczyna tém wydatniejszą i okwitszą bywa, im więcéj w jakiéj okolicy znajduje się pszczołowatych owadów, osobliwie trzmielów, które długim swym języczkiem do miodnych gruczołków koniczowego kwiatu sięgają.

Otóż pożyteczne owady we wzajemnym mają się stosunku do roślinności, wypełniając jako niezbędnie potrzebny czynnik nader ważne zadanie w grze życia niższego świata organicznego.

Druga, niemniejsza połowa owadów stoi obozem nieprzyjacielskim względem świata roślinnego i człowieka. Są to owady szkodliwe. Jak długo czynność szkodliwego owadu ograniczona jest tylko na bardzo małe odsetki, tak długo owad jako nieznaczny psotnik nie zwraca naszéj uwagi. Inaczéj atoli ma się rzecz, kiedy szkodliwe owady albo naraz albo powoli w coraz większych gromadach się okazują i burzą dotychczasowy stosunek na niekorzyść roślin, którymi się żywią lub żywić mogą. Wskutek téj zwichniętéj równowagi następują dwa ważne objawy w świecie owadów: gromadne występowanie na jedném miejscu i wędrówki owadów. Oba te zjawiska, nieraz ściśle z sobą złączone, polegają na steku przyjaznych okoliczności, do których należą wszelkie fizyczne warunki, ułatwiające rozwój, i szybkie mnożenie się owadu. Podstawą jednak główną obu tych objawów jest albo obfitość albo brak żywności.

Jednostajne lasy, łany jednakiém obsiane zbożem i ogrody, w których pewna tylko przeważa jarzyna, żywią ciągle ograniczoną tylko ilość szkodników, którą przekroczyć tylko wtenczas mogą, jeśli do obfitéj żywności inne korzystne przybędą wpływy, — jakimi są odpowiednia ciepłota, oznaczony stan wilgoci, odpowiednia pogoda i inne — szkodliwe zaś wpływy, do których osobliwie należą owadożerne zwierzęta, *ad minimum* się ograniczą. W krajach, gdzie uprawa ziemi do wysokiego stopnia

posunięta, człowiek, kierujący prawie jedynie gospodarstwem przyrody, starający się na swą korzyść wszystko jak najlepiéj spożytkować i ku swym widokom przeinaczyć, niepomny na złe następstwa, burzy częstokroć mimowoli równowagę w przyrodzie i wywołuje przeliczne zastępy drobnych swych wrogów.

M. Łomnicki.

---

71. Odlatujące bociany.

Bociany różnią się swą wędrówką od innych ptaków. Najczęściéj wędrują w dzień, kiedy większa część ptaków wędruje w nocy. Gdy pora późna lub wiatr pomyślny, lecą dzień i noc, nie spoczywając, wyjąwszy czas, potrzebny do zaspokojenia głodu. Nie spieszą się w wędrówce. Kiedy już są na miejscach zbiorowych, wtedy, mając żer obfity, i tydzień cały bawią, poczém się skupiają i znowu na oznaczone miejsce lecą, aby kilka dni wypocząć i pożerować.

Ciekawy to widok, gdy w połowie sierpnia zaczynają się u nas gromadzić bociany. Na wielu gniazdach dorosłe już młode bocianki przez tydzień cały próbują skrzydełek, a nie mając dosyć miejsca na gnieździe, trącają się i spychają wzajemnie. Gdy niebezpieczeństwo spadnięcia się wzmaga, każdy szuka równowagi i spokojność na chwilę przywrócona. Lecz niebawem najstarszy próbuje jedno wyciągnąć skrzydło, które swą nogą rozpycha, jak tylko może, tak dalece, że zakrywa braci i siostry; potém taksamo postępuje z drugiém. Rodzeństwo zazdrosne naśladuje starszego. Kiedy już skrzydła dobrze wypróbowane, a rodzice przez dni kilka nad gniazdem dla przykładu i zachęcenia toczą koła powietrzne i próżniakom młodym już pożywienia nie przynoszą, aby ich do lotu zmusić, wtedy podrywają się bocianki na kilka stóp w górę i spadają na gniazdo, jeden po drugim. Późniéj podnoszą się na kilka łokci, aż nareszcie najodważniejszy puści się lotem na sąsiedni budynek; za nim puszcza się drugi i całe rodzeństwo, a spróbowawszy jeszcze raz skrzydeł, czy się na nie spuścić można, podlatują nareszcie i wszystkie razem coraz szersze koła toczą.

Ośm do czternastu dni tensam tryb życia prowadzą, oddane wyłącznie kółku familijnemu; a gdy już młodzież doskonale krąży i zręcznie żeruje, wtedy jakgdyby na umówione

miejsca lecą i tam w tymsamym czasie z innymi rodzinami się spotykają. Widzimy najpierwéj 12, późniéj 18, 24, 30 itd., prawie zawsze szóstkami przybywają: dwoje starych, czworo młodych. Rano zabierają się znajomości, młodzież osobno, starsi w innéj stronie; jedni drugim się przypatrują, a gdy już nastąpiło pobratanie, wtedy liczne te rodziny poważnym krokiem przemierzają pola, szukając pożywienia. Ku wieczorowi wznosi się całe towarzystwo do lotu, krąży coraz wyżéj, aż nareszcie pod obłokami wydają nam się jak ptaki wielkości wrony i znikają z widnokręgu.

Niechże nikt nie myśli, że to już odlot, bo tak nie jest. Każde grono rodzinne po tych przygotowawczych manewrach powraca do gniazda, jakby na ostatnie pożegnanie; tam wszyscy wieczorem i rano chórem zakłapią i spieszą na miejsce ogólnego zebrania. Trwa to dni kilka. Już w czasie tych częściowych zebrań zdarzają się pojedyncze egzekucye lub prześladowanie niedorodków, i dopiero po ćwiczeniu, codziennie odbytém, wznosi się gromada, złożona z 20, 30, 40 bocianów, podług tego, jak licznie w bliskiéj okolicy się gnieździły, i znowu jakgdyby na umówione miejsce lecą i zastają jednę lub dwie gromady równie liczne. Na tych liczniejszych zborach odbywają się takiesame ceremonie, znajomości, ćwiczenia powietrzne; a jeżeli się już uznają za skompletowany korpus, wybierają się w podróż lub ciągną na miejsca jeszcze większych zebrań. Na tych sejmikach musztrują się wzajemnie, próbują w powietrzu sił swoich, i to widocznie stare bociany są nauczycielami; widać ich, jak się nasamprzód podnoszą, kołując w powietrzu, górują nad innymi, wznoszą się pod błękit nieba, przywołując młodzież do tych ćwiczeń, potrzebnych niezbędnie, aby odbyć przyszłą podróż. Na tych ogólnych miejscach zgromadzenia, najczęściéj na bagnistych łąkach, mokrych stepach lub nadrzecznych płaszczyznach, bawią dni kilka, radzą, sejmikują, dzielą się na partye, każdego z osobna egzaminują, jednych zabiją, drugich odgonią, aż nareszcie, najczęściéj dodnia, bez hałasu znikają, a to tak cicho, że chwili téj zajmującéj dopatrzeć trudno.

Kazimierz hr. Wodzicki.

---

72. Z życia kruka.

Kruk z wielu względów niemiłym jest dla człowieka ptakiem. Jako obraz śmierci i pogrzebu, towarzysz ścierwa, opiekun zniszczenia, czyściciel świata, zawsze ponury i samotny, stroniący od innych mieszkańców powietrznych, uosobienie przekleństwa i nieszczęścia, zresztą samą barwą i krakaniem — smutkiem każdego napełnia. A przecież pomimo wstrętu, który wzbudza, pomimo smutnego wrażenia, jakie widok jego sprawia, jego życie i zwyczaje nader ciekawe są do badania.

Odznacza się on wielu przymiotami, które nie dosyć były badane, nigdy dostatecznie nie były opisane. Godne uwagi są: jego dowcip, pamięć, bystrość, ostrożność, a w potrzebie odwaga, przebiegłość i rozwaga, jakotéż inne zdolności. Co do rozumu jest on małpą w rodzie ptasim, co do drapieżności i żarłoctwa istnym wilkiem. Zna niebezpieczeństwo i w jednéj chwili je oceni: w jednych miejscowościach poufały, wśród wieśniaczych domów, na kupach gnoju, po dachach spokojnie dni spędza; w innych ostrożny do najwyższego stopnia, nawet przesadnie trwożliwy. Gdy człowiek nadchodzi, wzrokiem go obejmie, oceni i do tego kroki swe zastósuje. Nieraz szuka pożywienia na drogach publicznych, licznym wozom ledwie że ustępuje; to znów przed nadjeżdżającym surdutem zawczasu ulatuje, nawet w oddaleniu wzroku ludzkiego nie znosi i unika. Gdy odleci i siędzie, zaraz patrzy z wytężeniem, co nadjeżdżający robi, a gdy oczy na siebie zwrócone spostrzeże, wynosi się i to kilkakrotnie powtarza do chwili, w któréj się zupełnie uczuje bezpiecznym. Strzelbę zna doskonale, również odległość, którą nabój przebiéc może; rzadko kiedy da się zjechać i to wtedy, gdy żarłoczność weźmie górę nad ostrożnością. Za pługami chodzi jak gawron lub wrona, przegrzebuje gnój wśród rozrzucającéj go czeladzi; gdy zaś tylko obcy człowiek nadchodzi, ulatuje i patrzy uważnie. Na drzewach, stertach, skałach i urwiskach siada w ten sposób, że okiem obejmie cały widnokrąg, a najmniejsza zmiana nie ujdzie jego uwagi. Do tego słyszy doskonale. Oprócz bystrego wzroku i dobrego słuchu odznacza się niepospolitym węchem; to też przy swym rozumie urąga z niebezpieczeństwa.

Gdy wytęży skrzydła, pruje szybko powietrze, które, przeciskając się przez końce piór, dziwny świst wydaje. Zazwyczaj leci wolno i poważnie, wtórując krakaniem. Chętnie w powie-

trzu staje jak ptak drapieżny i kołysze się, wpatrując się w ziemię bystrym swym wzrokiem, a gdy z największéj wysokości spostrzeże ofiarę, zatrzepoce skrzydłami, siada opodal i podskakując zbliża się ku niéj.

Ze wszystkich może u nas znanych ptaków jest kruk najszkodliwszym i najniebezpieczniejszym. Rozum, zręczność, siła, przezorność, ułatwiają mu łowy; równie zręcznie łowi dzióbem, jak szponami; jedynie w locie ptaka złowić nie może. Najstraszniejszą jego bronią jest teroryzowanie swéj ofiary. Zupełnie jakby ją magnetyzował, krąży nad nią, okala ją, bije na nią, trzepoce się w górze, krakając bez ustanku. Zające i kuropatwy, przepiórki i chróściele, nawet drobne ssaki rzeczywiście do tego stopnia paraliżuje, że się bez ucieczki brać pozwalają. Na kuropatwę poluje, gdyby jaki ptak uczony. Upatrzywszy stadko, czyto na roli, czy na śniegu, przelatuje nad niém kilka razy, trzepoce się, krakając, i tak zastrasza nieszczęśliwe kurki, że leżą jak martwe bryłki i brać się dają. Wielkie przez to szkody wyrządza w kuropatwach, a jeszcze większe w bażantach. Polowanie na zające odbywają kruki zupełnie jak wilki. Rano puszczają się w dwójkę na upatrzonego. Gdy jeden zająca upatrzy, woła drugiego i starają się w miejscu wziąć ofiarę, krakając i kołując nad nią, co im się często udaje; zając bowiem tak zgłupieje, że się nie ruszy i dozwoli się zabić. Jeżeli się ruszy, rozpoczynają się ciekawe wyścigi: jeden go goni, spuszcza się na niego, próbuje wbić weń szpony, z ustawicznném czyniąc to krakaniem; drugi przed zającem przelatuje pędem błyskawicy z przestraszającym świstem, lub téż opodal siada, wymiarkowawszy kierunek jego, a gdy się zbliża, krakając ku niemu podlatuje i z tropu zbija. Wyścigi te powietrzne kończą się zawsze śmiercią wystraszonego szaraka. Zdarza się, że dopadnie lasu lub krzaków; uszczęśliwiony, pod pniem lub krzakiem schronienia szuka i odpoczynku; lecz i tam bystry wzrok kruków dopatrzy go i prawie zawsze na miejscu pokona.

Kradnie, co spotka; wszelkie świecidełka metalowe porywa, zanosi daleko i zakopuje. Najczęściéj, gdy kradzież popełni, z pospiechem ucieka i rzecz ukradzioną w krzak rzuca lub trawę; dopiero gdy pewny, że go niedopatrzono, zabiera się do zakopania. I wtedy jeszcze, skarb swój na ziemię położywszy, ogląda się na wszystkie strony i dopiero, gdy nabierze przekonania, że zupełne jest bezpieczeństwo, ziemią go nakrywa.

Szmatki jaskrawych kolorów służą mu do zabawy; leci z nimi daleko, siada na konarach i drze w kawałki, w czasie zaś lęgu ustraja w nie gniazdo.

Nader łatwo uczy się mówić basem i to czasem tak wyraźnie, jak żadna papuga; przemawiając głosem chrypliwym, niejednego może oszukać. Nieraz tak jest szczebiotliwy, że dzień cały wyrazy, których się nauczył, z ukontentowaniem powtarza, kracząc do tego naprzemian.

Dzięki swéj ostrożności i swemu rozumowi żyje kruk wszędzie, od Islandyi do Kamczatki, w Europie, Ameryce i Azyi, w górach i na płaszczyźnie, w lesistych i ogołoconych z drzew okolicach, w mokrych i suchych miejscach, wszędzie jednak w małéj ilości, a to dlatego, że po rozmnożeniu się dopóty stare z młodymi toczą walkę, dopóki młodszych z okolicy nie wypędzą.

K. Wodzicki.

---

73. Światło i ciepło słoneczne.

Znamy wprawdzie wymiary słońca i wagę; wiemy również, że jest ono ognistą kulą, daleko gorętszą, aniżeli wszelki ogień jaki znamy na ziemi. Nasuwa nam się jednak pytanie: co znaczą wyrazy: „światło słoneczne“ i „ciepło słoneczne“? jak światło to i ciepło działają na nasze zmysły? jakim sposobem od słońca dochodzą do ziemi? i jak nakoniec, wytwarzając obłoki w powietrzu, dają początek naszym rzekom i lodnikom?

Jeżeli w ciemności zamrużymy oczy i końcem palca przyciśniemy powiekę, zobaczymy naprzeciwko naciskanego punktu jasne koło; gwałtowniejsze uderzenie w oko wywołuje wrażenie błyskawicy. Posiadamy oddzielny nerw wzrokowy, idący z mózgu do tylnéj części oka, rozdzielający się tu na bardzo delikatne włókienka, które przeplatając się z sobą, tworzą rodzaj zasłonki, zwanéj siatkówką. Siatkówka ta może być drażnioną w rozmaity sposób, a zawsze przytém otrzymuje się wrażenie światła; może być podrażnioną, jak widzieliśmy, mechanicznem i gwałtownem działaniem — uderzenia w oko.

Zdrowe oko samo przez się nie wytwarza wrażenia światła. Ażeby wywołać widzenie, potrzeba siatkówkę podrażnić czémś, przychodzącém z zewnątrz. Ale czém jest to coś? Świecące ciała tym lub owym sposobem posiadają własność pobudzania siatkówki; ale jak się to dzieje?

Przez długi czas przypuszczano, że z ciał tych wypływa niezmiernie delikatna materya, z nadzwyczaj wielką szybkością, że materya ta przebiega przestrzeń, następnie przez delikatne malutkie przestwory, znajdujące się w płynach oka, dosięga w głębi jego siatkówki i uderzając o nią wywołuje wrażenie światła. Teorya ta, podtrzymywana przez najznakomitszych mężów, a między innymi przez Izaaka Newtona, wystarczała do objaśnienia wielu zjawisk światła; ale wszystkich wytłómaczyć nie mogła. W miarę jednak, jak zręczność i umiejętność badaczów wzrastała, zjawiły się nowe fakta, których inaczéj objaśnić nie można było, jak tylko przypuszczeniem, że przyczyną światła nie są bardzo delikatne materyalne cząsteczki, przechodzące przestrzeń i dotykające siatkówki, ale uderzenia jéj niezmiernie delikatnymi falami.

Zanurzmy palec w miseczkę z wodą i szybko nim poruszajmy. Od środka ruchu wychodzą malutkie zmarszczki na wodzie czyli fale, które rozszerzają się coraz daléj i ostatecznie uderzają o ściany miseczki. Tu palec jest źródłem ruchu, woda środkiem, w którym ruch się rozszerza, ścianki nakoniec miseczki ciałem, odbierającém uderzenia owych fal malutkich. Taksamo wedle teoryi falowania światła źródło ruchu istnieje w drganiu atomów czyli najmniejszych cząsteczek świecącego ciała; środkiem, przenoszącym ten ruch, jest pewna materya, wypełniająca całą przestrzeń, a więc i płyny oka; wreszcie mamy siatkówkę, odbierającą kolejne fal uderzenia. Otóż uderzenia te wywołują wrażenia światła.

Mamy tu do czynienia z przypuszczeniami, bo nie widzieliśmy nigdy atomów świecącego ciała ani ich drgania, nie widzieliśmy nigdy środka, przenoszącego te drgania, ani fal jego. Jakżeśmy więc doszli do przypuszczenia, że one istnieją?

Nim się podobne pojęcie utrwaliło w umyśle ludzkim, musiał umysł ten przedewszystkiém być należycie przygotowany i wyćwiczony przez doświadczenia i obliczenia, nad zwykłymi falowymi ruchami dokonane. Trzeba było naprzód poznać sposób powstawania i rozchodzenia się fal wodnych i fal głosowych. Przedewszystkiém należało zbadać wzajemne na siebie działanie fal, przechodzących przez tensam środek. Wtedy dopiero umysł stał się zdolnym do odkrycia pewnego podobieństwa pomiędzy czynnością światła a czynnością fal. Przekonano się następnie, że przy pomocy teoryi falowań można w najdokładniejszy i najodpowiedniejszy sposób objaśnić wiele zjawisk optycznych,

których żadnym innym sposobem wytłómaczyć niepodobna. Ze względu więc, że teorya falowań objaśnia wszystkie zjawiska świetlne, przyjęli ją obecnie wszyscy uczeni.

Ale oprócz fal, wywołujących światło, wysyła słońce nieustannie mnóstwo innych jeszcze fal, które żadnego nie tworzą światła. Największe fale, wysyłane przez słońce, są ciemne, ale zato posiadają najsilniejszą ogrzewającą siłę. Zwyczajny promień słoneczny zawiera i jedne i drugie fale; ale można go przesiać, czy przecedzić w taki sposób, że wszystko światło zatrzymane zostanie, a wszystko ciemne ciepło przejdzie. W saméj rzeczy znamy pewne materye, które zupełnie nie przepuszczają fal świetlnych, a najdoskonaléj przepuszczają fale cieplikowe. Z drugiéj znowu strony, używając innych stósownych materyj, możemy prawie całkowicie zatrzymać fale czysto tylko cieplikowe, a fale czysto świetlne przepuścić. Przypuśćmy, że zatrzymujemy naprzód wielkie cieplikowe fale, a przepuszczamy tylko świetlne. Te ostatnie możemy skupić zapomocą stósownych soczewek i skierować na pewną masę wody; woda nie rozgrzeje się widocznie Zatrzymajmy teraz fale świetlne, a większe cieplikowe zgromadźmy w powyższy sposób: woda zawrze w jednéj prawie chwili.

Pojmiemy teraz, jak ważną rolę odgrywają te wielkie ciemne — że się tak wyrażę — fale. Wchodząc w morza, jeziora i rzeki, bywają one zatrzymywane tuż przy powierzchni wody, a ogrzewając tęż powierzchnię, wywołują parowanie; w tymsamym czasie fale świetlne, przenikając do znacznych głębokości, nie ogrzewają widocznie wody, przez którą przechodzą. Tesame ciemne fale, padając na alpejskie lodniki, lód ich topią i dają początek wszystkim strumieniom, z nich spadającym; fale zaś świetlne, najsilniéj nawet skupione, nie zdołałyby stopić najlżejszego nawet szronu, a témbardziéj nie byłyby w stanie wywołać obfitego topnienia lodników.

(Z Jana Tyndalla).

---

74. Sople lodowe.

Największe rozpadliny istnieją na wyższych śnieżnikach, gdzie występują pod postacią bądź długich, rozwartych szczelin, bądź nieforemnych przepaści. Delikatne, niebieskie wybiega z nich światełko, ginące stopniowo w mroku ich zagłębienia.

Przy krawędziach owych przepaści, a to najwięcéj przy południowych, istnieją gzymsy śnieżne, od których zwieszają się, jak stalaktyty, szeregi przezroczystych soplów lodowych na 10, 20, i 30 stóp długich. Te wiszące lodowe dzidy należą do najpiękniejszych utworów wysoko położonych rozpadlin.

Jak się one tworzą? Oczywiście wskutek tajania śniegu. Ale dlaczego woda, raz przez stopienie powstała, znowu się w twarde sople ścina? Widujemy u krawędzi dachu zwieszone podobne sople, oczywiście ze stopienia leżącego na dachu śniegu powstałe. Jeżeli zdołamy sobie objaśnić ich powstawanie, zrozumiemy także i pochodzenie większych stalaktytów w rozpadlinach alpejskich.

Przedewszystkiém wiemy, że powietrze atmosferyczne widzialnymi czy niewidzialnymi promieniami słońca zaledwie się ogrzewa. Przepuszcza ono niezmiernie łatwo wszelkiego rodzaju promienie i tylko bardzo mała ilość zatrzymanych idzie na ogrzanie powietrza. Co innego jednak dzieje się ze śniegiem, na który promienie słońca padają. Pochłania on ciepło słoneczne i w dzień pogodny widzieć można, jak szczyty Alp wysokich błyszczą od wody, ze stopienia śniegów powstałéj. W tymsamym czasie powietrze, unoszące się ponad ich szczytami i wokoło nich, może mieć temperaturę o kilka stopni niższą od punktu marznięcia.

Dla przekonania się o tém dosyć będzie ze słońca przejść do cienia. Jeden krok wystarcza, ażeby się przenieść z miejsca, w którém ciepłomierz stoi wysoko, do miejsca, w którém stoi nisko; zmiana ta zaś nie pochodzi od różnicy w temperaturze powietrza, ale wprost z tego, że ciepłomierz usunięty jest z pod bezpośredniego nań wpływu promieni słonecznych. Bez przenoszenia nawet ciepłomierza można okazać chłód powietrza, zatrzymując promienie słońca zapomocą stósownéj zasłony.

Spojrzmy teraz na śnieg na dachu naszego domu. Słońce pada nań i topi go; woda spływa ku krawędzi i kroplami spada. Jeżeli krawędź dachu wystawiona jest na słońce, woda pozostaje wodą; ale jeżeli słońce nie oświeca krawędzi, wtedy kropla, nim jeszcze śnieg, z którego powstała, opuści, już się w cieniu znajdzie. Otóż temperatura zacienionego miejsca może, jakeśmy widzieli, być niższą od punktu marznięcia. Jeżeli tak jest, to kropla zamiast upaść, zamarza i tworzy zawiązek sopla. Następne krople i kropelki, spływając po tym zawiązku, marzną

na nim wczęści i zgrubiają go u podstawy. Ale część wody dosięga swobodnego końca sopla, zawisa u niego i zamarza, zanim upadnie. I tak sopel się wydłuża. W Alpach, gdzie tajanie jest obfite, a zimno zacienionéj rozpadliny znaczne, sople lodowe, jakkolwiek w tensam sposób powstające, dorastają oczywiście znaczniejszych rozmiarów. Ociekająca więc ze śniegu woda tworzy sople, skoro słońce działać na nią przestaje.

Nie można jednak pojąć należycie sopla lodowego, jeżeli się nie wie, że promienie słoneczne, które dosyć są silne, by topić śnieg, opalać skórę, a nawet, jeżeli będą skupione, spalić całkowicie człowieka, przechodząc przez powietrze, pozostawiają je w stanie lodowatéj temperatury.

(Z Jana Tyndalla).

---

75. Śnieg.

Cząsteczki i atomy wszelakiéj materyi, osiadające w swobodnéj przestrzeni, układają się w ściśle określone i zwykle piękne formy, zwane kryształami. Żelazo, miedź, złoto, srebro, ołów, siarka, stopione i powolnie oziębiane, objawiają tę siłę krystalizacyjną. Metal bizmut szczególniéj dobrze ją przedstawia: stopiony i krzepnący w stósownych warunkach, osadza się w dużych i pięknych kryształach. Jeżeli saletrę rozpuścimy w wodzie, a roztwór jéj następnie paruje powoli, otrzymamy duże kryształy, bo żadna część soli w parę się nie zamieni. Roztwór cukru w wodzie, poddany parowaniu, daje kryształy cukru lodowatego. Ałun w tenżesam sposób krystalizuje się łatwo i t. d.

Tak bywa z wodą, która w stanie ciekłym wydaje się zupełnie bezkształtną. Jeżeli dostatecznie będzie oziębioną, wtedy cząsteczki jéj zbliżają się, ulegają wpływowi siły krystalizacyjnéj i układają się w niezmiernie piękne postaci. Kiedy się śnieg tworzy w spokojném powietrzu, cząsteczki lodu układają się w piękne sześciopromienne gwiazdeczki. Ze środka wychodzi sześć strzałek, a kąt każdych dwóch strzałek wynosi 60°; każda znów strzałka wypuszcza na prawo i lewo mniejsze strzałki, także pod kątem 60°; nakoniec i te jeszcze mają wyrostki mniejsze, a zawsze pod tymsamym kątem. Sześciopłatkowe te kwiaty przybierają najrozmaitsze i najcudniejsze formy. W miejscach, gdzie się strzałki schodzą, powstają naj-

częściéj drobniutkie rozetki, niby z najdelikatniejszéj gazy snute. Ileż tam piękna w tych drobnych kształtach! co za ład w układaniu tych cząsteczek! Jakże niedokładnymi wydają się utwory myśli i ręki ludzkiéj w porównaniu z utworami sił przyrody! Te kwiaty to — śnieg naszych gór. Oneto bielą Alp szczyty, gdzie wątłą ich budowę niszczą skwary lata. Co zima spadają, co lato nikną.

Ale nie wszystek śnieg taje w téj peryodycznéj przemianie. Do pewnéj granicy przeważa ciepło i wszystek spadły śnieg taje; lecz poza tą granicą przeważa zimno i tylko część pewna taje, a reszta osiada. W zimie mamy śnieg i na dolinach, w lecie dosięga on tylko linii śnieżnéj. Granica, po którą taje w lecie wszystek śnieg, spadły podczas zimy, jest granicą, poza którą rozciąga się strefa wiecznych śniegów. Gdyby prawdą było, że poza tą granicą przybywa śniegu rokrocznie, góry nasze oczywiście pokrywałyby się coraz grubszą warstwą śniegu. Przypuśćmy, że w pewném miejscu poza tą granicą warstwa spadłego przez rok śniegu wynosi tylko trzy stopy: osad, powstały w przeciągu krótkiego stósunkowo czasu ery chrześcijańskiéj, dosięgnąłby 5.580 stóp. A gdybyśmy jeszcze przypuszczenie to rozciągnęli nie do historycznego, ale geologicznego okresu, nie bylibyśmy nawet w stanie wyobrazić sobie nagromadzonego śniegu. Widoczną więc jest rzeczą, że ilość osiadającego na górach śniegu nie wzrasta w ten sposób.

Jakimże więc sposobem uwalniają się szczyty gór od zwiększającego się na nich rokrocznie ciężaru? Najczęściéj odrywają się masy śniegu i zsuwają się w kształcie olbrzymich lawin na doliny, gdzie łatwo tają w cieplejszém powietrzu. Gwałtowne to jednak spadanie lawin nie jest jedynym ruchem mas śniegowych; zsuwają się one także powoli, prawie niedostrzegalnie. W miarę pogrubiania się masy śniegu dolne warstwy ulegają coraz większemu ciśnieniu, zgęszczają się, zawarte pomiędzy płatkami śniegu powietrze uchodzi wypchnięte: i ścieśniona masa przybiera coraz więcéj charakter lodu.

Każdy wie, że można śnieg ugnieść, że można zrobić twardą piłkę śnieżną. Piłka taka jest, można powiedzieć, zaczątkiem lodu; jeżeli ją poddamy większemu ciśnieniu, śnieg w lód się zamieni. Ale i wówczas nawet, gdy już masa śniegu stwardnieje nakształt lodu, można ją jeszcze bardziéj skupić, poddając ją większemu ciśnieniu. Jeżeli więc góra pokryta jest znacznie grubym pokładem ubitego w ten sposób śniegu, warstwy

dolne, leżące na pochyłości góry, gniecione ciężarem warstw górnych, ustępują im i obniżają się. Ruch ten odbywa się nieustannie na każdéj górze wyniosłéj poza linią śnieżną. Z tym ruchem łączy się jeszcze inny, staczania się masy śniegu skutkiem pochyłości góry. Zbity i twardy śnieg posuwa się po stoku, wyrównywa chropowatość skał i wygładza ich powierzchnię. Dlategoto spodnia strona tych lawin bywa często porysowana i wyżłobiona.

Ale zbita ta masa śniegu, staczając się, wkracza w strefę cieplejszą, gdzie taje, a niekiedy nawet zupełnie topnieje, zanim się jeszcze na sam dół stoczy. Niekiedy znów lawiny takie, obsuwając się, dostają się na mniéj pochyłe doliny, znajdujące się na ich drodze, gdzie jeszcze bardziéj się ugniatają i suną daléj powolnym, ale widocznym ruchem. Naśladują one zupełnie bieg rzeki. I w ten sposób lód schodzi o wiele poniżéj granicy wiecznych śniegów, aż wreszcie dostaje się do takiego pasu, gdzie topnienie równoważy spadek warstw górnych i tu znikają lodowce.

(Z Jana Tyndalla).

D. Proza nauczająca.

Rozprawki.

76. Pochodnie Nerona,

obraz Henryka Siemiradzkiego.

(W skróceniu).

W „Pochodniach Nerona“ dał nam H. Siemiradzki obraz chwili z życia upadającego Rzymu. Artysta oparł się na gruntownych studyach téj epoki: za podstawę służyła mu tradycya chrześcijan, a obok niéj najznakomitszy dziejopis pierwszych cesarzy rzymskich, Tacyt.

Na tronie Cezarów zasiadł Neron.... Mimo chwalebnych początków panowania, które należy przypisać wpływowi mentora cesarskiego, filozofa Seneki, i Burrusa, komendanta straży pretoryańskiéj, wkrótce wyszły na jaw wszystkie złe strony charakteru nowego władcy. Zbrodni i okrucieństw jego nie podobna wyliczać, gdyż ich szereg za długi. Zwróćmy uwagę swą na jeden tylko szczegół z dzieła Tacyta [1]).

„Kiedy Rzym sroga klęska pożaru nawiedziła i większą część miasta obróciła w perzynę, a ani szczodrobliwy łask szafunek ani błagania bogów zatrzéć niemogły hańby i powszechnego mniemania, iż ten pożar był dziełem Nerona: przeto na zatłumienie wieści podsunął (cesarz) winowajców i najwytworniejszymi mękami dręczyć kazał tych, których gmin chrześcijanami nazywał. Przydano do zguby urągowiska: ażeby jedni, odziani w zwierzęce skóry, szarpaniem psów ginęli, drudzy, na krzyż wbici albo paleni, za ustąpieniem dnia miasto kagańców nocne ciemności rozświecali. Na ten widok ofiarował Neron ogrody swoje“.

Oto jest temat, obrany przez H. Siemiradzkiego.

Scena obrazu przedstawia po lewéj ręce taras, w ogród wysunięty, przed pałacem cesarskim. Słońce właśnie co zaszło

---

[1]) „Dzieje roczne“ ks. XV., w tłóm. Ad. Naruszewicza.

po prawéj stronie widza, niemal wprost naprzeciwko frontonu pałacowego. Poznać to wyraźnie na postaciach męczenników, których twarze, zwrócone ku pałacowi, są ocienione, gdy na odwrotnéj stronie ich słomianego i skórzanego upowicia widać lekki blask światła. To nam tłómaczy znaczną różnicę co do siły oświetlenia między ogrodem, na który padają długie cienie drzew dalszych, niewidzialnych na obrazie, a pałacem, którego kolumnady, wschody i krużganki marmurowe płoną jeszcze w odblasku wieczornéj łuny słonecznéj. Szklą się tu jeszcze różnobarwne marmury i błyszczą rzędy białych kolumn, a nad wszystkiém wznosi się na jednym przyczołku dumna „Roma“ na czterokonnym wozie, z towarzyszącą jéj nieodstępnie „Wiktoryą“. W ten sposób obraz rozpada się na dwie nierówne połowy: na prawéj, ocienionéj i wąskiéj, są ofiary; na lewéj, trzy razy szerszéj, ugrupował artysta widzów, oczekujących rozpoczęcia przygotowanego widowiska.

Z obrazu domyślamy się, że w dniu tym odbywały się zapewne walki gladyatorów w cyrku; dlatego znalazł się na obrazie po lewéj stronie i gladyator, co z zapasów tego dnia wyszedł cało i trzyma zdjęty hełm w rękach, a część rynsztunku przewiesił przez lewe ramię. Po cyrkowych igrzyskach nastąpił ogólny festyn, podobny do bankietu publicznego. Festyn ten odbywał się na miejscu publiczném, na dziedzińcach i w ogrodach pałacu. Rozpoczęły go zapewne ofiary, bogom składane, dlatego widzimy na obrazie kapłana w todze zielonéj, z szerokim, dwubarwnym pasem i z przepaską na włosach; widzimy téż flecistę w czerwonéj, bogato złotem wyszywanéj dalmatyce, z podwójnym fletem w ręce, na którym przy ofierze zwykł był przygrywać. Były potém zapewne i ludowe farsy teatralne, i wskutek tego znalazł się między widzami i aktor, którego pstrokata w szachownicę suknia dowodzi, że odgrywał komiczną rolę niższego rzędu w rodzaju arlekina. Potém nastąpiły tańce i spiewy i powszechne ucztowanie; na dole ucztuje gmin, na górze w pałacu zalegli miękkie sofy uprzywilejowani biesiadnicy, przypuszczeni bezpośrednio do cesarskiego stołu. Ucztujących rozpoznać po kwiatach, którymi uwieńczone ich głowy. W biesiadzie cesarz sam jest gospodarzem i jego to służba — te chłopięta i dzieweczki strojne, z dzbankami w rękach — nalewa biesiadującym wina do puharów złotych, srebrnych i szklanych.

Po biesiadzie, gdy już umysły rozegrzane winem i ochotą, następuje zakończenie festynu niezwyczajném widowiskiem. Ośm

murzynów, w żółte, złotem przetykane szaty odzianych, wynosi na taras cesarza i jego żonę, siedzących w lektyce, wykładanéj perłową macicą, a nakrytéj półokrągło sklepionym baldachimem, na którego czele nieodzowna „Victoria“ swe skrzydła rozpina. Cesarstwo mają nogi nakryte złotolitą materyą, a Neron trzyma wolno uwiązaną na drogim łańcuchu ułaskawioną tygrysicę, kroczącą obok lektyki. Lektyce cesarskiéj towarzyszą liktorowie z toporami, osadzonymi w pękach prętów, i pretoryanie czyli gwardya cesarska, w złocistych hełmach i pancerzach, z takimiż tarczami na rękach, a na czele całego orszaku stoi marszałek dworu, który wzniesioną w górę chustką czerwoną daje właśnie znak do rozpoczęcia widowiska. Przybywszy na esplanadę tarasu, nad brzegiem szerokich schodów, wiodących na dół, zatrzymują czarni tragarze lektykę, za którą się różnobarwny tłum biesiadników na wschody i krużganki wysypał, aby rozegrzane winem skronie ochłodzić na wieczornym wietrze i podziwiać pomysł swego pana i gospodarza. Za zjawieniem się orszaku cesarskiego i pospólstwo, igrające u podnóża tarasu i w zakątkach poza poręczami wschodów, oderwało się w części od gry i tańców i zwróciło oczy ku przygotowującemu się widokowi; jednakże jeszcze pojedyncze grupy kończą grę w kostki, a na podwyższeniu, za zakrętem wschodów widzimy jeszcze grupę tancerek, pląsających przy dźwięku podwójnéj fletni i bijących w tamburyny.

Oto jest treść obrazu. Pod względem przedstawienia rzeczy przedewszystkiém podnieść należy niepospolitą prawdę naturalną i historyczną wierność wszystkich szczegółów, świadczącą o gruntownych i wszechstronnych studyach archeologicznych artysty. Począwszy od tych dzbanków różnokształtnych, jakby wyniesionych z pompejańskiego muzeum, którym rzemieślnik umiał nadać skończoną formę artystycznego piękna, aż do tych najdrobniejszych szczegółów ubrania, do tych tog senatorskich, czerwono bramowanych, wszystko to z największą wystudyowane starannością. Połysk szklistych marmurów i perłowéj macicy na lektyce; różnowzorzyste złotogłowy na sukniach; blask drogich kamieni na rzemykach sandałów lutnistki; przetarta cokolwiek aksamitka, na któréj lutnia u jéj ramiona zawieszona; świeżość czerwonych wstążek jedwabnych, którymi przywiązane metalowe talerzyki do rąk tancerki, klęczącéj nad basenem; przeźroczystość kubka szklanego, który inna tancerka, leżąca na marmurach, ku dzbankowi wina nastawia; zieleń pleśni wodorostów,

pokrywających ocembrowanie wodotrysku; blada płowość lekkiego dymku, unoszącego się z kadzielnic, ustawionych na narożnikach i załomach wschodów: wszystkie te szczegóły uderzają trudną do pojęcia prawdziwością, a w doborze i połączeniu tego mnóstwa barw podziwiamy delikatne cieniowanie, dalekie od krzyczącéj jaskrawości i zlewające tę pstrą różnorodność w zgodną harmonią. A bronzowa cera tych twarzy i ciał, właściwa południowym krajom, a ci murzyni, których wypukłe krągłe czoła, wydęte, mięsiste wargi i płaskie stopy oddają tak wybitnie właściwości rasy — czyż to nie wymowne dowody szczególnéj staranności artysty o naturalną prawdę przedstawionych szczegółów? Nawet chód tygrysicy ma ten właściwy kociemu rodzajowi układ nóg, który łatwiéj poznać, niż opisać.

Przejdziemy teraz do kilku uwag nad pojedynczymi grupami i postaciami, a zaczniemy od téj strony, która na obrazie króluje nie blaskiem farb, ale moralném swém znaczeniem, t. j. od męczenników.

Naprzeciw frontu pałacowego widzimy dwadzieścia kilka wysokich pali drewnianych, wbitych w ziemię, do których wierzchołków przywiązani powrozami skazańcy, upowici w słomę. Tu autor obrazu wierny był klasycznym pojęciom o pięknie. Estetyczne powody skłoniły go, że przedstawił chwilę, poprzedzającą zapalenie „żywych pochodni Nerona“. Widok „skwarzącego się w ogniu mięsa ludzkiego“ nie odpowiadałby poczuciu piękna i przejmowałby nas wstrętem. Zresztą straciłby na tém przedstawieniu i poważny majestat męczenników, górujących w naszém wrażeniu nad tym barwnym a nikczemnym tłumem. Przedstawiając męczenników zbliska i z wyczerpującém wykończeniem szczegółów, byłby malarz zmuszony uwydatnić w obliczach ofiar liczne mieszane uczucia, któreby psuły ogólną harmonią obrazu i ten wzniosły nastrój moralny, mający powstać w sercach widzów. Czyż nam nie wystarcza postać tego siwobrodego starca, co ze swéj napowietrznéj wysokości spogląda ze spokojem na ten tłum szalony, hasający przed jego oczyma? On za życiem nie żałuje, gdyż życie to nie ma już dla niego tych blasków, których pozorami młodzież łudzi. On wie to dobrze, że te kosztowne szaty, pałace, naczynia, że te objawy rozbujałego życia, że to wszystko, na co patrzy w téj chwili, jest „marnością marności“. Obok niego wystarcza ta głowa jasnowłoséj dziewicy, uwiązana włosami do pala, na oddanie drugiego odcienia uczucia, tęsknéj melancholii, która się nie odwraca z pogardą od

życia, ale nie umie téż jego powabów okupywać ofiarą czystości myśli i serca. Patrząc w twarz starca, bierze go sobie za wzór do naśladowania, uczy się od niego spokoju i panowania nad pragnieniem życia, które dla niéj mogłoby być jeszcze piękném i miłém. A tych parę głów dalszych, smętnie w dół pochylonych, czyż to nie dostateczne do zaznaczenia, że i ci męczennicy są ludźmi, którzy mają czucie i wiedzą, jak ogień piecze?

Cóż teraz powiedzieć o téj drugiéj stronie, na któréj malarz skupił i ugrupował zręcznie stu kilkudziesięciu widzów na schodach i ich załomach, na terasie obok lektyki Nerona, na stopniach, prowadzących w dół do ogrodu, na chodniku marmurowym, dokoła basenu fontany — opartych o poręcze, leżących na ziemi, klęczących i stojących pojedynczo i w grupach? Zaprawdę, podziwiać potrzeba mistrza, który wyprowadził z głębi Neronowego pałacu cały rój męszczyzn i kobiet wszelkiego stanu i kazał im się wpatrywać w srogie widowisko! A jednak na całym obrazie niema ani dwóch twarzy, któreby się powtarzały co do wyrazu lub układu. Jestto dar indywidualizowania, dochodzący, zda się, do granicy zdolności ludzkiéj. Nawet te murzyńskie głowy — choć tak podobne do siebie i znamionami typowymi swéj rasy i jednolitością niskiego rozwoju umysłowego i tą mechaniczną bezdusznością istot, nawykłych do bezmyślnego wykonywania obcych rozkazów, do jednostajnéj machinalnéj pracy noszenia pana — nawet te twarze okazują wielką rozmaitość ciała i duszy.

Cóż dopiero mówić o reszcie więcéj ożywionych postaci? Jakież tu nieskończone cieniowanie uczuć, odbijających się na obliczach, począwszy od lutnistki greckiéj, co usiadła na ocembrowaniu basenu i z wyrazem niewysłowionego współczucia spogląda w twarze męczenników, aż do owego gladyatora, stojącego po lewéj stronie na najdalszym krańcu obok fontany! On sam zmuszony codnia nadstawiać w amfiteatrze swą pierś i swe życie, na ciosy swych współtowarzyszy dla zabawy rzymskiego ludu; to też pojmuje on dobrze, jak srogą i nieludzką jest ta igraszka, którą tu Neron dla siebie i dla swoich wyprawił, i dlatego można śmiało powiedzieć, że jeśli nie jest jeszcze w głębi ducha chrześcijaninem, to wkrótce nim będzie.

Jakie znów kontrasty między reprezentantami stanu senatorskiego! Tu niżéj mamy dwóch starców w senatorskich i kon-

sularnych togach, z biesiadniczymi wieńcami świeżych róż na zwiędłych skroniach, patrzących przed się apatycznie albo z idyotyczną, bezmyślną ciekawością! — Tam w górze censor, w purpurową togę odziany, stojąc obok małżonki, opartéj o balustradę, spogląda na tę scenę z tymsamym zimnym spokojem, z jakim spoglądał na tysiąc innych scen okrucieństwa i zgrozy, taksamo, jak patrzał na śmierć Kaliguli i Klaudyusza, Messaliny i Agrypiny, taksamo, jak będzie patrzał na upadek Nerona.

Porównajmyż teraz z nimi te dwie surowe postaci, co stoją pod poręczą wschodów głównych, odbijając wśród godowniczego tłumu brakiem wieńców biesiadnych. Tamci uczestniczą we wszystkich zbytkach teraźniejszego pana Rzymu, którego w krytycznéj chwili z zimną krwią opuszczą, aby przed jego następcą płaszczyć się i podlić. Ci w orgii udziału nie biorą; patrzą oni na chrześcijan, równie jak Tacyt, jako na „wrogów Rzymu i rodzaju ludzkiego“ i ubolewają nad tém, że nauka Chrystusa, podobnie jak tyle innych kultów oryentalnych, znalazła przystęp do stolicy świata, ze szkodą dla czci dawnych bogów, pod których opieką republikańskie cnoty kwitły i Rzym w potęgę urósł. Atoli z tych ostrych rysów wyczytasz również i pogardę dla tego całego tłumu, co ich otacza; przeczujesz, patrząc w te poważne lica, że ci dwaj Kwiryci wkrótce Neronowi się narażą i w stoickiém samobójstwie ratunek znajdą. Jeden z nich ma Senekę przedstawiać, drugi Trasęę Petusa, którego proces i śmierć ostatnie ocalone rozdziały XVI. księgi roczników Tacytowych wypełnia.

Nic jednakże nie pomogło pogańskiemu Rzymowi „skwarzenie“ chrześcijan, czyto ze względu na „publiczny pożytek“, czy „dla ukontentowania jednego okrutnika“. Ta to idea przemawia do nas z obrazu, choćbyśmy nie znali dewizy, którą artysta dzieło swoje oznaczył: „A światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jéj nie ogarnęły“. Ten wiersz z I. rozdziału Ewangelii św. Jana wypowiada ogólną myśl obrazu. „Światłość“ moralną przedstawiają tutaj właśnie ci, których malarz w półcieniu zostawił, a ten huczny, zdemoralizowany świat Neronowéj tłuszczy pozostanie, mimo całego bogactwa kolorów, blasku, złota i pereł, w które się przyodziewa, „ciemnością“, bezskuteczną w usiłowaniach zagaszenia światła. Prawda ta ma nietylko chwilowe, ale powszechno-dziejowe znaczenie. Z płótna Siemiradzkiego przemawia ona do wszystkich wieków wymownie: Patrzcie na tych, co się pysznią swoją potęgą i blaskiem, co w swych zbytkach

nie znają miary, a hekatomby z ludzi poświęcają dla utrzymania się przy władzy, każąc im pokutować za swe własne winy! — Patrzcie: ci mali i słabi, ci „winowajcy“ według „ludzkiego sądu i zawiłości praw ludzkich“, ci chrześcijanie, napiętnowani przez Nerona jako „wrogowie rodzaju ludzkiego“, panują w Rzymie. A cóż się stało ze „złotym domem“ Nerona? gdzie się podziały te marmury? gdzież są ci liktorowie i pretoryanie? ci censorowie, konsulowie i senatorowie? te strojne damy i bachantki, piękne i młode?... Nie masz po nich ani śladu! *B. Baranowski.*

---

77. O balladzie, romancy i dumie.

Ballada, romanca i duma tak są przedmiotem, duchem i formą bliskie siebie i pokrewne, że sami poeci, nie chcąc niepewnéj pomiędzy nimi zakreślać granicy, poezye takowe zwykle pod wspólną rubryką ballad i romanc umieszczają, a teoretycy polscy (n. p. Korzeniowski) pod dumę obadwa podciągają gatunki. Jakoż zdaje się, że nie tak rzecz i skład tych poezyi wyróżnia je od siebie, jak raczéj cecha, którą je wyobraźnia poety i narodu piętnuje, duch niejako, który tchnie z całéj osnowy rzeczy.

B a l l a d a — czy nazwę swoję z Włoch wyprowadza, gdzie ballada spiew z tańcem oznaczała, czy téż raczéj brytyjskiego jest pochodzenia, od gwael-owd (czyt. wal'ad), co pieśń gminną oznaczać ma — w dzisiejszém znaczeniu właściwie u narodów północno-germańskich, mianowicie u Anglików i Niemców, została wykształconą i stąd nosi na sobie cechy germańskiéj wyobraźni, fantastycznéj, sentymentalnéj, poważnéj, a efekt jéj w ogóle wzniosły, często nawet tragiczny. To téż i styl jéj w ogóle poważny i uroczysty.

R o m a n c a przeciwnie, jako płód imaginacyi południowéj, bądź hiszpańskiéj, bądź francuskiéj, a wykształcona i pielęgnowana najbardziéj przez Francuzów, ma charakter delikatny, lekki, nie tak do poważnéj sentymentalności, jak raczéj do naiwnéj czułości nastrajany.

Owoż różnica między nimi nie tak z rzeczy, jak raczéj z usposobienia wyobraźni narodowéj pochodzi; a że po dziś dzień obydwie we wszystkich prawie krajach prawo obywatelstwa uzyskały, więc w odrębnych, choć niewyraźnych trzymają

się granicach. Jedna i druga tensam przedmiot opiewać może; ale w miarę ich charakteru przedmioty poważne, epiczne i tragiczne, jakich przedewszystkiém podania gminne z życia pospolitego, pięknych zmyśleń lub dziejów rycerskich dostarczają, lepiéj przypadają do tonu ballady; przedmioty lżejsze, tkliwe i delikatniejszego na uczucie wrażenia dla romancy są stósowniejsze. Idzie zatém, że i wyobraźnia poetów nowszych i czucie ich miarkuje się według charakteru przedmiotu: w balladzie poecie idzie o wynalezienie ważnéj, wzniosłéj, lub tragicznéj nawet sytuacyi i katastrofy, któréj obraz imaginacyą naszę uderza i porywa, a koniec wzniosłe czyni wrażenie; romancy zaś przedmiot nawodzi poeta barwą spokojnego acz pełnego uczucia, Sama już rzecz ballady mieści w sobie podstawę tych wrażeń, które poemat ma sprawić, tak, iż poeta wydobywa tylko istotę rzeczy i w żywych ją, urywkowych obrazach przedstawia; stąd poezya ta więcéj ma w sobie epiczności. Romanca natomiast mniéj treści ma w osnowie rzeczy, jak raczéj w uczuciu i pomyśle poety i dlatego charakter jéj w ogóle bardziéj jest liryczny. Stósownie do tego nazwaćby można balladę poematem liryczno-epicznym, a romancę raczéj epiczno- lirycznym.

D u m a wreszcie, córka ziemi i wyobraźni słowiańskiéj, nosi znów cechę charakteru narodowego, i tym tylko właśnie charakterem różni się od ballady i romancy, z którymi wogóle tak rzecz, jak formę ma wspólną. Przyjąwszy miano swoje od d u m a n i a, wierna jest swemu imieniu: smutna, tęskna i rzewna, rozpływając się już to w pamiątkach przeszłości, już to nastrojona do tonu wrażeń czasowych i miejscowych, zbliża się raz do ballady, drugi raz do romancy. Wszakże tchnąc duchem narodu, a zatém nacechowana charakterem cierpliwości, tęsknéj żałości lub nadziei, ma coś w sobie tak z poważnéj sentymentalności lub tragiczności ballady, jak z lekkości i czułości romancy; jest ona tedy balladą i romancą czysto słowiańską. Osnowana na zdarzeniu historyczném lub podaniu gminném, w bliższém jest powinowactwie z balladą i jest charakteru epicznego; jeśli zaś poeta ze zdarzenia powszedniejszego pochop tylko do pieśni swojéj bierze, tak, iż uczucie nad rzeczą prawie góruje, wtedy, pod skromniejszém nieco nazwiskiem d u m k i, do familii romancy należy. W tymto rodzaju są po większéj części dumki B. Zaleskiego.

Hipolit Cegielski.

---

78. O legendzie.

Legendą (z łać. „rzecz do czytania“) nazywano pierwiastkowo książkę treści religijnéj, którą ludowi w kościele odczytywano, a późniéj cudowne dzieje i żywoty świętych męczenników, odczytywane po klasztorach. Te to dzieje cudowne jakotéż podania miejscowe, z obrębu wyobrażeń religijnych i zjawisk nadzwyczajnych, ułożone w piękne obrazy dla imaginacyi, a zatém w świat poezyi przeniesione, zatrzymały prozaiczną owę nazwę legend czyli powieści religijnych. Legendą więc w dzisiejszém rozumieniu nazywamy powieść poetyczną, któréj osnowa wzięta jest ze świata religijnego, bądźto z pisma świętego, bądźto z żywotów świętych, bądź wreszcie z podań kościelnych i miejscowych. Tylko ważne, wogóle cudowne jakieś zdarzenie lub zjawisko przedmiotem być może legendy, gdyż takie tylko wyobraźnię poety zająć, takie tylko w poetyczny, idealny obraz przetworzyć się może, a témsamém i naszę zaprzątnąć imaginacyą. Z rzeczy saméj wynika, że skład i ton takiego poematu z jednéj strony poważny jest i uroczysty, jak wiara, która podanie stwarza, z drugiéj skromny i prosty, jak serce, które jest wiary mieszkaniem. Forma zewnętrzna tasama jest, co w balladzie lub dumie, bo téż legenda niczém inném nie jest, jak balladą treści religijnéj.

H. Cegielski.

---

79. O bajce i przypowieści.

Bajką w najpospolitszém rozumieniu nazywamy każde zmyślone zdarzenie, które jednak, jeśli za zdarzenie uchodzić ma, podobieństwo do prawdy mieścić w sobie powinno, t. j. mieć charakter zdarzeń, jakie w życiu zachodzić zwykły. Pospolite to rozumienie najlepiéj także przypada do charakteru bajki poetycznéj i najtrafniéj znaczenie jéj i pole zakreśla. Rozumiemy zatém przez bajkę poetyczne uobrazowanie jakiegoś zdarzenia, czyto rzeczywiście kiedyś zaszłego, czy téż zmyślonego tylko, a to w celu wystawienia prawdy jakiéjś ogólnéj na obrazie tegoż zdarzenia szczegółowego. Opowiada bajka, że tak a tak się coś stało, chcąc przez to powiedzieć — (lubo wyrzec tego nie potrzebuje) — że tak się w ogóle dziać zwykło, choć nie koniecznie dziać się powinno. Toż właśnie zdarzenie szczegółowe, o ile obraz opisowy stanowi, jest poezyą, i to opisową, a prawda i myśl poety, z obrazu przeglądająca, jest żywiołem i celem dydaktycznym.

Ponieważ zdarzenie, będące bajki osnową, nie potrzebuje być rzeczywiste, owszem zmyśleniem być może i zwykle jest, — gdyż w niéj nie o prawdziwość szczegółową wypadku, tylko o ogólną idzie prawdę, którą szczegół przedstawia: — przeto zdarzenie, w które poeta myśl swoję wciela, nietylko z życia ludzkiego, ale i ze świata zwierzęcego, a nawet nieżywotnego, wzięte być może za przedmiot poetycznego obrazu bajki. — Charaktery i stósunki zwierząt, do bajki użytych, muszą odpowiadać charakterom i stósunkom ludzkim, a odpowiedniość ta polega na podobieństwie instynktowych czynności zwierząt z postępkami ludzi, działających według wskazówki rozumu i woli. Przemoc lwa, drapieżność tygrysa, chytrość lisa, żarłoczna chciwość wilka, bojaźliwość zająca... są to wszystko własności zwierzętom tym przyrodzone, które człowiek rozumny jako złe skłonności poskramiać może i powinien. To téż cała trafność bajki, ze sfery zwierząt wziętéj, zasadza się na dostrzeżeniu i zręczném wystawieniu tego podobieństwa między instynktem zwierząt a skłonnościami i postępkami ludzi, jak znów w rzeczach nieżyjących na wynalezieniu tych własności, które z charakterem człowieka jakieś mają podobieństwo. Lubo zaś wprowadzenie zwierząt nie jest koniecznym warunkiem, to jednak poeci najczęściéj z tego świata obrazy swoje zdejmują, popierwsze dlatego, że przystósowanie postępków człowieka do instynktowych skłonności zwierzęcia czyni wrażenie komiczno-satyryczne i tym sposobem pospolitość zdarzenia krasi i podnosi, a powtóre dlatego, że charaktery zwierząt jako przyrodzone, zatém niezmienne i powszechnie znane, tém krócéj a wyraźniéj myśl bajki oddają. Nie rozwodzi się więc już poeta w kreśleniu charakterów, lecz pobudza do czynności swych bohaterów, a tym sposobem cały efekt obrazu zdolny jest włożyć w chwilę stanowczą. Na krótkiém a trafném wystawieniu téj głównéj chwili, mieszczącéj w sobie cały pomysł lub naukę moralną, tudzież na jasności analogii między obrazem zmyślonym a istotą bajki, polega cała téjże wartość i piękność. Ta istota tak jasno z osnowy powiastki przebijać powinna, że czytelnik bez objaśnienia poety myśl bajki zgaduje. Owszem przydane objaśnienie psuje efekt i poetyczną wartość bajki, a potrzeba jego jasnym jest dowodem, że nie dobrą jest bajka.

Jak rzecz bajki wogóle prosta jest, humorystyczna, a nawet komiczna, tak układ jéj jako téż wyraz formy naturalny jest, naiwny i lekki. Wiersz niepewny i niestały, zmienia się według

właściwości sceny, czucia i zamiaru poety, tak iż całość bajki zdaje się być raczéj igraszką dowcipu w pomyśle i słowach, aniżeli płodem artystycznego rozmysłu poety. To téż niejednę dobrą bajkę zdolny jest napisać i ten, kto do zaszczytu poety prawa sobie nie rości. Skład wierszowy, acz niekonieczny, poetyczną jednak wartość bajki wiele podnosi.

Przypowieść tak bliska jest bajce co do osnowy i znaczenia, że jakkolwiek jest między nimi pewna różnica, trudno jednak obiedwie ściśle odgraniczyć, a poeci sami jednę i drugą pod wspólną rubryką bajek i przypowieści umieszczać zwykli. Celem przypowieści, podobnie jak bajki, jest wyobrażenie prawdy ogólnéj w szczególném jakiémś zdarzeniu; ale kiedy w bajce szczególne to zdarzenie całkowity poetyczny obraz stanowi, w którym prawdę jakby w zwierciedle widzieć można, to w przypowieści ta prawda i nauka moralna tak dalece nad obrazem przemaga, że zdarzenie jakgdyby tylko do porównania i stwierdzenia maxymy ogólnéj służyć się zdaje i dlatego często samo przez się tak pięknego obrazu nie przedstawia. Bajka, choćby nawet nie dobrze zrozumiana, zajmuje i bawi dowcipnie wynalezioną sytuacyą; natomiast przypowieści osnowa zwykle wartość ma tylko dla moralnego celu. Idzie zatém, że popierwsze w przypowieści tylko ludzie a nie zwierzęta są wyobrazicielami postępków ludzkich, a myśl, będąca jéj duszą, najczęściéj do rzędu prawd wyższych należy; powtóre, że przypowieść w ogóle mniéj ma w sobie żywiołu poetycznego, aniżeli bajka.

H. Cegielski.

---

80. Adama Mickiewicza ballada p. t.: „Świteź“.

Pierwszą balladą, którą zawierał pierwszy tomik poezyj A. Mickiewicza z r. 1822., jest „Świteź“. Podług wspomnień Odyńca czytano ją po raz pierwszy na posiedzeniu literackiego grona Filaretów 1. listopada 1820. r. jako świeżo przysłaną przez autora z Kowna, a zatém według wszelkiego prawdopodobieństwa napisaną była w Kownie w jesieni w r. 1820. Balladę, takisam tytuł noszącą, napisał był przed Mickiewiczem Tomasz Zan, bo i na tém polu, jak wszędzie w czasach pierwszéj młodości Adama, przed śladami naszego poety znajdujemy ślady jego przyjaciela Zana.

Geneza „Świtezi“ Mickiewicza była prawdopodobnie następująca. Poeta, bywając w Tuhanowiczach podczas wakacyj, miewał nieraz sposobność nasycania się widokiem pięknego jeziora, leżącego wśród sąsiednich lasów płużyńskich, ponieważ tuż nad jeziorem szła droga do Tuchanowicz. Przejeżdżając tamtędy, nie omieszkał się zatrzymać i nieraz pewnie wychodził na brzeg dla przypatrzenia się jezioru. Jeżeli to było w dzień pogodny, mile go wabiła błękitna gładka powierzchnia krągłego jeziora, dokoła malowniczo ocieniona gęstą ścianą drzemiącego lasu, a u dołu obrzeżona trzciną i owymi ziołami, które

Białawém kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
Liść ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.

Ale zdarzyło się zapewne, że i w nocy tamtędy przejeżdżał i to w noc księżycową; a wtedy widok téj toni, „puszczą oczernionéj“, przedstawiał mu się daleko wspanialszym, uroczystszym, pełnym poetycznéj tajemnicy. Stanąwszy nad brzegiem, nie mógł dojrzéć przeciwległego krańca, który się gubił w mroku nocnym; ale zato pod stopami jego „szklana równina“ zapadała się w otchłań gwieździstą tak, iż zdawał się „wisieć w środku widnokręgu w jakiéjś otchłani błękitu“. Zachwycony tym niezwyczajnym widokiem, zapragnął nowe dla siebie wrażenia przelać w poezyą. Zaczynała już wtedy panować balladomania w gronie młodych poetów wileńskich; już Zan tesame wody „Świtezi“ uczcił balladą; zresztą charakter wrażeń, wywołanych nocnym widokiem „Świtezi“, doskonale się zgadzał z duchem balladowym: nic więc dziwnego, że poeta obrał sobie balladę za formę, w którą miał przelać te wrażenia.

Ale do utworzenia ballady potrzeba było jakiegoś epickiego wątku, którego zwykle dostarcza podanie ludowe.

Że takie podania były przywiązane do jeziora „Świtezi“, świadczą dwie następne ballady, Świtezianka i Rybka. Jedném z nich była, jak powiada sam poeta w przypisku do Świtezianki, „wieść, że na brzegach Świtezi pokazują się *ondyny* czyli *nimfy* wodne, które gmin nazywa Świteziankami“. *Nimfy* te były zapewne czémś w rodzaju rusałek lub wil serbskich i wabiły pięknością swoją nieostrożnych przechodniów, aby ich w toni pogrążyć. — Prawdopodobnie było i inne jeszcze podanie przywiązane do tego jeziora podanie — tak często powtarzające się u nas, a do rozmaitych wód stojących stósowane,

o zapadnięciu się miasta, które głosem dzwonów swoich do dziś jeszcze z głębi fal przypomina się światu. Jeżeli nawet nie było takiego podania w okolicy Świtezi, to poeta skądinąd znał je zapewne i mógł je łatwo zastósować do jeziora, które zamierzał uczcić w poezyi. — Nazwa wreszcie ziół wodnych, zdobiących gładkie jezioro, „cary“, była trzecim punktem wytycznym dla téj drogi, którą fantazya poety miała przebiéc przy utworzeniu pomysłu ballady. Łącząc podanie o „Świteziankach“ z podaniem o zapadnięciu się miasta, musiał poeta w swéj wyobraźni wyszukać przyczynę dla téj katastrofy: nazwa kwiatów nasunęła mu napad nieprzyjacielski i chęć niewiast uchronienia się od niewoli — i otóż cały pomysł gotowy. „Świtezianki“ zamieniły się w dziewice, a poeta znalazł przytém sposobność odwzorowania w jednéj z tych dziewic ideału mężnéj niewiasty, któryto ideał przyświecał mu przy tworzeniu „Żywili“, „Grażyny“ i „Aldony“.

W treści ballady odróżnić potrzeba właściwy wątek balladowy od obszernych ram, które go otaczają. Do ram należy opis Świtezi i opowiadanie o tém, jak „pan na Płużynach, którego pradziady były Świtezi dziedzice“, chcąc zbadać tajemnicze przepaście jeziora, kazał zapuścić niewód i jak wyciągniono stamtąd „Świteziankę“. Właściwa ballada włożona jest w usta wodnéj *nimfy*. Opowiada ona, jak na miejscu, które dziś „car i trzcina zarasta“, stało kwitnące miasto, bogate i „w kraśne twarze“ i „w sławne orężem ramiona“, a panował w niém książę Tuhan, jeden z litewskich książąt, podległych Mendogowi. Pewnego razu stolicę Mendoga obległy wojska „cara z Rusi“. Mendog wzywa Tuhana na pomoc, w nim tylko kładąc nadzieję obrony. Tuhan gromadzi wszystką młódź zbrojną i spiesznie wyrusza, gdy wtém — w chwili gdy już w bramie błyskał proporzec jego — uderza go myśl, że może „własnych mieszkańców dla obcéj zgubić odsieczy“. Wraca tedy na dworzec i obawy swoje zwierza córce. Ale córka uspokaja ojca, mówiąc:

Lękasz się niewcześnie;
Idź, kędy sława cię woła!
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie
Widziałam jego anioła.

Uspokojony Tuhan wiarą i męstwem córki ruszył na pomoc Mendogowi; ale ledwie noc nadeszła, nieprzyjaciel zjawił się pod bramami Świtezi. Popłoch i przerażenie ogarnia opuszczone niewiasty, rozpacz dyktuje im samobójstwo. Córka Tuhana

niemniéj od innych gotowa poświęcić życie dla ocalenia czci; ale ona nie rozpacza, ufa w pomoc Boską, która się jéj we śnie objawiła.

Panie, zawołam, nad Pany!
Jeśli nie możem ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u ciebie:
Niechaj nas lepiéj twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie!

Wtém jakaś białość nagle mię otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemną;
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy:
Już ziemi nie ma podemną.....

Takeśmy uszły niewoli i rzezi. —
Widzisz to ziele dokoła? —
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.

Idealizm w skreśleniu postaci córki Tuhana posunięty jest do najwyższych granic. Bohaterstwem jest już zadać sobie śmierć dla uniknienia niewoli, jak to chcą uczynić inne „Świtezianki“; a przecież poeta stawia księżniczkę Świtezi o szczebel wyżéj od jéj towarzyszek niedoli, robi ją wznioślejszą, jaśniejszą:— nie chce się ona splamić nawet samobójstwem. Ten majestat nadaje jéj tajemniczy stósunek z niebem, coś w rodzaju widzeń „Dziewicy Orleańskiéj“, a stąd głęboka wiara w to, że Bóg nigdy nie opuszcza prawdziwéj niewinności, która się do niego o pomoc odwołuje. Coś kapłańskiego jest w téj postaci, podobnie jak w postaci *Joanny d'Arc*. Jest to najbielsza i najbardziéj strzelista ze wszystkich lilij, których tyle miało potém zakwitnąć na wodach poezyi polskiéj.

„Świteź“ poświęconą była Michałowi Wereszczace. Wstęp do ballady wyraźnie okazuje, że zamiarem poety było uświetnić w poezyi nietylko jezioro, którego widok tak go zachwycił, ale i nazwisko Wereszczaków. Książę bowiem Świtezi, któremu imię nadał poeta od nazwy wsi Tuhanowicz, ma być protoplastą Wereszczaków. Stawała się tedy i Maryla Wereszczakówna, siostra Michała, krewną „Świtezianek“, i jéj poniekąd udzielał się ów blask poetyczny, którym poeta oblewał srebrne wody jeziora i postacie tajemniczych jego mieszkanek.

Józef Tretiak.

81. O gościnności.

Gościnność w języku naszym słowem jest, wiele rzeczy w sobie zawierającém. Jak najdawniejszych zasięgając czasów, widzimy gościnność zawsze zachowywaną. Pismo Boże nieraz o niéj czyni wzmiankę, u Greków zaś i Rzymian uroczystym była obowiązkiem, a trwałość jéj rozciągała się do najdalszych pokoleń: dzieci kładły ją dla siebie za część dziedzictwa po rodzicach. Starożytność w działaniach swoich brała za cel rzecz użyteczną. Sposób myślenia dawnych tém się od naszego różnił, iż się na istocie rzeczy zasadzał, nie na powierzchownościach; stąd brały u nich szacunek takowe wynalazki, które łączyły razem rzeczy i miłe i użyteczne. Jakoż i gościnność z jednéj strony służy ku zabawie, z drugiéj zaś ma swój użytek. Przez nią się przyjaźń wszczyna i rozkrzewia; przez nią się gruntownego poznania ludzi nabywa; przez nią otwiera się sposobność czynienia dobrze, zawsze pożądana prawemu sercu; przez nią nastręcza się pora do nabrania wielu wiadomości; przez nią się wiejskiego życia osobność i jednostajność słodzi: zgoła, wszystkie jéj skutki łączą wdzięk z pożytkiem.

Jeżeli gdzie, w naszym kraju gościnność jest potrzebna. Równość obywatelska czyni nas współbracią. Obywatel więc, którego i serce co do czułości, i dom co do przyjęcia otworem stoi, skarbi sobie szacunek i miłość powszechną; a gdy się pora nadarzy, pożądaną dla siebie, choćby i bez zabiegów, nagrodę i korzyść zyska. Gościnność więc i z istoty swojéj chwalebna i ze skutków użyteczna; ale trzeba, żebyśmy znali, jakie jéj są właściwe w szczególności obowiązki. Bierzmy je z osób i gospodarza i gościa.

Umysł gospodarza, przyjmującego gościa w dom swój, powinien być wewnętrznie przeświadczony o szacunku i pożytkach gościnności. Natenczas gość będzie przyjemnym, i choćby zażył w téj mierze niejakiego utrudzenia, osłodzi mu je i zmniejszy przyczyna, dla któréj utrudzenie ponosi. Gość wzajemnie, widząc uprzejmość gospodarza, poczuwać się będzie do tego, iżby nie był przyczyną niesmaku. Wzajemne więc względy nastąpią i pora do zabawy nader się przyjemna otworzy.

Są takowi, którzy zbyt rozciągając granice gościnności, rozumieją, iż nie można inaczéj gościa w dom przyjąć i zabawić, tylko ustawicznością rozrywek, tak dalece, iż i sobie i gosczą-

cemu żadnego odpoczynku nie dają. Takowym trzebaby częstokroć powtarzać owo Horacyusza napomnienie: *ne quid nimis* [1]). Zabawy, choćby najmilsze, nadto przewleczone, zbyt często powtarzane, przynoszą nudność tak dalece, iż zamiast rozrywki z obudwóch stron powstaje nakoniec przykrość i niesmak. Silą się wzajemnie, gospodarz, żeby bawił, gość, iżby pokazał, że bawiony; a z tego usiłowania tę tylko korzyść odnoszą, iż pragną wewnętrznie, aby od tak uprzykrzonego jarzma zostali uwolnieni. Gospodarz znać powinien miarę w tém, czego użycza; lepiéj się nadają rozrywki, gdy je niekiedy spoczynek przeplata.

Sadzić się téż na okazałe przyjęcie oznacza bardziéj dumę gospodarza, niżeli uprzejmość. Kto uczciwie, przystojnie w domu swoim żyć umie, nie potrzebuje tego, żeby się wysilał na przyjęcie gościa. Powiadali starzy, iż najlepszym przysmakiem „chleb z solą, a z dobrą wolą“; — i mieli racyą. Dobre serce dawcy dodaje szacunku darom, a odbierający je, jeżeli ma serce prawe, więcéj szanuje ochotę dającego, niż wartość daru. Czynić nad możność w jakimkolwiekbądź rodzaju, zdrożnością jest zawsze. Umiarkowane wydatki i najmożniejszego nie szpecą, byleby, co oszczędza zbytkom, oddawał cnocie; cnotą zaś jest udzielać potrzebnemu, co mamy nad potrzebę.

Obowiązki gościa są te: naprzód wiedzieć ma, kiedy i na jak długi czas w gościnę jechać. Gospodarstwo rządne niezbyt wiele czasu na to zostawuje; gdy zostawia, dobrze go tym miłym sposobem użyć. Daléj trzeba mieć baczność na to, aby zbyteczną zgrają domowników lub koni gospodarza nie obciążać; co innego jest zajazd, a co innego wizyta. — Gościna nie powinna się zbytnie przewlekać. Grzeczność gospodarza nie daje poznawać, iż się nadto długo bawimy; ale roztropność nasza powinna rozmierzać czas bawienia w cudzym domu. Najciągléj idące rozrywki przebierają się; a jeżelibyśmy dlatego przydłużéj bawić chcieli w cudzym domu, iż nie mamy co czynić w swoim, albo raczéj, iż nie chcemy co czynić: nie idzie za tém, iżbyśmy czas zabierali innym, umiejącym z niego lepiéj korzystać.

Największa gościa powinność: nie być przykrym gospodarzowi. Odwiedzamy go, abyśmy z jego towarzystwa korzystali; ale i ten powinien być cel naszych odwiedzin, aby się on téż naszém towarzystwem bawił; nie będzie się zaś mógł bawić, gdy mu odbierzem sposobność czynienia tego, coby chciał

---

[1]) tylko nic nadto!

w swoim domu. Miarkować tak rzeczy należy, iżby miał spoczynek i odetchnienie. Obejrzéć się więc na nas samych potrzeba, i tego, czegobyśmy u siebie nie chcieli, u innych nie czynić. W gościnie będąc, pamiętajmy, iż nie jesteśmy w domu naszym; a zatém, choćby czego ku wygodzie brakło, snadniéj to zniesiem. Częstokroć ochocie nie wystarcza sposobność; częstokroć czeladź woli pańskiéj nie pełni; trafia się, iż zatrudnienia gwałtowne nie pozwalają gospodarzowi tak czynić, jakby pragnął. Z tych i innych wielu miar oszczędzać go ile możności należy, a choćbyśmy go i usprawiedliwili u siebie w tém, w czém istotnie wykroczył, błąd takowy nie byłby ze szkodą.

Gdy niższy wyższego odwiedza, powinien się przygotować do uszanowania bez podłości. Równy równemu uprzejmość ze względami oświadczyć ma; jeżeli zaś wyższemu niższego odwiedzić przyjdzie, niech ma na to baczność jak największą, aby nie dał uczuć odwiedzonemu, iż jest nad niego wywyższonym. Tym sposobem każde nawiedziny zachowają przepis gościnności i staną się źródłem i pożytku i zabawy.

Ignacy Krasicki.

---

82. Uwaga.

Rzeczy zewnętrzne, działając bezprzestannie na nasze zmysły, wzbudzają w naszym umyśle czucia i pojęcia, ustawicznie się tam cisnące i przemijające. W tym tłumie rzeczy i pojęć umysł może puszczać mimo siebie i odsuwać jedne, a zatrudniać się szczególnie drugimi; to natężenie i zastanowienie umysłu nad rzeczą i pojęciem, sobie przytomném, nazywa się bacznością albo uwagą. Jestto najważniejsza władza duszy i do poznania rzeczy i do zatrzymania ich w pamięci. Przez nią przeglądamy i roztrząsamy nasze pojęcia, zbieramy szczegółowe ich spostrzeżenia, szykujemy je porządnie i nadajemy umysłowi pewny kierunek, ład i stałość w działaniu.

Uwaga w różnych ludziach bywa różna. W jednych skupiona i wytężona, czyni ich wcale niebacznymi na to wszystko, co się około nich dzieje; w drugich nie daje się tak skupić, żeby się choć słabo innym nie udzielała wrażeniom. Są ludzie, którzy w różnych materyach z różnymi ledwo nie razem rozprawiać mogą: od jednéj rozprawy przerwanéj przechodzić mogą zaraz do drugiéj, wracać znowu do tamtéj, nie tracąc baczności

na to, co mówili, i co im jeszcze do mówienia zostaje. Są znowu tacy, którzy w ciągu jednéj tylko rozprawy za najmniejszą przeszkodą, za wtrąceniem czasem jednego obcego słowa, tracą pamięć i uwagę tego, o czém mówili.

Udzielająca się ledwo nie w jednym czasie wielu rzeczom uwaga może być skutkiem albo tęższéj siły umysłowéj, albo przywyknienia i nałogu, albo obojga razem. Juliusz Cezar mógł razem wydawać rozkazy wojskowe i kilka listów dyktować, wśród szczęku wojny pisał rozprawy i książki. W rzeczach tak trudnych i zawiłych, wymagających natężenia umysłu i przewidywania wypadków, przenosić z taką szybkością uwagę od jednych do drugich i utrzymać ją bez zamieszania — jestto zaiste znakiem tęgiéj i rzadkiéj dzielności umysłowéj. Kupiec, wielki odbyt na towary mający, w ciżbie kupujących jednym towary pokazuje i rozkłada, z drugimi się o cenę umawia, mierzy, waży, rachuje bez omyłki i bez stracenia na wszystko, jak mówimy, przytomności. Wszystko to jest skutkiem rozdzielonéj na wiele rzeczy a w niczém nie straconéj uwagi; uwaga zaś ta jest nałogiem, przez długie ćwiczenie nabytym.

Uważamy tylko to, co chcemy; a odwracamy baczność od tego, czego nie chcemy uważać; więc uwaga jest wolną umysłu czynnością. Ponieważ zaś jest najważniejszą siłą i istotnym warunkiem poznawań ludzkich; ponieważ sprawy życia kierowane być powinny gruntowną znajomością rzeczy i dobrze zrozumianym pożytkiem: więc tak w myśleniu jak w postępowaniu jest nam uwaga koniecznie potrzebną; a zatém należy do niéj wprawiać i przyzwyczajać zawczasu umysł.

Brak czyli niedostatek uwagi nazywamy roztargnieniem, nieprzytomnością. Człowiek bez uwagi czuje, ale nie rozeznaje i nie szykuje swoich pojęć, jest zawsze w zamieszaniu. Widzi przed sobą mówiącego męszczyznę, a odpowiada kobiecie; słucha mówiących, a przymawia się wcale nie do rzeczy; szuka czapki, którą ma na głowie, albo chustki, którą trzyma w ręku; dom cudzy bierze za swój, a gospodarza za gościa, któregoby się rad pozbyć: zgoła, jestto człowiek jak wpół uspiony, bez ciągłéj przytomności i pamięci. Jestto kalectwo umysłowe, dotykające ludzi w mniejszym lub większym stopniu i pokazujące nam, czémby był człowiek bez uwagi. Nieuwaga atoli nie zawsze jest kalectwem, ale może być wadą nałogową. Człowiek, lubiący się pewnym tylko rodzajem myśli zajmować, topi w nich i pogrąża

swoję uwagę, a przez to traci baczność na to, co się około niego dzieje. Wśród rozmowy, zabawy i towarzystwa wciska się w jego uwagę myśl ulubiona i sprawia mu roztargnienie; może to być skutkiem albo narowu, alby głębokiego myślenia.

Jan Śniadecki.

---

83. Wola.

Rzeczy świata materyalnego, działając na nasze zmysły, nietylko budzą w nas siły myślenia i poznawania, ale jeszcze, poruszając nasze czucie wewnętrzne, wydobywają w nas rozmaite żądze i skłonności, które nas ciągną do rozmaitych przedmiotów, wprawiają nas w czynność i zatrudnienie około zaspokojenia tych żądz. Władza duszy, która się zajmuje tymi skłonnościami i żądzami, która czyni i stanowi wybór tak między żądzami, jak między rzeczami, żądze pociągającymi, która daje pierwszeństwo jednym nad drugie, skłania się raczéj do téj niż do owéj chęci, przychyla się raczéj do tego, niż do owego przedmiotu — nazywa się wolą.

Ale człowiek nie może chcieć i żądać bez przyczyny i pobudki. Walnymi dla niego pobudkami są potrzeby zachowania i polepszenia swego bytu, zrobienia go błogim i przyjemnym, oddalenia od siebie wszelkich cierpień i przykrości: co stanowi dobro i szczęście człowieka jako jedyny prawie cel jego żądz i skłonności. I jak rozum dąży w swoich działaniach do prawdy, tak wola dąży w swoim wyborze do dobra i szczęścia. Żeby zaś ten cel osiągnąć, potrzeba środków i sposobów pewnych i niemylnych; bo jak dobro może być pozorne i rzetelne, tak środki mogą być pewne i zawodne. Do trafnego wyboru potrzeba koniecznie rozeznania, którego nie ma wola, bo to należy do rozumu. Wola więc jest władzą przez się ślepą, chybiać mogącą w swoim wyborze i w użyciu swojéj wolności, a zatém potrzebującą przewodnika.

Tu łatwo wystawić sobie możemy, czémby był człowiek z całą swoją wolnością w stanie dzikim i samotnym, przy uspionych wyższych władzach umysłu. W społeczności zaś z innymi ludźmi otwiera się dla niego nowy świat i nowy porządek rzeczy. Jego żądze, skłonności i siły nabywają nowego kierunku, bo tu każdy członek społeczności ma także swoje żądze, skłonności i siły, a trzeba, żeby jedne nie były na przeszkodzie

drugim. Trzeba je więc urządzić, opisać i uporządkować; trzeba w wyborze środków i sposobów rozważyć i poznać ich skutki i wypadki, żeby te nie były albo nam samym albo innym szkodliwe. Tu dopiero odkrywa się źródło praw i powinności, a razem początek porządku moralnego i politycznego ludzi.

Jan Śniadecki.

---

84. Natchnienie a nauka.

Od wieków ludzie już wiedzą, że do sztuk pięknych potrzeba i natchnienia i prawideł, że się jedno bez drugiego nie obejdzie. Małoż to jednak jest ludzi rozumiejących, iż byle przypatrzeć się, jak inni robią, nabyć wprawy, potém już można samemu siąść do pracy; byleby schwycić na uczynku Corneliusa, gdy maluje, albo Thalberga, gdy palcami przebiera, a już można zostać wielkim malarzem, wielkim pianistą. Jedno ci panowie zapomnieli, iż sztuki piękne nie są rzemiosłem, i że czego innego jeszcze wymagają, jak wprawy i mechanicznego wykonania, że potrzeba uświęcenia z góry, promienia z nieba — natchnienia.

Ale nierównie liczniejsi są ci, co rozumieją, iż natchnienie samo, zwłaszcza w poezyi, zupełnie wystarcza, iż się obejdzie bez wzorów, że wszelkie naukowe przygotowania są zbyteczne, że byleby wydać, co w sercu żyje i pracuje, toć już się zostaje wielkim wieszczem. Dziwnie to zdanie przypada do smaku tym, co sądzą, iż bez ślęczenia, jak powiadają, nad książkami, bez wielkich nauk, można być człowiekiem rozumnym, dowcipnym i bardzo przyzwoitym w świecie. Ludzie tacy pożywają i trawią dnie i lata żywota swojego, jak gąsienica pożywa liście i gałązki drzewa, które plugawi.

Jeżeli przyszły wieszcz nie spojrzy wstecz za siebie i nie potoczy wkoło wzrokiem na świat, co go czarownym otacza wieńcem; jeżeli jest obojętny na prace olbrzymie przeszłych stuleci, co niesłychaną boleścią, wśród krwawego potu, znosiły na barkach swoich ciosy do ogromnéj budowy, na któréj stanął wiek nasz; jeżeli mądrość lat tysiąców, opłacona tylu trudami i takiém pasowaniem się milionów ludzi, będzie dla niego głuchą i wymietną łupiną; jeżeli nie trawił samotnie cichych nocy sam na sam z Bogiem i książkami, gdy świat inny, wyższy, wylewa na prace błogosławieństwo ducha: toć iście na nic się nie zda i natchnienie i zdolność, jakie z urodzenia może otrzy-

mał. Bo gdy w duszy głucho i pusto, gdy rozum, w sobie biedny, nie wyrobił sił z siebie, toć i nie będzie prawdziwego natchnienia, ale odurzenie szału; talent będzie się zataczał, nie umiejąc panować nad sobą, ani o swéj mocy nie stanie, bo z ducha bez treści żaden się téż wątek nie wysnuje.

Mylą się ci, co fundując się w zupełności na swym zapale, na owém tajemniczém miotaniu się ducha, rozumieją, iż to, co w nich jest, już ich do sztuki uświęca, i byleby iskra talentu zaświeciła w człowieku wewnętrznym, już zajmie sobą całego ducha i buchnie płomieniem geniuszu. Wszak Göthe tak słusznie wyrzekł: „Sztuka jest sztuką! kto jéj nie przeniknął do dna myślą, nie będzie nigdy mistrzem!“

Powiedzą mi może, iż pracą nad umiejętnością i czytaniem autorów odebrałaby im właściwe ich piętno i mogłaby zatracić indywidualność, odznaczającą ich od innych. Jeżeli jednak ta indywidualność charakteru ma jakąś wartość, to téż nie zaginie i nie utonie w pracy, ale zawsze na wierzch wypłynie; a jeżeli przeciwnie nie obroni się obcym wpływom i przewadze wielkich wzorów, to niechaj jéj nie żałują, bo zaiste nie ważyła wiele, a szkoda nie zbyt bolesna.

Jednym więc z głównych warunków każdego artysty jest ukształcenie naukowe. A im wyraźniéj duch w sztuce jakiéj z siebie się rozwija, im jaśniéj wyświeca istotę swoję wewnętrzną, tém bogaciéj naukami uposażony być winien.

Gdy pozna, co się wielkiego na ziemi i na niebie święci; gdy przeczuje, co na dnie ogromnych wydarzeń tętni i żyje; gdy zawsze pozna godzinę na wielkim zegarze świata, a przybytek myśli jego wzbogaci się całą treścią wieków: wtedy, jeżeli istotnie przeznaczony na wieszcza, przyjdzie chwila, co jakby grom Boży spadnie na duch jego, i tam tysiące świateł na chwałę nieba zapali.

J. Kremer.

A. Poezya opisowa.

I. Bajki i powiastki.

1. Jagnię i wilcy.

Zawsze znajdzie przyczynę, kto zdobyczy pragnie.
Dwaj wilcy jedno w lesie nadybali jagnię.
Już je mieli rozerwać; rzekło: „Jakiém prawem?“
„Smaczneś, słabeś i w lesie.“ — Zjedli niezabawem.

Ign. Krasicki.

2. Dąb i małe drzewka.

Od wieków trwał na puszczy dąb jeden wyniosły.
W cieniu jego gałęzi małe drzewka rosły.
A że w swojéj postaci był nader wspaniały,
Że go doróść nie mogły, wszystkie się gniewały.
Przyszedł czas i na dęba, spełnić srogie losy.
Słysząc, że mu śmiertelne zadawano ciosy,
Cieszyły się niewdzięczne. Wtém upadł dąb stary:
Połamał małe drzewka swoimi konary.

Ign. Krasicki.

3. Człowiek i suknia.

Brał się człowiek do pręta, chcąc wytrzepać suknię;
Ta, widząc się w złym razie, żwawo go ofuknie:
A takażto jest pamięć na usługi? — rzecze; —
Bijesz tę, co cię zdobi, niewdzięczny człowiecze!
Rzekł człowiek: Ja nie biję, lecz otrząsam z prochu;
Zakurzyłaś się wczoraj, dziś trzepię potrochu.
Wybacz, z przykrych sposobów, kto musi, korzysta;
Gdybyś nie była bita, nie byłabyś czysta.

Ign. Krasicki.

4. Człowiek i zdrowie.

W jednę drogę szli razem i człowiek i zdrowie.
Na początku biegł człowiek. Towarzysz mu powie:
Nie spiesz się, bo ustaniesz... Biegł jeszcze tém bardziéj.
Widząc zdrowie, że jego towarzystwem gardzi,
Szło za nim, ale zwolna. Przyszli na pół drogi:
Aż człowiek, że z początku nadwerężył nogi,
Zelżył kroku na środku. Za jego rozkazem
Przybliżyło się zdrowie i odtąd szli razem.
Coraz człowiek ustawał, a że się zadysza:
Prowadź mię, iść nie mogę, rzekł do towarzysza.
Było mnie zrazu słuchać, natenczas mu rzekło.
Chciał człowiek odpowiedzieć... lecz zdrowie uciekło.

Ign. Krasicki.

---

5. Gęsi.

Gęsi, iż Rzym uwolniły,
Wielbione były.
A że się to i w nocy i krzyczeniem działo,
Ujęte chwałą,
Szły na radę i stanęło,
Aby zacząć nowe dzieło:
W krzyczeniu się nie szczędzić,
Lisy z lasu wypędzić.
Więc wspaniałe a żwawe,
Poszły w nocy i wrzawę
W lesie zrobiły,
Lisy zbudziły;
A te, gdy z jamy wypadły,
Zagryzły gęsi i zjadły.

Ign. Krasicki.

---

6. Czapla, ryby i rak.

Czapla stara, jak to bywa,
Trochę ślepa, trochę krzywa,
Gdy już ryb łowić nie mogła,
Na taki się koncept wzmogła.
Rzekła rybom: „Wy nie wiecie,
A tu o was idzie przecie!“
Więc wiedzieć chciały,
Czego się obawiać miały.
„Wczora
Z wieczora

Wysłuchałam, jak rybacy
Rozmawiali: wiele pracy
Łowić wędką lub więcierzem;
Spuśćmy staw, wszystkie zabierzem.
Nie będą mieć otuchy,
Skoro staw będzie suchy.“
Ryby w płacz, a czapla na to:
„Boleję nad waszą stratą.
Lecz można złemu zaradzić
I gdzieindziéj was osadzić.
Jest tu drugi staw blisko,
Tam obierzcie siedlisko.
Chociaż pierwszy wysuszą,
Z drugiego was nie ruszą.“
„Więc nas przenieś!“ rzekły ryby.
Wzdrygała się czapla niby,
Dała się nakoniec użyć.
Zaczęła służyć:
Brała jednę po drugiéj w pysk, niby nieść mając,
I tak pomału zjadając.
Zachciało się nakoniec kosztować i raki.
Jeden z nich, widząc, iż go czapla niesie w krzaki,
Postrzegł zdradę, o zemstę zaraz się pokusił:
Tak dobrze za kark ujął, iż czaplę udusił.
Padła nieżywa...
Tak zdrajcom bywa!

Ign. Krasicki.

---

7. Myszka, kotek i kogut.

Coby to była za szkoda!
O mało nie zginęła jedna myszka młoda,
Szczera, prosta, niewinna; przypadek ją zbawił.
To, co ona swéj matce, ja wam będę prawił...
„Rzuciwszy naszych kryjówek głębiny,
Dopadłam jednéj zielonéj równiny,
Dyrdając, jako szczurek, kiedy sadło śledzi.
Patrzę, aliści dwoje zwierząt siedzi:
Jeden z nich trochę daléj, z milczeniem przystojném,
Łagodny i uniżony;
Drugi zaś zdał mi się być burdą niespokojnym:
W żółtym bucie z ostrogą chodził napuszony,
Ogon zadarł do góry,
Lśniącymi błyskotał pióry;
Głos przeraźliwy, na łbie mięsa kawał,
Jakgdyby kto powykrawał;
Ręce miał, którymi się sam po bokach śmigał,
Albo na powietrze dźwigał.

Ja, lubo z łaski Boskiéj jestem dosyć śmiała,
Ażem mu srodze naklęła,
Bo mię z strachu drżączka wzięła,
Jak wziął tłuc z tartasem obrzydły krzykała.
Uciekłam tedy do jamy.
Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,
Co kożuszek z ogonkiem ma tak, jak my mamy.
Minka jego nienadęta
I, choć ma bystre ślepięta,
Dziwnie mi się z skromnego wejrzenia podobał.
Jak nasze, taką samą robotą miał uszka....
Coś go w nie ukąsiło, bo się łapką skrobał;
Szłam go poiskać, lecz mi zabronił ten drugi
Téj przyjacielskiéj usługi,
Kiedy nagłego narobił łoskotu,
Krzyknąwszy na mnie z gniewem: „Kto to tu? kto to tu?“
„Stój“, rzecze matka, „córko moja luba!
Aż mrowie przechodzi po mnie.
Wieszli, jak się ten zowie, co tak siedział skromnie? —
Kot, bestya, rodu naszego zaguba.
Ten drugi był to kogut: groźba jego pusta
I przyjdą może te czasy,
Że z jego ciała będziem jeść frykasy,
A zaś kot może nas schrusta.
Strzeż się tego skromnisia, proszę cię jedynie,
I tę zdrową maksymę w swéj pamięci zapisz:
Nie sądź nikogo po minie,
Bo się w sądzeniu poszkapisz“.

Stanisław Trembecki.

---

8. Filiżanka.

„Precz stąd odemnie! — rzecze filiżanka
Do glinianego dzbanka; —
Co tobie w głowie? — czyliś ty szalony,
Z postacią twoją nikczemną
Bratać się ze mną?!
Patrz, jak mój cały obwód wykształcony,
Jakem misterną zdziałana robotą:
Od głowy do stóp u mnie płynie złoto!
Każdy spogląda na mnie z podziwieniem,
I nie zbliża się, jak z drżeniem“. —
Dzban jéj odpowie: „„Skończ wymówki twoje:
Wszakżeśmy z gliny oboje,
Z tą tylko chyba różnicą,
Że się na tobie marne fraszki świecą,
Że stoisz próżno lub służysz do zbytku,
A ja służę do użytku““.

Julian Ursyn Niemcewicz.

---

9. Motyl i pszczoła.

Motyl, pyszny z swojéj szaty,
Lśniącéj się złotem, bławaty,
Gdy lata z kwiatu na kwiatek,
Tutaj na różę, znowu na bławatek,
Nareszcie w miejscu ustronném
Siada na fijołku wonnym.
Przypadkiem pszczoła, wprzódy tam siedząca,
Z tegoż fiołka czary
Smoktała słodkie nektary.
Motyl ją skrzydłem potrąca
I krzyczy: „Precz stąd, nikczemny owadzie!
Nie widzisz, że mi stoisz na zawadzie?
Chyba mnie nie znasz?“ — „A! to rzecz zabawna! —
Odpowie pszczoła; — znam ciebie od dawna:
Strój twój dzisiejszy powierzchnią różnicą;
Niedawno byłeś podłą gąsienicą!“

J. U. Niemcewicz.

10. Dwa zające.

Długą chartów gonitwą strudzone niezmiernie
Dwa zające przed śmiercią schroniły się w ciernie.
Zrazu cicho siedziały; lecz po krótkiéj dobie
Zaczął się młodszy kręcić i wyrzekać sobie,
Że jeszcze w takiém piekle w swém życiu nie siedział.
Nie przesadzaj, młodziku, starszy odpowiedział; —
Lepiéj zawsze pod cierniem, niżeli w pogoni:
Prawda, że trochę kole, ale życia broni.

Franciszek Morawski.

11. Woły.

Spojrzawszy na swój zagon, szkaradnie zorany,
Katował biedne woły Bartek rozgniewany.
I cóż my temu winne? tak z nich jeden rzecze:
Nadtoś nas bił i szarpał, okrutny człowiecze;
Gdybyś zręczniéj kierować umiał wołki twymi,
I zagon byłby lepszy i my mniéj bitymi.

Fr. Morawski.

12. Kot i myszka.

Onego czasu pewna myszka mała,
Wyszedłszy sobie pod nocy osłoną,
Nieszczęsnym trafem kota napotkała
I już miała być zjedzoną;
A więc krzyczy niesłychanie:
„Stój, stój, dla Boga! zatrzymaj się, panie!
Czyś ty nie jest owym kotem,
Co się Łapi-myszką zowie?“
„Tak jest, kot rzecze; lecz skądże wiesz o tém?“
A ta mu na to odpowie:
„Przypomnij sobie, jak, dziś tydzień trzeci,
Wpadłeś tam w jakieś zastawione sieci,
Jakeś płakał i narzekał
I już pewnéj śmierci czekał,
Gdy cię mysz jedna, już wiekiem pochyła,
Z téj niewoli wybawiła.
Widzę ja, panie, że jéj pamięć tkliwa
Dotąd cię jeszcze rozczula;
Otóż to, otóż ta mysz litościwa
Była to moja matula.
Zmarła, lecz tyś jéj przy śmiertelnych sieciach
Przyrzekł tę litość odpłacić na dzieciach.
Dałeś słowo kocie!“
„Ach! tak jest, rzecze z łzami; przysiągłem w istocie,
Nie tylko sam was oszczędzać,
Ale i drugie koty gryść, odpędzać,
Wszelkie odpychać napaście....
Lecz powiedz mi, moja miła,
Ileż twa matka dziatek zostawiła?“
Myszka mu na to: „Dwanaście“.
„Dwanaście! kot zawoła — o lube istoty!
Biedne myszeczki! niewinne sieroty!
Jakże im przykro być musi bez matki!...
Wszystkie przybieram za me własne dziatki.
Zwołaj je, zwołaj, niechaj je zobaczę
I z tą przybraną poznam się rodziną“.
Biegnie mysz nasza i z radości skacze,
Pędzi, jakby z najlepszą nowiną,
Woła na wszystkie siostrzyczki, braciszki.
Lecą głupie myszki —
Gdy wtém kot zdrajca nagle na nie wpada
I zamiast jednéj cały tuzin zjada.

Fr. Morawski.

---

13. Lis i kozieł.

Już był w ogródku, już witał się z gąską,
Kiedy, skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,
Gdzie wodę zbierano;
Ani pomyśleć o wyskoczeniu,
Chociaż wody nie było i nawet nie grząsko.
Studnia na półczwarta łokcia:
Za wysokie progi
Na lisie nogi!
Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznokcia.
Postaw się teraz w tego lisa położeniu!
Inny zwierz pewno załamałby łapy
I bił się w chrapy,
Wołając gromu, ażeby go dobił;
Nasz lis takich głupstw nie robił.
Wie, że rozpaczać jestto zło przydawać do zła:
Zawsze maca wkoło zębem,
A patrzy w górę. Jakoż wkrótce ujrzał kozła,
Stojącego tuż nad zrębem
I patrzącego z ciekawością w studnię.
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije;
Cmoka mocno, głośno chlepce
I tak sam do siebie szepce:
„Oto mi woda! Takiéj nie piłem, jak żyję!
Smak lodu, a czysta cudnie!
Chce mi się całemu spłukać,
Ale mi ją szkoda zbrukać,
Szkoda;
Bo co téż to za woda!“
Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać:
„Ej, krzyknął z góry, ej ty, ryży kudła —
Wara od źródła!“
I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi,
A z rogów na drąg i w nogi.

Adam Mickiewicz.

II. Podania, legendy, ballady.

14. Kruk z Mogiły.

Jako na świecie, tak téż i w klasztorze;
Różne chowają się stworzenia Boże.
Otóż tak piszą, co się rzadko zdarza,
Że kruk był niegdyś fundator ołtarza.

Jak to, kruk? pytam; a, to być nie może! —
Tak jest w istocie. Tu w kronice stoi,
Że księża kruka chowali w klasztorze;
Ale kruk krukiem, zawsze swoje broi.

Otóż gdy zmądrzał i gdy się ośmielił
I gadać umiał, latał do Krakowa,
I bardzo ludzi po mieście weselił,
Bo bardzo sprytnie mówił wszystkie słowa.

Mów: *Ave Maria!* Furtyan go naucza; —
Ale kruk krukiem i natura krucza
Ciągnie i kruka i wilka do lasu....
Otóż tak było i onego czasu:

Kruk po Krakowie i latał i gadał,
Lecz, jak mówiono, i ludzi okradał;
I choć na bruku z pauprami się bratał,
Po cenne rzeczy aż przez okna wlatał.

I wiele było posądku i szkody
Po całém mieście. I gdy kruk już leci,
Wielka to radość bywała dla dzieci....
Lecz się po domach lękano przygody,
Bo siła rzeczy poginęło w mieście,
I kiedy kruka z Mogiły obaczą,
Jak na raroga wszystkie sługi kraczą:
„Kruk, kruk z Mogiły!“ — I zginął kruk wreszcie.
I lat znów wiele po kruku ubiegło,
I wielu ludziom już się w grobie legło,
Którym kruk niegdyś pokradł był drogoście,
Gdy miastem latał w nieproszone goście.

Aż się przypadkiem skarb znalazł na wieży,
Co go różnymi czasy kruk poznosił....
Zeszli się księża, patrzą, a tu leży
Złoto i srebro i drogie klejnoty.
Więc i niemałe były stąd kłopoty,
Coby z tém zrobić! — I przeor uprosił
Aż sąd duchowny o wyrok w téj sprawie;
A gdy nie było przejrzano w ustawie,
Jakby wyjść gładko z takiego wypadku,
Gdy nikt przed sądem nie stanął przy świadku,
Sąd o tym skarbie tak wkońcu stanowi,
Że go na własność oddał klasztorowi....
I jest w Mogile ozdobnie wzniesiony
Na cześć wielkiego patrona Korony
Ołtarz — a przy nim, co się rzadko zdarza,
Jest ów kruk złodziéj, gładko wyrobiony,
Jako fundator, u wierzchu ołtarza.

Wincenty Pol.

---

15. Legenda o skowronku.

Pod krzyżem stała Matka u stóp Syna,
I ból ją wielki na duszy ucisnął...
I zaspiewała w niebiesiech ptaszyna:
Spojrzy się Marya — skowronek zawisnął!

I tak nad Panem użalił się wiernie,
Że chciał mu odjąć choćby jedno ciernie;
Więc póty dzióbkiem i dzióbał i dzióbał,
Aż cierń z korony Najświętszéj odskubał.

Błogosławiła Matka skowronkowi,
Podniósłszy w niebo swe oczy żałosne,
I rzekła w łasce: Będziesz człowiekowi
I Bogu spiewał najpierwszy na wiosnę!

A jako rzekła mu Matka Bolesna,
Tak się téż iści: bo ptaszyna wczesna,
Nim śniegi giną, już w niebo się wznosi
I wielką chwałę Matki Bożéj głosi.

W. Pol.

---

16. Jałmużna.

Maj to był właśnie. Ledwie jutrzenka
Rozlała blaski i wonie,
Gdy jak ty, dziecię, piękna, maleńka
Biegła dziewczynka przez błonie.

I znać, że spieszno było niebodze,
Że pełna żalu czy trwogi.
Aż gdzie drewniany krzyż stał przy drodze,
Pod krzyżem siedział ubogi.

„Pan Jezus z tobą! dziewczynko miła!
Gdzie to tak spieszno i czego?
Uczcij krzyż Pański! — Bóg pomoc zsyła
Tym, co jéj proszą u Niego“.

Na taki widok, na głos staruszka,
Dziewczynka nagle się wstrzyma,
I łzy otarłszy końcem fartuszka,
Mierzy go długo oczyma.

A starzec znowu: „I cóż tak stoisz,
Tak patrzysz? — Skąd te łzy twoje? —
Czy czego żądasz? czy się mnie boisz?“ —
— „„Ja się ubogich nie boję,

„„Bo oni biedni; kochać ich trzeba,
Często słyszałam od matki;
Zawsze im sama wynoszę chleba,
Jak który przyjdzie do chatki.

„„Ale, mój dziadku, matka mi chora,
Chce mnie, jak mówi, porzucić;
Z łóżka nie może wstać już od wczora:
Ach! jakże nie mam się smucić!

„„Całą noc słysząc jęk nieustanny,
Klęcząc, prosiłam ze łzami
Pana Jezusa, Najświętszéj Panny,
By mieli litość nad nami.

„„I ty, staruszku, módl się do Boga,
Proś Go o zdrowie méj matki,
A przyjm to — choć ja sama uboga,
Choć to już nasze ostatki.

„„Chciałam dziś za to bochenek chleba
Kupić dla siebie, lecz lepiéj
Tobie to oddam; proś tylko nieba,
Niech moję matkę pokrzepi!““ —

„Tak jest, pokrzepi! będę go prosić,
Nie próżna twoja otucha!
Przestań, dziewczynko, ócz łzami rosić,
Bóg szczeréj prośby wysłucha.

„Bo kto biednemu poda jałmużnę,
Cierpiącym boleść osłodzi,
Temu, rzekł Jezus, Niebo jest dłużne
I Bóg go hojnie nagrodzi“. —

Zaledwie skończył, aż w mgnieniu oka
Blask nagły błysnął dokoła,
Z plec mu szat grubych spadła powłoka,
Starzec się zmienił w anioła.

Z ramion mu złote skrzydło wystrzeli,
Trzy gwiazdy młodą skroń wieńczą,
Do kolan długi strój śnieżnéj bieli
Jasną przepasan był tęczą.

Pogoda wiosny śmiała się z czoła,
Wonność wionęła we tchnieniu,
Gdy mgłą przejrzystą oblan dokoła
Wzlatał ku nieba sklepieniu.

I gdy dziewczynka nagłém widzeniem
W dłoni strwożony wzrok chowa,
Z tkliwym uśmiechem, z wdzięczném spojrzeniem
Te jeszcze do niéj rzekł słowa:

„Nie płacz, dziewczynko! wracaj do chatki!
Bóg twoję żałość obaczył,
I drogie zdrowie wrócił dla matki,
I dla cię szczęście przeznaczył.

„Bo kto biednemu poda jałmużnę,
Cierpiącym boleść osłodzi,
Temu, pamiętaj, Niebo jest dłużne
I Bóg go hojnie nagrodzi!“

To rzekł, i coraz i coraz chyżéj
Wznosi się we mgle obłoka,
I coraz wyżéj i coraz wyżéj,
Aż całkiem zniknął z przed oka.

Długo dziewczynka, drżąca i zbladła,
Jak wryta na miejscu stała,
Przez nadzwyczajne zlękła widziadła,
Wracać do chatki nie śmiała.

Wróciła wreszcie — o! co za radość,
O! co za szczęście tam było:
Stało się wszystkim życzeniom zadość,
Matce jéj zdrowie wróciło!

Ant. Edw. Odyniec.

17. Zachwycenie.

— Matulu moja, powiedzcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?

— O moje dziecko, byłam ja w raju,
Gdzie drzewa rosną, jak w naszym gaju,
Same jabłonie i wielkie grusze;
Na nich najczystsze umarłych dusze,
Za dobry żywot, za świętą cnotę
Poprzemieniane w owoce złote,
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
W ciepłém się słońcu pięknie kołyszą;
Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,
Bo zaraz lecą w górę do nieba
Potém widziałam jasne niebiosy,
Owę pszenicę z złotymi kłosy,
Co się pochyla pod boże nóżki:
Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.
Potém widziałam przeróżne kwiatki,
Te w bożych łąkach prześliczne bratki,
Co się na ziemi bardzo kochali,
A potém w niebie powyrastali.

— Mateńko moja, proszęż ja ciebie,
Co téż tam robi Pan Jezus w niebie?...
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Królowa nasza, Najświętsza Panna?...

— O moje dziecko! o kochające,
Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę
I nie boją się, takie łaskawe;
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę.
Matka Najświętsza dla ludzkiéj nędzy
Wyrabia płótno ze srebrnéj przędzy;
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owéj roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnéj, słotnéj,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych srebrnych nitek babiego lata,
Co się na naszych płotach oplata.

— Matulu moja, czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli?

— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko tymi gwiazdami,
A słysząc ludzi proszących głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi,
I przez tę litość zboże się plemi

— Jest też, jak u nas, matulu droga,
Taka wesołość u Pana Boga?

— O moje dziecko! jak ci się zdaje?
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje.

— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?

— O jeszcze piękniéj, jeszcze weseléj,
Na złotych skrzypkach grają anieli.

— A gdzie się uczą przeróżnych pieśni?

— Tam, gdzie się uczą ptaszkowie leśni
I nasi ludzie: w rumianéj zorzy,
We łzach radości, w miłości Bożéj...

— Matulu moja, powiedzcie ino,
Widać tam naszę wioskę jedyną,
Naszę chałupę, bydło na smugu,
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?
Widać tam dziewczę, co zbiera ziele,
I tego dziada, co przy kościele
Siedzi i w górę wyciąga ręce,
Na małym wzgórku, przy Bożéj męce?

— O! widać wszystko, gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdéj duszy;
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną,
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi.

— Powiedzcież teraz, mateńko droga,
Co tam jest więcéj u Pana Boga?

— Potém widziałam: strasznéj wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając wielką księgę otwartą,
A Piotr apostoł kartę za kartą

Przewracał zwolna z smutkiem głębokim.
I patrzał na świat żałosnym wzrokiem.
Bo w owéj księdze wszystko tam stoi:
Co tylko człowiek na świecie zbroi,
I co się stało i co się stanie,
Jest o tém w niebie jasne pisanie;
Kiedy śmierć człeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko.

— Słuchajcie ino, matulu droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?

— Nie, moje dziecko; przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty, jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem.
Tylko z promieni, co stamtąd lecą
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie Boże.

— A jak daleko, matko, do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?

— Bogać tam miesiąc, o moje dziecię;
Iść tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi, jak braci własnych,
To wkońcu dojdzie do niebios jasnych,
I Piotr mu święty, apostoł boży,
Złocistym kluczem niebo otworzy.

— Toście wy dużo, matko, widzieli,
I pewniebyście wrócić tam chcieli;
Więc jak pójdziecie, mateńko droga,
To i mnie z sobą weźcie do Boga.

— O! ty zostaniesz, małe pacholę,
Bo któżby gęsi wypędzał w pole?
Ktoby po lesie zbierał jagody,
Graniastą krówkę pędził do wody?
Ktoby niósł ojcu w pole dwojaki?
Ktoby na ogień przynosił krzaki?
Tak, moje dziecko, moje kochane,
Ty się zostaniesz — ja nie zostanę.

— Ej! co tam gadać, wy nie umrzecie!
Jestci już dużo na tamtym świecie.

Teofil Lenartowicz.

18. Świteź.

Ktokolwiek będziesz w Nowogrodzkiéj stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.
Świteź tam jasne rozprzestrzenia łona
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszczą oczerniona,
A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku wodom lice:
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą
I dwa obaczysz księżyce.
Niepewny, czyli szklana z pod twéj stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli téż niebo swoje szklane stropy
Aż do nóg twoich ugina,

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu,
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiéjś otchłani błękitu.
Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie ułudzi;...
Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba najśmielszym być z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
Jakie się larwy szamocą!
Drżę cały, kiedy bają o tém starce,
I strach wspominać przed nocą.
Nieraz wśród wody, gwar jakoby w mieście,
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących i wrzaski niewieście,
I dzwonów gwałt i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza,
I dziewic żałosne modły.
Co to ma znaczyć? różni różnie plotą:
Cóż, kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Pan na Płużynach, którego pradziady
Były Świtezi dziedzice,
Zdawna przemyślał i zasięgał rady,
Jak zbadać te tajemnice.

Kazał przybory w bliskiém robić mieście
I wielkie sypał wydatki:
Związano niewód, głęboki stóp dwieście,
Budują czółna i statki.

Ja ostrzegałem, że w tak wielkiém dziele
Dobrze, kto z Bogiem poczyna;
Dano więc na mszę w niejednym kościele,
I ksiądz przyjechał z Cyryna.
Stanął na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał, pracę pokropił:
Pan daje hasło, odbijają baty,
Niewód się z szumem zatopił.

Topi się, pławki nadół z sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka;
Prężą się liny, niewód idzie zcicha,
Pewnie nie złowią ni oka.
Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciągną ostatek więcierzy:
Powiemże, jakie złowiono straszydło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.

Powiem jednakże. Nie straszydło wcale:
Żywa kobieta w niewodzie!
Twarz miała jasną, usta jak korale,
Włos biały, skąpany w wodzie.
Do brzegu dąży. A gdy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem:

„Młodzieńcy, wiecie, że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści:
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.
„I ty, zuchwały, i twoja gromada
Wrazbyście poszli w głębinie;
Lecz, że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie;

„Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli:
Bóg wam przez moje opowiada usta
Dzieje téj cudnéj topieli.
„Na miejscach, które dziś piaskiem zaniosło,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stal okrąg pięknego miasta.

„Świteź, i w sławne orężem ramiona
I w kraśne twarze bogata,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona,
Kwitnęła przez długie lata.

„Nie ćmił widoku ten ostęp ponury:
Przez żyzne wskróś okolice
Widać stąd było Nowogrodzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

„Raz niespodzianie obległ tam Mendoga
Potężném wojskiem car z Rusi;
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.

„Nim ściągnął wojsko z odległéj granicy,
Do ojca mego napisze:
„„Tuhanie! w tobie obrona stolicy,
Spiesz, zwołaj twe towarzysze!"“

„Skoro przeczytał Tuhan list książęcy
I wydał rokaz do wojny,
Stanęło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

„Uderzą w trąby, rusza młódź, już w bramie
Błyska Tuhana proporzec;
Lecz Tuhan stanie i ręce załamie,
I znowu jedzie na dworzec.

„I mówi do mnie: „„Jaż własnych mieszkańców
Dla obcéj zgubię odsieczy?
Wszak wiesz, że Świteź nie ma innych szańców
Prócz naszych piersi i mieczy.

„„Jeśli rozdzielę szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córy i żony?“ “

„Ojcze, odpowiem, lękasz się niewcześnie.
Idź, kędy sława cię woła!
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie
Widziałam jego anioła.

„Okrążył Świteź miecza błyskawicą
I nakrył złotymi pióry,
I rzekł mi: Póki męże za granicą,
Ja bronię żony i córy.

„Usłuchał Tuhan i za wojskiem goni;
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słychać gwar zdala, szczęk i tentent koni,
I zewsząd straszny wrzask: ura!

„Zagrzmią tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci;
Biegną na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.

„Gwałtu, wołają, zamykajcie bramę!
Tuż, tuż za nami Ruś wali.
Ach! zgińmy lepiéj, zabijmy się same!
Śmierć nas od hańby ocali.

„Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu:
Miecą bogactwa na stosy,
Przenoszą żagwie i płomień do gmachu,
I krzyczą strasznymi głosy:
„Przeklęty będzie, kto się nie dobije!
Broniłam, lecz próżny opór:
Klęczą, na progach wyciągają szyje,
A drugie przynoszą topór.
„Gotowa zbrodnia, czyli wezwać hordy
I podłe przyjąć kajdany,
Czy bezbożnymi wytępić się mordy.
Panie — zawołam — nad Pany!
„Jeśli nie możem ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u ciebie:
Niechaj nas lepiéj twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie!...
„Wtém jakaś białość nagle mię otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemną:
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy...
Już ziemi nie ma podemną!...
„Takeśmy uszły niewoli i rzezi. —
Widzisz to ziele dokoła?
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.
„Białawém kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
Liść ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.
„Za życia cnoty niewinnéj obrazy,
Jéj barwę mają po zgonie,
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.
„Doświadczył tego car i wrogów zgraja.
Gdy piękne ujrzawszy kwiecie,
Ten rwie i szyszak stalowy umaja,
Ten wianki na skronie plecie:
„Kto tylko ściągnął do głębiny ramię,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wyłamie,
I śmierć gwałtowna ugadza.
„Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
Pozostał sam odgłos kary:
Dotąd w swych baśniach prostota go święci,
I kwiaty nazywa *cary*.“
To mówiąc, pani zwolna się oddala;
Topią się statki i sieci,
Szum słychać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.

Jezioro do dna pękło nakształt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni:
Wpadła i falą nakryła się znowu,
I więcéj nie słychać o niéj.

Ad. Mickiewicz.

---

19. Baszyna.

Jest wioska Baszyna.
Tam na górze dwór,
Za dworem leszczyna,
Daléj głuchy bór.
A w borze zamczysko,
W koło wielki wał:
Tam dawniéj siedlisko
Dzielny rycerz miał.
I wpadli pohańce,
A wszystko strach zdjął:
Wbiegł rycerz na szańce,
Głowę Baszy ściął.
Stąd wioskę Baszyną
Nazwał rycerz sam.
Dziś zamek ruiną,
A strach mieszka tam.
Nie wielka osada,
Co otacza dwór;
Jak z pieca tam spada
Ścieżka z wielkich gór.
Po błoni na dole
Horyń wije bieg,
A srebrne topole
Wieńczą jego brzeg.
W téj niegdyś wsi byli
Sławni Prot i Jan;
Przyjaźnią zażyli,
A możny ich stan.
A wszystko łączyło
Tych przyjaciół dwóch:
Jedno serce było
I jeden był duch.
W zamczysku na górze
Jest kaplicy szczęt;
Kamienny krzyż w murze
Był jéj cały sprzęt.
Kto przysiągł tam krzywo,
Wnet go karał Bóg,
Bo nie wyszedł żywo
Za kaplicy próg.
Tak o téj świątnicy
Z dawna chodził słuch.
Do strasznéj kaplicy
Szło przyjaciół dwóch.
Przysięgli zwyczajem
Starodawnych lat,
Kochać się nawzajem
Jako brata brat.
Gdy przyszła na Jana,
Koléj żegnać świat,
Miał syna Stefana,
Jeszcze pięciu lat.
Część mienia rozdziela
Na kościół i lud,
A na przyjaciela
Zda opieki trud.
„Przysięgły — rzekł — bracie!
Moim synem rządź,
I po ojca stracie
Ojcem jemu bądź.
Grosz mój pozostały
W twoich ręku masz;
Jak dójdzie lat mały,
Wtedy jemu dasz.“
Już Stefan sierota
Lat szesnaście miał;
Pragnął wziąć u Prota
Ojcowizny dział.
Chciwości szatana
Prot w swéj duszy czcił;
Zaparł się, że Jana
Skarb u niego był.
„Gdy ci nędza cięży,
To ojcowski szał:
Na biednych, na księży
Dał wszystko, co miał.
Niech ojca jałmużny
Wróci niebios Pan:
On tobie jest dłużny;
Mnie nic nie dał Jan!“

Rzekł Stefan ze łzami:
„Gdyś sumienie struł,
Nie puść mnie z torbami;
Daj choć skarbu pół.“
Część trzecią i piątą
Choć się zgadzał brać,
A nawet dziesiątą,
Lecz Prot nie chciał dać.
„Chcesz w podłym mieć zysku —
Rzekł Stefan — coś wziął?
Chodź, przysiąż w zamczysku,
Gdzieś ojcu się kłął“.
Poszli i gromada
Poszła z nimi wraz.
Prot przysięgę składa,
Gdzie był krzyża głaz.
Lecz gdy się przybliża
Uczcić męki znak,
Jakaś moc od krzyża
Odpycha go wspak.

Padł na wstecz i krzyczy:
„Ach! ratujcie mnie!
Ten czartom w zdobyczy,
Kto się w fałszu klnie.
Jam z biednym sierotą
Tak nieludzki był!
Weźcie sobie złoto,
Com w komorze skrył.“
A wtém go oniemi,
Oczy poszły w słup;
Chcą go podnieść z ziemi,
Ale — już był trup.
Wszystkich przeszło mrowie,
Spieszą pod swój dach...
Odtąd w téj budowie
Jakiś mieszka strach.
Bo słychać tam w nocy
Jak łańcuchów brzęk;
Coś wzywa pomocy,
Coś zawodzi jęk.

Ks. Ign. Hołowiński

III. Gawędy i opowiadania.

20. Hetmańska pszczoła.

(Opowiadanie Mohorta).

Był dawnym czasem hetman od Różańca[1]),
Wielkiego herbu, potężnéj buławy,
I jasnéj cnoty i szerokiéj sławy,
Co od chłopięcia chodził z wrogiem tańca,
Co z hełmu jadał, a sławy przysporzył,
Z turzego rogu w czasie uczty pijał,
Co naród kochał, co królowi służył,
A za ojczyznę siwą głowę złożył.
Otóż to o nim stara powieść chodzi,
Że raz, gdy wojsko na stepach postawił,
Chcąc dotrzéć tego, czy liczny wróg godzi,
Sam na podsłuchy pod noc się wyprawił,
I z jednym tylko giermkiem ważył życie,
A całą ordę do koła objechał,
I do obozu powracał o świcie,
Kończąc pacierze, i rad się uśmiechał.
Starsi czekali powrotu pańskiego;
Lecz choć im nie dał rozkazu żadnego,
Nikt się z czeladzi nawet nie zatrwożył,
Widząc, że hetman przespać się położył.
Usnął, a giermek wnijście od namiotu
Zasuł zasłoną; a choć nikt nie cichał,
Tak cicho było, jakby człek nie dychał,
Że jak ptak leciał, toś dosłyszał lotu.
Byłoto w lipcu, właśnie pod czas roju.
Słońce podbiegło i stało wysoko,
Kiedy pan hetman przetarł ze snu oko,
Tak twardo usnął po rycerskim znoju;
I byłby jeszcze spał, bo się utrudził,
Ale brzęk roju, co minął w polocie
Cały nasz obóz, ze snu go obudził,
Bo opadł prawie na pańskim namiocie.
„Gdzie to już słońce?! a co powie włodarz?
— Rzecze pan hetman; — zły ze mnie gospodarz,
Gdy mnie rój budzi. Czas poprawić cnoty!“

[1]) Podanie ukraińskie o hetmanie Stanisławie Żółkiewskim.

Zagiął rękawy i pełen ochoty,
Niby pasiecznik wziął się do roboty;
I zgarnął muchę i z lekka podkadził,
I w braku ula w pancerzu osadził,
I dziewięć było szyszaków téj muchy.
I wszystek naród nabrał stąd otuchy,
Że Bóg rój spuścił na namiot hetmana,
Że żadne żądło nie dotknęło pana.
Jakoż Bóg szczęścił i była wygrana.
Choć bez pancerza, hetman wroga pobił!
A gdy w też miejsca znowu wojsko sprawił,
Stał ul żelazny, tak, jak go postawił,
A rój był pięknie już głowę zarobił.
„Więc dobra wróżba! — pan hetman powiada: —
Niechże dar Boży w stepie nie przepada.“
I kazał naprzód cały jar poświęcić,
A potém czeladź do pracy zachęcić.
Usypał groblę i stawek wyprawił
I ściągnął ludzi i młynek postawił,
Ogrodził futor i okopał wałem,
Opatrzył bydłem; ot i owo zgoła
Usypał kopce na stepie dokoła.
Spisał przywilej i z dobytkiem całym
Oddał na własność rycerskiemu człeku,
Co się był dobrze ojczyźnie zasłużył,
By w tym futorze dokonał już wieku,
I zdał go wówczas dopiero potomnie,
Gdy już nie będzie więcéj granic stróżył.
Tak to się dostał w końcu futor do mnie.
W témsamém miejscu, gdzie onego czasu
Stał ul żelazny, dziś się pszczoła roi;
W témsamém miejscu, gdzie mój namiot stoi,
Stał i hetmański namiot pośród lasu.
I w téj pustyńce od owéj pamięci
Święty Onufry błogosławi wodzie,
I co rok woda w tym zdroju się święci,
I słynie odtąd łaskami w narodzie.
„Żelaznym ulem“ jest ten futor zwany,
A ów ul sławny — jak to każdy powie —
U Karmelitów był jeszcze chowany
Za czasów króla Jana w Berdyczowie.
Król Jan dopiero zabrał ten ul z sobą
I w pańskiéj Żółkwi był skarbca ozdobą.
A wszystkie sławne pasieki dokoła
Z tegoto roju poszły po futorach,
I po słobodach i po pańskich dworach;
A wielką sławę ma — „hetmańska pszczoła“.

Winc. Pol.

21. Orzeł króla Jana.

(Gawęda Mohorta).

Gdy klucz żórawi tak dobrze posłużył,
Że lotem swoim drogę nam powróżył,
To powiem Panom, co w podobnéj sprawie
Stary Przeździecki z młodu mi powiadał,
Który był z królem Janem na wyprawie,
Jak tam się orzeł dziwnie wojsku nadał.
Są bowiem rzeczy, mimo ludzkie zdanie,
Do których rozum nie dorobi kluczy,
Których człek prosty na wojnie się uczy;
A całe wojsko patrzało tam na nie.
Król szedł na Kraków i Tarnowskie góry,
I chyba tylko z Pańskich świętych który
Tak się gotuje przed swojém męczeństwem,
Jak się gotował król przed tém zwycięstwem.

Procesyą obszedł Krakowskie kościoły,
I czynił śluby i wota w szczodrości,
I stare progi Jagiellońskiéj szkoły
Jak wierny uczeń odwiedzał w miłości,
I adoracyą serdeczną oddawszy
Relikwiom świętych Patronów Korony,
Szedł na wyprawę jak król najłaskawszy
I w łasce Bożéj mocarz namaszczony,
A w pochód biły mu Krakowskie dzwony.

Choć był jak rycerz dzielnością przejęty,
Choć taką wiarę miał i nabożeństwo
Do Matki Boskiéj i do Trójcy Świętéj,
Nie ufał sobie, czy mu da zwycięstwo...
Otóż zwyciężył, bo je daje temu
Pan, co nie sobie, ale ufa Jemu...

Już na Morawach zabiegł drogę panu
Prymas węgierski, arcybiskup Granu,
I za przymierze dziękował życzliwie,
I podjął w drodze króla miłościwie.

Aż tu o świcie przygoda nielada:
Podług pogłoski niedalekie wrogi,
A wojsko naszło na krzyżowe drogi
I niewiadomo, kędy iść wypada.

Król skinął ręką. Stanęły zastępy
I patrzą przed się ponuro jak sępy.
Lecz król na niebie dawno orła tropił,
Co się z pobliskich gór raźno wychopił
I wkoło wojska wielkiém kołem płynął,
A potém nagle nad królem się zwinął
I zawisł nisko — i okiem go zmierzył,
I przodem w drogę środkową uderzył.

Król, choć był królem, to miał zwyczaj taki,
Że równo z berłem czcił hetmańskie znaki;
Pamięć Chocima była mu tam drogą,
Że nawet królem idąc na wyprawę,
Zawsze na siodle Chocimską buławę
Hetmańskim strojem miał pod lewą nogą
Więc gdy się z orłem oko w oko zmierzył,
A orzeł w drogę środkową uderzył,
Wysoko w górę buławę wyrzucił,
W lewo buławę, w prawo konia zwrócił;
A jak przystało tylko na junaka,
Dał na tym zwrocie gładkiego szczupaka
I chwycił zręcznie lecącą z wysoka
Druchnę Chocimską, jakgdyby do tańca,
I jakby koniem tratował pohańca,
Tak po królewsku strzeliło mu z oka!
I krzyknął głośno, nim posunął przodem:
„Za orłem wiara! jeszcze Bóg z narodem!“
To mi krew pańska! to mi duch proroczy,
Co orła pojmie, gdy mu spojrzy w oczy!

Winc. Pol.

22. Stare wrota.

(W wyjątkach).

I.

Przez lat trzynaście pełniąc służby Boże,
Skarga pracował piórem, sercem, głową;
Ranek miał w zamku, cały dzień w klasztorze,
Chyba, że znowu do zamku pozową.
Król [1]), który pragnął, aby starość święta
Na długie lata chowała się krzepko,
Codzień bywało najwierniéj pamięta,
Aby go dworską odsyłać kolebką.
Ale apostoł, pełen ducha mocy,
Brzydził się blaskiem wytwornéj karocy.
Więc wyszukano na królewskiéj stajnie
Skarbniczek mały, wygodny, niekryty,
Co o godzinie szóstéj jednostajnie
Szedł pod mieszkanie księdza Jezuity.
Od lat trzynastu już odtąd co rano
Ów niepoczesny skarbniczek widziano:
Zielonéj barwy, z koły wysokiemi,
Trząsł się po bruku, czy po równéj ziemi;
A stary konik, bułany, niewielki,
Cichéj natury, jak właśnie dla księdza,

[1]) Zygmunt III.

Szedł sobie stępo, zaprzężon w dyszelki;
Stary woźnica lejcem go popędza.
Woźnica strojny ze złotem błękitno,
Miał pas wzorzysty i kołpaczek rysi;
Policzki jego jeszcze zdrowiem kwitną,
A wąs srebrzysty aż do pasa wisi.
Rodem był Litwin, nazwiskiem Szeliga.
Sługiwał dawniéj na wojskowym żołdzie;
A gdy piątego krzyżyka dościga,
Był dojeżdżaczem przy panu Gasztołdzie.
Potém go bieda, (jak w świecie zwyczajnie),
Wypchnęła z Litwy rodzinnego sioła:
Został woźnicą przy królewskiéj stajnie,
I księdza Skargę woził do kościoła.
Ksiądz Skarga, wózek i postać woźnicy,
I zasłużony koń bułanéj maści,
Nawykli k' sobie przez latek trzynaście
I ludzie do nich zwykli na ulicy.
Gdy rankiem przemkną bywało przez miasto,
Stragarze wiedzą, że szósta godzina;
Kiedy wracają, to znaczy dwunasta:
Stary skarbniczek, wskazówka jedyna.
Wtedy się cisną i wielcy i mali,
Popatrzeć w oczy wielkiego człowieka:
Ów czołem bije, ów Chrystusa chwali,
A owa dziatwę prowadzi zdaleka,
Bo ma otuchę, że apostoł Boży
Błogosławieństwo na jéj głowę włoży.
Stary Szeliga był chlubny niemało,
Takiego człeka, że mu wieść przystało;
I zazdroszczono jemu tych zaszczytów.
Ale on z dworskich żartując poswarek,
Jeździł codziennie, wiernie jak zegarek,
Do Jezuitów i od Jezuitów.
Tak do swéj służby ułożył się zdatnie,
Że woził Skargę, jak żaden z czeladzi:
Na jedném miejscu bułanego zatnie,
Na jedném miejscu o kamień zawadzi;
Gdy wraca prózen w południowéj chwili,
Z jednego miejsca przygląda się miastu;
W jednéj gospodzie szklanicę wychyli —
To był obyczaj już od lat trzynastu...

Łaską królewską uwolnion ze dworu,
Gdy ze służalca przekształcił się w człeka,
Poszedł Szeliga, gdzie Litwa daleka,
Gdzie dworek ojców pustką stał śród boru.
Niełatwe tutaj czekały nań sprawy,
Lecz go wzmacniały szlachetne pochopy:

Grunta rodzinne wykupił z zastawy,
Sam zwalił w lesie bierwion cztéry kopy,
Zwiózł je do domu, a coraz to żwawszy,
Sam ociosywał kłody ku budowie;
A dobrych ludzi na pomoc przyzwawszy,
Wkrótce odnowił ojczyste pustkowie.
Zdobiły chatę: ogródek wzorzysty,
Przyzba, i ganek, i kominy z cegły,
A stara jabłoń i klon gałęzisty
Sowitym cieniem pół dworku zaległy.
Wjazd stanowiły staroświeckie wrota;
O dwojgu słupach z furtką i przełazem,
Z dachem ze słomy, okute żelazem: —
Zajechać do nich, aż brała ochota.
Żyjąc tu z ludźmi, albo czyniąc modły,
Starzec lat kilka doma gospodarzył,
Kiedy mu gościa Niebiosa przywiodły,
O którym nawet i we śnie nie marzył.
Był to ksiądz Skarga, dla zakonnéj sprawy
Jadący tędy do Wilna z Warszawy.
Przypomniał sobie woźnicę Litwina,
Rozpytał o nim u ludzi w podróży,
I, co dobremu sercu nie nowina,
Przyszedł obaczyć, jak mu szczęście płuży.
Wesołém hasłem w szlacheckiéj chudobie
Skrzypnęły wrota, kiedy je otworzy.
Szeliga szczęśliw, nie wierzył sam sobie,
Że jego chatę nawiedza mąż Boży,
Padł na kolana, Bogu składa dzięki,
Że mu dał dożyć tak szczęśliwéj chwili,
A domownicy wszyscy przyskoczyli,
Wszyscy się cisną do kapłańskiéj ręki.
Kapłan każdemu dał uścisk życzliwy,
I błogosławi wszystkich mąż dostojny.
Stary Szeliga czegoś niespokojny,
Chce o coś prosić: — „Ojcze miłościwy!
Nim wasze konie miarkę owsa zjedzą,
Raczcie poświęcić mój domek ubogi,
Moję obórkę, moje sienne stogi,
Moję pasiekę, co leży pod miedzą!“
— „Niech wam Bóg szczęści!“ — ksiądz Skarga odpowie,
Zwracając k' niemu swe spojrzenie czułe:
„Powiedzcie jeno memu pachołkowi,
Niech tu przyniesie i komżę i stułę
Jeśli mię Pan Bóg wybrał za narzędzie,
Gdy grzesznych modłów wysłucha choć w części,
Wierzaj mi, starcze, że dobrze ci będzie,
Że ci się tutaj we wszystkiém poszczęści.
Za to, żeś dźwignął ojcowskie zwaliska,

Kapłan cię żegna, przyjaciel uściska.“ —
Więc poświęciwszy pola, łąki, płoty,
Wraca do dworku stary Jezuita,
I tu stanąwszy przed nowymi wroty,
Skropił je wodą i modlitwę czyta;
A jego oko promieniem się żarzy,
Iskra zapału migoce na twarzy:
„Wrota! — zawołał — ku szlacheckiéj chacie,
Wy, co radośnie drogę odmykacie,
Niechaj stróż anioł pilnuje was codzień
Od złego gościa lub złego sąsiada:
Niechaj się tędy nie przemyka zdrada!
Niech waszych skrzydeł nie odemknie zbrodzień!
Jeśli ktokolwiek z jaką myślą zdradną,
Zechce tu wkroczyć łaską lub przemocą,
Niechaj te wrota na głowę mu spadną,
Niechaj mu głowę i piersi zgruchocą!“

II.

Krzysztof Szeliga, występny banita [1]),
Wygnan od ziomków za swe niecne sprawy;
Lecz za to bogacz — a myśl jego skryta
Mało się troszczy tém piętnem niesławy.
A hetman nieco łagodząc mu winę,
Nim się dopełni wygnanie złowieszcze,
Kilka dni czasu zostawia mu jeszcze,
Aby mógł sprzedać ojcowską wioszczynę.
Szczupłyć to dworek — mało go obchodzi; —
Jednak Szeliga skorzystał z pozoru,
Aby na Litwie wśród tamecznéj młodzi,
Jednać stronniki dla szwedzkiego dworu.
Pojechał wtedy w rodowitą stronę,
Gdzie od młodości nie postał i nogą. —
Cztéry rumaki, w karocę wprzężone,
Pędzą ku Litwie, jak wyskoczyć mogą.
I któżby poznał po tak długim czasie
Syna woźnicy w téj pańskiéj kolasie?
Na pacholęciu przed dawnymi laty,
Gdy wyjeżdżało z ojcowskiego domu,
Nie świecił w oczy strój taki bogaty,
Twarz była młoda, a czoło bez sromu.
Za nim leciały, jako towarzysze,
Błogosławieństwa ojca i kapłana;
Dziś głowa jego z kraju wywołana,
Przekleństwo ziomków hańby wyrok pisze.

---

[1]) Rzecz dzieje się za czasów Jana Kazimierza, pod koniec wojny szwedzkiéj.

I kraj się zmienił, że poznać nie można:
Tak było pięknie, tak było zielono!
A teraz dymem wsi i miasta płoną,
Świątynie — ręka odarła bezbożna,
Nie słychać w polu śpiewania żniwiarzy;
Kryje się w lasach trwożliwa drużyna,
A gdy człowieka napotkać się zdarzy,
Ten gorzko płacze i Szweda przeklina.
Zboża spalone, nagie świątyń mury,
Wszędy zniszczenie, gdzie oko dościga....
I gorzko, gorzko zaśmiał się Szeliga,
Dworek swych ojców gdy zobaczył z góry:
Runęły śpichrze, gołębnik, stodoła,
Dom pochylony do upadku gotów;
Klonów i gruszy nie było już zgoła,
Rosły badyle w ogródku bez płotów.
Znaczno, że wszędy przeszedł czas pożerczy,
Wszystko bolesne przypomnienia budzi;
Tylko przed wjazdem stara brama sterczy,
Zaklęciem Skargi pamiętna u ludzi.
Westchnął Szeliga, a z dumnego oka
Trysnęła łezka, gość niespodziewany;
Lecz się opomniał i spojrzał z wysoka,
I począł nowe osnowywać plany.

„Ten, kto ma złoto, ma wszystko na świecie. —
Co mi tam szkodzi wygnańca nazwisko?
Banita polski — nie zginąłem przecie:
Na ziemi szwedzkiéj znajdę przytulisko,
Tam kupię dobra, grosz popłaca wszędzie.
Ale nie żegnam méj rodzinnéj włości;
Gdy się król szwedzki na siłę zdobędzie,
My znowu tutaj zawitamy w gości.
Odbiorę własność może w rok najdaléj
I wygnam z kraju tych, co mnie wygnali.
Tu będzie pałac, na nim herb kamienny,
Gniazdo Szeligów, odnowić potrzeba:
Stary mój ojciec, królewski stajenny,
Aż się uśmiechnie z wysokiego nieba.
Bo cóż za złoto okupić się nie da?
I cześć powróci, którą wyrok plami;
Bylebym tylko między Litwinami
Zjednał co więcéj stronników dla Szweda“.

Kiedy tak dumał, rumaki jak z procy
Leciały pędem na dworku zwaliska. —
Oś czterokonnéj wspaniałéj karocy
Pod stare wrota z trudnością się wciska —
A wrota wąskie, bo tędy od wieka

Szedł prosty wózek lub wjeżdżał gość konny;
Bo wiedział starzec, że się nie doczeka,
Iż go odwiedzi urzędnik koronny,
I nie dla karet szerokiéj postaci
Budował wrota, lecz dla szlachty braci.
Za ciasno było synowskiéj kolebce:
Uwięzły konie, woźnica je płaży.
Szeliga zadrżał,... pobledniał na twarzy,...
Coś niedobrego przeczucie mu szepce.
Konie zerwały, coś się wraz gruchoce:
Spróchniałe słupy pękły od zamachu,
I cały ciężar dębowego dachu
Z głuchym łoskotem pada na karocę.
Przegniła słoma i krokwi gromada
Całkiem przykryły woźnicę i pana.
Trzaska się w szczęty karoca złamana,
I cug rumaków na kolana pada,
Nakoniec targnął i odrzucił w stronę
Dwa trupy ludzkie, na miazgę stłuczone.

Więc stare wrota nad zdradziecką głową
Już dopełniły swojéj powinności!
Tak sobie ludzie powiadali prości,
Przypominając księdza Skargi słowo:
„Kto tędy przejdzie z jaką myślą zdradną,
Niechaj te wrota na niego upadną!“

Władysław Syrokomla.

---

23. Karol Gustaw w Krakowie.

Karol w gmachach Wawelskich o pomniki pyta.
Sędziwy Starowolski przy odrzwiach go wita,
Starowolski, mąż wiekiem poważnego czoła,
Świadom i dziejów Polski i dziejów kościoła.
Uczciwszy Boga, grobów króli szuka okiem. —
„Królu!“ — rzekł kapłan — „wstecznym racz powrócić krokiem,
„Znajdziesz od progu na téj świątyni prawicy. —
I wiedzie go do starych Jagiełłów kaplicy.
„To jest“ — mówi — „Jagiełło, co z Jadwigi dłonią
Pierwszy węzłem przez śluby spiął Orła z Pogonią,
Starł Krzyżaków, a póki berłem Polski władał,
Nigdy miecza nie złożył i z konia nie zsiadał.—
To Kaźmierz, wybran chęcią obu ludów zgodną,
Wolał Litwę dziedziczną, niż Polskę swobodną;
Mądrością długich rządów, walecznością czynów,
Cztéry korony na skroń przysposobił synów.
Jednym się tu pomnikiem nie szczycą te ściany,
Króla, co legł za wiarę, walcząc z Muzułmany,

Legł, jak poléc królowi polskiemu przystoi:
Na krwawych Warny polach pomnik jego stoi“.
„Gdzie są zwłoki Zygmuntów?“ — król ciekawie bada.
„Są za grobami Wazów“ — kapłan odpowiada.
Na to zmarszczył brew Karol, nie kryjąc urazy:
„W Upsali mają groby prawe szwedzkie Wazy“.
Minął i pod wspaniałe z ciosów wszedł sklepienia,
A kapłan mu koleją pomniki wymienia:
„To jest Zygmunt. Pół wieku trzymał władzy szale,
Karolom i Franciszkom zrównał w rządów chwale:
Kochał pokój, przygaszał do wojny pochopy,
Rozjemcą go swym zwali mocarze Europy;
Mądre prawa stanowił, wzniósł nauk świątynię,
I miłość ich zaszczepił w narodzie i synie.
Stąd w paśmie dziejów Polski jeden z wieków cały
Od imienia Zygmuntów przybrał znamię chwały.
Struły schyłek, siwymi posrebrzony szrony,
Niesfór szlachty pod Lwowem i przewrotność Bony.—
To jest August, Jagiełłów drogie krwi ostatki,
Ofiara żądz, chytrością zaszczepionych matki.
Inflanty pod moc swojéj zagarnął opieki,
Związek Litwy z Koroną ustalił na wieki;
Państw, skarbów zrobił Polskę dziedziczką po sobie.
Mniéj kochany za życia, płakany przy grobie,
Bo po nim bezrząd swoje rozkrzewił nasiona,
W bezkrólewiach na frymark poszła ta korona“.
Król spuszcza się z kapłanem do ciemnego lochu:
Z władzy, potęgi, chwały — widzi szczyptę prochu,
Widzi zakrzepłe twarze, widzi martwe zwłoki,
Tak zimne, jak te czarne sklepienia z opoki;
A umysł, ślepy dumą, pamięć z myśli strada,
Że te prochy władały tak, jak on dziś włada,
I jakby nieśmiertelność wziął z bóstwem pospołu,
Przy urnach z popiołami dmie się garść popiołu.
Owszem, wychodząc większą pychą się nadyma,
Że po tak wielkich królach berło w ręku trzyma.
Staje między wzniosłymi górnych sklepień łuki,
Widzi z marmuru pomnik Praxytela sztuki,
Do łoża śmierci postać królewską przykutą:
Powagę rysów twarzy zachowało dłuto,
Ale go krata z kruszcu do koła otacza.
„Co znaczy ta zapora?“ — pyta się tłómacza.
„To jest Kaźmierz“ — rzekł kapłan — „ostatni z krwi Piasta.
„Pod nim wzrosły te grody, te twierdze, te miasta.
Miejsca pustyń osady i zamki zaległy:
Objął Polskę drewnianą, a zostawił z cegły.
Księgą praw gwałt ukrócił, który lud uciskał.
Rdzewiał pod nim miecz Chrobrych, a lemiesz połyskał.
Zwano go królem chłopów. Gdy zawarł powieki,

Imię Wielkiego wdzięczne przyznały mu wieki.
Lud pomnik trwalszym nad spiż wyrazem ozdobił,
Żal swój usty wytłoczył i łzami wyżłobił.
Lecz gdy ucisk powrócił między wiejskie chaty,
Lud od natłoku ledwie wstrzymały te kraty;
Cień jego wywołując przy żałosnych skargach,
Łzą marmur w pył zmiękczony unosił na wargach.—
To jest król najsławniejszy walecznymi czyny,
Batory: przeszedł za brzeg Połoty i Dźwiny,
I potężnêm ramieniem przy dzielnych hetmanach
Zmusił Moskwę pokoju błagać na kolanach.
Niestety! gdy zamierzał dokonywać dzieła,
Dni drogie dla narodu śmierć w Grodnie przecięła".
Gdy się ku drugiéj stronie świątyni przybliża,
Czyta napis u stopni wzniesionego krzyża:
„Przy tym krzyżu Jadwiga łzy sączyła hojne,
Ilekroć król i naród biegł odpierać wojnę,
Zdobiła tron cnotami, zgasła w wieku wiośnie".
A kapłan opowiada jéj życie żałośnie,
Jakie dla obu ludów, dla Boga, dla wiary
Z miłującego serca zrobiła ofiary. —
Gdy się dalej posuwa, na przeciwnéj stronie
Widzi posąg leżący, z berłem i w koronie.
Na drobnym wzroście dziwi go ogrom pancerza:
„To jest" — rzekł kapłan — „ojciec wielkiego Kaźmierza,
Łokietek: wielki męstwem, chociaż drobny ciałem,
Złączył Polskę, rozdartą naddziadów podziałem,
Przemógł współzawodników, a na polach Płowców
Przytarł dumną potęgę grabieżnych Krzyżowców.
Trzykroć tułacz, po trzykroć powracał do tronu,
I na ostrzu oręża trzymał go do zgonu".
Na to się obrażona pycha w królu cuci;
Rzekł: „Łokietek wasz wrócił, Jan Kaźmierz nie wróci".
Odpowiada pokornym głosem stróż świątyni:
„Królu, fortuna zmienna, a Bóg cuda czyni".
Jak piorunem rażony kapłańskimi słowy,
Zaniemiał król i wątek przerywa rozmowy.

Kajetan Koźmian.

IV. Opisy i obrazki.

24. Wschód słońca.

Już ostatnie gwiazd perły zamierzchły i na dnie
Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie.
Prawą skronią złożone na wezgłowiu cieni,
Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;
A daléj okrąg, jakby powieka szeroka,
Rozsuwa się i w środku widać białek oka,
Widać tęczę, źrenicę. Już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął
I w białéj chmurce, jako złoty grot, zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,
Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,
A oko słońca weszło. Jeszcze nieco senne
Przymruża się, drżąc, wstrząsa swe rzęsy promienne.
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem;
Aż rozlśniło się jako kryształ przezroczyste,
Potém jak brylant światłe, nakoniec ogniste,
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
Tak po niezmiernéм niebie szło samotne słońce.

Ad. Mickiewicz.

25. Poranek mglisty.

Nieznacznie z wilgotnego wykradał się mroku
Świt bez rumieńca, wiodąc dzień bez światła w oku
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy:
Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy
Nad ubogą Litwina chatką. W stronie wschodu
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu,
Że słońce wstało; tędy ma wstąpić na ziemię,
Lecz idzie niewesoło i po drodze drzemie.
Za przykładem niebieskim wszystko się spóźniło
Na ziemi. Bydło późno na paszę ruszyło
I zdybało zające przy późném śniadaniu.
One zwykły do gajów wracać o świtaniu;
Dziś, okryte tumanem, te mokrzycę chrupią,

Te jamki w roli kopiąc, parami się kupią
I na wolném powietrzu myślą użyć wczasu;
Ale przed bydłem muszą powracać do lasu.
I w lasach cisza. Ptaszek zbudzony nie spiewa;
Otrząsnął piérze z rosy, tuli się do drzewa,
Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży
I czeka słońca. Kędyś, u brzegów kałuży,
Klekce bocian. Na kopach siedzą wrony zmokłe,
Rozdziawiwszy się, ciągną gawędy rozwlokłe,
Obrzydłe gospodarzom, jako wróżby słoty.
Gospodarze już dawno wyszli do roboty.
Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną,
Jak dzień słotny ponurą, tęskną, jednostajną,
Tém smutniejszą, że dźwięk jéj w mgłę bez echa wsiąka.
Chrzęsnęły sierpy w zbożu, ozwała się łąka:
Rząd kosiarzy otawę siekących wciąż brząka,
Pogwizdując piosenkę; z końcem każdéj zwrotki
Stają, ostrzą żelezca i w takt kują młotki.
Ludzi we mgle nie widać, tylko sierpy, kosy,
I pieśni brzmią, jak muzyk niewidzialnych głosy.

Ad. Mickiewicz.

---

26. W głębi lasu.

Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy
Za chybioną zwierzynę, ileż w leśnéj ciszy
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,
Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie;
A koło mnie srebrzył się — tu mech siwobrody,
Zlany granatem czarnéj, zgniecionéj jagody,
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznice, jakby w koralów paciorki.
Wokoło była ciemność: gałęzie u góry
Wisiały, jak zielone, gęste, niskie chmury;
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem.
Dziwny, odurzający hałas! — mnie się zdało,
Że tam nad głową morze wiszące szalało.
Na dole, jak ruiny miast: tu wywrót dębu
Wysterka z ziemi, na kształt ogromnego zrębu;
Na nim oparte, jak ścian i kolumn obłamy,
Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy,
Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu
Zajrzeć straszno; tam siedzą gospodarze lasu:
Dziki, niedźwiedzie, wilki. U wrót leżą kości
Napół zgryzione jakichś nieostrożnych gości.
Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie,
Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,

I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
Jak promień, kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem.
I znowu cichość w dole. Dzięcioł na jedlinie
Stuka z lekka i dalej odlatuje, ginie;
Schował się, ale dzióbem nie przestaje pukać,
Jak dziecko, gdy schowane, woła, by go szukać.
Bliżéj siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma,
Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,
Jak pióro nad szyszakiem u kirasyera;
Chociaż tak osłoniona, dokoła spoziera;
Dostrzegłszy gościa, skacze gajów tanecznica
Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica,
Nakoniec w niewidzialny otwór pnia przepada,
Jak wracająca w drzewo rodzime Dryada [1]).

Ad. Mickiewicz.

27. Dwór w zaścianku.

Jak Maciej nad zaściankiem, dom jego nad siołem
Panował, stojąc między karczmą i kościołem.
Widać, rzadko zwiedzany, mieszka w nim hołota:
Bo brama sterczy bez wrót, ogrody bez płota,
Nie zasiane; na grzędach już porosły brzózki.
Przecież ten folwark zdał się być stolicą wioski,
Iż kształtniejszy od innych chat, bardziéj rozległy
I prawą stronę, gdzie jest świetlica, miał z cegły.
Obok lamus, śpichrz, gumno, obora i stajnie,
Wszystko w kupie, jak bywa u szlachty zwyczajnie,
Wszystko nadzwyczaj stare, zgniłe. Domu dachy
Świeciły się, jakgdyby od zielonéj blachy,
Od mchu i trawy, która buja jak na łące.
Po strzechach gumien, niby ogrody wiszące
Różnych roślin, pokrzywa i krokos czerwony,
Żółta dziewanna, szczyru barwiste ogony.
Gniazda ptastwa różnego, w strychach gołębniki,
W oknach gniazda jaskółcze; u progu króliki
Białe skaczą i ryją w niedeptanéj darni.
Słowem, dwór nakształt klatki albo królikarni.
A dawniéj był obronny! Pełno wszędzie śladów,
Że wielkich i że częstych doznawał napadów.
Pod bramą dotąd w trawie, jak dziecięca głowa,
Wielka leżała kula żelazna, działowa,
Od czasów szwedzkich; niegdyś skrzydło wrót otwarte
Bywało o tę kulę, jak o głaz, oparte.
Na dziedzińcu, z pomiędzy piołunu i chwastu,
Wznoszą się stare szczęty krzyżów kilkunastu
Na ziemi nieświęconéj: znać, że tu chowano
Poległych śmiercią nagłą i niespodziewaną.

[1]) Dryady — nimfy leśne, bóstwa opiekuńcze drzew.

Ktoby uważał zbliska lamus, śpichrz i chatę,
Ujrzy ściany od ziemi do szczytu pstrokate
Niby rojem owadów czarnych: w każdéj plamie
Siedzi we środku kula, jak czmiel w ziemnéj jamie.
U drzwi domostwa wszystkie klamki, ćwieki, haki
Albo ucięte albo noszą szabel znaki:
Pewnie tu próbowano hartu Zygmuntówek,
Którymi można śmiało ćwieki obciąć z główek
Lub hak przerznąć, w brzeszczocie nie zrobiwszy szczerby.
Nade drzwiami Dobrzyńskich widne były herby;
Lecz armaturę — serów zasłoniły półki
I zasklepiły gęsto gniazdami jaskółki.
Wewnątrz samego domu, w stajni i wozowni,
Pełno znajdziesz rynsztunków, jak w starej zbrojowni.
Pod dachem wiszą cztéry ogromne szyszaki,
Ozdoby czół marsowych; dziś Wenery ptaki [1]),
Gołębie, w nich gruchając, karmią swe pisklęta.
W stajni kolczuga wielka, nad żłobem rozpięta,
I pierścieniasty pancerz służą za drabinę,
W którą chłopiec zarzuca źrebcom dzięcielinę.
W kuchni kilka rapierów kucharka bezbożna
Odhartowała, kładąc je w piec, zamiast rożna;
Buńczukiem, łupem z Wiednia, otrzepywa żarna:
Słowem, wygnała Marsa Ceres gospodarna
I panuje z Pomoną, Florą i Wertumnem [2])
Nad Dobrzyńskiego domem, stodołą i gumnem.

Ad. Mickiewicz.

---

28. Wspomnienia myśliwskie.

Kto z nas tych lat nie pomni, gdy młode pacholę,
Ze strzelbą na ramieniu, świszcząc szedł na pole,
Gdzie żaden wał, płot żaden nogi nie utrudza,
Gdzie przestępując miedzę, nie poznasz, że cudza!
Bo na Litwie myśliwiec, jak okręt na morzu,
Gdzie chcesz, jaką chcesz drogą, buja po przestworzu:
Czyli jak prorok patrzy w niebo, gdzie w obłoku
Wiele jest znaków, widnych strzeleckiemu oku;
Czy jak czarownik gada z ziemią, która, głucha
Dla mieszczan, mnóstwem głosów szepce mu do ucha.

Tam derkacz wrzasnął z łąki; szukać go daremnie,
Bo on szybuje w trawie, jako szczupak w Niemnie.

---

[1]) Wenera — u starożytnych Rzymian bogini piękności. Jéj poświęcone były gołębie. — [2]) Starożytne bóstwa rzymskie: Mars — wojny, Ceres — płodów polnych, Pomona — sadów, Flora — kwiatów, Wertumnus — zbiorów jesiennych.

*

Tam ozwał się nad głową ranny wiosny dzwonek,
Również głęboko w niebo schowany skowronek.
Ówdzie orzeł szerokiém skrzydłem przez obszary
Zaszumiał, strasząc wróble, jak kometa cary;
A jastrząb, pod jasnymi wiszący błękity,
Trzepie skrzydłem, jak motyl, na szpilce przybity,
Aż ujrzawszy wśród łąki ptaka lub zająca,
Runie nań z góry, jako gwiazda spadająca.

Ad. Mickiewicz.

---

29. Obiad przerwany.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem.
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem:
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy;
Idąc kłaniał się starcom, damom i młodzieży.
Obok stał kwestarz; Sędzia tuż przy Bernardynie.
Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie;
Podano w koléj wódkę, zaczém wszyscy siedli
I chołodziec litewski milczkiem, żwawo jedli.
Przemijały w milczeniu talerze i dania;
Przerwał nareszcie nudny tok obiadowania
Gość niespodziany. Szybko wpadając gajowy
Nie zważał nawet, że czas właśnie obiadowy;
Pobiegł do pana: widać z postawy i z miny,
Że ważnéj i niezwykłéj jest posłem nowiny.
Ku niemu oczy całe zwróciło zebranie.
On, odetchnąwszy nieco, rzekł: „Niedźwiedź, Mospanie!“
Resztę wszyscy odgadli: że zwierz z matecznika
Wyszedł, że w zaniemeńską puszczę się przemyka,
Że go trzeba wnet ścigać, wszyscy wraz uznali,
Choć ani się radzili ani namyślali.
Wspólną myśl widać było z uciętych wyrazów,
Z gestów żywych, z wydanych rozlicznych rozkazów,
Które, wychodząc tłumnie, razem z ust tak wielu,
Dążyły przecież wszystkie do jednego celu.
Taka to była zgoda, chociaż w wielkim tłumie,
Gdzie każdy gada tylko o tém, co rozumie.
„Na wieś! — zawołał Sędzia — hej konno, setnika!
Jutro na brzask obława, lecz na ochotnika:
Kto wystąpi z oszczepem, temu z robocizny
Wytrącić dwa szarwarki i pięć dni pańszczyzny!“
— „Wskok — krzyknął Podkomorzy — okulbaczyć siwą,
Dobiéc wcwał do mojego dworu! wziąć co żywo
Dwie pijawki, które w całéj okolicy słyną,
Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Strapczyną,
Zakneblować im pyski, zawiązać je w miechu,
I przystawić je tutaj konno dla pośpiechu!“

— „Wańka! — krzyknął na chłopca Asesor po rusku —
Tasak mój Sanguszkowski pociągnąć na brusku!
Wiesz, tasak, co od księcia miałem w podarunku;
Pas opatrzyć, czy kula jest w każdym ładunku!"
— „Strzelby — krzyknęli wszyscy — mieć na pogotowiu!"
Asesor wołał ciągle: „Ołowiu! ołowiu!
Formę do kul mam w torbie". — „Do księdza plebana
Dać znać, dodał pan Sędzia, żeby jutro zrana
Mszę miał w kaplicy leśnéj: króciuchna oferta
Za myśliwych, msza zwykła świętego Huberta".
Po wydanych rozkazach nastało milczenie.
Każdy dumał i rzucał dokoła wejrzenie,
Jakgdyby kogoś szukał: zwolna wszystkich oczy
Sędziwa twarz Wojskiego ciągnie i jednoczy;
Znak to był, że szukają na przyszłą wyprawę
Wodza i że Wojskiemu oddają buławę.
Wojski powstał: zrozumiał towarzyszów wolę,
I uderzywszy ręką poważnie po stole,
Pociągnął złocistego z zanadrza łańcuszka,
Na którym wisiał gruby zegarek, jak gruszka:
„Jutro — rzekł — w pół do piątéj, przy leśnéj kaplicy
Stawią się bracia strzelcy, wiara obławnicy!"
Rzekł i ruszył od stołu; za nim szedł gajowy:
Oni obmyślić mają i urządzić łowy.
Tak wodze, gdy na jutro bitwę zapowiedzą,
Żołnierze po obozie broń czyszczą i jedzą,
Lub na płaszczach i siodłach śpią, próżni kłopotu;
A wodze wśród cichego dumają namiotu.

Ad. Mickiewicz

---

30. Polonez.

Poloneza czas zacząć. Podkomorzy rusza
I zlekka zarzuciwszy wyloty kontusza
I wąsa pokręcając, podał rękę Zosi
I skłoniwszy się grzecznie w pierwszą parę prosi.
Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi;
Dano hasło, zaczęto taniec: on prowadzi.
Nad murawą czerwone połyskują buty,
Bije blask z karabeli, świeci się pas suty,
A on stąpa powoli, niby od niechcenia;
Ale z każdego kroku, z każdego ruszenia
Można tancerza czucia i myśli wyczytać.
Oto stanął, jakgdyby chciał swą damę pytać,
Pochyla ku niéj głowę, chce szepnąć do ucha;
Dama głowę odwraca, wstydzi się, nie słucha;
On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,
Dama raczyła spojrzéć, lecz milczy upornie;

On krok zwalnia, oczyma jéj spojrzenia śledzi,
I zaśmiał się nakoniec; rad z jéj odpowiedzi,
Stąpa prędzéj, pogląda na rywalów zgóry
I swą konfederatkę z czaplinymi pióry
To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,
Aż włożył ją na bakier i pokręcił wąsa.
Idzie; wszyscy zazdroszczą, biegą w jego ślady;
Onby rad ze swą damą wymknąć się z gromady:
Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi,
I, żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi;
Czasem zamyśla zręcznie na bok się uchylić,
Odmienia drogę, radby towarzyszów zmylić,
Lecz go szybkimi kroki ścigają natręty
I zewsząd obwijają tanecznymi skręty;
Więc gniewa się, prawicę na rękojeść składa,
Jakby rzekł: nie dbam o was! zazdrośnikom biada!
Zwraca się z dumą w czole i z wyzwaniem w oku
Prosto w tłum; tłum tancerzy nie śmie dostać w kroku,
Ustępują mu z drogi i zmieniwszy szyki,
Puszczają się znów za nim... Brzmią zewsząd okrzyki:
„Ach to może ostatni, patrzcie, patrzcie, młodzi,
Może ostatni, co tak poloneza wodzi!“
I szły pary po parze, hucznie i wesoło;
Rozkręcało się, znowu skręcało się koło,
Jak wąż olbrzymi, w tysiąc łamiący się zwojów;
Mieni się centkowata, różna barwa strojów
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,
Wyzłocona promieńmi zachodniego słońca
I odbita o ciemne murawy wezgłowia.
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

Ad. Mickiewicz.

---

31. Widok Czertomeliku.

Piękny to widok Czertomeliku!
Sto wysp przerznęły Dniepru strumienie,
Brzoza się kąpie w każdym strumyku,
Słychać szum trzciny, słowika pienie.
A kiedy wiosną wezbrane wody
Zaleją wszystkie wyspy dokoła,
Jeszcze nad wodą widać drzew czoła:
Jakby rusałek cudne ogrody,
Gałązką mącą wodne błękity.
I jeszcze słowik w gałązkach spiewa,
I szumią brzozy, lecz nad ich szczyty
Wznosi się fala i nikną drzewa.
Dziko Dniepr szumi, gdy w jego łonie
Sto wysp zielonych wiosną zatonie.

Piękny to widok stu wysep pana!
Woda mu ziemię z pod stóp wykradła;
Zamek się patrzy w fali zwierciadła,
Co mu przy stopach szumi wezbrana.
A gdy nań patrzysz, dziwnym pozorem
Rzekłbyś, że zamek wstecz rzeki płynie.
Cegła koralów świeci kolorem,
Lekkie filary podobne trzcinie.
Kilka ogromnych paszcz samostrzału
Patrzy strzelnicą na Czarne Morze;
A górą zamku okna z kryształu
Świecą się, palą, jak ranne zorze.
Tysiąc barw lśni się w każdym promyku,
Co bije z okien Czertomeliku.

Jul. Słowacki.

---

32. Miód ruski.

Choć ruska ziemia nie ma winogradu,
Zato nam pszczoły miód obficie wloką;
Dość jeno zajrzéć do lasu lub sadu,
Pełno tam plastrów z klarowną patoką.
Rosa niebieska upada na kwiatek,
Stamtąd ją pszczoła pracowicie zgarnie;
W spróchniałych drzewach zamożny dostatek
Drobne owady lepią gospodarnie.
Podkurzą nie kmiecie pracowici
I biorą plastry ze pszczelnéj budowy.
Miód z chmielną wodą kiedy się rozsyci,
Tworzy się napój posilny i zdrowy.
Włoski mieszkańcze! cóż twoje nektary?
Co twoje wina przed nektarem Rusi?
Wino jest z ziemi błotnistéj i szaréj;
Miód prosto z niebios spuszczony być musi.
Miód — rosa niebios i manna jedyna:
Pszczółka ją zbiera do swego zacisza;
Miody sycone lepsze są od wina,
O ile Bakchus niższy od Jowisza.
Gdy żniwem bogów są górne obłoki,
Człek żyje z tego, co ziemia przysporzy;
Niech inni w winie piją ziemne soki,
My Haliczanie mamy nektar Boży.
Szczęsny Rusinie! od Niebios masz wsparcie,
Krople jutrzenki i wieczornéj tęczy;
Szczęsna twa ziemia, obfite twe barcie,
Starowna pszczółka wesoło ci brzęczy;

Gęstymi rojmi w wypróchniałém drzewie
Mnożą się pszczoły zatrudnione pracą:
Często ukryte, że i człowiek nie wie;
Nikomu miodnéj daniny nie płacą.

Seb. Fab. Klonowicz.

33. Pożar stepu.

Wnet na trzech punktach stal iskry ciska...
Iskry, w garść suchéj trawy ujęte,
Podmuchem wiatru silnie rozdęte,
Trzy śród przestrzeni tworzą ogniska,
Co tak pełzają promieńmi mdłemi,
Jakby trzy gwiazdy legły na ziemi.
Ogień się rzuca na zeschłe zioła,
Wiatr go rozdyma, miota, roztrąca...
I już się palą trzy wielkie koła,
Jakgdyby z niebios spadły trzy słońca.
Z tych kół ognistych, przez podmuch świeży,
Żar się wylewa w jasnych potokach;
A każdy potok w step czarny bieży,
W liniach, zygzakach, wężach, przeskokach.
Już wichrem gnane w przestwór daleki,
Z trzaskiem i sykiem płyną trzy rzeki.
Płyną... wzbierają falą płomieni,
Niebo się krwawą łuną czerwieni.

Ogień z wściekłością ciągle rosnącą
Coraz się szerszém korytem leje,
Bucha, iskrami sypie, szaleje...
I już trzy rzeki z boków się łączą,
I straszny pożar w lewo i w prawo
Płomienną, długą toczy się lawą
Zbudzony światłem pobliskich krzaków,
By dzień powitać, leci rój ptaków...
Leci — na skrzydłach waży się — spiewa —
I milknie w paszczy otchłani wrzącéj...
Paszcza wciąż zieje, a krzaki, drzewa,
Gdy je obejmie oddech palący,
Stawają w ogniu i jak gwiazdami
Chwilę złotymi trzęsą liściami...
Przeszło... i drzewa w popiół się sypią...
A jako fale wzburzone kipią,
Tak bucząc, leci powódź płomieni. —
Niebo się coraz krwawiéj czerwieni.

Gustaw Zieliński.

34. Życie wiejskie.

Wsi spkojna, wsi wesoła,
Który głos twéj chwale zdoła [1])?
Kto twe wczasy [2]), kto pożytki
Może wspomnieć zaraz wszytki [3])?

Człowiek w twéj pieczy uczciwie
Bez wszelakiéj lichwy żywie;
Pobożne jego staranie
I bezpieczne nabywanie.

Inszy się ciągną przy dworze,
Albo żeglują przez morze,
Gdzie człowieka wicher pędzi,
A śmierć bliżéj, niż na piędzi [4]).

Najdziesz, kto wpłat język dawa [5]),
A radę na funt przedawa;
Krwią drudzy zysk oblewają,
Gardła na to odważają.

Oracz pługiem zarznie w ziemię:
Stąd i siebie i swe plemię,
Stąd roczną czeladź i wszytek
Opatruje swój dobytek.

Jemu sady obradzają,
Jemu pszczoły miód dawają;
Nań przychodzi z owiec wełna
I zagroda jagniąt pełna.

On łąki, on pola kosi,
A do gumna wszystko nosi;
Skoro téż siew odprawiemy,
Komin w koło obsiędziemy.

Tam już pieśni rozmaite.
Tam będą gadki pokryte [6]).
Tam trefne pląsy [7]) z ukłony,
Tam cenar, tam i goniony [8]).

A gospodarz wziąwszy siatkę,
Idzie mrokiem na usadkę,
Albo sidła stawia w lesie,
Jednak zawżdy coś przyniesie.

---

[1]) podoła. [2]) spokój, chwile przyjemne. [3]) wszystkie. [4]) na piędź, o piędź. [5]) językiem zarabia. [6]) zagadki trudne do rozwiązania. [7]) zgrabne, piękne tańce. [8]) rodzaje tańca.

W rzece ma gęste więcierze,
Czasem wędą ryby bierze;
A rozliczni ptacy wkoło
Ozywają się wesoło.

Stada igrają przy wodzie,
A sam pasterz, siedząc w chłodzie,
Gra w piszczałkę proste pieśni,
A Faunowie [1]) skaczą leśni.

Zatém skrzętna gospodyni
O wieczerzy pilność czyni,
Mając doma ten dostatek,
Że się obejdzie bez jatek.

Ona sama bydło liczy,
Kiedy z pola idąc, ryczy;
Ona i spuszczać [2]) pomoże,
Męża wzmaga [3]), jako może.

A niedorośli wnukowie
Chylą się ku starszéj głowie,
Wykną przestawać na male,
Wstyd i cnotę chować w cale.

Dzień tu [4]): ale jasne zorze
Zapadłyby znowu w morze,
Niżby [5]) mój głos wyrzekł wszytki
Wieśne wczasy i pożytki.

Jan Kochanowski.

---

[1]) u Rzymian bóstwa pól i lasów. [2]) doić. [3]) wspiera. [4]) dzień już bliski, niedaleko do dnia. (Tak mówi spiewaczka, która chwali życie wiejskie podczas zabaw w nocy Świętojańskiéj). [5]) wprzód, niżby.

B. Poezya liryczna.

I. Sonety, pieśni, dumki, krakowiaki.

35. Stepy akermańskie.

Wpłynąłem na suchego przestwór Oceanu:
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada: nigdzie drogi, ni kurhanu;
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi...
Tam zdala błyszczy obłok, tam jutrzenka wschodzi...
To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu!

Stójmy!... Jak cicho!... Słyszę ciągnące żórawie,
Którychby nie doścignęły źrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła...
W takiéj ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy...... Jedźmy, nikt nie woła!

Ad. Mickiewicz.

---

36. Ajudah.

Lubię poglądać, wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się, buchają, to jak srebrne śniegi
W milionowych tęczach kołują wspaniale;

Trącą się o mieliznę, rozbiją na fale,
Jak wojsko wielorybów, zalegając brzegi;
Zdobędą ląd w tryumfie i, napowrót zbiegi,
Miecą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce, o poeto młody,
Namiętność często groźne wzburza niepogody:
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona, bez twéj szkody,

Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni,
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki uplotą ozdobę twych skroni.

Ad. Mickiewicz.

---

37. Szczęście a cnota.

Nie wierz Fortunie, co siedzisz wysoko;
Miéj na poślednie koła pilne oko,
Bo to niestała pani z przyrodzenia,
Często więc rada sprawy swe odmienia.

Nie dufaj w złoto i w żadne pokłady [1]),
Każdéj godziny obawiaj się zdrady:
Fortuna, co da, to zasię wziąć może,
A u niéj żadna dawność nie pomoże.

A ci, co z tobą teraz przestawają,
Twéj się fortunie, nie tobie, kłaniają:
Skoro ta zniknie, tył każdy podawa,
Jako cień, kiedy słońca mu nie stawa.

Lecz jako sama oczy zasłoniła,
Tak swém pochlebstwem ludzi pobłaźniła,
Że drugi wyżéj nosa gębę nosi,
A wszystkich innych oczyma przenosi.

Ty pomnij, że twój skarb u szczęścia w mocy,
A tak się staraj o takiéj pomocy,
Aby wżdy z tobą twego co zostało,
Jeżeli będzie szczęście swego chciało [2]).

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi:
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda;
Nad wszystkiém inszém panuje przygoda.

J. Kochanowski.

---

38. Obraz cnoty.

Cnota czuć umie, jak trzeba
Losom szlachetnie ulegać,
Jak ani skargą lżyć nieba,
Ani za obręb wybiegać.

---

[1]) składy, skarbce. [2]) jeżeli szczęście odebrać zechce, co dało.

Ona bez podłych zamiarów
Rada ojczyźnie usłużyć,
A czystém sercem jéj darów
Zacnie i szukać i użyć.

Próżna jéj chluba nie drażni;
Lubi w ukryciu znać siebie,
I cichą rękę przyjaźni
Nieśmiałéj podać potrzebie.

Ta, swojéj wierna ozdobie,
W pogodzie i wpośród gromu,
Za domem skarbi cześć sobie,
A miłość i słodycz w domu.

Fran. Dyonizy Kniaźnin.

---

39. Skarb człowieka.

Gdziekolwiek myślą twoją uderzysz,
I czy uwierzysz człeku, czy zmierzysz,
Po całym świecie znajdziesz ład wszelki,
Bo świat jest Boży, a Bóg jest wielki.
A nie to wielkie, co bywa dumne,
Ani to wielkie, co ludziom szumne,
Jeno to wielkie, w co ludziom wierzyć,
Jeno to bywa człeku bezpieczne,
A jako dzieło Boże jest wieczne.
I nie ta ziemia przed inne sławna,
Kędy jest wiele mnogości zdawna,
Lecz onéj ziemi przed inne chwała,
Kędy ta czeladź Pańska dojrzała,
Kędy człek poznał Boga na niebie,
I świętą prawdę, daną za siebie.
A w onéj ziemi to znów najpierwsze,
Co ci od pieluch było najszczersze:
Więc wiara twoja, więc dom dziadowy,
Więc one wdzięczne stare dąbrowy,
Więc i mogiły, gdzie ojców kości;
Toć twoje skarby, toć twe miłości!

W. Pol.

---

40. Szczęście poety.

Ach! być poetą! Czy wiesz, dziewczyno,
Co to poetą być znaczy?
To jest mieć wszystkie skarby bogaczy,
Rządzić cudowną, boską krainą,

Jakiéj król żaden nie ma na ziemi,
Którą ze szczęścia, z czystéj mądrości,
Z wielkiego czucia, z nieskończoności
Stwarza się siły własnemi

Ach! być poetą — to jest być razem
Wszystkiém, co żyje pod niebem, w niebie,
Kropelką rosy, iskierką, głazem,
Świat wielki przedzierzgnąć w siebie;
Światu wielkiemu dumnie panować,
I gwiazdy nocy, poranku zorze,
Ciche strumienie, wzburzone morze,
Według swéj woli kierować.



Ach! być poetą — to ducha cudem
Czas niedościgły ująć w swe szpony,
Powieścią z wieków zedrzéć zasłony,
Hymnem przyszłości nucić przed ludem,
W jednéj godzinie przywłaszczyć sobie
Długiego życia innych wrażenia,
Pierwsze o szczęściu młodych marzenia
I myśl ostatnią starców o grobie!

Gabryela Narcyza Żmichowska.

---

41. Anioł Pański.

Och! jasno, zielono — a wieczór tak cichy:
Na gniazdo ptak leci, kwiat stula kielichy,
I perlą się rosy świecące...
Tam wiejskie pacholę pofleca z pagórka,
Tam daléj młyn szumi, tam bije przepiórka,
Tam skrzypią chruściele na łące,
Tam trzody ku wodzie hasają doliną,
I szemrze mącona rzeczułka,
I wstają mgły białe nad senną wioszczyną
I ozwał się dzwonek z kościółka:
Anioł Pański...

O! dzwonek-skowronek lubuje w swym głosie,
To skacze po górach, to ślizga po rosie,
Powodzią się tonów rozlewa...
A oto woń kwiatów, mgła biała, szum rzeczny,
Gwar ptasząt, flet dziecka, obłoczek słoneczny —
To wszystko się modli i śpiewa.
I dusza w wszechświecie rada się rozwleka
I pełnią żywota pierś rośnie.
Wznioślejsza nad inne modlitwa człowieka,
Więc daléj do chóru najgłośniéj:
Anioł Pański...

W mogiłach swéj ziemi, jak wojsko na leżach,
Pokładły się ojce na krwawych puklerzach,
Znużeni niejedną wyprawą;
I ciche sny mają, bo czyści i święci
Ofiarną krew swoję chowają w pamięci,
A ziemia pobrzmiewa ich sławą.
Więc gdy się rozejdzie wieczorna ta nuta
W ich grobach, co kraj ten mogilą,
To pierś się podniesie zbroicą zakuta,
A usta zamarłe odchylą:
Anioł Pański...

Gdy bole rodzinne aż do dna wypieśnię,
A ciało, pielgrzymką stargane boleśnie,
Do ciszy trumiennéj się skłoni,
Jak dzisiaj, tak kiedyś w méj śmierci godzinie
Niech fleci pacholę, niech łąką mgła płynie,
Kościółek na pacierz niech dzwoni!
Ostatni błysk oka za słońcem wyprawię,
Ostatnią łzę stoczę ku ziemi,
Konając raz jeszcze kraj pobłogosławię
I usty wyjąkam blademi:
Anioł Pański...

Korneli Ujejski.

---

42. Step.

Szumią trawy i burzany.
O! zielono skróś, o, sino!
Jako fale wciąż kurhany —
Step, a step, a rozbujany,
Morze twoje, Ukraino!
Kędy wzdłuż i wszerz za Turkiem
Koń i Kozak chodzim nurkiem!

Witaj, wielki m gilniku,
Krwią i ciały ległych żyzny!
Co wokoło zgiełku, kliku,
Tabunowych stad bez liku!
Trzód bez liku, rogacizny!
Ponad wodą tam zieloną
Pohasują, płyną, toną!



Patrzaj! patrzaj! nad rozdoły!
Różnowzory tłum skrzydlaty,
Który jako gmin wesoły,
Na chorągwie, na powiaty,
Rządzą orły a sokoły;
I czerń zgodna raźno, strojnie,
Wyspiewuje — jak po wojnie.

Stepie! stepie na z rodzimy!
Po rodzicu, och! z rodzica
Zadumane nasze lica!
My tu wszyscy pobratymy!
Och! i duma, to siostrzyca;
Jako nasze — jéj oblicze
Tęskne, dziwne, tajemnicze.

A taż wieczna tu muzyka,
Niby rozbrzęk gdzieś gęślowy
Co niewiedzieć skąd wynika?
Och! senliwa, jakoś dzika!
Podmogilnéj wyraz mowy
W rozpierzchnione zdaje szumy:
Czyż nie nuta naszéj dumy?

Dumoż! dumo Bojanowa!
Tu tak bujno i przestronno,
Że zabrzmieją w rozhuk słowa!
Cięży dzisiaj czemuś głowa.
Dumo! kiedyż wespół, konno
Hukniem w stepie? kiedyż po nim
Wdzięczną, brzęczną pieśń zadzwonim?

Bohdan Zaleski.

---

43. Lach Serdeczny na marach.

Czarnym szlachem za swym Lachem Ukraina wzdłuż,
Jako umie, w czarnéj dumie, krok za krokiem tuż,
Wielki żal podaje w niebo wszystkimi och! dzwony;
Wraca Lach jéj, Lach Serdeczny do swéj Lanckorony.

Wóz się toczy, zrywa oczy, a nie widno w łzach,
Wóz bogaty, hej makaty, na marach bo Lach!
Za marami pan Bohdanko, a między Kozaczą
Jazłowiecki i Sieniawski i Herburt w głos płaczą.

Wóz się toczy, zrywa oczy, prześwietla się wzwyż;
Hej buława! szabla rdzawa! hej czerwony krzyż!
Hej hetmańska zbroja, sławna po świecie szerokim!
Hej hetmański koń sierota! rży smutnie, wie, po kim.

Mogił tyle! — Na mogile co kilkoro staj,
Mary stoją, świecą zbroją, i modli się kraj:
A posępni towarzysze i bojów i chwały
Przyhukują naokoło na pochód wspaniały.

„Cześć na dobie, pokłon tobie, atamanie nasz!
Sojusz stary, szczeréj wiary mołojców swych znasz:
Już ty nie nasz, my nie twoi, hej! sojusz skończony!
Wracasz, ojcze, na słobodę, do swéj Lanckorony.

„Lanckorona twa rodzona nie puści cię w świat;
W Ukrainie, och! jedynie chwała inszych lat
W pieśń powieje przez mogiły od rodu do rodu,
Boś hetmanił i serdecznie i sławnie od młodu.

„Żywot krwawy, krwawéj sławy, ktoć zapomni z nas!
Lach nasz chrobry, i w czas dobry, i w najgorszy czas:
Czém Bóg darzył, żył i białym i czarnym on chlebem,
Leżał z nami w cudzych grodach i w stepie pod niebem.

„Żal się Boże! step i morze obiegliśmy z nim.
Grody dawne, kraje sławne, Wołosza i Krym
Nie zapomną na wiek wieków, jak z pola na pole
Bujał orzeł tam i wodził swe stado sokole.

„Cześć na dobie, chwała tobie, chwała, póki nas!
Hej serdeczny, pokój wieczny w niepożyty czas!
Póki świata, słońca, żal nasz, żal nieukojony,
W pieśń niech wieje od Kudaku aż do Lanckorony!“

Czarnym szlachem za swym Lachem Ukraina wzdłuż,
Jako umie, w tęsknéj dumie w płacz zawodzi tuż;
Nabożeństwem się do Boga na niebie przyczynia,
A wtórują głosy w głosach z Podola, z Wołynia.

B. Zaleski.

---

44. Wyjazd bez powrotu.

Stoi jawor wedle wody,
A chyla się, chyla;
Płacze, nudzi Kozak młody,
Bo ciężka nań chwila.

O nie chylaj się, jaworze:
Zielonyś, młodziutki!
I tyś, chłopcze, w rannéj porze:
Naco ci tam smutki?

Jak się jawor chylać nie ma?
Fala śród gałęzi!
Jak z suchymi stać oczyma?
Serce na uwięzi!

Kozak żegna dom swój wiecznie:
A gdzież w inszéj ziemi
Tak miłują się serdecznie?
Tak tęsknią za swemi?

Jedzie, jedzie przez dąbrowę,
Na cudze już strony;
Siodło pod nim orzechowe
I koń jego wrony.

O! za Dunaj jedzie siny,
Na chleb gdzieś tułaczy,
Swojéj lubéj Ukrainy
Nigdy nie obaczy.

Rok za rokiem krwawe boje
Przez długie tam lata,
Jak potomstwo liczy swoje,
Hoduje dla świata.

Idą przecie milsze chwile:
Grób stoi gotowy!
Prosi wszczepić na mogile
Kalinę u głowy:

„Będą ptaszki dniem i nocą
Dziobać po kalinie:
Może kiedy zaszczebiocą
Wieść o Ukrainie.“ —

B. Zaleski.

---

45. Dumka wygnańca.

Na dolinie na zielonéj
Widzę w dali wioskę małą,
Domek płotem ogrodzony,
Na zakręcie brzozę białą.

Do gościńca droga długa,
Na niéj lipy i topole;
Poza wzgórzem srebrna struga,
A za strugą szczere pole.

Nawet kwiatki takież prawie
Na pagórku, na przydrożu:
Dziki piołun w bujnéj trawie
I bławatki rosną w zbożu.

Gdyby jeszcze tam na boku
Krzyż się chylił na rozstaju,
A dąb siwy u potoku:
Tobym myślał, żem już w kraju.

Jaka cicha, szczęsna chatka!
Przy niéj matka, dziewcząt dwoje;
Czemuż to nie moja matka
Czemuż to nie siostry moje?

Słońce zaszło za lasami,
Lud wesoły idzie z pracy;
Czemuż się nie cieszę z wami?
Czemuż wyście nie rodacy?

Ptak powrócił w swoje gniazdo,
Zwinął skrzydła utrudzone:
Chmurna losów moich gwiazdo,
Gdzie mnie wiedziesz? w którą stronę?

Płyńcie, płyńcie łzy tęsknoty,
Nieutulne łzy tułacze: —
Może, jeśli dzień przepłaczę,
Noc przyniesie mi sen złoty.

T. Lenartowicz.

---

46. Ciche wzgórze.

Znam ja jedno piękne wzgórze,
Na niém kwitną przy figurze
Przeźroczyste polne róże.

Boża męka pochylona
Patrzy z ciszą i spokojem,
W świat wyciąga swe ramiona
Ponad ziemskim, krwawym znojem.

Jak tam słodko! jak tam błogo!
Nie doknięte bólem, trwogą,
Serca w niebo płynąć mogą.

Tęsknych dumań nic nie zmąci,
Cichnie ludzkiéj głos boleści...
Chyba wietrzyk listkiem trąci,
Lekko, śpiewnie zaszeleści.

Kiedy słońce z nieba schodzi
W swojéj, złotém tkanéj, łodzi,
W purpurowych fal powodzi,

To nad wzgórkiem twarz swą zniża,
Pożegnalnym blaskiem strzela,
I całuje stopy krzyża —
Święte stopy Zbawiciela.

*

Pod tym krzyżem w pierwszéj wiośnie
Z polną różą, co tam rośnie,
Wyglądałem w świat radośnie;

Pod tym krzyżem w ranek jasny
Na mogile kwiaty rwałem,
Z tego wzgórza zagon własny
Raz na zawsze pożegnałem.

Więc choć lat już przeszło tyle,
Myślą wracam w dawne chwile,
Siąść pod krzyżem na mogile.

Chcę usłyszeć znów o zmroku
Pieśń nabożną tego ludu,
Co się modląc ze łzą w oku,
Oczekuje zawsze cudu...

Adam Asnyk.

---

47. Dziecięce lata.

Piękne to były dziecięce lata,
Kiedym zaledwie odnikł od ziemi!
Myśl moja często ku nim ulata,
Złocąc je snami, łzami cichemi.

Kiedym to igrał na matki ręku,
Kolano ojca było konikiem.
W sercu woń taka i tyle dźwięku!
Oj, nie płakało jeszcze po nikim!

Świat wtedy dla mnie taki był mały!
Ludzie tak dobrzy, jak ich cukierki,
Gwiazdki milionem oczek mrugały:
Chciałem mieć skrzydła, zdjąć te iskierki.

Lub kiedy księżyc wyjrzał na wzgórze,
Biegłem ku niemu... już, już go chwycę.
Znowum po niebie jeździł na chmurze
I za batożek brał błyskawicę.

Widziałem słonko, jako się kładło
W złote łóżeczko, z chmurką pod głowę,
Jak je jezioro potém okradło...
Ledwo już rąbki widać różowe.

Co ranek, wieczór, jam myślał sobie:
Jaki Bóg dobry! — dla méj zabawki
Zrobił ten księżyc, słońce na dobie,
Ptaszki, motylki, kwiatki i trawki.

I codzień rano, wieczorem codzień
Mówiłem pacierz razem za mamą:
Boże! niech będę darów Twych godzien,
I niech Cię kocham zawsze taksamo!

Ł. Siemieński.

---

48. Pszczółka.

Oj nie zła to dola
I pszczółką być małą:
Okrążać swe pola
Wytrwale i śmiało!

Jéj latem i wiosną
Czas bieży jak woda:
Przy pracy — radosno,
Przy słonku — swoboda.

Urocza i cicha
Wśród wiejskiéj zagrody,
Z kwietnego kielicha
Pożywne ssie miody.

Co zbierze i zgarnie,
Do piersi przytula,
I niesie ofiarnie
Do matki, do ula.

Nie zbliży się do niéj
Swawolne pacholę,
Bo pszczółka dogoni
I żądłem zakole.

Obiegaj zagony,
Robaczku ty Boży,
A ciche twe plony
Bóg łaską rozmnoży.

Ziół nie brak w te czasy,
Wydają ich siła
Ugory i lasy
I cicha mogiła.

Twa praca wytrwała
Niech sennych rozbudzi!
O pszczółko ty mała,
Bądź wzorem dla ludzi!

Seweryna Pruszakowa.

---

49. Człowiek a rzeka.

Huczy woda po kamieniach,
A na głębi cicho płynie:
Nie sądź ludzi po zachceniach,
Ale prawdy szukaj w czynie.

Kto prawdziwie czuć nie zdolny,
Ten się szumem słowa pieści:
Potok głośny, a swawolny,
Mało wody w sobie mieści.

Lecz spokojnéj cisza toni
Zwykle wielką głąb zwiastuje;
Na wiatr uczuć swych nie trwoni,
Kto głęboko w duszy czuje!

Ad. Asnyk.

---

50. Wojak.

Rży mój gniady, ziemię grzebie:
Puśćcie, czas, już czas!
Ciebie, ojcze, matko, ciebie,
Siostry, żegnam was!

Dumnie patrzysz tam po błoniu,
Z złością wstrząsasz grzbiet; —
Spieszę, spieszę, luby koniu,
Skaczę, lecim wnet.

Z wiatrem, z wiatrem! Niech drżą wrogi,
Krwawy stoczym bój!
Raźni, zdrowi wrócim z drogi,
Z wiatrem, koniu mój!

Tak, tak, dobrze!... na zawody!
Jeśli polęc mam,
Sam tu, koniu, do zagrody
Wolny wróć tu sam.

Słyszę jeszcze siòstr wołanie,
Zwróć się, koniu, stój!...
Nie chcesz? Lećże! Niech się stanie!
Leć na krwawy bój!

Stefan Witwicki.

---

51. Krakowiak.

Zapomniane skrzypki moje, zagrajcie od ucha!
Lasy, wzgórza i doliny, zapalcie w nich ducha!
Ducha w nich zapalcie, niechaj brzmią naokół,
A ty, myśli moja, podlatuj jak sokół!
Już skowronek i jaskółka witają nas wiosną:
Rzućmy ziarno na tę glebę, a kłosy wyrosną!

Trzeba orać ziemię żyzną z wiarą i nadzieją,
Niedbać na to, chociaż kwiecień zaszumi zawieją;
Zaszumi zawieją, lecz jak świeży ranek
Rozpogodzi niebo maj, wiosny kochanek.
Daléj razem, jak te wołki, idźmy krok za krokiem,
Bo gdy zagon uprawiony, miło rzucić okiem.

Żyzna niwa kłosem pływa, kwiateczkami woni:
Tu się bławat patrzy w niebo, polny mak się płoni;
Polny mak się płoni, jużci go wstyd ima,
Że błyszczy purpurą, lecz zapachu nie ma.
O! boć darmo, samym blaskiem nic się nie przymili:
Stokroć milsza jest pszenica, gdy kłos ciężki schyli!

Daléj skrzypki, grajcie hucznie, Wisła dźwięk poniesie!
Na jéj brzegach rosną lasy, słowiki są w lesie;
Słowiki są w lesie, na dzióbkach zanucą,
I całą naturę zbudzą, rozesmucą!
A gdy żniwo już skończymy, wtedy na dożynek
Wszyscy Bogu piosnkę świętą złożym w upominek.

Edmund Wasilewski.

II. Pieśni i wiersze religijne.

---

52. Psalm 65.

Królu na ziemi i na wielkiém niebie!
Chwała w Syonie wdzięczna czeka Ciebie:
Tam obietnice Tobie poślubione
Będą ziszczone.
Do Ciebie, który prośbami ludzkiemi
Nie gardzisz, przyjdą wszyscy, co po ziemi
Okrągłéj chodzą, uczestnicy wiecznych
Darów słonecznych.
Teraz (niestetyż!) dawne nasze złości
Nas dolegają; ale w Twéj litości
Nadzieję mamy, że nam, choć nieprawym,
Będziesz łaskawym.
Szczęśliwy, kto się upodobał Tobie
I kogoś obrał przyjacielem sobie,
Aby przebywał w Twoim domu świętym
Człowiekiem wziętym.
I my Twéj wiecznéj dobroci ufamy,
Że w Twym kościele wrychle stanąć mamy
I użyjemy rozkoszy pięknego
Pałacu Twego
Okażesz łaskę i swe zmiłowanie
Dziwne nad ludem swoim: o! ufanie
Wszech ziemskich granic i nieprzebytego
Brodu morskiego!
Ty wielowładny góry niezmierzone
W ich gruncie trzymasz, Ty morze szalone
I ludzkie burdy krócisz, mieniąc boje
W lube pokoje.
Twych gromów srogich ludzie się lękają,
Którzy w najdalszych krainach mieszkają;
Ty uweselasz ranny świt pozorny [1])
I zmierzch wieczorny.

---

[1]) okazały, świetny.

Za Twym dozorem wilgoci dostaje
Obfitéj ziemi na jéj urodzaje;
Rzeki wód pełne, skąd wszystko stworzenie
Ma swe żywienie.
Ty nocną rosę na suche zagony
Spuszczasz i wczesny [1]) deszcz nieprzepłacony;
Ty błogosławisz nieprzeliczonemu
Płodu ziemskiemu.
Rok wszystkorodny wieniec znakomity
Niesie na głowie, Twoją łaską wity;
A gdzie Ty kolwiek stopę swą położysz,
Obfitość mnożysz.
Pustynie kwitną, góry się radują,
W polach stad mnóstwo, zbożem obfitują
Niskie doliny: a pełen nadzieje [2])
Oracz się śmieje

J. Kochanowski.

---

53. Psalm 90.

Królu na wysokiém niebie!
Nie ma indziéj okrom Ciebie
Człowiek, nieszczęściem strapiony,
Ucieczki ani obrony.
Pierwéj, niżli góry wstały,
Niż ziemia, niż okazały
Krąg niebieski jest stworzony,
Tyś jest, Boże nieskończony.
Jesteś i będziesz do wieku;
Ale biednemu człowieku
Codzień zawżdy lat ucierasz [3]),
Aż go nawet w ziemię wpierasz [4]).
Tysiąc lat, o niezmierzony,
Z Twoją wiecznością złożony [5]),
Mniéj, niż dzień wczorajszy, waży,
Mniéj, niż chwila nocnéj straży.
Jako woda siąknie w ziemię,
Tak niszczeje ludzkie plemię.
Podobniśmy ku marnemu
Snu nocnemu, nikczemnemu.
Jako rosy trawa syta
Z poranku pięknie zakwita,
Wieczór kosą podsieczona
Leży na ziemi wzgardzona:
Taki nasz wiek, tak więdniemy

---

[1]) w czas padający. — [2]) zamiast: nadziei. — [3]) ukrócasz. — [4]) wciskasz. — [5]) porównany.

I w niełasce Twojéj schniemy.
Tobie jawne i kryjome
Złości nasze są wiadome.
Przeto, dla swéj nieprawości
Lękając się Twéj srogości,
Tak prędko dni swe trawimy,
Jako słowa, co mówimy.
Kto Twój, nieśmiertelny Boże,
Gniew straszliwy pojąć może?
Kto w bojaźni Twéj żyć umie,
Ten, co Twój gniew jest, rozumie.
Raczże nam z łaski swéj życzyć [1]),
Byśmy tym sposobem liczyć
Płoche lata swe umieli,
A mądrości szukać chcieli.
Wejrzyj na swe sługi, Panie:
Długoż się masz gniewać na nie?
Wejrzyj okiem litościwém,
A ochłódź serca troskliwym [2])!
Nasyć nas owocem swego
Miłosierdzia obfitego,
A my do swego żywota [3])
Nie zaznamy już kłopota.
Daj nam za troskliwe [4]) lata
Wesołego użyć świata!
Nagrodź nam płacz pociechami,
Okaż dobroć swą nad nami!
Okaż nad sługami swymi
I nad ich syny lichymi!
Zdarz [5]) nam wszystkie nasze sprawy,
Zdarz, o Boże nasz łaskawy!

J. Kochanowski.

---

54. Westchnienie do Boga.

O Boże! ja w Ciebie wierzę,
Ja Ciebie kocham, o Boże!
Jabym tak chciał kochać Ciebie,
Kochać i wierzyć tak szczerze
I z taką siłą, jak tylko ten może,
Komubyś zdarzył być chwilę w Twém niebie.
Od Ciebie tylko w téj chwili
Pełność méj wiary zależna;
Tobie taki dar jest niczém:

---

[1]) użyczyć. — [2]) stroskanym. — [3]) póki naszego żywota. — [4]) troską zakłócone. — [5]) szczęść, błogosław.

Daj mi go! Oto do Twych stóp się chyli
Chęć bezdenna, chęć bezbrzeżna;
Pada przed Tobą pokutném obliczem:
Dopełnij mojéj miłości i wiary!
Jam nigdy nie wchodził w sprzeczkę,
Że, co mam tylko, to są Twoje dary.
Ja zawsze widzę Twoję cząsteczkę,
W każdém uczuciu mego istnienia
Uznaję siłę Twego ramienia.
Za każdą rozkosz sumienia
Wielbię Twą dobroć jedynie;
Czuję Ciebie w każdéj cnocie,
W każdym wieszczego natchnienia polocie.
Alebym pragnął jaśniéj, wznioślej, szczerzéj
Czuć, kochać, wierzyć, — pragnąłbym bez miary:
Dopełnij mojéj miłości i wiary!
Podnieś lot méj duszy wyżéj,
Postaw mię przy sobie bliżéj,
Zabłyśnij mi choć na chwilę,
Choć jedną iskrą Twoją, Wszechświęty!
A ostatnią moc wysilę,
Choćbym miał zdeptać nogami
Najkosztowniejsze ziemskie ponęty,
Stargać tę wstęgę, co serce wiąże
Z najdroższymi sercami, miejscami;
Choćby natychmiast to ciało
Trupem ze mnie opaść miało.
Pójdę do Ciebie, podążę;
Byle tylko to sumienie,
Które tak Ciebie przeczuwa, zgadywa, —
Byle ta dusza, co tak niecierpliwa
Puka ku Tobie w podniebne sklepienie,
Stanęły rychléj przed Twoim tronem,
Ujrzały Ciebie okiem bez plam nocy
I uderzyły wiecznym pokłonem
Twojéj po trzykroć świętéj wszechmocy.

Seweryn Goszczyński.

---

55. Do Boga.

Opatrzny Boże na niebie i ziemi!
Znać to, żeś Ojciec, my dziećmi Twojemi:
Codzień ci jakieś powinniśmy dzięki
Za dar widomy z niewidoméj ręki.

Ty opatrznością Twoją nieodwłoczną
Ubogiéj ziemi dajesz barwę roczną;
Ziarno wśród mrozu grzejesz parą tajną
I siłę jego umacniasz rodzajną!...

Do Ciebie, czy głód, czy cierpi pragnienie,
Oczy podnosi wszelakie stworzenie;
Twoim nakładem, z Twéj jedzą komory
Wszystkie powietrzne, ziemne, wodne twory!

Podróżny, Twoją ręką prowadzony,
Na dobrą drogę wyjdzie obłądzony;
Twojém staraniem zguba nam się wróci,
Bo żal Ci, gdy się Twe dziecię zasmuci.

Dajesz pogodę i deszcz w swojéj porze,
Bydlętaś nasze zrachował w oborze...
A gdy o każdém pamiętasz stworzeniu,
I dzieci nasze znasz po ich imieniu.

Opatrzny Boże na ziemi i niebie!
Nie odstępuj nas w wszelakiéj potrzebie:
Bo gdy co zrobim naszą tylko siłą,
Zaraz to poznać, że Ciebie nie było!

Franciszek Karpiński.

---

56. Pieśń
do Najśw. Panny.

Gdy bez Dzieciny oglądam Cię, Panno,
Dziwię się Twojéj urodzie:
Zda mi się, widzę jutrzenkę zaranną
W różowych falach na wschodzie.

Gdy zasię widzę Matkę i Pacholę,
To — księżyc w północnych cieniach,
Co złotolity blask na swojém czole
Bierze w słonecznych promieniach.

Gdy zaś Twe Dziecię, o Matko i Pani,
Tulisz rękami do łona:
Jasnaś jak słońce, co niebom hetmani
W pośrodku gwiazd miliona.

Kazimierz Sarbiewski (tłóm. *Wł. Syrokomla*).

---

57. Pieśń
do Najśw. Panny Maryi.

Pani złotego nieba, Maryjo!
Spojrz, gdzie nad Bohem Słowianie żyją,
Spuść się na chmurze z promienną głową
W ziemię Lechową.

Weź z sobą święte Pacholę Twoje,
I złotopiórych Aniołów roje!
Niech zdrowie, pokój spuszczą się razem
Za Twym rozkazem!

K. Sarbiewski (tłóm. *Wł. Syrokomla*).

58. Pieśń
przy grzebaniu umarłych.

Zmarły człowiecze! z tobą się żegnamy!
Przyjmij dar smutny, który ci składamy:
Trochę na grób twój porzuconéj gliny
Od twych przyjaciół, sąsiadów, rodziny.

Powracasz w ziemię, co matką twą była;
Teraz, cię strawi, niedawno żywiła.
Tak droga każda, którą nas świat wodzi,
Na ten ubity gościniec wychodzi!

Niedługo, bracie, z tobą się ujrzemy;
Jużeś tam doszedł, my jeszcze idziemy.
Trzeba ci było odpocząć po biegu!
Ty wstaniesz, boś tu tylko na noclegu!...

Boże! ten zmarły w domu Twym przebywał,
U Stołu Twego jadał, Ciebie wzywał,
Na Twéj litości polegał bezpieczny: —
Daj duszy jego odpoczynek wieczny!

Fr. Karpiński.

59. Hymn za Cesarza.

Boże wspieraj, Boże ochroń
Nam Cesarza i nasz kraj!
Tarczą wiary rządy osłoń,
Państwu Jego siłę daj!
Brońmy przodków Jego koron,
Zwróćmy wszelki wroga cios,
Bo z Habsburgów tronem złączon
Jest na wieki Austryi los.

Obowiązkom swoim wierni,
Strzeżmy pilnie świętych praw;
W ich obronie niech się spełni
Powołanie do cnych spraw.
Pomni, jakto skroń żołnierza
Świetnie zdobi lauru krzew —
Nieśmy chętnie za Cesarza,
Za Ojczyznę mienie, krew!

Ludu pilnéj pracy zbiory
    Niech osłania zbrojna moc!
Niechaj kwitną ducha twory,
    Niech rozpędza światło noc!
Austryi, Boże, daj wsławienie,
    Na szczyt chwały racz ją wznieść,
Słońca Twego skłoń promienie
    Ku jéj szczęściu, na jéj cześć!

Spólność, jedność powołania
    Niech przenika wszystek lud,
Bo złączonych sił działania
    Zdolne przemóc wszelki trud.
Dążąc społem ku celowi,
    Chciejmy bratnio siły zlać!
Szczęść Monarsze! szczęść krajowi!
    Austrya będzie wiecznie stać.

Przy Cesarzu mile włada
    Cesarzowa, pełna łask;
Wszystek lud jéj hołdy składa,
    Podziwiając cnót jéj blask.
Franciszkowi Józefowi
    I Elżbiecie Boże szczęść!
Habsburskiemu szczęść Domowi:
    Sława Jemu, chwała, cześć!



